

Brigid Kemmerer

Listy do utraconej

przełożył Piotr Grzegorzewski



Michaelowi.

Mam szczęście, że dane jest mi odbywać z Tobą tę szaloną podróż (głównie dlatego, że powstrzymujemy się wzajemnie przed jej zakończeniem)

Rozdział pierwszy

Jest takie zdjęcie, o którym nie mogę przestać myśleć. Dziewczynka w sukience w kwiaty krzycząca w ciemności. Wszędzie krew: na jej policzkach, ubraniu, na ziemi. I karabin, którego lufa jest skierowana w dół. Nie widać mężczyzny, który go trzyma, ale są widoczne jego buty. Pokazałaś mi to zdjęcie lata temu i opowiedziałaś o fotografii, który je zrobił, ale pamiętam tylko usta rozwarte w krzyku, kwiaty, krew i karabin.

Jej rodzice musieli zablądzić. Pewnie trafili w strefę działań wojennych. Może w Iraku? Tak, to całkiem prawdopodobne. Minęło trochę czasu i nie pamiętam już całej historii kryjącej się za tym zdjęciem. Skręcili nie tam, gdzie trzeba, i jacyś wystraszeni żołnierze ostrzelali ich samochód. Rodzice dziewczynki zginęli na miejscu.

Córka miała szczęście.

A może pecha?

Sama nie wiem.

Najpierw dostrzega się przerażenie, bo jest wyraźnie widoczne na twarzy dziecka.

Potem zauważa się szczegóły. Krew. Kwiaty. Karabin. Buty.

Niektóre Twoje zdjęcia w równym stopniu chwytają za serce. Chyba zamiast o tej fotografii powinnam myśleć o Twoich pracach. To trochę nie w porządku stać nad Twoim grobem i rozmyślać o dziełach któregoś z Twoich kolegów.

Ale nic na to nie poradzę.

To widać na jej twarzy. Jej świat rozpadł się na kawałeczki i ona o tym wie.

Wie, że jej mama nie żyje.

Ta fotografia wyraża prawdziwe cierpienie.

Za każdym razem, kiedy ją oglądam, myślę sobie: „Wiem doskonale, jak się czuje ta mała”.

Muszę przestać gapić się na ten list.

Wyjąłem go z koperty tylko dlatego, że zanim skosimy trawę, porządkuję najbliższe otoczenie nagrobków. Zwykle się nie spieszę, bo i tak muszę odbębnić osiem godzin.

Moje brudne palce pozostawiły ślady na brzegach kartki. Powinienem ją wyrzucić, zanim ktokolwiek się dowie, że jej dotykałem.

Jednak dalej wbijam wzrok w pismo. Litery są staranne i równe, choć nie idealne. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, co sprawia, że muszę się w nie wpatrywać. Dopiero teraz staje się dla mnie jasne, że ktoś pisał je drżącą ręką. Chyba jakaś dziewczyna. Wskazują na to okrągłe litery.

Patrzę na nagrobek. Nowiutki. Litery wyryte w błyszczącym granicie. *Zoe Rebecca Thorne. Ukochana żona i matka.*

Data śmierci sprawia, że serce podchodzi mi do gardła. Dwudziesty piąty maja tego roku. Tego dnia wypłem całą butelkę whiskey i przywaliłem półciężarówką ojca w filar pustego biurowca.

Zabawne, że ta data tak mocno utkwiała mi w pamięci. Jak widać, z zupełnie innych powodów wryła się w pamięć również komuś innemu.

Thorne. Nazwisko wydaje mi się znajome, ale nie mogę sobie przypomnieć, skąd je znam. Zmarła zaledwie kilka miesięcy temu w wieku czterdziestu pięciu lat, niewykluczone, że mówili o tym w wiadomościach.

– Hej, Murph! Co z tobą, gościu?

Podskakuję i wyrzucam list. Na wzniesieniu stoi Melonhead, mój „nadzorca”. Właśnie przeciera czoło przeponą chusteczką.

W rzeczywistości wcale nie nazywa się Melonhead, podobnie jak ja Murph. Skoro jednak on pozwala sobie przekreślać nazwisko Murphy, ja robię to samo z Melendezem.

Z tą różnicą, że robię to tylko w myślach.

– Przepraszam! – wołam.

Schylam się, żeby podnieść list.

– Myślałem, że już skończyłeś kosić ten odcinek.

– Zaraz dokończę.

– Jeśli tego nie zrobisz, będę musiał to zrobić za ciebie. A chciałbym już jechać do domu.

Zawsze mu się spieszy. Do żony i córeczki. Mała ma trzy lata i świra na punkcie disnejowskich księżniczek. W zeszłym tygodniu wyprawili jej urodziny, na które zaprosili piętnaścioro dzieci z przedszkola, a żona Melonheada zrobiła tort.

Oczywiście wszystko to gównu mnie obchodzi. Po prostu gościowi gęba się nie zamyka. To dlatego powiedziałem mu, że sam sobie poradzę z tym odcinkiem

trawnika.

– Wiem – odpowiadam. – Zaraz to zrobię.

– Jeśli nie zrobisz, nie podpiszę ci rozpiski za dzisiaj.

Wściekam się w duchu, ale wiem, że gdybym pozwolił sobie na wybuch, z pewnością zameldowałyby o tym sędzi. A ta kobieta już i tak mnie nie cierpi.

– Powiedziałem, że to zrobię.

Macha ręką, odwraca się ode mnie i zaczyna schodzić ze wzniesienia. Pewnie mu się wydaje, że go wyroluję. Kto wie, może mój poprzednik tak robił.

Po chwili słyszę warkot włączanej kosiarki.

Powinienem skończyć oczyszczać teren z pamiątek po zmarłych, żeby też się wziąć do koszenia, ale tego nie robię. Wrześnie słońce zdrowo przygrzewa i muszę odgarnąć spocone włosy z czoła. Można by pomyśleć, że jesteśmy na Florydzie, a nie w Annapolis w stanie Maryland. W tej chwili zazdroszczę Melonheadowi jego bandany.

Nie cierpię tej roboty.

Wiem, powinienem się cieszyć, że skończyło się na pracach społecznych. Mam siedemnaście lat, a przez jakiś czas wydawało się, że będę odpowiadał jak dorosły. Jednak to nie tak, że kogoś zabiłem, po prostu zniszczyłem czyjąś własność. Koszenie trawy na cmentarzu to nie wyrok śmierci, ale i tak mnie wkurza.

Nie cierpię tej roboty. Utrzymuję, że nic mnie nie obchodzi, co inni o mnie myślą, ale to nieprawda. Każdy by się przejmował, gdyby wszyscy mieli go za tykającą bombę. Rok szkolny trwa zaledwie od kilku tygodni, a już połowa moich nauczycieli boi się, że wyjmę broń i zacznę strzelać. Wyobrażam sobie nawet opis w księdze pamiątkowej: *Declan Murphy. Najprawdopodobniej skończy jako zbrodniarz.*

Mógłbym to uznać za zabawne, gdyby nie było to takie przygnębiające.

Czytam list raz jeszcze. Każde słowo jest wypełnione cierpieniem. Bo tylko cierpienie może skłonić kogoś do pisania listów do osoby, która nigdy ich nie przeczyta. Taki ból czyni cię samotnym. Każe ci wierzyć, że nikt nie cierpi tak bardzo jak ty.

Mój wzrok pada ponownie na ostatnie linijki.

To widać na jej twarzy. Jej świat rozpadł się na kawałeczki i ona o tym wie.

Wie, że jej mama nie żyje.

Ta fotografia wyraża prawdziwe cierpienie.

Za każdym razem, kiedy ją oglądam, myślę sobie: „Wiem doskonale, jak się czuje ta mała”.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wyjmuję z kieszeni ołówek i przyciskam go do papieru.

Tuż pod słowami dziewczyny dopisuję dwa słowa od siebie.

Rozdział drugi

Ja też.

Litery falują przede mną. Uświadamiam sobie, że trzęsie mi się ręka. Obcy charakter pisma prawie pali mnie w oczy.

Ktoś przeczytał mój list.

Ktoś przeczytał mój list!

Rozglądam się dookoła, jakby to stało się dosłownie chwilę temu, ale cmentarz jest pusty. Byłam tutaj we wtorek. Dzisiaj jest czwartek rano, więc to prawdziwy cud, że list tu pozostał. Poprzednie zwykle znikwały – zdmuchiwał je wiatr, zabierały zwierzęta albo ktoś z obsługi cmentarza.

Tym razem nie dość, że list pozostał na swoim miejscu, to jeszcze ktoś dopisał do niego własny komentarz.

Kartka wciąż trzęsie się w mojej ręce.

Nie mogę...

To jest...

Co... Kto... Jak...

Chce mi się krzyczeć. Nie jestem w stanie nawet zbudować pełnego zdania. Ogarnia mnie wściekłość.

To prywatna korespondencja. Prywatna! Między mną a moją mamą.

Podejrzewam jakiegoś faceta. Wskazują na to brudne odciski palców i charakter pisma. To dopiero arogancja: zrobić dopisek do listu będącego wyrazem żałoby i twierdzić, że czuje się to samo co osoba, która go napisała. Mama zwykła mawiać, że w słowach jest zawarta część duszy autora. Czuję, że moja prawie wylewa się z tej kartki.

Ja też.

Nie, on nie. On nie ma pojęcia.

Muszę złożyć skargę. To nie do pomyślenia. W końcu to cmentarz. Przychodzi się tutaj, żeby oplakiwać najbliższych. To moja przestrzeń. *Moja*. Nie jego.

Ruszam przez trawnik, nie dopuszczając, by chłodne poranne powietrze ostudziło mój gniew. Boli mnie serce i jestem bliska płaczu.

To było coś naszego. Mojego i jej. Mama nie może już mi odpisać, a jego słowa dodane do mojego listu wydają się to jeszcze bardziej podkreślać. To tak, jakby dźgnął mnie tym ołówkiem prosto w serce.

Kiedy docieram do szczytu wzniesienia, na moich rzęsach wiszą łzy i brak mi tchu. Wiatr rozwiął mi włosy. Za chwilę będę wyglądać jak czupiradło. Zjawię się w szkole z zaczerwienionymi oczami i rozmazanym makijażem. Nie po raz pierwszy.

Po śmierci mamy psycholog szkolna, pani Vickers, okazała mi współczucie.

Zaciągnęła mnie do swojego gabinetu i podała pudełko chusteczek. Koniec jedenastej klasy stał pod znakiem poklepywania mnie po ramieniu i szeptania słów otuchy.

Teraz jest już połowa września, mama nie żyje od kilku miesięcy. Od początku roku szkolnego wszyscy się zastanawiają, kiedy wreszcie się pozbieram. Pani Vickers zatrzymała mnie we wtorek i zamiast popatrzeć na mnie ze współczuciem, zacisnęła usta, po czym zapytała, czy wciąż jeszcze chodzę codziennie na cmentarz, i dodała, że chyba powinniśmy porozmawiać o bardziej konstruktywnych formach spędzania czasu.

Tak jakby to była jej sprawa.

Tak czy owak, wcale nie przychodzę tu codziennie. Tylko w te poranki, kiedy tata wcześniej wyjeżdża do pracy, chociaż czasami wydaje mi się, że jemu i tak wszystko jedno. Kiedy jest rano w domu, robi sobie dwa jajka i zjada je razem z winogronami, które zerwałam i umyłam. Siedzi przy stole, gapi się w ścianę i milczy.

Mogłabym podpalić dom, a on by tego nie zauważył.

Dzisiaj wyjechał do pracy wcześniej rano. Promienie słońca, wiatr, spokój cmentarza, wszystko to wydaje mi się darem.

Dwa słowa nagryzmołone na moim liście są z kolei przekleństwem.

Latynos w średnim wieku odgarniający dmuchawą liście z jezdni zatrzymuje się na mój widok. Ma na sobie uniform, a na piersi plakietkę z nazwiskiem Melendez.

Mogę w czymś pomóc? – pyta z nieznacznym akcentem.

Nie sprawia wrażenia niemiłego, prędzej zmęczonego.

W jego głosie słyszę rezerwę. Muszę wyglądać na wkurzoną. Spodziewa się skargi. I słusznie.

Cóż, za chwilę ją złożę. To na pewno złamanie jakichś przepisów. Zaciskam palce na liście, gniotę kartkę i robię głęboki wdech, by powiedzieć, co mi leży na sercu.

A jednak się waham.

Nie mogę tego zrobić. Mamie by się to nie spodobało.

„Uspokój się, Juliet”, powiedziałyby.

Zawsze mnie uspokajała. Trzeźwo myśląca, spokojna nawet w warunkach kryzysowych. Musiała taka być, skoro pracowała jako korespondentka wojenna.

Poza tym moje słowa mogą wydać się bredzeniem wariatki. Już na nią wyglądałam. Co takiego powiem? Że ktoś dopisał dwa słowa do mojego listu? Listu, który napisałam do nieżyjącej matki? To przecież mógł być ktokolwiek. Grób mojej mamy otaczają setki innych. Cmentarz każdego dnia odwiedzają dziesiątki osób, o ile nie więcej.

I co ten pracownik cmentarza ma zrobić? Siedzieć non stop przy grobie

mojej mamy? Zainstalować kamerę?

Sprawdzać odwiedzających w poszukiwaniu ukrytego ołówka?

– Nie, dziękuję – mówię. – Przepraszam.

Wracam do jej grobu i siadam na trawie. Spóźnię się do szkoły, ale nic mnie to nie obchodzi. Gdzieś w oddali pan Melendez włącza znów dmuchawę do liści, ale tutaj jestem sama.

Od śmierci mamy napisałam do niej dwadzieścia dziewięć listów. Dwa tygodniowo.

Kiedy jeszcze żyła, tych listów były setki. Praca wymagała od niej obeznania z nowoczesnymi technologiami, ale pod wieloma względami mama pozostała staroświecka. Odręczne listy. Aparaty na błonę fotograficzną. W pracy zawsze posługiwała się aparatami cyfrowymi, dzięki temu mogła edytować zdjęcia, gdzie i kiedy tylko chciała, lecz najbardziej lubiła klasyczne aparaty. Mogła być na pustyni w Afryce, fotografując zamieszki albo ofiary klęski głodu, ale zawsze znalazła czas, by napisać do mnie list.

Oczywiście, jeśli tylko miałyśmy okazję, kontaktowałyśmy się też bardziej cywilizowanymi metodami: wymieniałyśmy się mailami albo rozmawiałyśmy na wideoczacie. Jednak listy znaczyły coś więcej. Miałam wrażenie, że w papier wnikają emocje. Zupełnie jakby atrament, kurz i plamy potu dodawały wagi słowom i mogłam wyczuć strach, nadzieję i odwagę mamy.

Zawsze jej odpisywałam. Czasami listy ode mnie docierały do niej dopiero po kilku tygodniach, najpierw trafiając do rąk jej wydawcy, a potem tam, gdzie właśnie przebywała. Czasami była w domu i mogłam jej wręczyć list osobiście. To nie miało znaczenia. Po prostu ciągle przelewałyśmy nasze myśli na papier.

Po jej śmierci nie mogłam przestać. Zwykle w chwili, gdy dochodzę do jej grobu, nie mogę oddychać, dopóki nie przycisnę długopisu do kartki i nie podzielę się z nią swoimi myślami.

Teraz, gdy zobaczyłam tę odpowiedź, nie napiszę do niej już ani słowa. Czuję się bezbronna. Obnażona. Wszystko, co przeleję na papier, może zostać przeczytane. Przekręcone. Ocenione.

Dlatego nie napiszę listu do niej.

Napiszę list do niego.

Rozdział trzeci

Prywatność to złudzenie.

Chyba sam to najlepiej wiesz, skoro przeczytałeś mój list. Nie był przeznaczony dla Ciebie. Nie był do Ciebie zaadresowany. Nie miał nic wspólnego z Tobą. Dotyczył mnie i mojej mamy.

Wiem, że nie żyje.

Wiem, że nie może przeczytać tych listów.

Wiem, że niewiele mogę zrobić, żeby poczuć jej bliskość.

Teraz pozbawiłeś mnie nawet tego.

Rozumiesz, co mi zabrałeś? Masz w ogóle pojęcie?

To, co napisałeś, sugeruje, że rozumiesz moje cierpienie.

Nie wydaje mi się, że tak jest.

Gdybyś rzeczywiście je rozumiał, nie wtrącałbyś się w nie swoje sprawy.

W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że ta laska to wariatka. Kto pisze list do przypadkowego nieznanego na cmentarzu?

Potem myślę, że akurat ja nie mam prawa jej oceniać.

Tak czy owak, wcale mnie nie zna. Nie wie, co rozumiem, a czego nie.

Nie powinienem nawet tutaj być. W czwartkowe wieczory koszę trawę w innej części cmentarza. Nie mam Bóg wie ile czasu na czytanie listów od nieznanomych. Melonhead już i tak spojrział wymownie na zegarek, kiedy spóźniłem się dziś pięć minut. Jeśli przyłapie mnie na objaniu się, będę miał przesrane.

Jeśli dalej będzie mi grozić, że zadzwoni do sędzi, mogę nie wytrzymać.

Po chwili moja złość topnieje i pozostawia po sobie poczucie winy. Przyszedłem tutaj, bo ostatni list nie dawał mi spokoju. Chciałem się przekonać, czy znajdę kolejny.

Nie spodziewałem się, że ktoś przeczyta to, co napisałem.

Dociera do mnie, że ona musi czuć dokładnie to samo.

Szukam w kieszeniach ołówka, lecz znajduję jedynie kluczyki i zapalniczkę.

Zaraz... Rev potrzebował ołówka na siódmej lekcji. Nie ma zwyczaju nie oddawać pożyczonej rzeczy, nawet tak mało ważnej jak ten ołówek.

Może to los chce mi w ten sposób powiedzieć, że powinienem przestać i zacząć myśleć, zanim się odezwę. To znaczy, zanim coś napiszę. Wszystko jedno.

Chowam list do kieszeni. Potem wkładam rękawiczki i idę do kosiarki. Nie cierpię tej roboty, ale po kilku tygodniach wiem już, że ciężka praca fizyczna sprzyja myśleniu.

Popracuję i pomyślę.

A potem napiszę odpowiedź.

Rozdział czwarty

Nie wydaje mi się, że rozumiesz, czym jest cierpienie. Osoba, która by to rozumiała, nie oceniałaby mnie i nie twierdziła, że ja tego nie wiem.

Czy nie przyszło Ci do głowy, że moje słowa również nie były przeznaczone do przeczytania przez kogoś innego?

– Jules?

Unoszę wzrok. Stołówka jest prawie pusta. Rowan stoi nade mną, przyglądając mi się wyczekująco.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Już pięć minut po pierwszym dzwonku. Zdaje się, że miałyśmy się spotkać przy mojej szafce.

Składam pognieciony list, który znalazłam tego ranka na cmentarzu, chowam go do plecaka i ciągnę za suwak. Nie wiem, kiedy go napisał, ale chyba w zeszłym tygodniu, bo papier jest pomarszczony, jakby był mokry, a potem wysechł, a ostatni raz padało w sobotę.

To pierwszy weekend od bardzo dawna, kiedy nie byłam na cmentarzu. Trochę jestem wkurzona, że ten list leżał tam przez tyle dni. Przekonanie o własnej nieomyślności jego autora pewnie nieco przygasło, podczas gdy moje miało się dobrze i rozpalało mnie do czerwoności.

Cieszę się, że poszłam tam dziś rano. We wtorek wieczorem koszą trawę i pewnie by go wyrzucili.

– Na co patrzyłaś? – pyta Rowan.

– Na list.

Nie draży tematu. Pewnie myśli, że to list do mojej mamy. Nie wyprowadzam jej z błędu.

Nie chcę, żeby miała mnie za jeszcze większą wariatkę.

Rozlega się drugi dzwonek. Muszę się ruszyć. Jeśli zaliczę kolejne spóźnienie, wyląduję w kozie. Znowu. Ta myśl sprawia, że przyspieszam kroku.

Nie mogę znowu zostać w kozie. Nie wytrzymam siedzenia w klasie po lekcjach. Cisza rani moje uszy i mam za dużo czasu na myślenie.

Rowan idzie ze mną. Pewnie zamierza odprowadzić mnie do klasy i zbajerować nauczyciela, żeby nie wpisywał mi spóźnienia. Sama nie musi się przejmować spóźnieniami – nauczyciele ją uwielbiają. W każdej klasie siedzi w pierwszej ławce i spija z ich ust każde słowo, zupełnie jakby budziła się co rano spragniona wiedzy. Rowan to jedna z tych dziewczyn, których się nienawidzi: ładna, miła dla wszystkich i bez widocznego wysiłku zdobywająca najlepsze stopnie. Gdyby nie była taka idealna, pewnie bardziej by ją lubiano. Ciągle jej to powtarzam.

Jeśli już mam być szczerą, na pewno bardziej by ją lubiano, gdyby nie kumplowała się z tą czarną owcą z ostatniej klasy. Czyli ze mną.

Kiedy dziś rano znalazłam ten list, spodziewałam się, że po jego przeczytaniu się rozplacę. Tymczasem chcę znaleźć frajera, który go napisał, i dać mu w twarz. Im więcej razy go czytam, tym większa wściekłość mnie ogarnia.

Czy nie przyszło Ci do głowy, że moje słowa również nie były przeznaczone do przeczytania przez kogoś innego?

Złość skutecznie zagłusza głos rozsądku, który przekonuje mnie, że gość ma rację.

Korytarze są puste, co wydaje się bardzo dziwne. Gdzie się podziali inni maruderzy? Dlaczego zawsze tylko ja się spóźniam?

Poza tym to nie tak, że nie ma mnie tutaj. Przecież fizycznie cały czas znajduję się w budynku. Nie można jednak ode mnie oczekiwać, że od razu zmienię się w idealną uczennicę.

Prawie biegiem docieramy do skrzydła filologicznego, wpadając w poślizg na zakrętach. Przed ostatnią prostą odpycham się od ściany, żeby nabrać rozpędu.

I nagle czuję gorąco. Krzyczę z bólu, kiedy wrzątek wylewa się na mnie. Kubek z kawą ląduje na moich piersiach. W następnej chwili uderzam o coś twardego, odbijam się od tego i upadam.

Od *kogoś* twardego.

Leżę na ziemi, a na poziomie oczu mam czarne trapery.

W komediach romantycznych mogłaby to być scena pierwszego spotkania bohaterów. Chłopak byłby przystojniakiem, gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej i najlepszym uczniem w klasie. Podałby mi rękę, a ja przypadkowo miałabym drugą koszulkę w plecaku. Przebrałabym się w toalecie i nagle jakimś cudem moje piersi stałyby się większe, biodra węższe, a on odprowadziłby mnie do klasy i zaprosił na bal.

W rzeczywistości ten chłopak to Declan Murphy. Właśnie mamrocze pod nosem przekleństwa. Jego koszulka i kurtka też są całe zalane kawą. Patrzę, jak odkleja mokry materiał od skóry.

W komedii romantycznej chłopak byłby gwiazdą. Cóż, Declan jest szkolnym outsiderem. Figuruje w kartotece policyjnej i bez przerwy zostaje w kozie. Jest wielki i chociaż jego rudobrazowe włosy i wydatna szczeka działają na niektóre dziewczyny, mroczne spojrzenie jego oczu trzyma je na dystans. Jego brwi przepoławia blizna. Podejrzewam, że ma ich więcej. Większość uczniów się go boi i nie bez powodu. Rowan pomaga mi wstać i odciąga mnie od niego.

Declan patrzy na mnie kpiąco. Jego głos jest chropowaty i niski.

– Odbiło ci? – rzuca.

Odsuwam się od Rowan. Zielona koszulka lepi mi się do piersi i założę się, że widać przez nią fioletowy stanik. Chociaż kawa była gorąca, teraz jest mi zimno. To tak upokarzające doświadczenie, że nie mogę się zdecydować, czy chcę się rozplakać, czy na niego nawrzeszczeć.

Biorę się w garść. Udowodnię mu, że się go nie boję.

– To ty na mnie wpadłeś.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Wcale nie.

Rusza w moim kierunku. Kulę się, zanim udaje mi się powstrzymać ten odruch.

No dobrze, może jednak trochę się go boję.

Nie mam pojęcia, co mi może zrobić. Po prostu sprawia wrażenie takiego silnego... Tak czy owak, zatrzymuje się raptownie i krzywi, widząc moją reakcję, a potem schyla się i podnosi z podłogi swój plecak.

Och.

Chyba coś ze mną nie tak. Mam ochotę znów się na niego wydrzeć, chociaż to była moja wina. Zaciskam szczęki.

„Uspokój się, Juliet”.

Wspomnienie mamy pojawia się tak niespodziewanie, że tylko cudem nie wybucham płaczem. Jestem w rozsypce i nawet jedno nieodpowiednie słowo może sprawić, że przekroczyć granicę.

Declan prostuje się, wciąż mając gniewną minę, i wiem, że zamierza powiedzieć coś naprawdę podłego. Po tym liście niewiele trzeba, żeby zamienić mnie w roztrzęsioną kupkę nieszczęścia.

Kiedy jednak patrzy mi prosto w oczy, nagle się rozchmurza.

– Declan Murphy – rozlega się przy nas męski głos. – Kolejne spóźnienie.

Przy Rowan przystaje pan Bellicaro, z którym miałam biologię w dziewiątej klasie. Moja przyjaciółka jest czerwona na twarzy. Widocznie, przeczuwając kłopoty, pobiegła po nauczyciela. Nie mam pewności, czy jestem wkurzona, czy mi ulżyło. Drzwi najbliższej klasy są otwarte, na korytarz wyglądają uczniowie.

Declan ściera kropelki kawy ze swojej kurtki.

– Nie spóźniłbym się, gdyby na mnie nie wpadła.

Pan Bellicaro zaciska usta. Jest niski i ma wydatny brzuch, który jeszcze podkreśla jego różowa kamizelka. Z pewnością nie można go uznać za przystojniaka.

– Jedzenia nie można wynosić poza stołówkę – mówi.

– Kawa to nie jedzenie – ripostuje Declan.

– Panie Murphy, myślę, że zna pan drogę do gabinetu dyrektora.

– Mógłbym tam trafić z zamkniętymi oczami – odpowiada chłopak ostrym głosem i przeszywa nauczyciela wściekłym wzrokiem. – To nie była moja wina.

Rowan wzdyga się i zaczyna wykręcać nerwowo ręce. Wcale jej się nie dziwię. Przez chwilę zastanawiam się, czy ten czubek uderzy nauczyciela.

Pan Bellicaro prostuje się.

– Czy mam wezwać ochronę?

– Nie. – Declan unosi ręce. Jego oczy pociemniały z wściekłości. – Nie. Już idę.

Przeklina pod nosem, po czym zgniata kubek po kawie i wrzuca go do kosza.

Mój umysł wypełnia tak wiele emocji, że z trudem mogę się skupić na jednej. Są to: wstyd, ponieważ to naprawdę była moja wina, a mimo to pozwoliłam, żeby obwiniono tego chłopaka, oburzenie z powodu jego słów i strach wywołany tym, jak się zachowywał.

Jestem również zaintrygowana, głównie przez to, że rozchmurzył się, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

Żałuję, że nie sfotografowałam go właśnie w tamtej chwili. Albo teraz, gdy idzie pogrążonym w półmroku korytarzem. Światło pada na jego włosy i nadaje im złocisty blask za każdym razem, gdy mijają okno, jednak ciemność przylega do jego szerokich ramion i dżinsów. Od śmierci mamy nie korzystam z aparatu, teraz nagle żałuję, że go nie mam ze sobą. Palce mnie świerzbią, żeby go użyć.

– To dla pani, pani Young.

Kiedy się odwracam, pan Bellicaro wręcza mi białą karteczkę.

Znowu koza.

Rozdział piąty

Masz rację.

Nie wolno mi było Cię oceniać.

Przepraszam.

To jednak nie znaczy, że miałeś prawo przeczytać mój list. Ciągle Cię za to trochę nienawidzę. Tkwię tutaj już piętnaście minut, gapię się w pustą kartkę i próbuję sobie przypomnieć, jak to jest pisać do niej, jak utrwalić swoje myśli.

Zamiast tego myślę tylko o Tobie i Twoim „ja też” i zastanawiam się, co to znaczyło i czy Twoje cierpienie da się porównać do mojego.

Nie chodzi o to, że to w ogóle jest moja sprawa.

Nie wiem, czy przeczytasz moje przeprosiny, ale muszę się przed kimś wygadać. W tej chwili mam ogromne poczucie winy.

To nie przez Ciebie. Przez kogoś innego.

Muszę kogoś przeprosić, tyle że znam go równie dobrze jak Ciebie. Czyli wcale. Na pewno nie zacznę korespondować z dwoma nieznanymi. Na razie mogę się zdobyć tylko na ten jeden list i mieć nadzieję, że jakoś sobie poradzę z poczuciem winy.

Słyszałeś o Kevinie Carterze? Zdobył Nagrodę Pulitzera za zdjęcie umierającej dziewczynki. To bardzo znana fotografia, więc mogłeś ją gdzieś widzieć. Mała, chudziutka Sudanka próbowała dotrzeć do punktu z żywnością. Dosłownie sama skóra i kości. Zatrzymała się, żeby odpocząć. Była tak wygłodzona, że nie miała siły dotrzeć do jedzenia bez odpoczynku.

Położyła się więc na ziemi, a obok niej wylądował sęp.

Rozumiesz? On czekał na jej śmierć.

Czasami myślę o tym zdjęciu. O tej chwili.

Czasami czuję się jak ta dziewczynka.

Czasami czuję się jak ten ptak.

A czasami jak fotograf, który nie robi nic innego, tylko obserwuje świat.

Kevin Carter popełnił samobójstwo wkrótce po otrzymaniu Nagrody Pulitzera.

Czasami wydaje mi się, że rozumiem dlaczego.

Muszę zapalić.

Wokół lampy na ganku fruują ćmy, uderzają o żarówkę. Jest czwartek, prawie północ, w okolicznych domach panuje cisza.

Nie da się tego powiedzieć o moim domu. Alan, mój ojczym, ciągle jeszcze nie śpi, a matka wyszła z przyjaciółkami, więc nie jestem gotów, żeby wejść do środka.

Alan za mną nie przepada.

Wierście mi, z wzajemnością.

Ten list tkwi w mojej kieszeni przez cały wieczór. Nie mam zielonego pojęcia, kiedy go napisała, ale to musiało nastąpić w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. We wtorek wieczorem jeszcze go tam nie było. Wiem, bo sprawdzałem. Melonhead miał pretensje o spóźnienie i nie chciał słuchać moich wyjaśnień.

– Musiałem zostać w kozie – powiedziałem, kiedy w końcu się zjawiłem.

Właśnie wlewał paliwo do jednej z kosiarek w szopie ze sprzętem. Było tam gorąco jak diabli i koszulka lepiła mu się do ciała. Pomieszczenie było niewielkie i pachniało w nim trawą i benzyną. Lubiłem ten zapach.

Nie podobał mi się za to sposób, w jaki Melonhead na mnie popatrzył, jego wzrok pełen obrzydzenia, jakbym był po prostu ostatnim obibokiem.

– Odrobisz tę godzinę w sobotę – powiedział.

– Przecież mogę ją odrobić w czwartek.

– Nie, zrobisz to w sobotę.

Uniosłem swoją rozpiskę.

– Według umowy pracuję tylko we wtorki i w czwartki.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do drzwi.

– Według umowy powinieneś pracować od czwartej do ósmej. Jest dziesięć po piątej. Odpracujesz tę godzinę w sobotę.

– Słuchaj, mogę zostać dzisiaj do dziewiątej...

– Myślisz, że będę tkwił tutaj przez ciebie godzinę dłużej?

No jasne, że nie. Chciał jak najszybciej wrócić do żony i dziecka, żeby

następnym razem zasypać mnie kolejnymi nudnymi historyjkami. Uderzyłem w ścianę, pod którą stała moja kosiarka, i zakląłem.

– A ty myślisz, że w ogóle chcę tutaj być?

Zatrzymał się w drzwiach i przez chwilę myślałem, że mi przywali. On jednak tylko na mnie patrzył. Kiedy się odezwał, ton jego głosu nie zmienił się ani na jotę.

– Powinieneś się cieszyć, że możesz to robić. Jeśli chcesz, żebym podpisał ci papiery za osiem godzin, musisz przyjść w sobotę. – Zaczął się odwracać ode mnie, ale nagle znieruchomiał. – I zważaj na język. Nie chcę tu słyszeć takiej gadki.

Otworzyłem usta, żeby mu odpyskować, ale on dalej stał nieruchomo, mając słońce za plecami, i wiedziałem, że gdybym to zrobił, w mgnieniu oka wisiałby na telefonie i gadał z sędzią.

Nie cierpię tego, że może sobie ze mną tak pogrywać. Pamiętam, że gdy odczytano wyrok, pomyślałem, że koszenie trawy na cmentarzu to łatwizna, nikt nie będzie mi dokuczał. Nie wiedziałem, że moim przełożonym zostanie facet, który upaja się władzą i tym, że może rozstawiać mnie po kątach.

Zmiałem w ręce rozpiskę.

– Nie możesz zmuszać mnie do pracy w sobotę.

– Jeśli ci się to nie podoba, przychodź na czas.

Dzisiaj zjawiłem się tam wcześniej, mając nadzieję, że zasłużę na pochwałę. A gdzie tam! Znalazłem za to list od Cmentarnej Dziewczyny.

Właściwie to wolałbym nie mieć go w rękach. Jest przygnębiający, intrygujący i przerażający zarazem.

Nie znam zdjęcia, o którym pisze. Tego pierwszego, z krzyczącą dziewczynką, kwiecistą sukienką, krwią i karabinem, też zresztą nie widziałem. Nawet przez chwilę żałowałem, bo jej słowa były bardzo obrazowe.

Zdjęcie z sępem i dziewczynką koniecznie muszę zobaczyć.

Słyszę szcęk bocznej furtki. Składam list i wsuwam go pod udo. Spodziewałem się mamy, ale słyszę pociągnięcie nosem i wiem już, że to Rev. Ten koleś ma alergię na wszystko, w tym na większość ludzi.

– Późno przyszedłeś – mówię.

Rev prędej wyciągnie mnie z łóżka o szóstej rano, niż przyjdzie w okolicach północy.

– Dziś po południu wzięli do domu nową małą. Nie mogła zasnąć. Mama twierdzi, że to lęk separacyjny, a tata, że niedługo się uspokoi. Powiedziałem im, że muszę się przejść.

Nie sprawia wrażenia wkurzonego, zdążył już przywyknąć.

Geoff i Kristin są rodzicami zastępczymi. Ich podwórko sąsiaduje z naszym, więc widzimy dzieciaki, które przygarniają.

Rev był pierwszy. Pojawił się dziesięć lat temu: siedmiolatek w okularach

jak denka butelek i z tak koszmarną alergią, że ledwo mógł oddychać. Miał zbyt małe ubranie, rękę w gipsie i w ogóle się nie odzywał. Geoff i Kristin to najmilsze ludzie na świecie (już to, że są mili dla mnie, o tym świadczy), jednak Rev i tak od nich uciekł.

Znalazłem go w swojej szafie. Zwinięty w kłębek patrzył na mnie zza długiej grzywki, ściskając w rękach starą, zniszczoną Biblię.

Miałem tam schowane klocki Lego, więc pomyślałem sobie, że pewnie chce się ze mną pobawić. Zupełnie jakby dzieciaki ciągle chowały się w mojej szafie. No dobra, w sumie nie wiedziałem, co myśleć. Schowałem się tam z nim i przystąpiliśmy do budowania.

Okazało się, że wystraszył się Geoffa i Kristin, bo byli czarni. Jego tata powiedział mu, że czarni są złem zesłanym przez szatana.

Na ironię zakrawa fakt, że ów bogoboyny człowiek bez przerwy spuszczał Revowi łomot.

Kiedy to robił, zwykle cytował Biblię.

Geoff i Kristin adoptowali Reva pięć lat temu. Twierdził, że to nic takiego, że i tak uważał ich za rodziców i że to tylko kawałek papieru.

Jednak to było coś. I zapadło głęboko w jego sercu.

Obecnie nosi szkła kontaktowe, ale włosy cały czas ma długie. Moja siostra Kerry uważała, że się za nimi ukrywa. Kiedy Rev miał osiem lat, powiedział Geoffowi, że nie chce, aby znów ktoś go skrzywdził. Następnego dnia Kristin zapisała go na zajęcia ze sztuk walki. Ćwiczy do dzisiaj, aż do przesady. Jeśli okulary, alergię i nieśmiałość sprawiłyby, że myślelibyście o nim jak o nerdzie, wierzcie mi, że nigdy nie ośmielilibyście się powiedzieć mu tego prosto w twarz. Jest zbudowany jak zapaśnik. A jeśli dodacie do tego jeszcze fakt, że jego najlepszy kumpel (czyli ja) jest notowany, chyba przestaniecie się dziwić, że większość uczniów naszej szkoły omija go z daleka.

To również zakrawa na ironię losu, ponieważ Rev jest agresywny niczym stary golden retriever.

Przesuwam się i siada przy mnie na schodach.

– Co czytałeś? – pyta.

Musiał mnie widzieć ze swojego podwórka. Waham się, czy mu powiedzieć.

Dziwne. Przecież nie mamy przed sobą tajemnic. Obserwował rozpad mojej rodziny, w tym daremne próby mojej matki, by wszystko naprawić. Zna nawet prawdę o Kerry, chociaż myślałem, że w maju zabiorę ten sekret ze sobą do grobu.

Wciąż się waham. Czuję, że gdybym powiedział komukolwiek o Cmentarnej Dziewczynie, nadużyłbym jej zaufania.

Chociaż nawet jej nie znam.

Zastanawiam się kolejną chwilę. Rev milczy.

W końcu wyjmuję kartkę spod uda.

Czyta w milczeniu, po czym mi ją zwraca.

– Co to za jedna?

– Nie mam pojęcia. – Przerywam na chwilę. – Córka Zoe Rebekki Thorne.

– Co takiego?

Obracam list w dłoniach i biorę go między palce.

– W zeszłym tygodniu znalazłem przy grobie list. Przeczytałem go. Była w nim mowa o... – Znowu przerywam. Niezależnie od tego, co wie Rev, łatwiej rozmawiać o życiu i śmierci z kimś nieznanym. Odchrząkuję. – O stracie kogoś bliskiego.

– I pomyślałeś o Kerry.

Kiwam głową.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, wpatrując się w taniec ciem przy żarówce. Gdzieś w oddali odzywa się syrena. Po chwili cichnie.

– Ale to był inny list?

– Tak. Odpisałem na niego.

– Odpisałeś?

– Nie wiedziałem, że ona go przeczyta!

– Skąd wiesz, że to dziewczyna?

Dobre pytanie. Nie jestem tego pewien. A jednak jego pierwszym pytaniem było: „Co to za jedna?”.

– A ty dlaczego pomyślałeś, że to dziewczyna?

– Nie siedziałbyś rozmarzony nad listem od faceta. Pokaż mi go jeszcze raz.

Kiedy czyta, zastanawiam się nad jego słowami. Rozmarzony? Czy rzeczywiście o niej marzę? Przecież nawet jej nie znam.

– „Czasami czuję się jak ta dziewczynka” – czyta na głos.

– No właśnie.

– To kartka z zeszytu – zauważa.

– Wiem. – Nagle uświadamiam sobie, że autorka listu też może chodzić do Hamilton High School.

– Koles, ona może mieć jedenaście lat!

No dobra, tego nie brałem pod uwagę.

Wyrywam mu list.

– Zamknij się. To bez znaczenia.

Poważnieje.

– Tylko się z tobą drażnię. Takiego listu nie napisałaby jedenastolatka. – Milknie na chwilę. – Może miałeś znaleźć ten list.

– Nie, była naprawdę wkurzona, kiedy na niego odpisałem.

– Nie chodzi mi o to, że ona go tam specjalnie zostawiła dla ciebie.

Przez dłuższą chwilę trawię to, co powiedział.

– Rev, jeśli znowu zamierzasz mnie nawracać, idę do domu – mówię

w końcu.

– Wcale cię nie nawracam.

To prawda, nie robi tego. Jeszcze nie.

Cały czas ma tę starą Biblię, którą niegdyś trzymał kurczowo w rękach ukryty w mojej szafie. Należała do jego matki. Przeczytał ją z jakieś dwadzieścia razy. Rozmawia na tematy religijne z każdym, kto zdradza choćby cień zainteresowania. Ja akurat nie należę do tych osób. Geoff i Kristin zaczęli chodzić z nim do kościoła, ale nie podobało mu się, że nie może interpretować Biblii po swojemu.

Nie przyznał się, że kiedy patrzy na duchownego, przypomina mu się ojciec.

Rev nie należy do osób, które na okrągło cytują wersety biblijne, lecz jego wiara jest silna i niezachwiana. Kiedyś zapytałem go, jak to możliwe, że wierzy w dobroć Boga, skoro ledwo przeżył piekło, jakie zgotował mu ojciec.

Spojrzał na mnie i odpowiedział:

– Wierzę właśnie dlatego, że przeżyłem.

Trudno się z czymś takim nie zgodzić.

Żałuję, że powiedziałem mu o tym liście. Nie chcę dysputy religijnej.

– Nie musisz tego nazywać Bogiem – mówi. – Nazwij to losem. Czy to nie zastanawiające, że ze wszystkich ludzi, którzy mogli znaleźć ten list, znalazłeś go akurat ty?

To właśnie najbardziej uwielbiam u Reva. Nigdy niczego nikomu nie narzuca. Kiwam głową.

– Chcesz odpisać?

– Jeszcze nie wiem.

– Kłamca.

Ma rację. Chcę to zrobić.

W sumie już nawet zacząłem obmyślać treść odpowiedzi.

Rozdział szósty

Prawdopodobnie jesteś dosyć mroczną osobą, ale w końcu piszę do dziewczyny, która zostawia listy na cmentarzu, więc chyba nie powinno mnie to dziwić.

Napisałaś, że zastanawiałaś się, czy moje cierpienie można porównać do Twojego.

Nie wiem. Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Ty straciłaś swoją matkę. Moja żyje.

Nie sądzisz, że to śmieszne, że słowo „zginąć” ma podwójne znaczenie? Może chodzić zarówno o czyjąś śmierć, jak i zaginięcie. Może ludzie używają go dlatego, że po prostu nie wiedzą, dokąd udają się zmarli? Mój najlepszy kumpel wierzy w Boga, niebo i życie wieczne. Ja nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Umieramy i nasze ciała są pochłaniane przez ziemię, stajemy się częścią pewnego biologicznego cyklu, prawda? Tymczasem nasze dusze (czy co tam) mają być wieczne. To gdzie były przedtem?

Kumpla chyba trafiłby szlag, gdyby dowiedział się, że Ci o tym piszę, bo z nim o tym nie rozmawiam.

Jeśli mam być całkiem szczery, mam ochotę zmiąć tę kartkę i zacząć pisać od nowa.

A jednak tego nie zrobię. Prawda jest taka, że bezpieczniej jest pisać do osoby zupełnie nam nieznannej. Mógłbym włączyć komputer, wyszukać nazwisko Twojej mamy i pewnie znalazłbym coś o Tobie, ale na razie nie chcę tego robić.

Cztery lata temu umarła moja siostra. Miała dziesięć lat.

Kiedy ludzie dowiadują się, że odeszła w tak młodym wieku, zawsze im się wydaje, że ostatnie dni jej życia przeżyliśmy w otoczeniu onkologów i pielęgniarek. Nic bardziej mylnego. Nawet nie wiedzieliśmy, że to jej ostatnie dni. Była okazem zdrowia.

To nie rak ją zabił, tylko mój ojciec.

Mogłem go powstrzymać, ale nie zrobiłem tego.

Dlatego, gdy piszesz, że czujesz się jak tamten fotograf, który nie był w stanie nic zrobić, tylko obserwował, doskonale wiem, co masz na myśli.

Jest niedzielne popołudnie i od dwóch godzin wygrzewam się w promieniach słońca. W niedziele na cmentarzu zawsze panuje duży ruch, przez całe popołudnie kręcą się tu krewni zmarłych.

Przeczytałam ten list siedemnaście razy.

Czytam go ponownie.

Stracił siostrę. Wracam myślami do mojego listu, w którym umieścił dopisek „ja też”.

A więc zastanawiał się nad tym, czy mnie nie odnaleźć. Biorąc pod uwagę,

że bez przerwy sterczę przy tym grobie, żeby zobaczyć, czy przyjdzie, nie mogę go o to winić. Jednak trop z moją matką prowadzi donikąd. Może używać takich przeglądarek, jakich tylko chce. I tak niczego się o mnie nie dowie. Moja mama stała się znaną fotografką przed wyjściem za mąż, dlatego po ślubie nie zmieniła nazwiska. Zoe Thorne nie doprowadzi nikogo do Juliet Young. Moje nazwisko nie pojawiło się nawet w nekrologu.

Zoe opuściła męża, Charlesa, i córkę, Juliet.

„Opuściła”. Ten facet ma rację. Słowa, których używamy w związku z czyjąś śmiercią, są dość dziwne. Zupełnie jakbyśmy coś ukrywali.

Myślę, że nekrologu nie czytałoby się zbyt dobrze, gdyby wyglądał następująco:

Zoe zginęła w drodze z lotniska. Wracała do domu po dziewięciu miesiącach pracy w rejonach ogarniętych wojną. Jej mężowi Charlesowi i córce Juliet pozostał tort, który zamówili na jej cześć. Leżał w lodówce przez miesiąc, zanim byli w stanie go wyrzucić.

Więc może rzeczywiście coś ukrywamy.

Rozumiem, dlaczego uważa, że naszego cierpienia nie da się porównać. Ja jestem jedynaczką, więc nie rozumiem, jak to jest stracić siostrę. Wydaje się, że od śmierci mamy ja i tata krążymy po orbitach dwóch różnych planet żalu, spotykając się tylko wtedy, gdy to konieczne. Mój tata z pewnością nie jest niebezpieczny. W tej chwili jest ledwie świadomy czegokolwiek.

To nie rak ją zabił, tylko mój ojciec.

Cztery lata temu. Próbuję przypomnieć sobie, czy w wiadomościach pojawiły się jakieś informacje o ojcu, który zabił córkę. Cztery lata temu byłam trzynastolatką. Ta historia z pewnością nie należała do tych, którymi tata dzielił się ze mną przy stole, a mama stanowiła lepsze źródło wiadomości ze świata niż lokalnych – pod warunkiem, że w ogóle była w domu. Mogła opowiadać o działaniach wojennych na całym świecie, ale o zabójstwie, do którego doszło tutaj? Nie ma mowy. To leżało poza obszarem jej zainteresowań.

Zaraz...

Cztery lata temu jego siostra miała dziesięć lat. To znaczy, że teraz miałyby czternaście.

Ciekawe, czy Gość od Listu był starszym, czy młodszym bratem? Czy to możliwe, że koresponduję z dwunastolatkiem? Albo dwudziestokilkulatkiem?

Jego listy są zbyt dojrzałe, aby ich autorem był dwunastolatek. Píše na kartkach z zeszytu, podobnie jak ja. To wskazywałoby na liceum albo college.

Píše ołówkiem, co kojarzy mi się bardziej z liceum. Chociaż nie jestem pewna.

Jakieś pięć metrów ode mnie staruszek kładzie u stóp nagrobka róże. Promienie słońca odbijają się od plastiku.

Strata pieniędzy, co wtorek pracownicy koszą trawę. Jestem pewna, że wyrzucają wszystkie śmieci. To dlatego zostawiam tutaj tylko listy.

Wyrzucają wszystkie śmieci.

Listy.

Jak się nazywał ten facet z dmuchawą do liści? Melendez?

Nagle czuję się obnażona, chociaż jest niedzielne popołudnie, a w niedziele nigdy nie kosi się tu trawników.

Fuj! On ma jakąś czterdziestkę.

To nie może być on. Prawda? Nie mam wrażenia, że pisze do mnie ktoś, kto jest ode mnie ponad dwa razy starszy. Poza tym tak duża różnica wieku między rodzeństwem byłaby cokolwiek niezwykła. Nie byłaby niemożliwa, ale naprawdę rzadka.

Staruszek od róz odchodzi. Musiał mnie widzieć, ale ani razu tak naprawdę na mnie nie spojrzął. Ja na niego zresztą również. Żałoba nas łączy, a zarazem rozdziela.

Cztery lata temu umarła moja siostra.

Kretynka ze mnie. Gość od Listu to pewnie odwiedzający. Jego siostra musi być pochowana gdzieś w pobliżu. Jak inaczej znalazłby mój list?

Zaczynam iść wzdłuż rzędu grobów, przyglądając się tym nagrobkom, które są już nieco podniszczone. Kilka razy udaje mi się trafić z rokiem śmierci, ale nie zgadza się wiek lub płeć. Trawa chrzęści pod moimi stopami. W końcu dochodzę do ogrodzenia. Jest już późne popołudnie i wszyscy wrócili do domów na rodzinną kolację. Jestem sama i zdążyłam odejść o jakieś trzydzieści metrów od grobu mamy.

Z tej odległości przypadkowy odwiedzający z pewnością nie wypatrzyłby listu.

Hm...

Wibruje moja komórka. Wyjmuję ją z kieszeni spodni, spodziewając się esemesa od Rowan.

Tymczasem to wiadomość od taty. Przesłał mi jakieś zdjęcie.

Marszczę brwi. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mi coś przesyłał. A na dodatek zdjęcie? Przesuwam palcami po wyświetlaczu, żeby odblokować telefon.

To fotografia kuchennego stołu. Początkowo nie widzę, co na nim leży. Potem robię zbliżenie i serce zaczyna mi mocniej bić.

To sprzęt fotograficzny mamy. Cały komplet.

Ojciec równie dobrze mógłby wykopać z grobu jej zwłoki i położyć na tym stole szkielet.

Potrafię nazwać każdą część. Gdyby ktoś pokazał mi jedno z jej zdjęć, prawdopodobnie umiałabym określić, którym aparatem je zrobiła. Przez oparcie

krzesła są przewieszane jej torby, prawie czuję zapach skóry wymieszanej z krwią, potem i łzami. Za każdym razem, gdy wracała do domu, pomagałam się jej rozpakować. Ciężar aparatów i zapach toreb wryły mi się w pamięć.

Za każdym razem z wyjątkiem ostatniego.

Od jej śmierci nie dotykałam tych toreb. Nie mogłam.

To przecież jej rzeczy.

Jej rzeczy!

Zawsze rozpakowywałyśmy je razem. Dzieliła się ze mną opowieściami z podróży i oglądałyśmy babskie filmy długo po tym, jak tata poszedł spać. W zamrażarce wciąż tkwi nietknięty pojemnik lodów Ben & Jerry's Cherry Garcia, w tej chwili niemal nierozpoznawalny pod pokrywą lodu. Kupiłam je, byśmy razem je zjadły. Nigdy więcej nie tknęłam lodów o tym smaku.

Jego nigdy nie obchodziły jej opowieści. Nigdy!

A teraz *dotyka jej rzeczy!*

Palce mi się trzęsą i są śliskie od potu. Telefon o mało nie wypada mi z ręki.

Pod zdjęciem znajduje się tekst.

CY: Ian zaproponował, że je kupi. Wpadnie, żeby się im przyjrzeć i złożyć ofertę. Czy chciałabyś coś z tego zatrzymać?

Co?!

Chyba mam atak paniki. Oddycham chrapliwie.

Wybieram numer taty i przykładam komórkę do ucha.

– Co ty wyprawiasz? – pytam. Mam ochotę na niego nawrzeszczyć, ale głos odmawia mi posłuszeństwa, jest piskliwy i płaczący. – Przestań! Odłóż to na miejsce!

– Juliet? Czy ty...

– Jak mogłeś? – Teraz już płaczę. – Nie możesz tego zrobić. Nie możesz. Rozumiesz?

– Juliet – przerywa mi głosem pełnym bólu. To pierwszy wyraz uczuć od śmierci mamy. – Juliet. Proszę. Uspokój się. Ja nie...

– To są jej rzeczy! – Klękam na ziemi i przyciskam czoło do sztachet ogrodzenia. – Nigdy... To jej...

– Juliet – odpowiada ochryplym głosem. – Nie zrobię tego. Nie miałem pojęcia...

On mnie dobija. Ból rozrywa mnie na kawałeczki. Ledwo mogę utrzymać telefon.

Nienawidzę go. Nienawidzę go za to.

Nienawidzę go.

Nienawidzęgonienawidzęgonienawidzęgo.

„Uspokój się, Juliet”.

Zaczyna mi się kręcić w głowie, wszystko się zamazuje i nagle

uświadamiam sobie, że leżę na trawie, a z telefonu dobiega krzyk taty.

Przykładam komórkę do ucha. Przed oczami latają mi mroczki.

– Juliet! – krzyczy. – Juliet, co się dzieje? Mam wezwać karetkę?

– Jestem – odpowiadam z płaczem. – Nie rób tego, proszę.

– Nie zrobię – obiecuje szeptem. – Nic ci nie jest? Nie zrobię tego.

Słońce dalej zdrowo przygrzewa, osuszając moją twarz z łez.

– Dobrze.

Powinnam go przeprosić, ale nie mogę się na to zdobyć. To tak, jakby się przeproszało kogoś za to, że wpadło się w szal po tym, jak ten ktoś wbił ci nóż w pierś. Wciąż z trudem oddycham.

– Mam po ciebie przyjechać? – pyta.

– Nie.

– Juliet...

– Nie.

Nie mogę jeszcze wrócić. Nie mogę pojechać do domu i zobaczyć na stole wszystkich jej rzeczy.

– Odłóż je na miejsce – mówię.

Waha się przez chwilę.

– Może powinniśmy porozmawiać...

Chce mi się wymiotować.

– Odłóż je na miejsce!

– Dobrze, odłożę. – Znów się waha. – Kiedy wrócisz do domu?

Nie zadawał mi tego pytania od jej śmierci. Od tamtej pory to pierwszy dowód na to, że w ogóle zdaje sobie sprawę z mojego istnienia.

Pewnie powinnam dziękować losowi, że w ogóle zawracał sobie głowę pytaniem, czy chcę zostawić sobie jakieś jej rzeczy.

Pewnie strasznie żałuje, że wysłał mi tę wiadomość.

– Kiedy będę na to gotowa – odpowiadam, po czym się rozłączam.

Rozdział siódmy

Jeśli chcesz, możesz bez trudu znaleźć moją matkę. Kiedy wpiszesz do wyszukiwarki frazę „Syryjskie zdjęcie Zoe Thorne”, zobaczysz jedną z jej najśłynniejszych fotografii. Przedstawia chłopca i dziewczynkę na huśtawkach. Za nimi widać zbombardowany budynek i dwóch mężczyzn z karabinami. Wszyscy są w brudnych ubraniach, pokryci potem i pyłem. Mężczyźni sprawiają wrażenie wyczerpanych i wystraszonych. Oprócz huśtawek nie zostało tu nic więcej.

Nigdy nie mogłam ustalić, czy to zdjęcie przygnębia, czy daje nadzieję.

Może jedno i drugie?

Po śmierci mamy jej sprzęt fotograficzny został upchnięty w kącie piwnicy. Nikt go nie dotykał – aż do dzisiaj. Tego popołudnia mój ojciec postanowił go sprzedać bylemu wydawcy mamy.

Niezbyt dobrze to zniosłam.

To mnóstwo sprzętu i kosztuje majątek. Tysiące dolarów. Prawdopodobnie nawet dziesiątki tysięcy. Nie jesteśmy bogaci, ale też trudno nas uznać za biedaków. Tata powiedział, że nie chodziło mu o pieniądze. Miałam ochotę mu przyłożyć. Jeśli nie chodziło mu o pieniądze, to o co? Dlaczego postanowił się pozbyć najcenniejszych pamiątek po niej? To jednak cały on. Kiedy go zapytałam, czy byłby taki wyrywny do sprzedaży jej obrączki ślubnej, odparł, że została z nią pochowana. A potem zaczął płakać.

Poczułam się naprawdę kijowo okropnie. Wciąż tak się czuję.

Śmieszne, że skreśliłam to słowo. Siła przyzwyczajenia. Mama nie tolerowała przekleństw. Mówiła, że nie po to wydała tyle pieniędzy na nauczanie się, jak najskuteczniej posługiwać się słowami i obrazami, żeby teraz używać brzydkich wyrazów.

Dowiedziałam się, że tata chce wyrzucić sprzęt mamy, tylko dlatego, że zapytał mnie, czy chcę coś zachować. Nie dotykałam jej aparatów od dnia jej śmierci. W tym roku miałam chodzić na zajęcia z fotografii, ale ostatecznie zrezygnowałam. Nauczyciel co najmniej sześć razy powtarzał mi, że w każdej chwili mogę wrócić, jeśli tylko zmienię zdanie, ale szanse na to są mniej więcej takie jak na to, że mama wstanie z grobu. Nie mogę się zmusić do uniesienia aparatu bez

myślenia o niej. W ogóle nie mam ochoty robić zdjęć.

Nie. To nieprawda.

W zeszłym tygodniu widziałam kogoś, kto miał tyle emocji w spojrzeniu, że pożałowałam, że nie mam ze sobą aparatu. Ledwo go znam i widziałam go zaledwie przez chwilę, ale tak jakby coś przeskoczyło mi w głowie. Mama mawiała, że zdjęcie jest do niczego, jeśli nie wywołuje żadnych reakcji, że uchwycenie uczuć wymaga talentu. Dopiero w tamtej chwili w pełni zrozumiałam jej słowa.

Tyle że nie miałam aparatu, a poza tym nie da rady zrobić zdjęcia przypadkowemu nieznanemu bez wywołania lawiny pytań.

Jeśli będziesz mógł, zerknij na to jej syryjskie zdjęcie. Ciekawa jestem Twojego zdania.

Moja mama była tam w chwili wybuchu bomby. Miała szczęście, że wyszła z tego cała.

Wiem o tym, bo tata ciągle jej to wypominał. Zwykle nieco zirytowanym głosem. „Masz szczęście, że jesteś z nami, Zo. Ale pewnego dnia szczęście może się od ciebie odwrócić. Naprawdę nie można robić ważnych zdjęć w Waszyngtonie albo w Baltimore?”

Śmiała się i odpowiadała, że jej szczęście polega na tym, że została fotografką.

Jednak tata miał rację. Przekroczyła swój limit szczęścia. Zginęła w wypadku samochodowym w drodze z lotniska. Sprawca uciekł.

Chciała mi zrobić niespodziankę, udało się jej złapać wcześniejszy samolot.

Czasami mam wrażenie, że los spiskuje przeciwko nam. A może raczej spiskuje z nami?

Chyba wiesz, o czym mówię. Czy nie masz podobnych odczuć, kiedy myślisz o swojej siostrze?

Nie ma Melonheada. Siedzę pod drzwiami szopy już pół godziny i zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle się dziś pokaże. Mógłbym zacząć bez niego, ale nie

mam klucza.

Wyjmuję komórkę i szukam zdjęcia, które opisała Cmentarna Dziewczyna. Przyznaję jej rację: te dzieci mają w sobie iskierkę nadziei. Uśmiechają się od ucha do ucha i prawie widzi się ruchy huśtawki. Z kolei goście z karabinami sprawiają wrażenie całkowicie tej nadziei pozbawionych. Jeden ma ranę na skroni. Zastanawiam się, dlaczego, do licha ciężkiego, ktoś pozwala dzieciom huśtać się po zbombardowaniu miasta. Dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie i tak nie ma ich gdzie ukryć.

– Cześć!

Unoszę wzrok. Przez trawnik przebiega dziewczynka w fioletowej sukience na ramiączkach. Jej czarne włosy połyskują w słońcu. Warkoczyki podskakują z każdym krokiem. Wygląda na podekscytowaną.

– Cześć!

Na czyj widok tak bardzo się cieszy? Oprócz mnie nie ma tu nikogo.

W następnej chwili widzę Melonheada. Idzie za nią bardziej dostojnym krokiem. A więc to jego córka.

Chowam telefon do kieszeni i wstaję. Nie potrafię rozgryźć tego gościa, ale po tym, jak przeczłogał mnie w zeszłym tygodniu, korci mnie, żeby dogadać mu z powodu spóźnienia.

Nagle dziewczynka chwyta mnie za nogi. Zaskoczony, cofam się o krok. Chichocze, ale mnie nie puszcza.

– Cześć! – mówi jeszcze raz i wpija palce w moje łydki.

Nie ma mowy, żeby mnie puściła. Uśmiecha się do mnie, szczerząc mleczaki.

– Marisol! – Melonhead podbiega do małej, stanowczo, ale delikatnie wkłada ręce pod jej pachy, podnosi i zarzuca sobie na ramię.

Córka zanosi się śmiechem.

– Przestań, *papi*!

– Przepraszam, Murph. – Mężczyzna wyjmuje z kieszeni pęk kluczy, po czym dodaje zmęczonym głosem: – Ciągle wszystkich ściska.

Kojarzy mi się to z beztruską niewinnością dzieci ze zbombardowanej wioski. Ta mała mnie nie zna. Nie widzi tego, co dostrzegają inni.

Mam ochotę ją przed sobą ostrzec.

Zresztą Melonhead naprawdę szybko ją ode mnie oderwał, zupełnie jakbym mógł zrobić jej coś złego.

Stoję nieruchomo z gniewną miną, kiedy woła do mnie z szopy. Uniósł drzwi garażowe, dzięki czemu możemy wyprowadzić kosiarki.

– Gotowy do roboty, młody?

– Jestem gotowy już od pół godziny.

Spodziewam się, że się odgryzie, ale nie robi tego. Rzuca mi rękawice.

– Wiem, przepraszam. Carmen wypadło coś w pracy, więc musiałem odebrać Marisol z przedszkola. Myślałem, że zdążę.

Nie spodziewałem się przeprosin. Sprawiają one, że nieco łagodniej. Wkładam rękawice i biorę worek na śmieci, żeby pozbierać drobiazgi pozostawione przez odwiedzających.

Melonhead siada na kosiarce i woła do córki:

– Chcesz się przejechać, *cotorra*?

– Tak! – Natychmiast odrywa się od zakurzonej ściany, na której zaczęła malować kwiaty, potwory czy co tam miała na myśli. Z niewielką pomocą ojca wspina się na kosiarkę, siada przed nim i ściska rączkami kierownicę.

Przez chwilę jestem znów dzieckiem i patrzę, jak Kerry wsiada do półciężarówki, żeby „pomóc tacie kierować”. Kłóciliśmy się o to, czyja kolej na zajęcie miejsca przy ojcu.

Odwracam wzrok i siadam na swojej kosiarce. Pisanie listów to chyba jednak zły pomysł. Już i tak za bardzo się uzewnętrzniłem. Za każdym razem, kiedy przykładam ołówek do kartki, wracają wspomnienia, które chciałbym zostawić za sobą.

Silnik kosiarki Melonheada zaskakuje, jednak po chwili gaśnie. Mężczyzna mruczy coś po hiszpańsku i próbuje ponownie. Tym razem silnik się krztusi, ale ostatecznie udaje się go odpalić.

Tyle że znów gaśnie.

Melonhead próbuje trzeci raz. I czwarty.

Jest taka definicja obłędu, która mówi, że to powtarzanie wciąż tej samej czynności z oczekiwaniem innego rezultatu.

– Hej! – wołam.

Ignoruje mnie i próbuje kolejny raz. Silnik w ogóle nie zaskakuje. Wyłączam swoją kosiarkę i schodzę z siodełka.

– Hej!

Unosi wzrok i patrzy na mnie z rozdrażnieniem.

– Co?

– To chyba przewód paliwowy.

– Skąd wiesz?

Nie cierpię tego. Nie cierpię, gdy ludzie mają mnie za debila, który ledwo zna się na zegarku.

– Znam ten dźwięk. Kiedy ostatni raz sprawdzałeś filtr?

– Nie zajmuję się konserwacją urządzeń. Od tego są chłopaki z serwisu.

– W takim razie wasz serwis jest do dupy.

– Was selwis jest do dupy – powtarza Marisol i zaczyna podskakiwać na siedzeniu. – Dalej, *papi*. Włącz traktorek.

– Wielkie dzięki, młody. – Melonhead wygląda na niepokieszonego. Unosi

małą i sadza ją na ziemi. – Myślałem, że się spóźniłem tylko pół godziny. Ale wygląda na to, że będę musiał przyjść do roboty w sobotę.

– Masz jakieś narzędzia? Mogę to naprawić.

– Lepiej nie, bo jeszcze bardziej zepsujesz.

– Dobra, jak sobie chcesz.

Nie, to nie, w każdym razie proponowałem. Siadam z powrotem na swojej kosiarce i włączam silnik. Ruszam przed siebie, kiedy nagle słyszę, że woła za mną:

– Dobra! Spróbuj coś z tym zrobić.

Jego kosiarka to rżech. Dostanie się do silnika zajmuje mi dodatkową minutę, bo zawiasy są zardzewiałe. Nie wiem, za co serwisanci biorą pieniądze, bo na pewno nie za konserwację tej maszyny.

Przy okazji sprawdzam miskę olejową. Olej okazuje się czarny i gęsty jak zupa. Mówię o tym Melonheadowi.

– Skąd tak dobrze znasz się na silnikach? – pyta.

Jego córka kuca między nami, jakby była tu najważniejszą osobą. Patrzy to na ojca, to na mnie i powtarza niemal każde moje słowo.

– Nie twierdzą, że jestem specjalistą. To elementarna wiedza. – Ocieram pot z czoła. – Silnik to silnik.

– Znasz się też na samochodach?

Wzruszam ramionami i wlepiam wzrok w silnik. Przyzwyczyłem się do tego, że Melonhead bez przerwy gada, jednak to, że rozmawia *ze mną*, jest dla mnie czymś nowym.

– Bardziej na tym, co w środku, niż na tym, co na zewnątrz.

– Myślisz, że uda ci się to naprawić?

– Może... Trzeba wymienić filtr paliwa, ale pewnie uda mi się go wyczyścić.

– Wyjmuję go i przedmuchuję.

Marisol pochyla się i próbuje zrobić to samo. Wyciągam do niej rękę z filtrem.

Melonhead w milczeniu to obserwuje. Cofam dłoń, przypominając sobie, jak szybko zabrał ode mnie dziewczynkę, kiedy złapała mnie za nogi.

– To miło, że pozwalasz jej pomóc – mówi.

Czuję, że się czerwienię, i przenoszę wzrok z powrotem na silnik. Rev radzi sobie o niebo lepiej z dziećmi. Ja nie mam wprawy.

– Spokojnie, nie zepsuje tego.

– Nie zepsuję! – poświadcza mała.

Uśmiecham się do niej.

– Poza tym wygląda na to, że zapamiętuje wszystko, żeby później powtórzyć to sama.

– Moja mała papuga – mówi, ściskając córkę.

Dziewczynka wyrywa się z jego objęć.

– Ja pomagam!

– Pewnie, że tak – odpowiada Melonhead.

Wycieram filtr, po czym znów go przedmuchuję.

– Nie obiecuję, że będzie działał cały wieczór, ale na trochę na pewno wystarczy.

– Kto cię tego nauczył? Ojciec?

– Tak.

– Jest mechanikiem?

– Już nie.

Widzę, że korci go, żeby wypytać mnie o szczegóły. Dziwne, myślałem, że zna moją historię rodzinną. Najwyraźniej jednak sędzia przekazała mu tylko dane dotyczące tego, co zrobiłem ja, a nie mój ojciec.

Po chwili wahania rezygnuje z drażenia tematu.

– Dzięki, Murph – mówi po prostu.

Wkładam filtr z powrotem, po czym patrzę na Melonheada. Próbuję opanować rozdrażnienie, ale trochę go słyszeć w moim głosie.

– Mam na imię Declan.

Niespeszony mężczyzna wyciąga do mnie rękę.

– Miło mi poznać. Frank.

Spoglądam na niego ze zdziwieniem.

– Frank?

Wzrusza ramionami.

– Poczujesz się lepiej, jeśli każę do siebie mówić Francisco?

Odwracam wzrok, niemal zawstydzony. Przecież nie mówiłem na niego Pedro, czy jakoś tak.

Chociaż może byłoby to lepsze niż Melonhead.

Klepie mnie po ramieniu.

– Tata nie nauczył cię podawania ręki?

Ściągam rękawicę i potrząsam jego dłonią.

– Niezgorzszy z ciebie chłopak, Declan – mówi.

Prycham.

– Jeszcze mnie nie znasz.

Kiedy wchodzę do domu, ojczym siedzi w salonie. Zwykle sprawdzam, zanim wejść, ale w sumie wszystko, czego chcę, to coś zimnego do picia, prysznic i możliwość schronienia się w swoim pokoju, gdzie nikt mnie nie będzie niepokoił. W telewizji leci jakiś mecz, głos jest odkręcony na cały regulator. Alan i mama kupili sobie w prezencie ślubnym ogromny telewizor. Mama nie znosi hałasu, więc

nie dziwię się, że nie siedzi obok męża. Jednak jej samochód stoi na podjeździe, więc musi być w domu.

Mam ochotę powiedzieć Alanowi, żeby przyciszył ten cholerny dźwięk, bo na pewno przeszkadza mamie.

Nie robię tego. Nawet na niego nie patrzę.

On jednak patrzy na mnie, jakby czekał na to, że wybuchnę. Napięcie w pokoju jest wyczuwalne.

– Gdzie się szlajałeś? – pyta.

Co za duppek. Doskonale wie, gdzie byłem. W milczeniu mijam kanapę, kierując się do kuchni.

– Mówię do ciebie! – przekrzykuje telewizor. – Nie ignoruj mnie.

Ja jednak dalej go ignoruję.

Spodziewam się, że pójdzie za mną, ale on nie rusza się z miejsca.

Alan jest agentem ubezpieczeniowym. Widziałem go kiedyś w akcji: dosłownie ociekał wazeliną. Po pracy zgrywa twardziela i zapalonego kibica. To jakiś cud, że nie siedzi przed telewizorem z wielką dłonią z pianki i proporczykiem ukochanej drużyny.

Nie mam pojęcia, co mama w nim widzi.

Nie, nieprawda. Doskonale wiem, co w nim widzi. Alan to złotousty bajerant, komplementarz, który odkrył, jak się dostać do jej majtek.

A wiecie, co ja w nim widzę? Jeszcze jednego dupka, który ciągnie ją za sobą w dół z taką prędkością, że upadek z klifu byłby mniej bolesny.

Nie żeby kogoś tutaj interesowała moja opinia na ten temat.

W lodówce dostrzegam zimną lazanię. Nabieram sobie trochę na talerz, nie zwracając sobie głowy podgrzewaniem, po czym biorę colę i widelec. Mam już iść do siebie, gdy Alan próbuje jeszcze raz.

Patrzy w kierunku kuchni i przeszywa mnie wściekłym wzrokiem. Telewizor buczy za nim.

– Pytałem, gdzie się szlajałeś.

Bez słowa ruszam przed siebie.

Wstaje i zagraża mi drogę.

Nie jest jakoś wyjątkowo duży, ale trudno go też nazwać drobnym. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdyby mi przywalił. Mnie przed przywaleniem jemu powstrzymuje jedynie myśl, że zmartwiłbym tym mamę.

Ciekawe, czy gdyby on to zrobił, też by się zmartwiła.

Patrzę mu w oczy. Jesteśmy tego samego wzrostu. Większość ludzi schodzi mi z drogi, jednak nie Alan. Wie, gdzie byłem i dlaczego, ale nie przepuści okazji, żeby mnie upokorzyć i zmusić do przyznania tego głośno.

– Miałem prace społeczne.

– Kończą się o ósmej. Jest po dziewiątej.

- Sześć się spóźnił. Mieliśmy problem z kosiarką.
Talerz, który trzymam w ręce, zaczyna mi ciążyć.
- Masz obowiązek wracać do domu zaraz po zakończeniu roboty.
- Tak właśnie zrobiłem.
- Nie kłam.

Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie cisnąć talerzem o podłogę.

- Nie kłamię.
- Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie mógłbyś jeździć.
Zaciskam zęby. Mijam go, zanim udaje mu się wciągnąć mnie w kłótnię.
- W takim razie to chyba dobrze, że to nie zależało od ciebie, nie?

W sumie tylko dzięki temu, że miałem dobrego i drogiego adwokata, nie straciłem prawa jazdy.

Alan nie zatrzymuje mnie, milczy, kiedy wchodzę po schodach. Dopiero gdy zamykam za sobą drzwi swojego pokoju, słyszę jego głos, gorzki i zrezygnowany:

- Skończysz tak jak twój ojciec.

Telewizor buczy na tyle głośno, że nie słyszałem go wyraźnie, ale z pewnością to powiedział.

Odstawiam butelkę coli na komodę i otwieram drzwi pokoju tak gwałtownie, że uderzają o ścianę. Dyszę ciężko i zmuszam się do tego, by zatrzymać się u szczytu schodów.

- Coś ty powiedział?! – krzyczę.

Tym razem to on ignoruje mnie.

Walę pięścią w ścianę tak mocno, że trzęsą się wiszące na niej zdjęcia.

- Coś ty, kurde, do mnie powiedział?

– Słyszałeś.

Nienawidzę go.

Nienawidzę.

Nienawidzę tego, że jest tutaj. Nienawidzę, że nie jest moim ojcem. Nienawidzę tego, że uszczęśliwia moją matkę. Nienawidzę tego, że uszczęśliwia ją nie tak bardzo, jak powinien.

Nienawidzę wszystkiego, co się z nim wiąże.

Drzwi na końcu korytarza otwierają się i staje w nich mama. Ciemne włosy ma spięte w koński ogon i trzyma się framugi, jakby chciała się schować z powrotem w pokoju, jeśli sprawy zajdą za daleko.

To nieco łagodzi mój gniew. Wbijam paznokcie lewej ręki we wnętrze dłoni, podczas gdy w drżącej prawej wciąż ściskam talerz lazanii. Garbię się i wodzę dookoła wściekłym wzrokiem.

Powinienem przeprosić, ale nie mogę. To dla mnie zbyt wielkie wyzwanie. Jestem winien jej przeprosiny za o wiele gorsze rzeczy. Autorka listów z komentarza miała rację: wydaje się, że los spiskuje przeciwko nam. Poczucie winy jest tak

przemóżne, że nie mogę się ruszyć.

Mama również się nie rusza.

Zastanawiam się, czy słyszała słowa Alana. Zastanawiam się, czy się z nim zgadza.

Odwracam się od niej i wchodzę do pokoju. Nie trzaskam drzwiami. Nagła cisza jest ogłuszająca. Nie słyszę nawet hałasu telewizora na dole.

Nie wchodzi do mojego pokoju. Nie wchodzi tu od lat.

Może...

Nie, nic się nie zmieni.

Siadam w kącie łóżka. Przeszła mi ochota na lazanie. W głowie wciąż rozbrzmiewa mi głos Alana.

„Skończysz tak jak twój ojciec”.

Ma rację. Pewnie tak właśnie będzie.

Rozdział ósmy

Mój ojciec siedzi w więzieniu.

Ani razu go nie odwiedziłem. Mama chyba też nie, choć o tym nie rozmawiamy. To rodzinna tajemnica, która nie jest prawdziwą tajemnicą.

Prawdziwą tajemnicą jest to, że czasami mam ochotę się z nim zobaczyć. Dziwnie się czuję, przyznając się do tego. Nie mówiłem o tym nawet swojemu najlepszemu kumpłowi. Łatwo zniechęcić mojego ojca, jednak ja tego nie umiem.

Tęsknię za nim. Nie tak samo, jak tęsknię za Kerry. Nigdy tak samo. Kłóciliśmy się jak diabli – w końcu była młodszą siostrą – ale kiedy trzeba było, staliśmy za sobą murem. Niektórzy mówią, że śmierć krewnego jest jak utrata kończyny. Dla mnie śmierć Kerry była jak utrata połowy mnie. Tęsknię za nią, ale wiem, że nigdy nie wróci. To po prostu niemożliwe.

Za nim również tęsknię, jednak inaczej.

A poza tym więzienie to nie wieczność. W każdym razie nie dla niego.

Beznadzieja, co? Chyba jestem niezłe popaprany, skoro tęsknię za kimś, kto zabił mi siostrę.

O mało nie użyłem innego słowa niż „popaprany”, ale przypomniałem sobie, co pisałaś o swojej mamie. Mój najlepszy kumpel ma tak samo. Nie cierpi, gdy przeklinam, więc staram się tego przy nim nie robić, choć nie zawsze mi się to udaje.

Mimo wszystko nie zgadzam się z Twoją mamą. Słowa to tylko słowa. Używanie „słów na k” nie czyni jeszcze idiotą, podobnie jak skomplikowane słownictwo nie czyni nikogo inteligentnym.

Zarówno jedne, jak i drugie mogą jednak z łatwością sprawić, że ktoś wyjdzie na prawdziwego palanta.

Mam wrażenie, że powinienem przekreślić słowo „palant”. Twoja mama chyba nie byłaby mną zachwycona.

Znalazłem to zdjęcie. Nie wydaje mi się przygnębiające. Ale też nie jest pełne nadziei. To po prostu życie. Kiedy wszystko wokół się wali, można iść tylko do przodu. Dzieci na huśtawkach to wiedzą. Goście z karabinami zresztą też.

Ile ty właściwie masz lat? Wspominałaś o zajęciach z fotografii, więc zgaduję, że chodzisz do liceum. Czyżby do Hamiltona?

A może lepiej, żebyśmy nic o sobie nie wiedzieli?

Twój ruch.

– Potrzebuję twojej rady.

Rowan unosi rękę i dmucha na paznokcie. Maluje je tak jasnoróżowym lakierem, że wygląda on prawie na biały. Ten kolor paznokci w połączeniu z jej jasnymi włosami i bladą cerą czyni ją jeszcze bardziej eteryczną. Meble w jej

sypialni są białe, ze złotymi wykończeniami, a dywan lawendowy. Do kompletu brakuje jej tylko skrzydełek.

– Ukrywasz się – mówi.

Prostuję się. To stwierdzenie całkowicie mnie zaskakuje. Nie ma nic wspólnego z tym, o co chciałam zapytać.

Z drugiej strony może trafiła w sedno?

– Ukrywam się? – pytam zdziwiona.

– Przed ojcem.

Krzywię się.

– Nie chcę o nim gadać.

Zaczyna nakładać drugą warstwę lakieru.

– On naprawdę nie chciał cię zranić.

Nie odpowiadam, więc unosi wzrok.

– Sama mówiłaś, że to ten wydawca wyszedł z propozycją kupna, więc to nie tak, że twój tata wygrzebał te rzeczy z piwnicy i wystawił na aukcji.

Ma rację. Wiem, że ma rację. Wpatruję się w swoje paznokcie, krótkie i niepomalowane.

– Mam wrażenie, że chce ją w ten sposób ukarać – mówię cicho.

– Być może. – Waha się przez chwilę. – Gniew to jeden z etapów żałoby.

Ta rozmowa wytrąca mnie z równowagi. Nie chcę rozmawiać o tacie.

O mamie zresztą również nie.

– Tego właśnie uczą was na zajęciach z psychologii? – pytam.

Opuszcza pomalowane paznokcie i odwraca krzesło, żeby usiąść twarzą do mnie.

– Wczoraj wieczorem mama zapytała mnie, czy nie powinna zadzwonić do twojego taty.

– Co takiego? – pytam piskliwie. Zerkam na drzwi, gotowa w razie czego je zaryglować. – Dlaczego?

– Dlatego że od czterech dni przesiadujesz tu prawie do północy.

– Dobra, już sobie idę.

– Nie! Przestań, Jules! – Zagradza mi drogę i kładzie ręce na moich ramionach, ostrożnie, żeby nie zmazać lakieru. – Zaczekaj. Dobrze? Mama dodała, że zawsze jesteś tu mile widziana. Zawsze! – Milknie na chwilę. – Martwimy się o ciebie.

Rowan i jej matka mogłyby być siostrami. Poważnie, wszyscy to mówią. Mary Ann miała dwadzieścia dwa lata, kiedy urodziła córkę i zaczęła ją samotnie wychowywać. Można by pomyśleć, że Rowan wyrośnie na zbuntowaną nastolatkę, farbującą włosy na czarno i jedzącą snickersy na obiad, ale tak się nie stało. Mają ze sobą wspaniały kontakt i mówią sobie wszystko.

Nie dziwi mnie, że tematem ich rozmów jestem również ja.

Dziwi mnie raczej to, że tak bardzo zazdroścę Rowan.

– Doskonale wiem, że nie chciał mnie zranić. – Przeszywam ją gniewnym spojrzeniem, uświadamiając sobie, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. – Na tym właśnie polega problem. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że może mnie zranić.

Waha się przez chwilę.

– Powiedz to – mówię stanowczym głosem. – Cokolwiek chcesz powiedzieć, powiedz to, Ro.

– Może powinnaś pozwolić mojej mamie na wykonanie tego telefonu.

– Co? Dlaczego?

– Może twój tata potrzebuje trochę... wsparcia. Dzięki temu będzie mógł pomóc tobie.

– Jasne. – Nawet nie staram się ukryć pogardy. Ruszam do drzwi.

– Daj spokój – mówi, idąc za mną korytarzem. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Chcę ci pomóc.

– Wiem. Po prostu w tej chwili nie mam na to ochoty.

– Proszę, zaczekaj.

Zatrzymuję się w holu. W jasnym świetle jej włosy mienią się złotem. Moje są ciemne i proste. Zrobiłam sobie lekki makijaż, bo miałam już dość, że wszyscy mówili mi, że wyglądam na przemęczoną.

– Bez przerwy sprawiasz wrażenie wkurzonej – mówi niepewnie cichym głosem.

– Bo jestem wkurzona.

Mówię to, zanim uświadamiam sobie wagę swoich słów. Może moja przyjaciółka ma rację, może to kolejny etap żałoby. W tej chwili czuję się tak, jakby moją jedyną emocją był gniew. Sięga on tak głęboko, że nie ma przed nim ucieczki.

Boję się, że jeśli postoiimy tu trochę dłużej, w końcu będę musiała wybuchnąć.

– Muszę iść – mówię pospiesznie i chwytam za klamkę.

– Jules... – Przerywa i wzdycha ciężko. – Nie chciałam cię zranić.

– Nie zraniłaś.

– O co chciałaś mnie zapytać?

Zamierzałam opowiedzieć jej o listach, ale teraz już wiem, że nie mogę. Nie pojęłaby tego. Gdyby przeczytała naszą wymianę zdań o śmierci, samobójstwie i rozpaczy, opacznie by to zrozumiała.

Opowiedziałyby o tym matce, a ona na sto procent zadzwoniłaby do mojego ojca.

Patrzę na nią.

– O nic. O jakąś głupotę. Do jutra.

Wychodzi za mną z domu, jednak unoszę ręce w proteście.

– Wystarczy, Ro. Wystarczy. Po prostu chcę побыć sama. Trochę sobie pojeżdżę. Nic mi nie będzie.

– Wybierasz się na cmentarz?

Jest późno, dawno po zmroku. Jeśli powiedziałabym jej prawdę, próbowałaby mi to wybić z głowy.

– Nie. Dzisiaj dam sobie spokój. – Zbiegam po schodkach.

Wprawdzie Rowan mnie nie wyrzuciła, ale jej dom nie będzie już moim schronieniem. Nie chcę, żeby jej matka dalej bawiła się w psychoterapeutę.

– To dobranoc! – woła moja przyjaciółka.

– Dobranoc – odpowiadam.

Czuję, że nie jestem wobec niej w porządku, ale nic na to nie poradzę. Nie zmuszę się, by moje uczucia pasowały do podręcznika radzenia sobie ze śmiercią ukochanej osoby.

Zaparkowałam na końcu przecznicy, bo ktoś z sąsiadów wyprawiał przyjęcie urodzinowe. Teraz ulica jest pusta i mój samochód stoi samotnie w cieniu wiązu. Trochę się boję, że Rowan pójdzie za mną, ale na szczęście tak się nie dzieje. Chodnik jest pogrążony w mroku, moje tenisówki stukają o niego przy każdym kroku. Noc wyciągnęła gorąco z powietrza, wiatr rozwiewa mi włosy i chłodzi szyję.

Wciągam w płuca zapach świeżo skoszonej trawy, kory i wilgoci.

Ktoś kaszle w pobliżu. Wystraszona, podskakuję. Rozglądam się dookoła, jednak nie widzę nikogo.

Włosy stają mi dęba i drżącą dłonią sięgam po kluczyki do samochodu.

Z ulgą opadam na fotel. Powietrze we wnętrzu wozu lepi się do mojej skóry, pachnie tu zwietrzałą kawą i rozgrzaną tapicerką. Kiedy przekręcam kluczyk w stacyjce, gniew walczy we mnie z niepokojem.

Silnik nie zaskakuje.

Próbuję jeszcze raz.

Znow nic z tego. Światła zapalają się i po chwili gasną.

Walę pięścią w deskę rozdzielczą.

– Niech to szlag.

Przekleństwo wydaje się przesadnie głośne w niewielkim wnętrzu auta. Krzywię się. Przepraszam, mamó.

Jeśli to ma jakieś znaczenie, chyba zgodzę się z Gościem od Listów. Słowa to tylko słowa.

Mam wyrzuty sumienia, wydaje mi się, że zbrukałam pamięć matki.

Nagle ktoś puka w boczną szybę. O mało nie dostaję ataku serca. Widzę gościa z twarzą częściowo zasłoniętą kapturem. Jestem w stanie dostrzec zaledwie zarys szczęki i kosmyk długich włosów.

– Idź sobie! – Bez zastanowienia sięgam po telefon.

Już zaczynam wybierać numer policji, gdy unosi ręce i odsuwa się o krok. Szkła jego okularów odbijają światło. Jest wysoki i barczysty. Przychodzi mi do głowy określenie „wielki jak szafa”. Pewnie ledwo by się zmieścił do mojej hondy civic.

Znów kaszle.

– Przepraszam – mówi nieco głośniejszym głosem, niż to konieczne, bo chce, żebym go usłyszała przez szybę. – Chciałem tylko zapytać, czy mogę jakoś pomóc.

– Nie trzeba! – Przypomina mi się jeden z tych głupich łańcuszków mailowych ostrzegający dziewczyny przed gangami, które psują samochody, żeby je w nich uwięzić. Znów przekręcam kluczyk. I znowu nic.

– Czy ty jesteś może Juliet Young?

Zamieram na chwilę, po czym patrzę na niego. To dobrze czy źle, że zna moje nazwisko?

Ściąga kaptur.

– W zeszłym roku chodziliśmy razem na angielski.

Przez chwilę nie mogę go sobie przypomnieć. Potem mój mózg zaczyna pracować, jak należy. To ten dziwak, który siedzi zawsze sam z tyłu klasy i do nikogo się nie odzywa. Ma na imię Red albo Razz czy jakoś tak. Ciągłe chodzi w bluzach z kapturem, nawet w upał.

Wygląda na seryjnego mordercę.

– Potrzebujesz kabli? – pyta.

Gapię się na niego szeroko otwartymi oczami.

– Czy czego potrzebuję?

– Kabli do odpalenia samochodu – precyzuje. – Padł ci akumulator, tak?

– Nie wiem. Poradzę sobie.

Mogę wrócić do Rowan, ale nie mam pewności, czy chcę wysiadać z wozu. Gość nie zrobił nic złego, ale oprócz niego nie ma tu żywej duszy, a ulica jest pogrążona w mroku. To akurat ta scena filmu, gdy krzyczysz do dziewczyny, żeby została w samochodzie.

A potem następuje chwila olśnienia.

– Zadzwoń do taty, żeby po mnie przyjechał – mówię.

– Mój kumpel ma kable. Mieszka tam. – Pokazuje na dom w pobliżu, po czym wyjmując z kieszeni komórkę i zaczyna pisać esemesa. Po chwili zerka na mnie.

– Podnieś maskę.

Jestem już na takim etapie, że nie mam pewności, czy to się dzieje naprawdę. Patrzę na swoją komórkę. Tak naprawdę wcale nie chcę zadzwonić do taty. Od zdarzenia z aparatami mamy nie odzywam się do niego.

Zamiast tego piszę wiadomość do Rowan.

JY: Samochód nie chce mi zapalić. Chłopak ze szkoły proponuje, że pomoże

mi go uruchomić. Możesz tu przyjść?

Potem chowam komórkę do kieszeni i ciągnę za dźwignię odblokowującą maskę.

Nie czeka, aż wysiądę z auta. Podnosi maskę i rozgląda się za metalowym wspornikiem. Słyszę, jak umieszcza go na miejscu.

W samochodzie robi się naprawdę duszno. Szkoda, że nie mogę opuścić szyby. Słońce zaszło dawno temu, jednak wciąż jest tak gorąco, że czuję kropelki potu spływające mi po czole.

Rozlega się szcęknięcie metalu. Zastanawiam się, co ten chłopak tam robi. Myślę o tych wszystkich razach, gdy ojciec proponował, że nauczy mnie podstaw konserwacji samochodu. Zawsze odpowiadałam: „Nie teraz”.

Inna sprawa, że umiejętność wymiany oleju i sprawdzania ciśnienia w oponach i tak na niewiele by mi się teraz przydała.

Przez szybę po stronie pasażera widzę Rowan idącą w naszym kierunku. Jej włosy lśnią w świetle księżyca. Uff. Przynajmniej nie będę sama.

Otwieram drzwi. Uderzają o coś. Mocno.

– Au! – rozlega się męski głos.

Unoszę wzrok. Przy drzwiach mojego samochodu, z kablami rozruchowymi w rękach, stoi mój jedyny kolega ze szkoły, który wydaje mi się bardziej przerażający od tej kiepskiej podróbki gota uwijającej się pod maską mojego auta: Declan Murphy.

Wydaje się cieszyć na mój widok, mniej więcej tak, jak cieszy się woźny szkolny po odkryciu zapchanej toalety. Stoi nieruchomo, pozbawiając mnie możliwości wyjścia z wozu.

Powinam go przeprosić, ale do głowy przychodzą mi same złościwości. Czuję już te słowa na języku. Przemądrzałe stwierdzenia, że powinien uważać.

I wtedy mój wzrok pada na kable rozruchowe w jego rękach.

Powinam go przeprosić i mu podziękować.

Kiedy na mnie patrzy, z jego twarzy znika irytacja, tak jak wtedy w szkolnym korytarzu. Na jego czoło pada snop światła, pozostawiając resztę twarzy w cieniu. Coś jak maska superbohatera, tylko na odwrót.

– Padł ci akumulator? – pyta.

Wydaje mi się ogromny. Przetykam ślinę i przypominam sobie tę chwilę w korytarzu w szkole, kiedy ruszył szybko w moim kierunku i myślałam, że mi przyłoży, a on tylko podniósł z podłogi swój plecak.

– Nie wiem.

– A co się dzieje?

– Hm... – Muszę odchrząknąć. – Nic. Nie chce zapalić.

– To nie rozrusznik! – woła chłopak pod maską samochodu.

– Dzięki, Rev. – Declan przewraca oczami, a potem pochyla się do mnie. –

Nauczyłem go trzech rzeczy i teraz udaje specja – mamrocze pod nosem.

Ledwo rozumiem te słowa, ponieważ wypowiadając je, nurkuje do wnętrza wozu. Odsuwam się jak najdalej od niego, ale po chwili orientuję się, że wcale nie chodzi mu o mnie, on po prostu chce przekręcić kluczyk w stacyjce. Spodziewam się, że będzie strasznie śmierdzieć – papierosami, potem i brudnymi ciuchami.

Nic z tych rzeczy. Pachnie świeżo skoszoną trawą, dopiero co wypranym ubraniem i żelam pod prysznic. Kiedy przekręca kluczyk, światła na desce rozdzielczej mrugają. Po chwili się wycofuje.

– Wszystko w porządku?

Rowan stoi na chodniku przy nim, jej blond włosy błyszczą w świetle pobliskiej latarni. Declan odwraca się do niej. Nie wygląda na zaskoczonego.

– Trzeba pomóc jej odpalić. Możesz tu podjechać swoim wozem?

Dziewczyna przenosi wzrok na chłopaka pod maską (jak mu tam... Rev?), a potem na mnie.

– Jasne – odpowiada. – Chcesz iść ze mną, Jules?

Mieszka na końcu ulicy, ale trochę się boję powierzyć im swój samochód, zwłaszcza że Declan mówi:

– Tylko zostaw kluczyki.

Tyle że jeśli nie pójdę, będę skazana na przebywanie w ich towarzystwie.

Biorę torebkę i ruszam za Rowan.

– Wydają się w porządku – szepcze po chwili. – Kiedy się zbliżałam, wydawało mi się, że Declan próbuje coś z tobą wskórać.

Robi mi się gorąco, a w następnej chwili przeszywa mnie dreszcz.

– Nie tknął mnie palcem.

– To dobrze – odpowiada. – Cieszę się, że do mnie zaesemesowałaś.

Ja też. Chyba. Trochę też żałuję, że przyszła akurat w tamtej chwili.

Oglądam się za siebie. Rev wciąż pochyla się nad silnikiem. Declan stoi za nim. Uderza czymś o dłoń, potem podnosi rękę. Na jego twarz pada czerwony blask.

Papieros. Nienawidzę palaczy.

– Znasz tego drugiego? – pytam.

– To Rev Fletcher – mówi. – Mieszka za rogiem. Mama nazywa go wampirem. Rzadko widzujemy go za dnia.

– Wystraszył mnie na śmierć.

– Domyślam się. Tylko ty masz takie szczęście, że dwóch najbardziej aspołecznych typów na świecie odpala ci samochód. – Teraz ona ogląda się za siebie. – Może powinnam poprosić mamę, żeby przyjechała z nami.

Przypominam sobie, jak mówiła mi przedtem, że jej mama chciała zadzwonić do mojego ojca po pomoc, i aż się wzdrygam.

– A co my, sześciolatki?

Kiedy dochodzimy do podjazdu przed jej domem, wyjmuję z kieszeni kluczyki i wciska guzik, żeby odblokować drzwi w samochodzie.

– Nie chcę, żeby mówili o mnie w wieczornych wiadomościach.

Ja też nie. Pewnie mam szczęście, że padł mi akumulator, w innym wypadku Declan byłby już dziesięć kilometrów stąd, dodając tym samym do listy swoich przestępstw kradzież auta. Dobrze, że wzięłam ze sobą torebkę.

Rowan zawraca na podjeździe i podjeżdżamy do mojego samochodu, oświetlając reflektorami Declana i Reva. Wyszłaby z tego świetna fotka, prześwietlona i z ostrym kontrastem.

Gasi silnik i zaczynamy wysiadać.

Declan macha ręką i zaciąga się papierosem.

– Nie wyłączaj silnika! – krzyczy. – Świateł też nie!

Dziesięć sekund później stoimy na chodniku, patrząc na kable łączące pojazdy. Declan siada za kierownicą mojego wozu i bez problemu włącza silnik.

– To już? – pytam.

– To już. – Czekam, aż wysiądzie z auta, on jednak zaciąga się papierosem i zaczyna bawić się przyciskami.

– Co robisz?

Nie patrzy na mnie i nie odpowiada na moje pytanie.

– Gdzie mieszkasz?

– To chyba nie twoja sprawa.

W końcu przyciągam jego uwagę. Wysiada z samochodu i staje przede mną. Wszystko w nim mówi: „Nie zadzieraj ze mną”. Odruchowo robię krok do tyłu.

– Declan! – rozlega się okrzyk po mojej lewej.

Podsakuję wystraszona. Przez ulicę przechodzi łysawy mężczyzna w średnim wieku. Sprawia wrażenie rozwścieczonego.

– Co ty wyprawiasz? Zostaw te dziewczyny w spokoju.

Ton jego głosu sugeruje, że miałam prawo do obaw.

Declan nie odsuwa się ode mnie.

– Samochód nie chciał jej zapalić – tłumaczy poirytowanym głosem. – Tylko pomagałem.

– Jasne, tak to właśnie wygląda.

Declan odwraca się i odpina kable od mojego akumulatora. Stykają się i tryskają z nich iskry.

– Myślisz, że co to, kurde, jest, Alan?

Rev podchodzi do niego.

– Spokojnie, Dec – mówi cicho.

Alan jest odważniejszy niż ja. Ani drgnie.

– Nie możesz wychodzić z domu, kiedy ci się podoba. Masz dozór. Nie rozumiesz, co to znaczy?

Dozór? Declan Murphy ma dozór policyjny?

Wyjmuje kable z akumulatora samochodu Rowan i zamyka jego maskę.

– Nie złamałem warunków dozoru. Pomagałem...

– Wracaj do domu. Nie mieści mi się w głowie, że robisz to swojej matce.

Declan pochmurnieje. Rzuca kable na asfalt i rusza przed siebie.

Rev jednak jest szybki. Staje przed nim i kładzie mu rękę na ramieniu.

– Hej. Lepiej to przemyśl.

Declan nieruchomieje. Piorunuje Alana wzrokiem i zaciska pięści.

Alan również przeszywa go wściekłym spojrzeniem. Zdaje się mówić: „No, dalej, śmieciu”.

Rowan staje przy mnie, oddychając głośno. Udziela mi się jej niepokój. Nie lubi konfliktów, a ten jest gorszy niż zderzenie w korytarzu szkolnym. Nie ma tu nauczyciela, który mógłby interweniować.

Chcę się schować. A jednocześnie żałuję, że jednak nie przyjechałyśmy z mamą Rowan.

Jeden ruch i zaczną się bić. Awantura wisi w powietrzu. Żaden z nich nie zamierza się wycofać. Napięcie jest zbyt duże.

Mama napisała mi kiedyś, jak o mało nie straciła życia w Afryce Zachodniej. Fotografowała skutki działań ekstremistów, którzy robili czystki w małych wioskach. Szła z przewodnikiem przez dżunglę i dosłownie wpadli na ich obóz. Myślała, że już po nich. Między wierszami wyczuwałam jej strach. Zabrali jej sprzęt i zaczęli niszczyć aparaty, dopóki nie powiedziała im, że dokumentuje ich zwyczaje. Nie tylko jej nie zabili, ale nawet pozwolili, żeby im towarzyszyła. Jej zdjęcia trafiły do „New York Timesa”, ale to list, jej słowa bardziej na mnie podziały. Odmalowała obrazek pełen potu i strachu, ale potem szczerze mnie rozbawiła.

Mężczyźni są jak małe dzieci, Juliet. Czasami wystarczy coś błyszczącego, żeby odwrócić ich uwagę.

Pochyliłam się i podnoszę z ziemi kable. Podaję je Declanowi, starając się, by mój głos ociekał słodyczą.

– Wielkie dzięki, że przyszedłeś. Nie chciałam cię wpakować w kłopoty. – Patrzę przepraszająco na Alana, chociaż w środku cała się trzęsę. – Naprawdę przepraszam. Nie miałam pojęcia, że nie może wychodzić. Samochód nie chciał mi zapalić i nie wiedziałam, jak dostać się do domu...

Alan mruga powiekami, zupełnie jakby zapomniał, że tutaj jestem. Zerka na Declana, potem na samochody i wreszcie znów na mnie.

– Nic się nie stało – bąka pod nosem, po czym patrzy na Declana. – Następnym razem, gdy będziesz chciał komuś pomóc, masz mi o tym powiedzieć. Jeszcze raz wyjdiesz po kryjomu, a zadzwonię na policję i wylądujesz w Cheltenham. Słyszysz mnie?

Declan zaciska szczęki. Widzę, że zamierza mu się odgryźć. Wciskam mu kable w ręce.

– Myślisz, że powinnam kupić nowy akumulator? Czy ten będzie jeszcze dobry?

Przyswojenie sobie tego, o czym mówię, zajmuje mu kilka sekund. W końcu odrywa wzrok od Alana i zaciska palce na kablach.

– Wygląda na dosyć stary – odpowiada szorstko, ale oprócz gniewu słyszę coś jeszcze, coś, czego nie umiem rozpoznać. – Nie odpowiedziałas na moje pytanie, jak daleko musisz dojechać.

Jego pytanie? Nie przypominam sobie, żeby zadawał mi to pytanie.

Zaraz... Czy o to mu właśnie chodziło, kiedy pytał, gdzie mieszkam?

Robi mi się wstyd.

– Ach tak. Ledwie kilka kilometrów stąd.

Kiwa głową.

– Niech pochodzi trochę, zanim go wyłączysz. Na twoim miejscu kupiłbym nowy.

Odwraca się i rusza ulicą.

Alan stoi nieruchomo. Patrzy na Reva, który opiera się o samochód Rowan.

– Powinieneś mu pozwolić się bić, Rev.

Mina chłopaka się nie zmienia. Kaszle, a potem naciąga na głowę kaptur. Cała jego twarz kryje się w cieniu.

– Może pomyślałem, że jego ojczym nie powinien się z nim bić.

Alan prostuje się, ale ostatecznie uznaje chyba, że nie warto się denerwować. Śmieje się gorzko i kręci głową, a potem się odwraca.

– Wam, dzieciakom, zawsze się wydaje, że wszystko wiecie.

Po jego odejściu ulica pogrąża się w ciszy.

– O rany – szepcze w końcu Rowan, otwierając szeroko oczy.

Rev patrzy na nią.

– To nic takiego – mówi.

– Dzięki, że powstrzymałeś Declana przed... – Przerywa. – Przed tym, co chciał zrobić.

– Nie powstrzymałem go. On sam się powstrzymał.

Nie do końca tak to wyglądało, ale nic nie mówię. Podoba mi się cichy głos Reva i to, że postawił się ojczymowi Declana. Mam wyrzuty sumienia, że pomyślałam o nim, że wygląda jak seryjny morderca.

Zwłaszcza że patrzy na mnie i dodaje:

– A ja dziękuję tobie za to, co zrobiłaś. Dasz radę dojechać do domu?

Serce wciąż mocno mi bije, ale kiwam głową.

– Co to jest Cheltenham? – pytam.

Rev marszczy brwi.

- Co takiego?
- Alan wspominał, że Declan może wylądować w Cheltenham.
Rev pochmurnieje. Po raz kolejny odchrząkuje i nieco się garbi.
- To poprawczak. – Odrywa się od samochodu Rowan. – Kup ten akumulator. Jeśli powiedział, że go potrzebujesz, to naprawdę go potrzebujesz.
A potem znika w ciemności, zostawiając nas same.

Rozdział dziewiąty

Trzydzieści pięć razy próbowałam pisać list do Ciebie, za każdym razem zaczynając od „Mam siedemnaście lat”, ale nie byłam w stanie napisać nic więcej. Nie chcę tego niszczyć. Nie chcę tego stracić.

Wiem, to idiotyczne. Mam wrażenie, że siedzę tutaj i piszę w ciemno, licząc na odpowiedź.

Nie znam Cię, ale czuję się tak, jakbym Cię rozumiała.

I czuję, że Ty rozumiesz mnie.

I to właśnie w tym wszystkim podoba mi się najbardziej.

Ona jest w moim wieku.

Spodziewałem się tego, ale to ostateczne potwierdzenie. Nie wiem, dlaczego ma to dla mnie takie znaczenie.

Podoba jej się to.

Podoba jej się to!

Przeczytałem ten list co najmniej sześćdziesiąt siedem razy, a i tak każdej lekturze towarzyszy dreszczyk emocji. Rozglądam się po klasie, zupełnie jakbym oczekiwał, że wszyscy czują to samo co ja.

Nie ma powodu do obaw. Właśnie jest angielski i nawet cysterna kawy nie rozbudziłaby uczniów. Dziewczyna w pierwszej ławce czyta na głos wiersz Dylana Thomasa, ale chyba nic jej nie obchodzi, bo jej głos brzmi tak, jakby miała przed sobą listę zakupów. Nawija włosy na palec i po odczytaniu ostatniego wersu osuwa się na krzesło.

Gładzę palcami list i czytam go raz jeszcze. Ukryłem go pod podręcznikiem.

Czuję się tak, jakbym Cię rozumiała. I czuję, że Ty rozumiesz mnie.

Ta bardziej szalona częśćka mnie pragnie ją odnaleźć. Powiedzieć: „Tak, tak, rozumiem”.

W klasie zapada pełna znudzenia cisza. Trzech uczniów wysyła esemesy. Naszej nauczycielce, pani Hillard, wydaje się pewnie, że zamilkliśmy zachwyceni pięknem poezji. Opiera się o biurko, przyciskając podręcznik do piersi.

– Kto nam powie, o czym był ten wiersz?

To pewnie dla niej szok, lecz nikt się nie zgłasza.

Pani Hillard prostuje się i rusza wzdłuż rzędu ławek, muskając je palcami. Długa spódnica szeleści przy każdym kroku. Oprócz tego ma na sobie wzorzysty sweterek, jeden z tych, w których chodzą chyba jedynie nauczyciele z liceum

w średnim wieku.

Zanim do mnie podchodzi, wsuwam list z powrotem pod książkę.

– Przeciwno czemu każe buntować się Dylan Thomas? – pyta. – Co oznacza zwrot „światło się mroczy”¹?

– Ciemność! – woła Drew Kenney.

Pani Hillard kiwa głową.

– Na pozór tak. Ale to nie wszystko. – Stuka obcasami, idąc między ławkami. – Co jeszcze?

– Noc? – pyta znużonym głosem inna dziewczyna.

Sprawia wrażenie osoby zupełnie bez polotu. Myślę o analizie fotografii przeprowadzonej przez Cmentarną Dziewczynę i zastanawiam się, czy ona też by się nudziła na tej lekcji.

Zaraz. Przecież ona może tu być. Rozglądam się dookoła.

Nie mam pojęcia, kim może być. Po prostu nie mam pojęcia. To nie jest tak, że rzucisz okiem na dziewczynę i będziesz już wiedział, że umarła jej matka. Nade mną też nie pali się neon z napisem „STRACIŁ SIOSTRĘ”.

– Przeczytajcie ten wiersz jeszcze raz – mówi pani Hillard, po czym stuka paznokciem w podręcznik Elijaha Walkera i szepcze: – Odłóż komórkę.

Chłopak wzdycha ciężko i chowa telefon do plecaka.

– Przeczytajcie go jeszcze raz – powtarza nauczycielka. Zatrzymuje się przy mojej ławce, ale zaszczyca mnie tylko pobieżnym spojrzeniem, bębniąc palcami po podręczniku, po czym rusza dalej. Nauczyciele nie spodziewają się po mnie zbyt wiele. – Przeczytajcie jeszcze raz, a potem powiedzcie, o czym ten wiersz jest naprawdę.

Ktoś chrząka, ktoś inny poprawia się na krześle.

Cisza.

Pani Hillard dochodzi do końca klasy, odwraca się i po raz pierwszy traci panowanie nad sobą.

– No co wy? Przecież ktoś musi mieć jakiś pomysł. Ktokolwiek. Śmiało, nie ma złych odpowiedzi.

Naprawdę? Przecież dopiero co uznała dwie odpowiedzi za złe.

– O czym jest ten wiersz? – pyta.

Zerkam na kartkę, żeby się przekonać, czy to rzeczywiście aż tak wielkie wyzwanie. „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy” – zaczynam. Czytam cały wiersz. Moim zdaniem nie ma w nim ani słowa o nocy i ciemności.

Pani Hillard wciąż spaceruje między ławkami.

– Poeta pisze: „Buntuj się, buntuj, gdy światło mroczy”. Co czuje podmiot liryczny?

– Rozpacz.

To słowo pada z moich ust, zanim udaje mi się je powstrzymać. Mój głos

jest ochryply – nie odzywałem się do nikogo od spotkania w stołówce z Revem trzy godziny temu. Wzbudzam powszechne zainteresowanie. Połowa moich kolegów pewnie nigdy nie słyszała mojego głosu.

Pani Hillard zatrzymuje się przy mojej ławce.

Nie patrzę na nią. Żałuję, że się odezwałem. Zaczynam bazgrać w zeszytach, jakby to ktoś inny powiedział, ale nauczycielka nie jest głupia.

– Rozpacz – powtarza cicho. – Dlaczego tak uważasz?

– Strzelałem.

– Nieprawda. Dlaczego uważasz, że chodzi o rozpacz?

Moja ręka z ołówkiem zamiera. Przeszywam nauczycielkę gniewnym spojrzeniem. W klasie jest cicho jak makiem zasiał. Nie lubię znajdować się w centrum uwagi. Chcę, żeby się ode mnie odczepiła.

– Mówiłem, że strzelałem.

– Dobrze, to strzel jeszcze raz – odpowiada spokojnie. – Dlaczego rozpacz?

Zamykam podręcznik tak gwałtownie, że dwoje uczniów w pobliżu podskakuje ze strachu.

– Może boi się cholernej ciemności.

Ani drgnie.

– Niewykluczone. Jakiego rodzaju ciemności?

Złego rodzaju ciemności, myślę. Krew uderza mi do głowy. Napinam mięśnie i mam ochotę rozdrzeć podręcznik na kawałeczki. Oddycham głośno niczym złapany na łąsku dziki koń.

– Strzel jeszcze raz – mówi nauczycielka. – O jaki rodzaj ciemności chodzi?

Stara się mnie ośmielić, tymczasem ja jestem o krok od wybuchu. Pewnie myśli, że jakoś do mnie trafiła i że wystarczy trochę poskrobać, żeby pod patyną znaleźć bryłkę złota. Widywałem już to spojrzenie: u pracowników społecznych, szkolnych psychologów, innych nauczycieli.

Nie rozumieli, że ich wysiłki są z góry skazane na porażkę.

Nagle siedzący kilka ławek dalej Keith Mason prychnął:

– W poprawczaku pewnie nie czytają za dużo poezji.

Zrywam się z miejsca. Krzesło skrzypi, przesuwał się po podłodze.

Pani Hillard jednak okazuje się nadspodziewanie szybka. I do tego odważna. Jestem od niej o wiele potężniejszy, ale bez mrugnięcia okiem zagradza mi drogę.

– Udowodnij mi, że się myli – mówi szybko. – Odpowiedz na moje pytanie. O jaki rodzaj ciemności chodzi?

Dłuższą chwilę zajmuje mi uspokojenie myśli. Odrywam wzrok od Keitha i patrzę na nauczycielkę. Kręci mi się w głowie z powodu listu dziewczyny, wspomnień, które wywołał wiersz, i upokorzenia z racji tego, że ktoś znowu przypomniał mi, kim jestem i jak postrzegają mnie inni.

– Wcale się nie myli – mówię.

Mój głos znów jest ochrypliwy. Siadam na krześle i wlepiam wzrok w książkę. Znajduję ołówek i ponownie zaczynam bazgrać.

Pani Hillard wciąga powietrze, chcąc coś powiedzieć, a ja zaciskam palce na ołówku tak mocno, że w każdej chwili mogę go przełamać na pół. W kartce robi się dziura.

Rozlega się dzwonek i uczniowie wokół mnie wyraźnie się ożywiają. Nauczycielka zadaje pracę domową. Pewnie odrobie ją na przerwie.

Wsuwam list między kartki podręcznika, który następnie wkładam do plecaka. Mam wolną drogę do drzwi. Wszyscy usuwają mi się z drogi.

Wszyscy z wyjątkiem pani Hillard. Raz jeszcze staje przede mną.

– Masz chwilę?

Kusi mnie, żeby ją zignorować. Strumień uczniów wylewa się z klasy, z łatwością mógłbym odwrócić wzrok i do nich dołączyć. Gdyby wyglądała tak, jakby zamierzała zostawić mnie w kozie albo w inny sposób uprzykrzyć mi życie, pewnie bym się nie wahał. Ona jednak nie sprawia takiego wrażenia, dlatego się zatrzymuję.

– Spieszysz się na następną lekcję? – pyta.

Kręcę głową.

– Mam przerwę na lunch – odpowiadam, po czym uświadamiam sobie, że gdybym skłamał, nie musiałbym tu zostawać.

Pokazuje na ławkę w pierwszym rzędzie.

– Usiądź.

Wciągam powietrze, wahając się, jednak po chwili je wypuszczam i zajmuję miejsce. Nigdy wcześniej nie siedziałem w pierwszej ławce.

– Chcę porozmawiać o tym, co powiedziałeś – zaczyna z poważną miną.

Ach tak... Ale ze mnie kretyn. Ogarnia mnie znajoma gorycz i zaczynam wstawać.

– Dobra. Niech już pani wlepi mi tę kozę i spadam stąd.

Mrużę powiekami, zaskoczona.

– Nie zamierzam cię karać.

Marszczę brwi.

– Więc o co chodzi?

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego powiedziałeś o rozpaczach.

– Strzelałem! Może powinna pani zapytać...

– Naprawdę aż tak bardzo boisz się pokazać inteligencję? – Opiera się o biurko i krzyżuje ręce na piersiach.

Krzywię się, ale nic nie mówię.

Ona również milczy.

To, co powiedziała, sprawia, że nie mogę ruszyć się z miejsca. Boisz się. Naprawdę aż tak bardzo się boisz? Pokazać inteligencję?

Nie jestem złym uczniem – to łatwy sposób, żeby podpaść, a nie chcę dawać ludziom kolejnych powodów do tego, by mnie flekowali. Kiedyś byłem nawet dobrym uczniem i mama z dumą wieszała moje świadectwa na lodówce. Teraz chodzi mi tylko o to, żeby przechodzić z klasy do klasy.

Słowa nauczycielki to wyzwanie.

Siedzimy w milczeniu przez dłuższy czas.

– Nie zdążę na lunch – mówię w końcu.

Opuszcza ramiona. Nieznacznie.

– No dobrze – wzdycha i ruchem głowy wskazuje drzwi. – Idź.

Jestem już w połowie korytarza, kiedy słyszę za sobą jej głos.

– Declan! Poczekaj, mam dla ciebie pracę domową.

Odwracam się, a ona podchodzi do mnie ze złożoną kartką w dłoni.

– Zanotowałem w klasie.

– Chcę, żebyś napisał mi coś innego. – Wyciąga do mnie rękę. – Tyle, ile zechcesz.

Kiedy biorę kartkę, w oczach pani Hillard pojawia się blask.

I wtedy gniotę papier i się od niej odwracam.

W stołówce nie stoję w kolejce do bufetu, bo Rev zawsze bierze z domu tyle jedzenia, że z łatwością wyżywiłby pułk wojska, a Kristin pakuje mu coś ekstra dla mnie.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz matka przygotowywała mi kanapki do szkoły. Nie żebym na to zasługiwał.

Rzucam zmiętą kartkę na stół, po czym siadam na ławce naprzeciw Reva. Mamy stół dla siebie. Deszcz dzwoni o szyby, a stołówka jest pełna, ale nikt do nas nie dołącza.

– Wyglądasz jak ponury żniwiarz – zauważam.

Jak zwykle ma na głowie kaptur, a na bluzie wyszyty szkielec.

– Właśnie o to chodzi. – Rozwija kartkę i czyta. – „Dlaczego Dylan Thomas jest zrozpaczony?”. Co to?

– Praca domowa z angielskiego. Spokojnie, to nie jest list, który chciałem ci pokazać.

Rev wyciąga kanapki i przysuwa je do mnie.

– Kolejny list od twojej dziewczyny?

Twojej dziewczyny. Nie powinno mi się to podobać. A jednak się podoba.

Wie, że utrzymujemy kontakt, lecz nie pokazywałem mu żadnych listów od tego wieczoru, kiedy mu o niej opowiedziałem. Nasza korespondencja stała się zbyt intymna. Nie spodobałoby mi się, gdyby ona dzielila się moimi sekretami z innymi. Ten list jest jednak na tyle krótki i ogólnikowy, że mogę się nim pochwalić.

Wpatruje się w kartkę, podczas gdy ja odwijam z papieru dwie kromki

chleba bananowego. Każda z nich jest posmarowana serkiem śmietankowym z dodatkiem rodzynek oraz orzechów. Momentalnie nabieram apetytu. Mam ochotę włądować sobie od razu wszystko do ust.

– Jest w naszym wieku – zauważa Rev.

– Tak.

Rozgląda się dookoła, zupełnie jakby się bał, że dziewczyna nas obserwuje. Wyraźnie nie podziela mojej radości.

– Masz pewność, że to nie jest jakaś podpucha?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie chce się z tobą spotkać. Nie wiesz, czy naprawdę ma siedemnaście lat.

Równie dobrze może być spoconym pięćdziesięcioletkiem, którego jarają takie rzeczy.

Wyrywam mu list z rąk i wkładam z powrotem do plecaka.

– Przymknij się, Rev.

Przez chwilę patrzy, jak jem.

– Pokaż mi go jeszcze raz.

– Nie.

– No dobra. – Wyjmuje z plecaka puszkę wody gazowanej i otwiera.

Czasami mam ochotę mu przywalić. Wyciągam list i przysuwam go do niego.

Ponownie go czyta. Strasznie się denerwuję.

Zerka na mnie.

– Lubi cię.

Wzruszam ramionami i zwiżam mu sprzed nosa jego napój. Smakuje tak, jakby ktoś wrzucił pomarańczę do butelki perriera. Kaszlę.

Na twarzy Reva pojawia się uśmiech.

– Lubisz ją.

– Jak możesz pić to dziadostwo?

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Pewnie strasznie cię wkurza, że nie chce ujawnić swojej tożsamości?

– Poważnie, Rev, nie możesz kupować normalnej wody?

Za wszelką cenę próbuję zmienić temat, on jednak nie daje się zwieść.

– Co chcesz zrobić? – pyta.

Biorę głęboki wdech, po czym wypuszczam powietrze i przeczesuję palcami włosy.

– Nie wiem.

– A właśnie, że wiesz.

– Chcę obserwować ten grób. Czekać na kolejny list mnie dobija.

– Proponuję przerzucić się na maile.

– Nie chciała podać żadnych informacji o sobie z wyjątkiem wieku. Nie da

mi swojego adresu.

– Przecież to nie muszą być adresy, z których korzystacie na co dzień. Utwórz jakiś i podaj go w liście. Zobaczymy, czy na niego napisze.

To posunięcie jest genialne w swojej prostocie. Wstyd mi, że na to nie wpadłem.

– Rev, mam ochotę cię pocałować.

– Najpierw umyj zęby. – Unosi do ust puszkę tej swojej dziwacznej wody.

– A jeśli nie odpisze?

Stuka palcem w zdanie: *I to właśnie w tym wszystkim podoba mi się najbardziej.*

– Odpisze, Dec. Uwierz mi, że odpisze.

Rozdział dziesiąty

Też nie chcę tego stracić.

Ale może powinniśmy przejść na maile, żebyśmy nie byli zdani na łaskę i niełaskę warunków pogodowych? Właśnie założyłem specjalne konto: mrok@freemail.com.

Twój ruch, Cmentarna Dziewczyno.

O rany.

Chłodny poranny wiatr marszczy kartkę. Czytam jeszcze raz.

O rany.

Nagle zaczyna mi się spieszyć.

Całuję swoje palce i przykładam je do nagrobka.

– Przepraszam, mamó. Muszę lecieć.

Rozdział jedenasty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: środa, 2 października, 07:17:00

Temat: Przejście na maile

Mrok? Nie wydaje Ci się to trochę makabryczne?

Naprawdę napisała do mnie mail.

Dostałem od niej mail.

Siedzę w szkolnej bibliotece i szczerzę się jak dureń. To konto wciąż nie jest połączone z moim telefonem, bo tak naprawdę nie wierzyłem, że mi odpisze. Długo się wczoraj wahałem, czy zostawić jej list. Melonhead – Frank – ciągle się dopytywał, czemu jestem taki poirytowany.

Powiedziałem, że to przez te wszystkie prochy, a on pacnął mnie w ramię i stwierdził, że nie powinienem z tego żartować.

Spoglądam na datę w mailu. Środa. Wysłała go dzisiaj.

I to zaledwie dwadzieścia minut temu. Serca zaczyna mi szybciej bić. Wciąż może tu być. Siedzieć w tej bibliotece. Rozglądam się dookoła, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Przy większości stanowisk komputerowych siedzą jacyś ludzie, ale nie ma sposobu, żeby podejrzeć, co robią. Monitory są tak zabezpieczone, że trzeba stać bezpośrednio przed nimi, żeby zobaczyć, co na nich jest. Można tu znaleźć cały przekrój uczniów, począwszy od pierwszoklasisty z ropiejącym trądzikiem, a skończywszy na Azjatce z różowymi pasemkami we włosach, ubraną w coś, co przypomina piżamę.

W mojej głowie rozbrzmiewa przestroga Reva: „Równie dobrze może być spoconym pięćdziesięcioletkiem, którego jarają takie rzeczy”.

Odsuwam od siebie tę myśl i znów się rozglądam dookoła. Wszyscy wydają się bardzo zajęci pisaniem, klikaniem i czytaniem. Nikt nie rzuca ukradkowych spojrzeń.

Ale ze mnie kretyn. Czemu miałyby się ukradkowo rozglądać? Tę wiadomość mogła przecież wysłać z domu.

Jedna z bibliotekarek podchodzi do mojego stanowiska. Nie wiem, jak ma na imię, ale wygląda, jakby zbliżała się do siedemdziesiątki.

– Zostały trzy minuty do dzwonka. Zapisz swoją pracę, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś.

Nie mam szans odpowiedzieć w trzy minuty. Zwłaszcza na mail, w którym skrytykowała mój nick.

Wyłączam komputer i zarzucam plecak na ramię. Na korytarzu roi się od uczniów zmierzających na lekcje, więc dostosowuję do nich krok. Wyjmuję telefon, żeby aktywować na nim skrzynkę mailową i dostawać powiadomienia, gdy

znów do mnie napisze.

Nagle przerywam. Nie podoba mi się, że jej maile będą lądowały w tej samej skrzynce co wezwania sądowe czy informacje o pozostaniu w kozie. Zbyt mocno przypominają mi o tym, kim jestem.

Rozglądam się za osobną apką do Freemaila.

Tadam! Serwis ma nie tylko własną aplikację, ale także czat i pozwala na ustawienie powiadomień.

Chyba nie powinienem się aż tak bardzo podniecać tym czatem. Przecież nawet nie znam tej dziewczyny.

To oczywiście nie powstrzymuje mnie przed sprawdzeniem, czy jest online. Nie. Może nie korzysta z tej apki.

Kiedy wchodzę do klasy, wychowawca właśnie próbuje nakłonić wszystkich do zajęcia miejsc. Salę wypełnia gwar głośniejszy niż na wiecu.

Wszyscy mnie ignorują. Mam to gdzieś. Osuwam się na krzesło z tyłu sali i zaczynam pisać odpowiedź.

Rozdział dwunasty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: środa, 2 października, 08:16:00

Temat: Makabryczne

Poznaliśmy się dzięki listom zostawionym na cmentarzu. Raczej żadne z nas nie powinno nikomu wypominać makabryczności.

Sporo myślałem o tym, co mówiłaś o swoim ojcu, że chciał się pozbyć rzeczy Twojej mamy. Po śmierci mojej siostry matka nie chciała niczego wyrzucać. Nie tknęła ani jednej rzeczy, której dotyczyła Kerry. Tuż przed wyjściem moja siostra jadła tost z serem i zostawiła talerzyk z okruchami przy zlewie. Uwielbiała tosty, robiła je sobie praktycznie każdego dnia, co oznaczało, że zawsze zostawiała talerzyk przy zlewie. Matka zwykle ją za to opierniczała. „Zmywarka stoi zaraz obok! Nie spodziewasz się chyba, że całe życie ktoś będzie po tobie sprzątał?!” – krzyczała.

Po jej śmierci mama nie ruszyła tego talerzyka. Stał całymi tygodniami, aż pleśń pokryła okruchy. Potem pojawiły się mrówki. Obrzydlistwo. Raz próbowałem go umyć. Myślałem, że się ucieszy, że nie musiała tego zrobić sama.

Nawrzeszczała na mnie i zakazała dotykać jakichkolwiek rzeczy należących do Kerry. Była tak wściekła, że ledwie ją rozumiałem.

Uciekłem. Schowałem się.

Wstydzę się do tego przyznawać. Chciałem skasować ten fragment. Ale przecież właśnie o takie tajemne zwierzenia chodzi w naszych listach, no nie?

Nigdy nie bałem się mojej matki, lecz tamtego dnia mnie wystraszyła. Nie obawiałem się, że mnie skrzywdzi, chociaż trochę tak. Była drobną kobietą, ale tamtego dnia wydawała się olbrzymia.

Bałem się jej rozpaczy. Musiała być znacznie większa niż moja i martwiłem się, że w końcu ją przerośnie. Ojciec siedział w więzieniu, siostra umarła, a matka nie mogła się uwolnić od bólu.

I ja za to wszystko odpowiadałem.

Bałem się, że zrobi coś nieodwracalnego.

Bałem się, że ją również stracę.

Nie ukrywałem się zbyt długo. Szukała mnie, a ja właściwie nie miałem się gdzie podziać. W końcu miałem trzynaście lat. Znalazła mnie w mojej szafie. Miała zaczerwienione oczy, ale nie płakała i mówiła bardzo spokojnie. Kiedy wyszedłem z szafy, przeprosiła mnie, kładąc obie dłonie na moich policzkach. Głaskała mnie po włosach, powtarzając, że mamy tylko siebie i musimy się wzajemnie sobą opiekować. A potem poprosiła, żebym jej pomógł w kuchni.

Talerzyk z okruchami zniknął, a blat przy zlewie pachniał środkiem

odkazyjącym. Mama poprosiła mnie o spakowanie całej zastawy. Powiedziała, że nie chce jej już nigdy dotykać. Pamiętam, jak ostrożnie układałem naczynia, żeby nie sprowokować kolejnego wybuchu.

Nie musiałem się tym przejmować. Wywaliliśmy je do śmieci.

Kazała mi je wrzucić do kontenera i stanęła obok, paląc papierosa. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby paliła, a tu proszę, wpatrywała się w roztrzaskane naczynia i trzymała w roztrzęsionej dłoni papierosa.

Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby ktoś się tak zachowywał. Wydawało mi się, że traci rozum. Znów chciałem uciec, ale bałem się zostawić ją samą.

Zaciągnęła się dwa razy, a potem rzuciła papierosa na ziemię i przydeptała niedopałek.

„Chodźmy kupić jakieś naczynia – powiedziała. – Możesz sam wybrać”.

Nie wiem, jaki jest morał tej historii poza tym, że być może ból bywa tak wielki, że człowiek robi wszystko, żeby się go pozbyć.

Nawet jeśli musi kogoś przy tym skrzywdzić.

Potrzebuję papierosa.

Wcale nie. To nieprawda. Nienawidzę fajek. Są obrzydliwe.

Mimo to czegoś potrzebuję.

Uwielbiam jego styl. Miałam się spotkać na lunchu z Rowan, ale wlokę się noga za nogą. W korytarzu pełno ludzi, którzy ciągle mnie potracają, zastanawiając się, czy coś może ich uratować przed kolejną lekcją. Błądzą bez celu, moje myśli skupiają się na trzynastolatku, który musiał się przyglądać, jak odbija jego matce.

– Juliet! W samą porę.

Pan Gerardi staje przede mną, opierając się o drzwi prowadzące do klasy.

Nie wiem, jak się tu znalazłam. Od śmierci mamy unikam skrzydła artystycznego. Na ścianie naprzeciwko wiszą czarno-białe fotografie w kartonowych ramkach. Jedna jest genialna, przedstawia mężczyznę o zniszczonej twarzy, który siedzi na ławce, osłaniając oczy kapeluszem. Obraz bezdennej rozpacz. Oprócz tego są tam jeszcze dwa porządne zdjęcia, reszta to szajs.

Miska z owocami? Serio?

Odwracam wzrok i patrzę na pana Gerardiego.

– Szłam właśnie na lunch. Nie wybierałam się w tę stronę.

– Jesteś pewna? – pyta, mierząc mnie dziwnym spojrzeniem.

Pracownia mieści się w osobnym skrzydle, dobudowanym do szkoły, więc trudno tam zbłądzić przypadkiem. Dzięki temu mogłam po śmierci mamy unikać kontaktu ze zdjęciami. Dzięki temu unikałam też zakusów pana Gerardiego, który chętnie znów zobaczyłby mnie na zajęciach fotografii.

– Wiesz, że wciąż możesz zmienić swój plan – przypomina. – Ale nie zostało zbyt wiele czasu.

Sami widzicie.

Kręcę głową.

– Nie, dziękuję.

– Jesteś pewna? Bez ciebie Brandon nie ma konkurencji.

Brandon Cho. To pewnie on zrobił tę fotkę z facetem na ławce. Rywalizowaliśmy o to, kto dostanie więcej miejsca w szkolnej gazecie i księżce pamiątkowej. Rowan zawsze powtarzała, że byłaby z nas śliczna para, ale jak dla mnie Brandon jest za bardzo zadufany w sobie.

Cudem powstrzymuję się od przewrócenia oczami.

– Jestem pewna, że Brandon świetnie sobie radzi. – Nagle przypominam sobie, co pan Gerardi powiedział na powitanie. – Dlaczego mówił pan, że jestem w samą porę?

– Muszę prosić kogoś o przysługę, a ty się idealnie do tego nadajesz.

Pan Gerardi jest jedynym fotografem w naszej szkole, kiedy więc prosi o przysługę, chodzi zwykle o zrobienie jakichś zdjęć.

– Nie.

– Nie dałaś mi nawet wyjaśnić. – Wpatruje się we mnie, marszcząc brwi.

– Czy ta przysługa wymaga aparatu?

– Tak – potwierdza z wahaniem.

– Więc nie – powtarzam i odwracam się, by odejść. – Wcale nie chciałam tu zaglądać. Zamyśliłam się.

– Może powrót do fotografii wyszedłby ci na dobre. – Pan Gerardi nie przestaje mnie kusić. – Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz.

Wciąż idę przed siebie.

– To ci zajmie tylko godzinkę! – woła za mną. – I dostaniesz punkty za wolontariat.

Nadal się nie zatrzymuję. Ledwo go słyszę. Co mnie obchodzą jakieś punkty.

– Dam ci swoją leicę! – krzyczy.

Nic na to nie mogę poradzić. Zatrzymuję się, tylko na chwilę. To reakcja odruchowa. Pan Gerardi ma obłądną cyfrową leicę M. Wszyscy się śliniliśmy na jej widok. Rzadko pozwalał z niej korzystać uczniom, ale dał mi ją, gdy pomagałam mu fotografować ubiegłoroczny bal na zakończenie roku szkolnego, więc jestem z nią oswojona. Dorównywała najlepszemu aparatowi mojej mamy, którego nie mogłam nawet dotknąć. Kiedy nie pracowała, trzymała go właściwie na ołtarzu.

A teraz ten aparat tkwi w poplamionej torbie leżącej w kącie mojego pokoju.

Pocą mi się dłonie. Nie mogę tego zrobić. Znów ruszam przed siebie, żeby jak najszybciej skrócić za róg.

Spóźniam się na lunch, więc kolejka jest gigantyczna. Wszystko jedno, bo i tak nie mam apetytu. Widzę, że Rowan zajęła miejsce z tyłu sali.

Wrzucam torbę pod stół i siadam naprzeciwko niej.

Patrzy na mnie spod uniesionych brwi, przestając przeżuwać kanapkę.

- Nie jesz? – pyta.
- Nie – odpowiadam, sięgając do plecaka po butelkę z wodą.
- Czemu?
- Nieważne. – Nie patrzę jej w oczy.
- Coś mi się wydaje, że chyba jednak ważne.
Wzdycham i wykrzywiam lekko usta.
- Ro...

Nagle milknę.

Ból bywa tak wielki, że człowiek robi wszystko, żeby się go pozbyć. Nawet jeśli musi kogoś przy tym skrzywdzić.

Mówił o moim ojcu, ale zastanawiam się, czy przypadkiem nie robię czegoś takiego Rowan.

Myślę o tym, bawiąc się butelką. To nie są przyjemne myśli.

Rowan otwiera paczkę chipsów.

- Czy to ma jakiś związek z panem Gerardim?

Unoszę wzrok.

- Co?

- Bo właśnie tu idzie. – Wskazuje głową na korytarz.

Odwracam się, żeby zobaczyć, o czym mówi, i o mało nie spadam z krzesła. Czyżby szedł cały czas za mną?

Przez chwilę łudzę się, że przyszedł tu po coś do picia albo żeby nękać kogoś innego. Ale nie. Pan Gerardi podchodzi prosto do nas.

– Pozwól mi przynajmniej powiedzieć, o co chodzi – mówi, patrząc mi w oczy.

Już i tak mam mętlik w głowie od zastanawiania się nad tym, jak traktuję Rowan. Riposta więźnie mi w gardle. Wzruszam ramionami i stukam palcem w poplamiony blat stolika.

– Potrzebne mi zdjęcia z tegorocznego festynu jesiennego – wyjaśnia. – Zajmie ci to godzinę. Zrobisz parę fotek i możesz wracać do domu.

- Ale to jutro.

- Wiem.

Pomysł organizowania festynu jesiennego, gdy temperatury wciąż przekraczają dwadzieścia pięć stopni, wydaje mi się trochę głupi. W końcu dopiero co zaczął się październik. Ale to szkolna tradycja: w czwartek festyn i mecz inauguracyjny, w piątek tańce.

- Nie wybieram się – odpowiadam – na żadną z imprez.

Rowan nie odzywa się ani słowem, popijając swój napój.

Pan Gerardi kuca przed moim krzesłem.

– Jesteś w ostatniej klasie – przypomina cichym głosem. – Nie będziesz miała okazji powtórzyć tego doświadczenia.

– Myśli pan, że będę żałowała, że nie zrobiłam zdjęć futbolistom mażącym sobie twarze bitą śmietaną? – prychnam.

– Niewykluczone. – Milczy przez chwilę. – Nie wierzę, że nie myślałaś o powrocie do robienia zdjęć.

Przypomina mi się Declan Murphy. Błysk w jego oczach, gdy przyglądał się mojemu samochodowi i wyglądał jak przeciwieństwo superbohatera. Wyraz jego twarzy, gdy rozlałam mu kawę, czystą wściekłość i agresję oraz coś w rodzaju wrażliwości.

– Musiałaś – mówi pan Gerardi. – Wiem, że musiałaś o tym myśleć. Masz zbyt wielki talent, żeby go zmarnować.

Milczę.

– Myślisz, że twoja mama by tego chciała?

– Proszę nie wspominać o mojej matce. – Uderzam dłonią w stół tak mocno, że osoby siedzące obok odwracają się w naszą stronę.

Pan Gerardi jest nieugięty.

– Myślisz, że tego by chciała?

Nie. Na pewno nie. Wstydziłaby się za mnie.

„Och, Juliet – powiedziałyby, potrząsając głową. – Czyżbym nie wpoila ci ani odrobiny odwagi?”

Wcale mnie to nie motywuje. Wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej zamykam się w sobie.

– Na pewno znajdzie pan jakiegoś pierwszoklasistę – sugeruje Rowan.

– To do książki pamiątkowej – odpowiadam bez namysłu. – A nie na Instagrama.

Uśmiecha się i pije łyk napoju.

– No to zrób te zdjęcia – mówi.

Znów pocą mi się dłonie. Turlam nimi butelkę z wodą. Nie wiem, z czym mam problem. To tylko głupi aparat. Załedwie godzina. Kilka fotek, które błyskawicznie przestaną wszystkich obchodzić.

Myślę o naczyniach roztrzaskanych na dnie kontenera na śmieci.

Pan Gerardi wciąż cierpliwie czeka. To w nim lubię.

– No i?

– Nie dłużej niż godzinę?

– Tak. Żadnego pozwania. Możesz fotografować, co chcesz.

Robię głęboki wdech, czując się tak, jakbym stała na krawędzi urwiska i wszyscy namawiali mnie do skoku, łącznie z moją matką. Każdy powtarza, że nic mi nie grozi, ale ja widzę tylko otchłań.

– Zastanowię się – odpowiadam.

Spodziewam się, że będzie dalej naciskał, on jednak się prostuje.

– Prześpij się z tym – mówi. – Wpadnij przed meczem, żeby mi powiedzieć,

co zdecydowałaś.

„Prześpij się z tym”.

To akurat mogę zrobić.

Na kolację ojciec przywozi kurczaka z KFC. Nie przepadam za fast foodami, ale nie jadłam lunchu i mój żołądek domaga się, żebym coś z tym zrobiła. Pieczony kurczak pachnie tak smakowicie, że wyjmuję talerze z szafki, zanim tata zdążył postawić torbę na stole.

Rozrywam plastikową torebkę i wpycham sobie do buzi ciastko. Potem wyjmuję ziemniaki, sos i makaron z serem. Wszystkie dania są w różnych odcieniach beżu. Żadnych innych kolorów, nawet zielonego groszku.

Nic mnie to nie obchodzi. Otwieram pudełko z ziemniakami i nakładam nam na talerze.

Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że tata wciąż na mnie patrzy.

– Co? – pytam, wciąż jedząc ciastko.

– Po pierwsze, jesteś w domu – odpowiada tata i chrząka. – Po drugie, zaczęłaś jeść.

– Przecież cały czas jem.

– Wcale nie, Juliet. Wcale nie.

Przyglądam mu się uważnie. Jest tak idealnie przeciętny, że wciąż się zastanawiam, co mama w nim widziała. Sama roztaczała wokół siebie niezwykłą aurę. Wystarczyło, że gdzieś weszła, a każdy znajdował się pod jej urokiem.

A on jest całkowicie zwyczajny. Przeciętna cera, brązowe oczy i włosy, krępa sylwetka. Składa się z tyłu odcieni beżu co nasze dzisiejsze jedzenie. Myślę, że jest całkiem sympatyczny. W dzieciństwie byłam mu bliższa, ale wydaje mi się, że mój pierwszy okres i związane z tym wahania nastroju mocno go zaskoczyły i od tej pory trzyma się na dystans.

– Coś się zmieniło? – pyta.

– Nic – odpowiadam spokojnie. – Nie zjadłam lunchu. Jestem głodna.

– No dobrze. – Patrzy na mnie z wahaniem. – Chcesz coś do picia?

– Jasne.

Przynosi sobie piwo, a przede mną stawia szklankę mleka. Odruchowo przewracam oczami. Mleko. Jak dla sześciolatki. Aż dziwne, że nie ma słomki.

Kusi mnie, żeby wypić trochę jego piwa, tylko po to, żeby przekonać się, jak zareaguje, jednak wyczerpałam już wszystkie zapasy odwagi na dzisiaj.

Przez chwilę jemy w milczeniu. Zapach kurczaka jest obłądny, ale skórka okazuje się śliska, więc całkiem ją zdejmuję i odkrawam trochę mięsa.

– Odrobiłaś wszystkie zadania?

Od początku roku szkolnego nie zapytał mnie o to ani razu.

– Trochę mi zostało – przyznaję, patrząc mu w oczy.

– Masz z czymś problem?

– Nie, w szkole jest spoko. – Odkrawam kolejny kawałek kurczaka.

Milknie, ale wyczuwam jego zainteresowanie. Kusi mnie, żeby zabrać talerz na górę, jednak przypomina mi się ten dzień, gdy chciał się pozbyć całego sprzętu mamy, i to, jak go wtedy potraktowałam. Może trzymanie tych wszystkich rzeczy tutaj jest dla niego bolesne.

A może jest też bolesne i dla mnie, tylko sobie tego nie uświadamiam.

Odchrząkuję i wbijam wzrok w jedzenie.

– Możesz sprzedać jej rzeczy – mówię dużo cichszym głosem, niżbym chciała.

Wciąga gwałtownie powietrze.

– Nie musisz tego robić – odpowiada.

– W porządku. Przesadziłam. To głupota trzymać to wszystko tutaj.

– Wcale nie głupota. – Przykrywa dłonią moją rękę.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mnie dotknął. Moje oczy natychmiast wypełniają się łzami. Zupełnie nie jestem na to przygotowana. Lubię jego dotyk, ciepło, więź. Dotąd nie uświadamiałam sobie, jak bardzo się od niego oddaliłam.

Muszę odsunąć dłoń. Pozwala mi na to, ale nie przesuwam ręki.

Pocieram palcami powieki.

– Byłam głupia. Masz mnie pewnie za niewdzięcznicę.

– Oczywiście, że nie – odpowiada cichym głosem.

Cała się trzęsę. Nie mogę na niego spojrzeć, bo natychmiast się rozsypię. Kulę się tak bardzo, że łokcie wbijają mi się boleśnie w brzuch.

Otacza mnie ramieniem, czując się pewnie tak, jakby obejmował kamień. Nawet nie słyszałam, kiedy do mnie podszedł.

Z moich ust wyrywa się urywany szloch.

– Wcale nie jesteś niewdzięcznicą. – Gładzi mnie po włosach.

– Tak bardzo mi jej brakuje – wyznaję, a mój głos załamuje się na ostatnich słowach. – Chciałam tylko, żeby wróciła do domu.

– Ja też tego chciałem.

Marzyłam, aby mieć w nim oparcie. Pragnęłam, aby ktoś inny poniósł ten ciężar, choćby tylko przez chwilę. Ale minęło zbyt dużo czasu. Za bardzo się oddalił. Odsunie się, gdy spróbuję znaleźć w nim oparcie, a ja runę twarzą na ziemię.

Siedzę tam i się trzęsę. A on głaszcze mnie po włosach.

W końcu odzyskuję głos i odgarniam z twarzy kosmyk wilgotnych włosów.

– Naprawdę myślę, że powinieneś odsprzedać te rzeczy Ianowi.

– Cóż... – wzdycha i odsuwa się odrobinę. – Może jeszcze chwilę z tym poczekamy?

– Tylko zajmują mi miejsce w pokoju.

– Ale przecież nie przeszkadzają.

Milczę.

– Jeśli nie chcesz ich w swoim pokoju – odzywa się po chwili – możemy je przenieść... do mnie. – Jego głos cichnie. – Do mojego pokoju – dodaje nieco pewniej. – Na pewno nie przeniesiemy ich z powrotem do piwnicy. Zaopiekuję się nimi, jeśli ty nie chcesz.

On również ich nie chce. Słysząc to w jego głosie. Nigdy nie przepadał za jej pracą, nie ma powodu, żeby teraz miał się w to angażować.

Prostuję się i odsuwam od niego.

– Nie, mogą zostać u mnie.

Nagle tracę apetyt. Nie umiem pogodzić obrazu czułego ojca z tym wiecznie nieobecny.

Odsuwam talerz. Zjadłam zaledwie połówkę kawałka kurczaka i nie ruszyłam ziemniaków.

– Skończyłam.

– Jesteś pewna?

Tak. Zrywam się z krzesła i wchodzę po schodach, przekonana, że za mną pójdzie.

Ale on się nie rusza. Cichutko zamykam za sobą drzwi. Jestem sama w pokoju.

W rogu piętrzą się rzeczy mamy: torby i sprzęt fotograficzny. Nie chcę ich dotykać, ale cieszę się, że tata nie zamierza na razie się ich pozbyć.

To tak jak w liście Mroka: tata był gotów potłuc talerze, ale nie zrobił tego.

Zastanawiam się, co się stało. Co się zmieniło.

I jaki to ma związek ze mną.

Rozdział trzynasty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: czwartek, 3 października, 03:28:00

Temat: Nie mogę zasnąć

Powiedziałam tacie, że może sprzedać rzeczy mamy.

Wiem, że tego nie zrobi, ale powiedziałam mu, że może.

Nie zdawałam sobie sprawy, że aparaty i reszta sprzętu mogą być dla niego tym samym co Twój talerz z okruchami, który oblaży mrówki.

A może to moje talerze? I nie jestem gotowa, żeby wyrzucić je do śmieci?

W każdym razie jeszcze nie.

Wierzysz w przeznaczenie? Czasem chciałabym wierzyć, że wszyscy podążamy dokądś w określonym celu i że nasze ścieżki nie przecinają się bez powodu. Na przykład to, że się poznaliśmy. Albo to, że opowiedziałeś mi tę historię akurat wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowałam.

Jednak to oznaczałoby również, że przeznaczeniem mojej mamy było zginąć w taksówce, gdy jechała z lotniska do domu. I że przeznaczeniem Twojej siostry było to, żeby zabił ją ojciec. Minimalna zmiana kierunku mogła zaprowadzić ich zupełnie gdzie indziej.

A może to właśnie minimalna zmiana kierunku sprowadziła na nich taki koniec?

Błagałam mamę, żeby wróciła wcześniej do domu. I tak zrobiła. Wiem, że to nie ja rozbiłam ten samochód, ale nie siedziałyby w nim, gdyby nie ja.

To ja nakierowałam ją na tę ścieżkę. Ja.

Jeśli nie mogę winić o to losu, to kto pozostaje?

Zaspany mrugam powiekami i dopiero po chwili dociera do mnie, że to już koniec wiadomości. Siedzę jak kretyn, przesuwając palcem po ekranie, mając nadzieję, że znajdę coś więcej, ale to wszystko, co napisała.

Jeśli nie mogę winić o to losu, to kto pozostaje?

Mogę sporo opowiedzieć o obwinianiu samego siebie.

Wiem, co zrobiłem w zeszłym roku w maju, gdy już nie mogłem tego dłużej wytrzymać.

Siadam na krawędzi łóżka, jakbym się dokądś wybierał. Nawet nie znam jej imienia. Nie mogę do niej zadzwonić. Nie wiem, gdzie jej szukać przez jeszcze co najmniej półtorej godziny, ale nawet gdybym czytał te słowa w szkole, musiałbym ją zidentyfikować wśród tysiąca uczniów. Tak czy owak, jest dopiero dziesięć po szóstej.

Znam ten rodzaj rozpacz. To, że go w niej wyczuwam, wzbudza we mnie przerażenie.

Pyta mnie, dlaczego los rozdziela ludzi, a ja nie mogę przestać myśleć, czy nie o to właśnie chodzi losowi.

Stukam w klawisze telefonu, aż dochodzę do głównego menu aplikacji.

Obok jej imienia świeci się zielona kropczka. Jest online. Żyje.

Wypuszczam powietrze z płuc i z powrotem padam na łóżko.

A potem odwracam się i zaczynam pisać odpowiedź.

Rozdział czternasty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: czwartek, 3 października, 06:16:48

Temat: Nie rób tego

Jeśli już piszesz do mnie o wpół do czwartej nad ranem, nie możesz kończyć w ten sposób.

Nie jestem na to gotowy.

A teraz odpisz i zapewnij mnie, że wszystko u Ciebie w porządku.

Moje serce wali jak oszalałe, w rytmie tak dziwnym, że sprawia mi to ból.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dołujący mógł być ten mój nocny mail.

Nie mogę oderwać oczu od ostatniego zdania jego odpowiedzi.

A teraz odpisz i zapewnij mnie, że wszystko u Ciebie w porządku.

Troszczy się. O mnie.

Moje serce wciąż trzepocze niczym motyl uwięziony w dłoniach. Jak się nad tym zastanowić, wcale mi to nie przeszkadza.

Wręcz przeciwnie, całkiem mi się podoba.

Rozdział piętnasty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: czwartek, 3 października, 06:20:10

Temat: W porządku

Nie chciałam Cię wystraszyć. Ostatnia noc nie była dla mnie najlepsza. Czuję się tak, jakby wszyscy ode mnie oczekiwali, że w końcu pogodzę się ze śmiercią mamy. W zeszłym tygodniu moja najlepsza przyjaciółka zaczęła mi cytować książkę o etapach żałoby, jakbym miała cierpieć według jakiegoś planu.

Do pewnego stopnia wiem, że ma rację. Wpadłam w koleiny gniewu, rozpacz i bólu, ale im bardziej ludzie chcą mnie z nich wyciągnąć, tym mocniej zapieram się obcasami o ziemię i czepiam przydrożnych chaszczki.

Nie odpowiedziałeś na moje pytanie o przeznaczenie. Czasami się zastanawiam, czy nie podchodzimy do tego z różnych perspektyw. Ty mogłeś zapobiec śmierci swojej siostry, a ja doprowadziłam do śmierci mojej matki.

Zastanawiam się, co gorsze.

Jej słowa są jak cios prosto w brzuch. Rzucam telefon na poduszkę i wpadam do łazienki. Szarpnię za pokrętła baterii prysznicowej tak mocno, że aż zgrzyta, i przez chwilę boję się, że coś urwałem i zaraz zewsząd tryśnie woda.

Jednak nic się nie dzieje. Łazienka momentalnie wypełnia się parą.

Wyciskam pastę i z zapamiętaniem szczotkuję zęby. Ból sprawia, że trochę się opanowuję.

Muszę się skupić. Ona zastanawia się, co gorsze? Tak jakby to był jakiś konkurs?

Rzucam szczoteczkę na blat, pluję do umywalki i wycieram twarz ręcznikiem. W lustrze odbija się wściekłe spojrzenie moich ciemnych oczu. Powstrzymuję się od walnięcia w szklaną taflę.

Jej słowa sprawiają, że czuję się jak totalny nieudacznik.

Mogłeś zapobiec śmierci swojej siostry.

Powtarzałem to sobie przez ostatnie cztery lata. Te słowa nie powinny mieć już nade mną takiej władzy. Już nie. Ale to, że napisała je ona... Nagle coś, co wydawało się całkowicie bezpieczne, zaczyna grozić kolejną porażką.

Wchodzę pod prysznic. Woda parzy mnie w skórę, ale pozwalam, by ściekała strugami po moich plecach. Zmuszam się do wytrzymania przez długą chwilę. Ukrop łagodzi moją wściekłość.

Gdy w końcu wynurzam się z łazienki, w domu pachnie bekonem, choć to przecież niemożliwe. Alan zwykle wychodzi, zanim zejść na dół, a mama śpi do późna. To pewnie u sąsiadów.

Woń sprawia, że czuję się wściekle głodny. To nie pomaga w opanowaniu

irytacji. Staję obok łóżka i gapię się na mój telefon.

Najpierw jedzenie.

Zostawiam komórkę w pokoju i przemykam się przez dom niczym ninja. Mam to przećwiczone, nie chcę rano budzić mamy. Zakradam się do kuchni, żeby porwać batonik z granoli.

Mama siedzi przy stole z Alanem. Staję jak wryty.

Jeśli o czymś rozmawiali, to bardzo cicho. Spoglądają na mnie ze zdziwieniem.

Oboje są w szlafrokach.

Wraca do mnie cały gniew, który splukałem z siebie pod prysznicem.

Mają kawę w kubkach. Na kuchence stoją brudne naczynia, a w zlewie piętrzą się talerze. Czuję jajka i zauważam kilka plasterków boczku leżących na papierowym ręczniku.

Zjedli śniadanie. Beze mnie.

Nie odzywam się ani słowem. Wyjmuję kubek z szafki nad ekspresem i nalewam sobie kawy.

Mama przerywa milczenie.

– Dzień dobry, Declan – wita mnie cichym głosem.

– Cześć. – Wsypuję cukier do kawy.

Alan patrzy na mnie w milczeniu. Olewam go.

– Jesteś głodny? – pyta mama. – Mogę ci coś nałożyć.

Mówi to tak, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy. Jakby do chwili, gdy pojawiłem się w drzwiach, w ogóle nie pamiętała, że tu mieszkam.

– Nie.

Dzwonię łyżeczką, mieszając śmietankę wlaną do kawy, i czuję, jak cisza napiera na moje plecy.

Umieram z głodu, więc z trudem opanowuję pokusę wzięcia ostatnich plasterków boczku.

Kiedy się odwracam, Alan szepcze coś mojej matce na ucho. Nie mam pojęcia, co mówi, ale udaje mu się ją rozśmieszyć.

Wiem, że nie śmieje się ze mnie, ale chętnie bym go walnął. Obrzucam go wściekłym spojrzeniem znad kubka.

– Co robicie w domu?

– Pomyślałem, że zrobię niespodziankę twojej mamie – odpowiada, patrząc mi w oczy – i wziąłem dzień wolnego.

– Zajmiemy się paroma sprawami w domu – dodaje mama. – A potem razem spędzimy popołudnie. Może wybierzemy się do kina.

Stoję przed nimi, bawiąc się wieczkiem kubka. Powinienem iść na górę i zbierać się do szkoły, ale to spotkanie sprawiło, że czuję się, jakbym tracił grunt pod stopami, boję się, że po moim wyjściu całkiem o mnie zapomną.

– Jakimi sprawami?

– Chcę oczyścić taras – wyjaśnia Alan.

Sam mogę to zrobić. Zrobiłbym to, gdyby tylko mama kiedykolwiek o tym wspomniała. Tyle że ona o nic mnie już nie prosi. Alan wszystkim się zajmuje, a jemu na pewno nie zaproponuję pomocy. Za każdym razem zachowuje się tak, jakbym był nieletnim przestępcą, który nie wie, jak trzymać śrubokręt.

– Pełen romantyzm – cedzę przez zęby.

– Romantycznie będzie dopiero wtedy, gdy namówię go, żeby zabrał samochód do warsztatu – mówi mama.

Zaciskam palce na kubku.

– A co się stało z twoim samochodem?

– Z moim – odpowiada Alan. – Muszę wymienić olej.

Wyczuwam w jego głosie jakieś wyzwanie.

Wie, że mógłbym to zrobić. To jedna z tych rzeczy, które zawsze robiłem. Ostatni raz w zeszłym roku w maju, tuż przed weselem.

Tuż przed tym, zanim rozwalilem półciężarówkę ojca i wjechałem na wyboistą drogę porażki i rozczarowań. Nie potrzebują mnie. Alan właśnie to udowodnił.

Chcę mu zetrzeć z gęby ten pełen zadowolenia uśmiech.

Ale nie wdam się w bójkę przy matce.

Tyle przynajmniej mogę zrobić. Nic innego mi przecież nie zostało.

Rozdział szesnasty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: czwartek, 3 października, 06:48:57

Temat: Przeznaczenie

Chcesz wiedzieć, w co wierzę? Wierzę w przeznaczenie, ale również w wolną wolę. To oznacza, że istnieje określona ścieżka, ale mamy prawo z niej zbiec. Problem w tym, że nigdy nie wiadomo, którą drogą właśnie podążamy. Własną? Czy przeznaczenia? Inni ludzie też idą swoimi ścieżkami. Co się dzieje, gdy się przecinają? I co wtedy, gdy ktoś wymaże naszą ścieżkę i nie mamy którejś iść? Czy to przeznaczenie? A może właśnie działanie wolnej woli? A może ta droga tam jest, tylko stała się niewidzialna?

Kto miałby to, do cholery, wiedzieć?

Nie jestem w odpowiednim nastroju do tej rozmowy. Czuję się za bardzo zmęczony. Nikt nie ma ochoty na egzystencjalne tematy przed siódmą rano.

Jedno jest pewne. To nie Ty wpakowałaś swoją matkę do tego auta. Sama dokonała tego wyboru. Albo przeznaczenie zdecydowało za nią.

Liczy się tylko to, że to nie Ty.

Wiem, że pewnie nie podnosi Cię to na duchu. Sporo wiem o gniewie i obwinianiu samego siebie. Możemy się pocieszać wzajemnie, ile wlezie.

To nie ma żadnego znaczenia. Oboje wiemy, co zrobiliśmy.

Nie da się porównywać poczucia winy. A przynajmniej nie powinno się tego robić.

Zajęcia pana Gerardiego nie są obowiązkowe, więc nie ma wychowawstwa, ale wiem z doświadczenia, że zwykle można go znaleźć w jego sali jeszcze przed pierwszym dzwonkiem. W głównym korytarzu tłoczą się uczniowie, którzy robią mnóstwo hałasu, trzaskając szafkami i wymieniając powitania, ale tutaj jest spokojniej.

Dawno nie zjawiłam się w szkole tak wcześnie. Zwykle wpadam do niej tuż przed dzwonkiem. Dzisiaj jednak mam misję, więc przygnałam tu z mokrymi włosami spiętymi w luźny kok.

Każdego innego dnia rozkoszowałabym się spokojem, jaki panuje w skrzydle artystycznym, jednak dziś brakuje mi uczniowskiego gwaru. W ciszy moje myśli pędzą jak szalone, i to zwykle w niewesołych kierunkach. Wciąż myślę o ostatnim mailu.

Nie wiem, czy się na mnie wściekł. Wydaje się, że tak. Przez pół godziny próbowałam rozgryźć ton jego wiadomości. Wydawało mi się, że to niemożliwe, by w jednym mailu dodawał mi otuchy, okazywał współczucie i jednocześnie się na mnie wściekał, ale jakoś udało mu się osiągnąć to wszystko.

Drzwi do klasy są otwarte, więc wchodzę bez pukania. Muszę się spieszyć, zanim znów ogarnie mnie lęk.

Pan Gerardi wygląda na zaskoczonego. Stoi przed nim jakaś uczennica z notesem. Młodziutka. Nie znam jej.

Czuję, że się czerwienię. Nikogo się tu nie spodziewałam.

Nic się nie zgadza. Nie dam rady tego zrobić.

– Przepraszam. – Odwracam się do drzwi. – Ja... przyjdę później.

Pan Gerardi zrywa się z krzesła.

– Zaczekaj, Juliet.

– Nie. To głupie. Spóźnię się na pierwszą lekcję.

– Napiszę ci usprawiedliwienie. Zaczekaj.

Nie czekam. Wychodzę i ruszam w kierunku panującego na korytarzach pandemium.

Znów zawstydzona mnie głos własnej matki. „Trochę więcej odwagi, Juliet”.

W tym właśnie problem. Nie jestem odważna. Nigdy nie byłam. Jeśli mamę można było porównać do fajerwerku, który rozbłyskuje na niebie, to mnie do zapalki, która gasła, nim zdążyła ogarnąć cokolwiek płomieniem.

Myślenie o tym sprawia, że zwalniam kroku. Czyżbym wybrała utartą ścieżkę? A może próbuję się schować za swoją rozpaczą?

Nie podoba mi się żadna z tych możliwości. Odwracam się w stronę sali.

Pan Gerardi stoi w drzwiach. Nie wiem, czy zamierzał za mną iść, czy właśnie miał się poddać. Nie potrafię rozszyfrować wyrazu jego twarzy, wydaje się, że nadzieja miesza się na niej z rozczarowaniem.

Do pewnego stopnia odzwierciedla to mój stan. Bezmyślnie bawię się paskiem plecaka.

– Godzina? – upewniam się słabym głosem.

Kiwa głową, jakbyśmy wrócili do rozmowy sprzed paru minut, a nie z wczorajszego dnia. Nie zmusza mnie do potwierdzenia.

Muszę odchrząknąć.

– I mogę korzystać z pana leiki?

– Właśnie się ładuje.

Kiwam głową, przygryzając policzek. Ból pomaga mi się skoncentrować.

– Przyjdę po ostatniej lekcji.

Rozdział siedemnasty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: czwartek, 3 października, 08:23:05

Temat: Wybór nowej ścieżki

Nie chciałam Cię dzisiaj rano zdenerwować. Wydaje mi się, że masz to wszystko konkretnie ogarnięte, a ja zachowuję się jak debilka, która nie potrafi sobie nawet zawiązać butów.

Ale masz rację. Nie można porównywać poczucia winy. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Zastanawiam się raczej, czy to poczucie byłoby silniejsze, gdybym bardziej za to odpowiadała – ale nie mam pojęcia, jak miałyby to wyglądać. Przecież nie wepchnęłabym mamy pod samochód. Z Twoją siostrą też to przecież tak nie wyglądało, prawda?

Jeśli sprawiłam Ci przykrość, to bardzo przepraszam.

Chciałam Ci powiedzieć, że Twoje uwagi o przeznaczeniu są dla mnie bardzo ważne. Dzięki nim zrobiłam coś niespodziewanego. Nie tylko dla moich znajomych (myślę, że w tej chwili samo moje pojawienie się w szkole jest dla nich zaskoczeniem), ale również dla mnie. Każdy będzie myślał, że to jakiś przełom, jestem tego pewna. Już słyszę, jak mówią: „O, patrzcie, wreszcie się pozbierała”.

Nie wiedzą, jak bardzo jestem przerażona.

To chyba oznacza, że zbaczam ze ścieżki wytyczonej przez przeznaczenie, prawda? Wytyczam własną drogę? Bo tamta ścieżka wydaje się o wiele mniej przerażająca.

Pani Hillard prosi ochotników o przeczytanie wtorkowego zadania. Każdy napisał interpretację wiersza Dylana Thomasa. O ciemności. O zmroku. O alzheimerze.

Czas chyba, żeby ci ludzie się w końcu ogarnęli.

Bazgram coś w zeszycie, odcinając się od reszty klasy.

Twoje uwagi o przeznaczeniu są dla mnie bardzo ważne.

Dzięki tym słowom robi mi się cieplej na sercu.

– Chciałbyś się z nami podzielić swoimi przemyśleniami, Declanie?

Ignoruję nauczycielkę, nie przestając rysować. Kątem oka dostrzegam jej wyczekujące spojrzenie.

– Declan? – powtarza.

W jej głosie nie ma żadnej groźby. Dopuszcza do siebie myśl, że mogłem jej nie dosłyszeć.

To zmusza mnie do odpowiedzi.

– Nie odrobiłem zadania – mówię cichym i ochrypłym głosem.

Jest pierwszą nauczycielką, która się dziś do mnie odezwała.

– Może będziesz potrafił odpowiedzieć z głowy na moje wtorkowe pytanie. Dlaczego Dylan Thomas wydaje się tak zrozpaczony?

Patrzy mi prosto w oczy, jakby rzucając wyzwanie. To przypomina mi o Alanie. Przystaję bazgrać. Pani Hillard nie odwraca ode mnie spokojnego, wyczekującego spojrzenia.

Milczę. Mogę się tak bawić przez cały dzień.

Pozostali uczniowie również stopniowo cichną, wyczuwając narastające napięcie.

Minutę później dociera do mnie, że ona również może w to grać cały dzień. Wszyscy możemy siedzieć w ciszy. Tak jakby kogoś zabołało, że nie usłyszy Andy’ego Sachsa, który powie, że Dylan Thomas rozpacza nad ślepcami niemogącymi dojrzeć światła.

Po lewej słyszę czyjeś ciężkie westchnienie. Jakiś chłopak, ale nie wiem który. Po prawej zaczyna się wiercić jakaś dziewczyna. Ona też wzdycha.

Gapi się na mnie coraz więcej osób. Napięcie przeradza się we wrogość.

Wobec mnie.

Nic nowego.

Pani Hillard podchodzi do biurka po bloczek samoprzylepnych kartek. Pisze coś i przykleja kartkę nad moimi gryzmołami.

„Dlaczego nie zmienisz ich wyobrażenia o Tobie?”

Jej słowa sprawiają, że puls mi przyspiesza. Myślę o wybieranych przez nas ścieżkach. Cementarna Dziewczyna ma rację, to przerażające.

Nie jestem w stanie spojrzeć na nauczycielkę. Odrywam kartkę i formuję z niej kulkę. Ale nie mogę jej wyrzucić. Skubię wystające rogi. Mam wrażenie, że moje płuca zawiązały się w supeł. Język odmawia mi posłuszeństwa.

Chwilę później pani Hillard wraca do biurka. Z westchnieniem odkłada swoją podkładkę z notatkami. Już na mnie nie patrzy, ale w sali nadal panuje cisza. Wszyscy czekają, które z nas ją przerwie.

Wiem, że to będzie ona. Czuję to.

– On się boi. – Z trudem panuję nad głosem, wciąż zaciskając w pięści papierową kulkę. Nie odrywam wzroku od zeszytu. – Jest przerażony. Dlatego rozpacza.

Pani Hillard odwraca się w moją stronę i pyta spokojnym głosem:

– A czego się boi?

– Boi się, że straci ojca. – Mam spocone dłonie i nadal patrzę na swoje bazgroły. – Nie chce, żeby jego ojciec umarł. Pragnie...

Pozwala mi na chwilę oddechu, a potem podejmuje temat:

– Czego pragnie?

– Pragnie, żeby ojciec z tym walczył.

– Śmierć ojca wydaje mu się nieunikniona czy myśli, że można jej zapobiec?

W końcu podnoszę wzrok. Wciąż trzęsą mi się ręce, ale uspokajam się, widząc jej wyraz twarzy. Równie dobrze moglibyśmy być w tej klasie sami.

– Nieunikniona – odpowiadam z wahaniem.

Czeka, czy powiem coś więcej, ale nie jestem pewien, co mógłbym dodać.

Rozlega się dzwonek. Zrywam się z krzesła i pospiesznie pakuję zeszyt do plecaka.

Pani Hillard woła mnie do siebie, ale jestem kłębkiem nerwów. Pozwalam, by tłum pociągnął mnie ze sobą na korytarz, na utartą ścieżkę.

Rozdział osiemnasty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: czwartek, 3 października, 14:38:17

Temat: Niespodzianka

Nie przepraszaaj. Jestem Ci winien podziękowania. Poszedłem w Twoje ślady i zrobiłem coś nieoczekiwanego.

Miałaś rację. To było przerażające.

Zróbmy to jeszcze raz.

Aparat pana Gerardiego jest mniejszy i lżejszy od mojego nikona i muszę się do niego przyzwyczaić. Mama nie przepadała za leicami, była fanką nikonów, a ja odziedziczyłam tę miłość po niej. Leica to jednak świetny aparat. Mama obiecała, że mi go kupi, jeśli dostanie Pulitzera.

To już się nigdy nie stanie.

Na dziedzińcu głośno gra muzyka, dudniący bas wprawia ziemię w drgania. Wszędzie widać uczniów: tańczą w małych grupach i piją napoje z czerwonych plastikowych kubeczków. Po całym terenie szkoły są rozsiane stoliki, zapewniające niezbyt wyszukane rozrywki: malowanie twarzy, jedzenie pasztecików, dekorowanie ciasteczek. Można by pomyśleć, że jesteśmy sześciolatkami. O dziwo, wszystkim się to podoba.

Kryję się w cieniu drzew, w spoconych palcach trzymam plastikową obudowę aparatu.

Jeszcze nie zrobiłam ani jednego zdjęcia.

Przystaje przy mnie Rowan. Policzki ma pokryte niebiesko-białymi zawijasami. Ktoś zaplótł jej warkocze i przywiązał do ich końców pompony. Oczy jej błyszczą. Jest zachwycona tym, że to robię. Napisałam Cmentarnemu Chłopakowi, że Rowan prawdopodobnie ma nadzieję, że ktoś przełączył wtyczkę i zamieniłam się z powrotem w przyjaciółkę, którą pamięta z dawnych czasów.

– Pokaż, co masz – prosi.

– Na razie jeszcze nic – odpowiadam zachrypniętym głosem i odchrząkuję. – Jeszcze nie zrobiłam żadnych zdjęć.

– Ani jednego? – Przystaje się uśmiechać. – Przecież festyn zaczął się dwadzieścia minut temu.

Przestępuję z nogi na nogę.

– Wiem.

– Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia.

Przysuwa się do mnie.

– Chcesz, żebym znalazła pana Gerardiego? Powiem mu, że nie dasz rady.

Przełykam ślinę.

– Nie. Chcę to zrobić.

– Może potrzebujesz natchnienia? – Robi straszną minę, przewracając oczami i wywalając język na bok. – Nie chcesz zrobić mi zdjęcia?

Nie mogę opanować śmiechu.

Tyle że nagle przechodzi on w szloch. Przyciskam palce do powiek.

– Jules... – szepcze Rowan i muska palcami moje przedramiona.

– Nie pamiętam, jak to się robi – mówię.

– Właśnie że pamiętasz.

– Nie. – Oddycham głęboko. Nie chcę płakać. Nie tutaj. Nie teraz. – Wszystko idzie źle. Wszystko jest bez sensu.

Przyjaciółka wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, a potem bierze ode mnie aparat. Kiedy delikatnie zdejmuję pasek z mojej szyi, nagle mogę znów swobodnie oddychać.

Ku mojemu zaskoczeniu zawiesza aparat na swojej szyi.

– Uśmiech, proszę!

– Nie! Ro...

– Za późno.

Odsuwa leicę od oczu, żeby zobaczyć zdjęcie na wyświetlaczu, i marszczy brwi, kiedy zamiast niego widzi tylko jakieś symbole i liczby.

– A gdzie zdjęcie?

– W aparacie. Mogłabyś mi go oddać?

– Nie ma mowy. – Unosi go do oczu i celuje w grupkę dziewczyn z ostatniej klasy, które chichocząc, ustawiają się w rzędzie i równocześnie unoszą nogi.

Słyszę cichutki trzask migawki.

– Ro...

Wykonuje kolejne zdjęcie, tym razem chłopakowi, który przyłożył sobie do twarzy talerz z ciastem z bitą śmietaną. Palce mnie świerzbią, żeby zabrać jej aparat, ponieważ nie powinna robić tego zdjęcia przy takich ustawieniach. Zdaję sobie sprawę z tego, że mnie podpuszcza, ale na pewno równocześnie ma nadzieję, że któraś z tych fotografii rzeczywiście trafi do księgi pamiątkowej. Nie wie, że tak naprawdę na tych zdjęciach będzie widać tylko rozmazane kształty.

– Pan Gerardi się wścieknie, jeśli zobaczy cię z tym aparatem – zauważam. – Kosztował dziesięć tysięcy dolarów.

– Dobra, dobra. – Robi zdjęcie dziewczynie z pomalowaną twarzą.

– Poważnie mówię.

Opuszcza leicę i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Pozwala ci korzystać z aparatu, który jest wart więcej od mojego samochodu?

– Tak. – Wyciągam rękę. – Więc przestań się wygłupiać.

Cofa się o krok.

– Nie oddam ci go, dopóki nie obiecasz, że zrobisz komuś zdjęcie.

– Obiecuję.

Zdejmuje pasek z szyi i ostrożnie wyciąga do mnie aparat. Kiedy go od niej biorę, wydaje mi się cięższy niż przedtem.

Chcę wrócić do cienia, ale Rowan krzyżuje ręce na piersiach.

– Obiecałaś – przypomina.

– Wiem. – Zasycha mi w ustach. – Po prostu się zastanawiam. – Macham ręką. – Idź się bawić. Nie musisz tu ze mną sterczeć.

Gapi się na mnie, po czym unosi ręce.

– To tylko głupi aparat! Po prostu wciśnij guzik!

To coś więcej niż aparat. To potwierdzenie faktu, że mogę robić zdjęcia bez mamy. Ciężko dyszę i przez chwilę wydaje mi się, że zaraz zemdleję. Unoszę leicę i przykładam oko do wizjera. Cheerleaderki wypełniają kadr, właśnie dodają lukier do ciasteczek.

Nie, tak nie może wyglądać moje pierwsze zdjęcie od jej śmierci. Odwracam się, nie zdejmując palca ze spustu migawki.

Z tyłu kilku chłopaków gra w kosza. Przez chwilę zastanawiam się nad tą sceną. Podoba mi się kolory, realistyczność ich gry, tło w postaci starszej części szkoły, popękany chodnik.

To jednak też mnie nie satysfakcjonuje.

Właśnie na czymś takim minęło mi pierwsze dwadzieścia minut festynu.

Zatrzymuję wzrok na dwóch chłopakach siedzących z boku. Jeden nosi granatową bluzę z kapturem i opiera się o betonowy słupek, dzięki któremu samochody nie mogą wjeżdżać na dziedziniec. Kaptur ma naciągnięty na głowę i widzę jedynie zarys jego twarzy.

Kiedy mój wzrok pada na chłopaka siedzącego obok niego, serce zaczyna mi szybciej bić. To Declan Murphy.

Nie myślę o tym. Kręcę pierścieniem obiektywu, robiąc zbliżenie, a potem naciskam guzik.

Rozlega się trzask migawki i oto się dokonało. Zrobiłam zdjęcie.

Czuję się jak po przebiegnięciu maratonu. Palce mam spocone i cała się trzęsę.

Wciskam kilka guzików i zdjęcie pojawia się na wyświetlaczu. Kadruję je w taki sposób, że Declan i jego przyjaciel Rev znajdują się po lewej, a pozostali uczniowie i w ogóle cały festyn po prawej.

Wyszedł mi z tego obrazek obyczajowy z osamotnionymi nastolatkami. Stać mnie na więcej. Robię zbliżenie, wypatrując szczegółów. Szczeka wystająca spod kaptura. Plecaki leżące na ziemi. Declan, który odwraca się, by zadać Revowi jakieś pytanie.

To ostatnie mi się podoba. Odsuwam od siebie aparat, żeby przyjrzeć się tej scenie na wyświetlaczu. Widać, że Declan ufa swojemu przyjacielowi. Po akcji z jego ojczymem domyślam się, że niewiele osób darzy zaufaniem.

– Zdaje się, że miałaś fotografować festyn – zauważa Rowan.

– Wiem – odpowiadam pospiesznie. Poprawiam ustawienia i ponownie kieruję obiektyw na Declana i Reva. – Jeszcze zdążę.

Słońce znajduje się po ich prawej. Wychodzę spod drzewa, żeby świeciło bezpośrednio za nimi. Ta technika to *contre-jour*, czyli oświetlenie tylne. Wiele osób zadowala sam zarys sylwetki, mnie zaś są potrzebne detale.

Unoszę aparat. Promienie słońca świecą za nimi niczym aureola, klóćąc się z ich wyzywającymi minami. Migawka trzaska. Patrzę w dół i manipuluję przy ustawieniach, żeby zobaczyć, jak wyszło.

– Hm... – odzywa się Rowan. – Jules... Poczekaj. – Wciskam kilka guzików i znów unoszę aparat.

Twarz Declana wypełnia wizjer.

Podskakuję, ledwo powstrzymując krzyk. Stoi tuż przede mną, a obok niego Rev.

Declan przygląda mi się uważnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Zrobiłaś mi zdjęcie?

– Tak. Przepraszam. – Całe szczęście, że aparat jest na pasku, inaczej bym go upuściła. – Robię zdjęcia festynu.

– Jesteś fotografką?

Jego głos jest groźny, niemal oskarżycielski. Kręcę pospiesznie głową.

– Nnnie... – jąkam się. – Ja tylko... Dziewczynie, która zwykle to robi, niespodziewanie coś wypadło. Zastępuję ją.

Jego twarz łagodnieje.

– Aha.

– Mogę zobaczyć? – pyta Rev cichym głosem.

Waham się przez chwilę, a potem wciskam kilka guzików, żeby na wyświetlaczu pokazało się ostatnie zdjęcie. Przysuwam aparat do chłopaka.

– Proszę.

Patrzy na ekranik i milczy przez chwilę. Bardzo długą chwilę. Nie jestem pewna, co ona oznacza.

– Fajne – mówi w końcu. – Niezła gra światła.

– Dzięki.

Trochę wyszłam z wprawy, ale muszę przyznać, że rzeczywiście jest niezłe. Włosy Declana lśnią na złoto w promieniach słońca, jego sylwetka jest nieco naświetlona. Twarz Reva ledwo widać pod kapturem, granatowa bluza wydaje się czarna. Wygląda to trochę tak, jakby na naszym szkolnym dziedzińcu wylądowały dwa anioły: jeden światłości, a drugi mroku.

Mroku... Opuszczam aparat i przypatruję się uważnie Revowi.

– Dlaczego ciągle chodzisz w bluzie z kapturem? – pyta go Rowan.

Chłopak spogląda na nią, lecz jego wyraz twarzy się nie zmienia. Trudno mi powiedzieć, czy wprawiła go w zakłopotanie.

– Jest wygodna.

– Dzisiaj mamy dwadzieścia sześć stopni.

Wzrusza ramionami. Ociera się przy tym o mnie i czuję, że pod tą bluzą kryje się naprawdę solidny zestaw mięśni.

Declan pochyla się i patrzy na zdjęcie.

– Skasuj je.

Przyciągam aparat do piersi.

– Nie.

– Dlaczego ma je skasować? – pyta Rowan.

– Dlatego, że tak powiedziałem. – Declan przysuwa się do mnie i wyciąga rękę.

Robię krok do tyłu. Jeśli wahałam się, czy pozwolić Rowan posługiwać się tym aparatem, to tym bardziej nie pozwolę go dotknąć Declanowi.

– Skasuj je – warczy.

Rowan przyciąga mnie do siebie.

– Ona robi zdjęcia do księgi pamiątkowej. Nie może ich kasować – mówi nieco głośniej, niż to konieczne. Pewnie ma nadzieję, że jakiś nauczyciel ją usłyszy i zainterweniuje.

– Tak się składa, że jestem na tym zdjęciu – odpowiada Declan ze złością – więc jeśli jej mówię, żeby je skasowała, powinna to zrobić.

– Co tu się dzieje?

To nie jest głos nauczyciela, tylko Brandona Cho, mojego byłego fotograficznego rywala. Odkąd przestałam chodzić na zajęcia z fotografii, ledwo go widuję, ale muszę przyznać, że wakacje mu posłużyły. Urósł o jakieś dziesięć centymetrów i zrobił się szeroki w barach. Przedtem był chudy i nieco przygarbiony, stanowiąc idealne wyobrażenie hipstera, ale hormony zrobiły swoje. Z przyjemnością patrzę na jego wyraziste kości policzkowe, spiczastą brodę i krótkie, trochę nastroszone włosy.

Aparat ma zawieszony na szyi, do paska jak zwykle przyczepił śmieszne znaczki. Mój ulubiony przedstawiał plemnik podpisany: „To moje stare zdjęcie”, ale nauczyciel kazał mu go zdjąć.

– Czy on ci przeszkadza? – pyta mnie Brandon.

– Nie twoja sprawa, dupku – odpowiada Declan.

Brandon staje przy mnie.

– Lepiej znajdź sobie kogoś innego do dręczenia.

– Kurde, ona zrobiła mi zdjęcie...

– Dec – włącza się Rev. – Nic się nie stało. Odpuść.
– Właśnie że się stało.
– Lepiej, żeby się nie stało – mówi Brandon. – Bo będę musiał zawołać
jakiegoś nauczyciela.
– No, no – śmieje się Declan. – Ale z ciebie chojrak.
Brandon mruży oczy.
– Nie spiesz ci się przypadkiem na rozprawę albo prace społeczne?
Declan rusza w jego kierunku, lecz Rev chwyta go za rękaw i odciąga do
tyłu.
– Chodź, nic tu po nas – mówi.
– Rev, jak Boga kocham...
– Niestety, wcale go nie kochasz. – Chłopak dalej go odciąga. – I prawda jest
taka, że faktycznie zaraz spóźnisz się na prace społeczne. Chodź.
Declan pozwala się prowadzić, ale w pewnej chwili ogląda się za siebie
i patrzy na mnie.
– Skasuj je. Słyszysz? Skasuj.
Odprowadzam go wzrokiem.
Nie skasuję tego zdjęcia.
Nie mam pojęcia, dlaczego aż tak bardzo go ono wkurzyło.
Brandon odwraca się i patrzy na mnie.
– Wszystko w porządku?
Zaschło mi w ustach i serce wali mi jak szalone. W sumie nie wiem, czemu
aż tak bardzo się przejęłam.
– Tak, nic mi nie jest. – Zastanawiam się, czy powinnam mu podziękować.
Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym przenosi wzrok na
aparat.
– Myślałem, że dałaś sobie spokój.
Wzruszam ramionami.
– Pan Gerardi poprosił mnie o przysługę.
– I się zgodziłaś?
Unoszę leicę.
– Przekupił mnie.
Brandonowi błyszczą oczy.
– Farcjara.
Zawsze mnie wkurzał, ale właściwie tylko dlatego, że był równie dobry jak
ja, a może nawet lepszy. Jego dziadek zdobył Nagrodę Pulitzera za fotoreportaż
z wojny w Wietnamie. Pomogło to Brandonowi dostać się w wakacje na
prestiżowy staż w „Washington Post”. Zapytałam mamę, czy nie mogłaby
wykorzystać swoich kontaktów, by i mnie tam przyjęli, ale odmówiła. Stwierdziła,
że lepiej będzie, jeśli dostanę się tam dzięki własnym umiejętnościom.

Teraz się z tego cieszę. Przez całe wakacje unikałam aparatów jak ognia, zamiast tego koncentrując się na chodzeniu na jej grób i zostawianiu listów.

Gdy już ze sobą nie konkurujemy, nagle uświadamiam sobie, że Brandon to całkiem fajny chłopak.

– Dzięki. – Patrzę na niego. – Nie musiałeś tego robić.

– To on nie powinien ci dokuczać.

– Co go tak wkurzyło? – pyta Rowan.

Wzruszam ramionami i spoglądam jeszcze raz na fotografię. Nie ma w niej niczego kontrowersyjnego. To nie jest jakaś fotka potajemnie zrobiona w szatni.

– Nie mam pojęcia.

– A kto to może wiedzieć, co w takim siedzi – prycha Brandon.

Ton jego głosu sprawia, że przyglądam mu się badawczo.

– Znasz go? – pytam.

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Declana Murphy’ego? A skąd. Wiem o nim tyle co wszyscy. – Przerywa i wzrusza ramionami. – Może trochę więcej. Tata czyta na głos policyjne raporty.

– Naprawdę ukradł samochód? – pyta cicho Rowan.

– Tak. Naćpał się, ukradł samochód i rozbił go o filar biurowca.

O rany. Wszyscy nagle milkniemy.

W końcu Brandon pokazuje na mój aparat.

– Masz więcej zdjęć?

– Nie – wyznaję. – Właściwie dopiero zaczęłam.

– Fajnie było znów cię zobaczyć. – Lekko czerwienieje i odwraca wzrok. –

To znaczy... cieszę się, że nie straciłaś kontaktu z fotografią.

– To tylko przysługa.

Znów na mnie patrzy.

– Skoro tak twierdzisz... – Zawiesza głos. – Będziesz robić zdjęcia na balu absolwentów?

– Nie, tylko tutaj.

– A ja tak.

– Aha. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Przyjdziesz? – pyta.

– Na bal? – Patrzę na niego ze zdziwieniem. – Chyba nie.

– Ach tak... – Waha się i przez chwilę bawi się swoim aparatem. – Możesz tam pójść ze mną, jeśli chcesz.

Rowan wstrzymuje oddech i trąca mnie biodrem.

– Zapraszasz mnie? – pytam, marszcząc brwi.

– No... – jąka się, patrząc na mnie – tak jakby. Właściwie będę w pracy. Ale może być fajnie. – Zerka na Rowan. – To nie musi być randka. Możecie przyjść obie. Jeśli chcecie.

Robię krok do tyłu. Nie byłam na to przygotowana. Najpierw emocje związane z aparatem, potem utarczka z Declanem i nagła interwencja Brandona, a teraz to. Nie wiem, co powiedzieć.

Oczywiście „nie”. On zresztą nie spodziewa się mojej zgody, skoro już przygotowuje się do nowego zdjęcia.

Bal? Niby co miałabym tam robić?

Otwieram usta, aby odmówić, gdy nagle przypominam sobie słowa, które napisał Mrok:

Poszedłem w Twoje ślady i zrobiłem coś nieoczekiwanego.

Miałaś rację. To było przerażające.

Zróbmy to jeszcze raz.

– Pewnie – odpowiadam.

Brandon opuszcza aparat i patrzy na mnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Przętykam ślinę. – Ale tylko pod warunkiem, że Rowan pójdzie z nami.

Przyjaciółka otacza mnie ręką w pasie i cicho piszczy.

Taksuję ją wzrokiem.

– Jak widać, przyjdziemy.

Jednak jeśli mam być szczerą, też się czuję, jakbym piszczała.

Tak trochę.

Rozdział dziewiętnasty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: piątek, 4 października, 10:23:05

Temat: Niespodzianka

Wybierasz się na bal absolwentów?

Ja tak.

Szok, co? Przynajmniej dla mnie. Szokiem jest to, że zgodziłam się pójść. Ktoś mnie zaprosił, a ja się zgodziłam.

To przez Ciebie. Nie powiedziałabym „tak”, gdyby nie Twoje wyzwanie, żeby zrobić coś niespodziewanego. Teraz muszę kupić sobie sukienkę, a nie jestem nawet pewna, czy lubię chłopaka, z którym idę. Przez ostatnie trzy lata strasznie mnie wkurzał.

Robienie niespodziewanych rzeczy wytrąca mnie z równowagi.

Kiedy oświadczyłam tacie, że idę na bal absolwentów, zrobił taką minę, jakby miał atak serca. Potem podał mi kartę kredytową i powiedział, żebym kupiła sobie, co chcę. Dodał nawet, że cena nie gra roli, a przecież wcale nie śpimy na pieniądzach.

Chyba mu ulżyło, że staję się normalną nastolatką. Czuję się jednak trochę jak oszustka. Jestem jak balon, który czeka, aż ktoś go przebije, żeby mógł pęknąć, zostawiając na ziemi smętny kawałek plastiku. Powinnam się cieszyć, że mam okazję kupić nową kieckę i iść do fryzjera, ale naprawdę mnie to nie obchodzi. Moja najlepsza przyjaciółka zapytała, czy jest mi przykro, że nie ma z nami na zakupach mojej mamy (poszłam z nią i jej mamą), ale nie o to chodzi. Moja mama nigdy nie robiła takich rzeczy, nawet jeśli akurat była w domu. W jedenastej klasie zobaczyła moją sukienkę tydzień po balu, kiedy zrobiłam jej zdjęcie i wysłałam je mailem. W ogóle tego nie skomentowała.

Kiedy myślę o jej życiu, moje zamartwianie się o te drobiazgi wydaje się nieistotne. Mama dokumentowała prawdę. Pokazywała, czym jest wojna, ludziom, którzy najchętniej przewróciliby kartkę, żeby dowiedzieć się, co ciekawego dzieje się w Hollywood. Zmieniała świat.

A co robię ja? Kupuję sukienkę?

Wciąż mi się wydaje, że byłaby mną rozczarowana. Tak bardzo przejmuję się tym wyjściem na bal, że jestem na skraju załamania nerwowego.

Proszę, powiedz, że tam będziesz. Wiem, że się nie znamy, ale lepiej się poczuję, wiedząc, że nie jestem jedyną osobą na parkiecie, która ma problemy ze sobą.

Zwłaszcza że pokazałeś mi, że mogę być normalna.

Przynajmniej przez chwilę.

Pieką mnie usta. Kristin, mama Reva, lubi eksperymentować z kuchniami świata. W tym miesiącu wzięła na tapetę Tajlandię. Na stole stoją półmisek z kluskami w pikantnym sosie orzechowym, miska gulaszu z curry, talerz z massaman curry z kurczakiem i różne pieczone warzywa z przyprawami. Mam ochotę na dokładkę, ale postanawiam pobudzić kubki smakowe trochę później.

Przychodzę do nich na kolację w każdy piątek. Zaczęło się, gdy Alan postanowił, że w piątkowe wieczory będziemy jadałi rodzinne kolacyjki. Nie chciałem w tym uczestniczyć. Dlatego w tej chwili piątki są zarezerwowane dla mamy z Alanem, podczas gdy ja jem tutaj.

I wszyscy są zadowoleni.

Nie powiedziałem Revowi o mailu od Cmentarnej Dziewczyny.

Czytałem go tyle razy, że znam go na pamięć. Jeszcze nie odpisałem.

Pokazałeś mi, że mogę być normalna.

Podobnie jak rano również tym razem te słowa sprawiają, że się uśmiecham.

Od bardzo dawna nikt mi nie powiedział, że nadaję się do czegoś więcej niż do zamknięcia w celi.

Rodzice Reva wciąż opiekują się dziewczynką. Mała siedzi przy stole na wysokim krześle, wyjadając z talerza kawałki poszarpanego kurczaka i pokrojonych klusków. Ma na imię Babydoll – serio. Wiem, że lepiej tego nie komentować. Kristin uważa, że dzieci nie odpowiadają za fantazje rodziców, i nigdy nie pozwala wyrażać się negatywnie o tych, które ma pod opieką, nawet jeśli są one tak małe, że i tak nie mają pojęcia, o czym mówimy.

– Coś ty dzisiaj taki milczący, Declan? – pyta Kristin.

– Zamyśliłem się – odpowiadam.

Korci mnie, żeby wybrać się na ten bal absolwentów. Od początku szkoły nie byłem na żadnej zabawie i aż do 10.23 dziś rano nie miałem zamiaru tego zmieniać.

– Myślisz o czymś ciekawym?

Wzruszam ramionami i zmuszam się do podjęcia jakiegoś bezpiecznego tematu.

– Nie wiedziałem, że można karmić małe dziecko tajską kuchnią.

Babydoll wkłada sobie garść jedzenia do ust i macha radośnie nogami. Gaworzy z pełnymi ustami i połowa jedzenia ląduje z powrotem na talerzu. Kristin wyciąga makaron z jej włosów.

Geoff nakłada sobie trochę ryżu kokosowego i dodaje do niego wołowinę.

– A czym twoim zdaniem karmi się dzieci w Tajlandii? – pyta.

Pokazuję na niego pałeczkami.

– Punkt dla ciebie.

Na twarzy Reva pojawia się uśmiech.

– Pewnie właśnie jakiś chłopak w Bangkoku patrzy, jak jego mama dzieli na

małe kawałeczki hamburgera, i mówi: „Nie wiedziałem, że można karmić małe dziecko amerykańskim jedzeniem”.

– Cóż... – wzdycha Geoff. – Jeśli chodzi o różnice kulturowe...

– To był żart – przerywa mu Rev, przewracając oczami.

Geoff jest wykładowcą w college’u i czasami wydaje się chodzącą encyklopedią.

Kiedyś Kristin powiedziała, że widziała wczesną wiosną drozda, i spędziliśmy pół godziny, słuchając wykładu Geoffa na temat migracji ptaków.

– Zdejmij tę tweedową marynarkę wykładowcy, kochanie – zakpiła Kristin.

– Jemy.

– A nie możecie jeść i jednocześnie się uczyć?

– Jak się czuje twoja mama? – pyta mnie Kristin, ignorując męża i dzieląc kawałki kurczaka dla dziecka.

Patrzę na nią ze zdziwieniem.

– Chyba dobrze.

– W ostatni weekend wpadliśmy na siebie w sklepie i wspominała, że z jej samopoczuciem nie jest najlepiej. Myślałam, że może coś się stało.

– Nie. – Nabieram ryż pałeczkami i ładuję go sobie do ust. – Wczoraj świetnie się bawili z Alanem, czyszcząc taras.

– To dobrze – odparła Kristin.

– Naszemu tarasowi też przydałoby się czyszczenie – włącza się Geoff. – Może powinienem wynająć...

– Chcesz iść na bal? – pytam Reva.

Kristin i Geoff milkną raptownie i gapią się na mnie.

Rev unosi pałeczkami kawałek kurczaka.

– Pod warunkiem, że włożysz tę czerwoną kieckę z cekinami, którą lubię.

– Cicho bądź, mówię poważnie.

Rev patrzy na mnie z ukosa.

– Chcesz iść na bal absolwentów?

– Z Revem? – dodaje Geoff.

Mężczyzna zamarł z ręką uniesioną w połowie drogi między talerzem a ustami. Prawie widzę trybiki obracające się w jego głowie. Zabawne. Nie jest homofobem. Pewnie po prostu zastanawia się, jak mógł przegapić oznaki naszego homoseksualizmu.

– Nie z Revem. – Kaszlę, żeby stłumić śmiech, i rozgarniam pałeczkami jedzenie na talerzu. – Znajoma pytała, czy przyjdę.

Rev unosi brwi.

– Kto?

Waham się chwilę. W końcu wyjmuję z kieszeni komórkę, odblokowuję ekran i mu ją podaję.

Czyta, po czym ją oddaje.

– Dobra.

Tym razem ani chwili wahania. To między innymi dlatego tak bardzo go uwielbiam.

– Coś przegapiłam? – pyta Kristin. Nakłada łyżkę ryżu na tackę przy wysokim krześle małej, a Babydoll natychmiast nabiera go na rękę i wpycha sobie do ust.

– A wolno ci iść na ten bal? – pyta Geoff.

W jego głosie nie pobrzmiwa upomnienie, po prostu przypomina mi o moich ograniczeniach.

– Tak. – Wbijam wzrok w talerz i nabieram kolejny kawałek kurczaka. – W końcu to impreza szkolna.

– Co to za dziewczyna? – pyta Kristin.

Z przerażeniem uświadamiam sobie, że czerwienieję.

– Taka jedna... – Idę w ślady dziecka i też ładuję sobie jedzenie do ust. – To nic takiego.

– Jasne – mówi Rev i przewraca oczami. – Gdyby to było faktycznie „nic takiego”, nie wyciągałbyś mnie na pierwszy bal w mojej szkolnej karierze.

Wpatruję się w niego, zastanawiając się, czy oprócz kpiny nie słyhać nutki zaniepokojenia. Staram się nadać swojemu głosowi poważny ton.

– Nie musisz iść, jeśli nie chcesz.

Żuje w zamyśleniu, po czym przełyka.

– Chcę. – Zerka na moją komórkę i się uśmiecha. – Może też chcę zrobić coś niespodziewanego.

Rozdział dwudziesty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: piątek, 4 października, 18:36:47

Temat: Bal absolwentów

Spokojnie, Cmentarna Dziewczyno, będę.

Szkolna sala gimnastyczna wygląda jak sala weselna. Wszędzie wiszą srebrne i niebieskie balony, rozety z krepiny i serpentyny. Nie pamiętam, żeby była tu kula dyskotekowa, ale może z okazji balu wyciągnięto ją z magazynu. Straszna wiocha, ale w sumie podobają mi się te malutkie lustreczka, które rzucają snopy światła w ciemnej sali.

Brandon będzie musiał poświęcić mnóstwo czasu, żeby zrobić tu jakieś nadające się do czegoś zdjęcia.

Nie przyjechaliśmy razem. Strasznie mnie przepraszał, ale okazało się, że musi obfotografować członków komitetu organizacyjnego podczas ostatnich przygotowań do balu, więc powinien być na miejscu półtorej godziny wcześniej. Pytał, czy nie chciałabym do niego dołączyć, ale jak na mój gust byłaby to lekka przesada.

A poza tym musiałam jeszcze kupić sukienkę.

Nigdzie go nie widzę. Rozglądam się dookoła, wczepiona kurczowo w Rowan.

To znaczy idę obok niej. Jednak w duchu ściskam ją mocno za rękę.

Kiedy weszłam do sali, muzyka zmiażdżyła mi bębunki słuchowe. Zdążyłam jednak już się przyzwyczaić. Jednostajny rytm w połączeniu z błyskającymi światłami dostarcza tak piorunujących doświadczeń zmysłowych, że nie ma już miejsca na niepokój. Przyłapuję się na tym, że wśród błysków światła padających na nieznajome twarze szukam Mroka. To może być każdy.

Rowan nachyla się do mnie.

– Szukasz Brandona?

W życiu.

– Tak. Widziałaś go gdzieś?

– Nie. Chodź do stołów z jedzeniem, może tam będzie.

Stoły z jedzeniem. Super.

Z tyłu sali stoi sześć długich stołów nakrytych na przemian to niebieskimi, to białymi obrusami. Za nimi włączono dyskretne światła – tak dyskretne, że widzi się to, co się ma przed sobą na talerzu, ale niewiele więcej. Na jednym ze stołów stoją dwie misy z ponczem, przy których pełni straż nauczyciel, oraz trzy ogromne półmiski z ciastami.

Na pozostałych dostrzegam butelki wody, batoniki i paczki chipsów, ale

trzeba za nie płacić, więc decyduję się na kubek ponczu. Unoszę go do ust i odwracam się, chcąc znów przyjrzeć się tłumowi.

I wtedy krztuszę się i o mało nie opluwam Declana Murphy'ego.

W jednej chwili puls gwałtownie mi przyspiesza. Ciągłe jeszcze nie mogę mu darować tego, jak się zachował poprzedniego dnia, i z ledwością powstrzymuję się od przyłożenia mu w twarz.

Albo ucieczki.

Chciałabym powiedzieć, że marnie wygląda, ale to nieprawda. Widać, że spędził sporo czasu w łazience i nie żałował mydła ani maszynki do golenia, bo pachnie świeżością, a jego twarz jest gładka jak pupcia niemowlęcia.

Na balu absolwentów obowiązuje strój wieczorowy. Nie spodziewałabym się po nim, że włoży coś konwencjonalnego, a jednak. Ma na sobie białą koszulę, spodnie koloru khaki i krawat w zielono-niebieskie paski. Podwinął już rękawy i rozpiął guzik przy szyi, a włosy ma nieco za długie, ale przynajmniej się uczesał. Wygląda jak niegrzeczny chłopiec, którego mama ubrała do fotografii.

Robię wszystko, by spowolnić bicie serca.

– Śledzisz mnie? – pytam.

– Jasne – odpowiada głosem niskim, cichym i pełnym sarkazmu. – Śledzę cię przy stole z jedzeniem.

Próbuje mnie ominąć.

– Chcesz dolać gorzały do ponczu? – pytam.

Przypomina mi w tej chwili psa na chwilę przed ugryzieniem. Nie warczy, ale kącki ust ma opuszczone, a mięśnie napięte.

Nie powinnam nic mówić. A już zwłaszcza czegoś takiego. Już tego żałuję. Ten chłopak sprawia, że muszę atakować pierwsza, wyprzedzić jego cios.

Cofa się, żeby mi się przyjrzeć. Jego spojrzenie jest lodowate, choć ton głosu się nie zmienia.

– A jeśli tak, to co? – pyta. – Powstrzymasz mnie?

– Nie – odpowiada Rowan, stając obok mnie. – Ale możemy powiedzieć nauczycielowi.

– Śmiało. – Przechodzi obok mnie, rzuca dwa dolary na stół z lewej, po czym odchodzi z dwiema butelkami wody.

Obie patrzymy w ślad za nim.

– Co z tym gościem jest nie tak? – wzdycha Rowan. – Dlaczego zachowuje się ciągle jak ostatni palant?

Piję łyk ponczu. Jest za słodki, a może to ja jestem zbyt zgorzkniała.

– Nie byłam dla niego zbyt miła – zauważam.

– Po tym, jak potraktował cię wczoraj, miałaś do tego pełne prawo.

Nie spuszczam go z oczu. Zatrzymuje się w ciemnym kącie. Podaje komuś butelkę. Po chwili rozpoznaję tę osobę i unoszę brwi ze zdziwienia.

– Jego kumpel nie jest dziś zakapturzony – mówię.

– No proszę – odpowiada Rowan. – To Rev Fletcher może normalnie wyglądać? – Przerywa, a kiedy odzywa się ponownie, w jej głosie pobrzmiwa nutka uznania. – W sumie nawet lepiej niż normalnie. Całkiem przystojny z niego gość. Jak myślisz, dlaczego ciągle ubiera się jak Unabomber?

– Kto się ubiera jak Unabomber? – rozlega się głos za nią.

Odwracam się i widzę Brandona z aparatem w rękach. Ma na sobie kamizelkę i spodnie od ciemnografitowego garnituru, a do tego jaskrawoniebieskie converse'y, czarną koszulę i czerwoną muchę. Każdy inny wyglądałby w tym stroju śmiesznie, jednak on daje radę. Powiedziałabym, że jest ekscentryczny, a zarazem przystojny.

Przygląda się nam z uznaniem.

– Świetnie wyglądacie – stwierdza.

Czerwienieję ze wstydu. Moja sukienka to nic nadzwyczajnego, po prostu czarny kawałek materiału bez ramiączek, który kończy się nad moimi kolanami, ale biorąc pod uwagę krzykliwy strój Brandona, cieszę się, że przyszedłam w czymś skromnym.

– Ty też – odpowiadam.

– Masz do tego zegarek kieszonkowy? – pyta Rowan.

– Pewnie, że tak. – Brandon unosi aparat do oczu. – Zbliżcie się.

– Nie ma mowy. – Usiłuję wyjść z kadru, ale Rowan przyciąga mnie do siebie.

– Musimy to jakoś upamiętnić – wyjaśnia.

– Niby co chcesz upamiętniać? – dziwię się. – To, że stoimy przy stole z jedzeniem?

– To, że jesteś w ostatniej klasie – mówi Brandon. – To twój ostatni bal absolwentów w liceum. Nie chcesz mieć zdjęcia z najlepszą przyjaciółką?

– Ja chcę – stwierdza Rowan.

To mi wystarcza. Zrobię to dla niej. Zmuszam się do uśmiechu.

Brandon cofa się o kilka kroków.

– Postaraj się nie wyglądać tak, jakby ktoś cię mordował, Juliet.

Korci mnie, by pokazać mu środkowy palec, ale przecież tylko żartuje. Wszyscy tutaj dobrze się bawią. Ja też powinnam.

Może przynajmniej będę udawać. Obejmuję Rowan w pasie i przyciągam ją do siebie.

Opiera głowę o moją.

– Jestem z ciebie dumna – szepcze. – Wiem, że się do tego zmuszasz.

Ogarnia mnie wzruszenie i oczy zachodzą mi łzami.

Brandon opuszcza aparat.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Udaje mi się powstrzymać płacz. Przykładam do oczu serwetkę, zanim łyzy zdążą do reszty zniszczyć mi makijaż.

– Tak. Głupia jestem, to wszystko.

– Wcale nie jesteś głupia – protestuje Rowan, też biorąc serwetkę i wycierając te miejsca na mojej twarzy, które przegapiłam.

– Jesteś niesamowita, odważna i...

Odsuwam jej rękę, po czym obejmuję ją za szyję i przytulam. ^[P]_[SEP]Przestań – mówię łamiącym się głosem. – Przestań, Ro. Wcale taka nie jestem. Przepraszam, że jestem taką złą przyjaciółką.

– Nie jesteś złą przyjaciółką – odpowiada. – Nigdy nie byłaś.

Oślepia mnie lampa błyskowa. Cofam się i pociągam nosem.

– Super – mówię Brandonowi. – Właśnie tę chwilę chciałam zachować na zawsze. Chwilę, gdy na balu absolwentów miałam rozmazany makijaż.

Wciska kilka guzików i odwraca do mnie aparat.

– A co powiesz o chwili, gdy dwie przyjaciółki wspierają się nawzajem?

Patrzymy z Rowan na wyświetlacz. Brandon uchwycił nas w momencie, gdy stałyśmy objęte z zamkniętymi oczami, a na naszych rzęsach uformowały się łyzy. Nawet na tym małym ekraniku widać, że zdjęcie aż buzuje od emocji. Świetna fotka.

– Naprawdę masz talent – mówię. W zeszłym roku szkolnym był niezły, jednak obecnie jest o poziom wyżej. – To zdjęcie będzie się marnować w księdze pamiątkowej.

– Dzięki – prycha. – W sumie masz rację. Połowa chłopaków z naszej klasy zauważy tylko, że wasze piersi się dotykają.

– A ty? Ty też tylko na to zwróciłaś uwagę?

– Może... – odpowiada z krzywym uśmiechem. – Może...

Flirtuje ze mną. Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć tym samym. Uśmiecham się, ale pewnie tak samo jak wtedy, gdy powiedział mi, że wyglądam, jakby ktoś mnie mordował. Czuję pustkę w środku.

Zastanawiam się, czy jeśli zacznę udawać uczucia, w końcu w nie uwierzę? Trochę się boję, że się pogubię i zapomnę, co jest prawdą.

– Będiesz robił zdjęcia przez całą imprezę? – pytam.

– Mogę robić sobie przerwy.

– Chcesz zatańczyć?

Słowa padają z moich ust, zanim uświadamiam sobie, co właściwie mówię. Chyba po prostu nie chciałam już gadać o fotografiach.

Otwiera szeroko oczy, a potem się uśmiecha.

– Pewnie, że tak.

Biorę przyjaciółkę za rękę.

– Ro zatańczy z nami.

– Mowy nie ma – syczy. – Jesteś na randce, Jules...

Widząc jednak moją minę, przestaje protestować.

– Mam nadzieję, że lubisz trójkąty – rzuca kpiąco do Brandona.

– Czy ja wyglądam, jakbym się skarżył?

Wciskamy się w tłum. Temat przewodni balu brzmi „Z piosenką przez lata” czy jakoś tak, równie beznadziejnie, dlatego didżej serwuje nam zarówno najnowsze hity, jak i stare przeboje, sięgając aż do lat sześćdziesiątych. Jest jednak całkiem niezły, starociom nadał nowoczesny bas i rytm. W tej chwili tańczymy do *It's My Party*.

Nie jestem jakoś wyjątkowo dobrą tancerką, ale sobie radzę. Cieszę się, że piosenka jest na tyle szybka, że nie muszę tańczyć w parze z Brandonem. Włosy mam spięte, ale dałam za mało spinek i kilka kosmyków zwisa luźno. Nieważne. Przynajmniej moja fryzura pasuje teraz do makijażu.

Muzyka jest na tyle głośna, że udaje mi się zanurzyć w rytmie. Brandon kilka razy wyciąga do mnie rękę, ale się odsuwam. Cieszę się, że nie nalega. Przenosi uwagę na Rowan, która się nie wyrywa. Obraca nią tyle razy, że dziewczyna wybucha śmiechem. Ma na sobie białą sukienkę bez ramiączek ze srebrnymi paciorkami na górze. Dół jest wykonany z szyfonu i sięga za kolana. Rozszerza się przy każdym jej ruchu.

Brandon to dobry chłopak. Żałuję, że nic do niego nie czuję.

To znaczy czuję. Wdzięczność. Zaprosił mnie na bal, dał szansę powiedzenia „tak”.

Jednak to nie jest ten chłopak, któremu powiedziałabym „tak” bez najmniejszego wahania.

Ponownie rozglądam się po sali. Napisał, że tu będzie. Otaczają mnie setki uczniów, a mimo to jestem samotna. Przed załamaniem ratuje mnie tylko świadomość, że musi być gdzieś tutaj.

Czy w ogóle tańczy? Nie sędzę, choć nie mam stuprocentowej pewności. Wydaje mi się, że wiem o nim wszystko, ale w rzeczywistości w ogóle go nie znam.

Piosenka się kończy. Kolejna jest bardziej współczesna, w naprawdę szybkim rytmie. Rowan i Brandon wygłupiają się przez cały utwór, a gdy dobiega końca, ona zaczyna chichotać i na niego wpada. Chwyta ją z uśmiechem na ustach i podtrzymuje.

Patrząc na nich, dochodzę do wniosku, że zaprosił na bal niewłaściwą dziewczynę.

Wachluję się ręką.

– Muszę się napić. Bawcie się dalej.

Brandon poważnieje.

– Dobrze się czujesz?

– Tak! Po prostu zachciało mi się pić.

Rowan podchodzi do mnie.

– Przepraszam. Dałam się ponieść i zniszczyłam ci randkę.

– Nie! – Kładę ręce na jej ramionach. – Wydaje mi się, że mu się podobasz.

Dam wam kilka minut sam na sam.

– Ale on zaprosił ciebie...

– Ro, uwierz mi, nie jestem nim zainteresowana. Powtarzałam ci to cały rok za każdym razem, kiedy mówiłaś, że powinnam się z nim umówić... – Przerwywam raptownie. – Jezu, Ro, czy on ci się podoba? Powiedz?

Czerwienieje, a oczy zaczynają jej błyszczeć.

– Nie, no co ty! No, może trochę. Fajnie się bawimy. Jest naprawdę zabawny.

Odwracam ją i delikatnie popycham w kierunku Brandona.

– Idź, zatańcz z nim. Tworzycie piękną parę.

Rusza, ale po chwili odwraca się do mnie.

– Idź – mówię bezgłośnie i odganiem ją rękami.

Brandon wygląda na zaniepokojonego. Uspokaja się dopiero po wysłuchaniu wyjaśnień Rowan.

Schodzę z parkietu i kryję się w cieniu za trybunami. Przy wyjściu awaryjnym jest zaułek, do którego nie dochodzi światło. To jedno z niewielu takich miejsc w sali gimnastycznej. Mam wrażenie, że kryję się w jaskini, z której mogę oglądać prawdziwy świat.

– Nie chciałbym cię przestraszyć... – rozlega się głos za mną.

Wciągam gwałtownie powietrze i się odwracam.

Ktoś stoi w cieniu. Sądząc z postury, raczej chłopak, ale nic nie widać w tym kącie. Śmieje się cicho.

– Chyba mi się nie udało. – Przysuwa się do mnie na tyle, że światło pada na jego twarz. To Rev, kumpel Declana. – Po prostu nie chciałem, żebyś myślała, że nikogo oprócz ciebie tutaj nie ma.

– Nic się nie stało. – Przełykam ślinę, usiłując się uspokoić. Przypominam sobie tę chwilę na dziedzińcu, gdy on i Declan wyglądali jak dwa skrajnie różne anioły. – Dlaczego się chowasz?

– Wcale się nie chowam. – Zerka na tłum, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Po prostu chciałem przez chwilę odpocząć od tego hałasu i światła.

– Ja też.

– Tak?

– Tak. – Przechodzi mnie dreszcz.

Rev marszczy brwi.

– Zimno ci?

– Trochę. – Milknę na chwilę. – To bardzo dziwny wieczór.

Uśmiecha się cierpko.

– Dlaczego tak mówisz?

Ma spokojny sposób bycia. Przypominam sobie, jak Rowan wcześniej zastanawiała się, dlaczego zawsze ubiera się jak Unabomber. Powiedział, że się tu nie chowa, ale chyba robi to cały czas, tylko w inny sposób. Włosy ma za długie i zakrywają mu pół twarzy, ale błyszczą. W odróżnieniu od Declana nie ogolił się. Koszulę ma zapiętą na ostatni guzik, a krawat porządnie zawiązany. Wygląda jak gwiazda rocka, której kazano pójść na rozmowę w sprawie pracy.

Nie muszę odpowiadać na jego pytanie, jednak, nie wiedzieć czemu, czuję taką potrzebę.

– Kazałam przyjaciółce zatańczyć z chłopakiem, który mnie tu zaprosił. Na dodatek powiedziałam jej, że tworzą piękną parę.

Uśmiecha się, słysząc, że mówię to bez złośliwości.

– Jak na to zareagował ten chłopak?

– Chyba bardzo dobrze. To znaczy wciąż z nią tańczy. – Przerывam na chwilę. – A ty jesteś tu z kimś?

Waha się chwilę.

– Tak, ale to nie randka. – Wpatruje się w ciemność za sobą. – Gram rolę skrzydłowego.

– Dla kogo? Dla mroku?

Uśmiecha się.

– Nie. Dla Deca. Wyszedł na dwór na fajkę.

Patrzę w ciemność. Nic dziwnego, że czuję przeciąg. Drzwi są uchylone. Przez szparę wpada smuga przyćmionego światła.

Przenoszę wzrok na Reva.

– Wymknął się na dymka?

– A twoim zdaniem nauczyciele pozwoliliby mu tu zapalić?

Jestem porażona tym naruszeniem szkolnych przepisów.

A także zazdrosna.

Mijam Reva i otwieram drzwi. Declan stoi tuż za nimi. Przestraszony, wyrzuca papierosa, zanim mnie rozpoznaje.

Jego wzrok znów staje się lodowaty.

– I kto tu kogo śledzi? – pyta kpiąco.

Zabraniam swoim policzkom się czerwienić, ale mnie nie słuchają.

– Nikt ci nigdy nie powiedział, że palenie zabija?

– Serio? Nie wiedziałem. Powinni to napisać na pudełku.

Wyjmuje kolejnego papierosa i wkłada go do ust.

– Jak ci się w ogóle udało przez nie wyjść? Czy otwarcie tych drzwi nie włącza alarmu?

– Nie. Odkąd trzy lata temu Ricky Allaverde je odłączył, nikt nie wpadł na

to, żeby je podłączyć z powrotem. – Zaciąga się, po czym wydmuchuje smugę dymu. – Jeśli zamierzasz komuś o tym powiedzieć, pamiętaj: będę wiedział, że to ty.

Te słowa same w sobie nie są przerażające, ale chłód w jego głosie sprawia, że przechodzą mnie ciarki. Krzyżuję ręce na piersiach.

– Nikomu nie powiem. Nie jestem taka.

Śmieje się z goryczą.

– Pewnie, że jesteś.

Twarz wciąż mnie piecze. Nie mam do końca pewności, co takiego wyciągnęło mnie za te drzwi. Po jednostajnym rytmie basu w sali gimnastycznej cisza panująca za budynkiem czyni tę rozmowę o wiele bardziej intymną, niż powinna być.

– Co tu robisz? – pyta.

– Chciałam uciec na chwilę przed hałasem.

Wciążą dym, sprawiając, że koniuszek papierosa czerwienieje.

– Gdzie twoja przyjaciółka?

– Tańczy.

– Z tym palantem z aparatem?

Wpadam w złość.

– Brandon wcale nie jest palantem.

Declan wybucha śmiechem.

– Taa, jasne.

– W przeciwieństwie do ciebie.

Wypuszcza dym przez zęby i przeszywa mnie wzrokiem. Niespodziewanie przybliża się do mnie i mówi ochrypłym niskim głosem:

– Nic o mnie nie wiesz.

W ustach mi zasycha, jego bliskość zbija mnie z tropu do tego stopnia, że mówię bez zastanowienia:

– Wiem, że jesteś przegrywem z kartoteką.

Pochmurnieje i momentalnie zaczynam żałować swoich słów. Rzucam niedopałek na ziemię i przydeptuje go obcasem. Nie patrząc na mnie, rusza do drzwi.

Jak mu się udaje napęłnić mnie tak wielkim poczuciem winy, mimo że nie mówi ani jednego słowa? Jak?

Wychodzi tak szybko, że w ostatniej chwili uświadamiam sobie, że zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Rzucam się do nich i nagle atakują mnie wirujące snopy światła i głośna muzyka. Piosenka przechodzi płynnie w heavymetalową balladę z lat osiemdziesiątych. Dźwięk gitar działa mi na nerwy. Declan i Rev idą w głąb sali.

– Stój! – krzyczę.

Idzie dalej.

– Zaczekaj – mówię zdyszczanym i niepewnym głosem. – Daj mi...

– Co? – Odwraca się do mnie z groźną miną.

Nie dam rady. Przeprosiny więzną mi w gardle.

– Lepiej wracaj na parkiet, księżniczko. – Słowa Declana są pełne lodowatej pogardy. – Chyba nie chcesz, żeby ktoś zauważył, że zadajesz się z przegrywami.

Oczy mnie pieką. Wszystko poszło nie tak.

Nie powinnam była tu przychodzić.

Odwracam się i wybiegam przez drzwi prosto w noc.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: piątek, 4 października, 22:06:47

Temat: Wisisz mi przysługę

Mam nadzieję, że bawisz się lepiej niż ja.

Cmentarz jest pogrążony w ciszy. Z powodu pochmurnego nieba między nagrobkami zalega ciemność. Znalazłam drogę do grobu mamy jakąś godzinę temu. Nie wymagało to wysiłku – przychodzę tu tak często, że mogłabym pokonać tę drogę z zamkniętymi oczami.

Początkowo wydawało mi się, że zniosę zimno, jednak jestem zmarznięta. Powietrze jest chłodne i wilgotne, zanoszą deszcz. Zabiłabym za bluzę.

Ironia losu, biorąc pod uwagę, że stoję pośrodku cmentarza, gdzie i tak wszyscy ludzie wokół mnie są martwi.

Uśmiecham się na tę myśl, ale już po chwili poważnieję. Tak naprawdę to wcale nie jest śmieszne.

Większość osób bałaby się zapuścić tak późno na cmentarz. Jedna z moich koleżanek z klasy wciąż nie wchodzi do ciemnej łazienki, bo się boi duchów.

Ja jednak spędziłam tu zbyt dużo czasu, żeby przejmować się takimi głupotami. Wiem, że z ziemi nic się nie wynurzy – nawet robaki, przynajmniej nie o tej porze roku. Nocami ziemia jest zmarznięta.

Jeśli posiedzę tu jeszcze trochę, ja też zmarznę.

Nie mogę jednak odejść.

Choć nie mogę również napisać do mamy. W torebce mam tylko komórkę, prawo jazdy i klucze. Czuję wyrzuty sumienia, bo uświadamiam sobie, że nie napisałam do niej ani słowa od tygodni, odkąd zaczęłam korespondować z Mrokiem.

Udaje mi się zwalczyć poczucie winy. Przecież mamie wcale nie brakuje tej mojej pisaniny.

Nie mam pewności, co właściwie tu robię. Wsiadłam do samochodu i ruszyłam po prostu przed siebie. Kiedy tu dojechałam, zaesemesowałam do Rowan, żeby się nie martwiła. Zmartwiona Rowan oznaczałaby zaalarmowanych rodziców i wezwanie policji. Napisałam jej, że źle się poczułam, i poprosiłam, żeby wróciła do domu z Brandonem.

Kiedy zapytała, czy dojechałam do siebie, odparłam, że tak.

To znaczy kiedyś faktycznie tam dojadę.

Sunę palcami po napisie na nagrobku: *Zoe Rebecca Thorne*. Wiem, że to nazwisko miało dla niej znaczenie, ale teraz, gdy odeszła, żałuję, że nawet to nas nie łączy. Nikt, kto spojrzy na ten grób, nie skojarzy go ze mną.

Nikt nie kojarzył nas również za jej życia. Czułam się szczęśliwa, że spadają na mnie chociaż okruchy jej talentu.

Nagły ból ściska mi gardło. Nie mogę oddychać. Tak bardzo za nią tęsknię. Oddałabym wszystko za choćby jedną rozmowę. Za jedną chwilę.

Myślę o mailu, który właśnie przeczytałam.

Mam nadzieję, że bawisz się lepiej niż ja.

Cóż, nie wiem, jak jemu mija ta noc, ale ja jestem szlochającą kupką nieszczęścia stojącą przy grobie na opuszczonym cmentarzu. Żałuję, że mnie tu nie widzi.

Tłumię łzy, wyciągam z torebki komórkę i zaczynam pisać mail.

Krople deszczu pojawiają się na ekranie, przesłaniając litery. Inne smagają moje odsłonięte ramiona. Wzdrygam się, wycieram telefon o sukienkę, po czym wracam do pisania.

Nade mną rozlega się grzmot i nagle zaczyna lać jak z cebra.

Uciekam z krzykiem, osłaniając głowę torebką. Gorączkowo szukam kluczyków. Lądują na trawie. No tak, oczywiście. Do czasu, gdy udaje mi się je znaleźć, jestem już przemoknięta do suchej nitki. Czuję włosy lepiące mi się do szyi.

Pomyśleć tylko, że przedtem wydawało mi się, że jestem zmarznięta. Teraz trzęsę się z zimna tak gwałtownie, że dopiero za trzecim razem udaje mi się włożyć kluczyk do stacyjki.

Tyle że samochód nie chce zapalić.

Declan kazał mi wymienić akumulator, ale tego nie zrobiłam. Wściekam się, że miał rację. Po prostu się wściekam. Oczy znowu pieką mnie od łez. Jeśli zadzwonię do ojca i powiem mu, że utknęłam na cmentarzu, podczas gdy miałam zostać na noc u Rowan, chyba trafi go szlag.

Tak się cieszył, że w ogóle idę na bal. Nie mogę mu tego zepsuć.

Wciążam z drżeniem powietrze.

Weź się w garść, Juliet, myślę. Zastanów się, co robić.

Declan przed uruchomieniem samochodu wyłączył wszystko. Niewykluczone, że to pomoże. Wciskam wszystkie przyciski, jakie mam w zasięgu wzroku, wyłączając wszystko, po czym ponownie wkładam kluczyk do stacyjki i przekręcam.

Samochód wydaje żalosne „pyr, pyr, pyr”, a potem silnik zaskakuje. Zwycięstwo!

Z bólem serca rezygnuję z włączenia ogrzewania. Potrzebuję działających reflektorów i wycieraczek, a nie chcę ryzykować niepotrzebnego obciążania akumulatora. Po chwili wyjeżdżam na główną drogę.

Deszcz najwyraźniej zmusił rozsądnych ludzi do pozostania tej nocy w domu, ponieważ ulice są prawie puste. Skręcam w dwupasmówkę przecinającą

miasto i przyspieszam, marząc o zrzuceniu mokrej sukienki i wskoczeniu pod koc. Trzymam obie dłonie na kierownicy i mknę prosto w ciemność.

Nagle rozlega się trzask. Samochodem zarzuca na boki.

Instynktownie wciskam hamulec. Auto zaczyna się obracać. Noc przeszywa skrzypienie metalu o asfalt. Widzę tylko mrok i światła moich reflektorów przecinające smugi deszczu. Wydaje się, jakby czas zwolnił.

Nie mogę myśleć. Nie mogę myśleć. Nie mogę myśleć.

Pomóż mi, mamo.

Nagle w mojej głowie rozbrzmiewa głos instruktora jazdy: „Pozwól samochodowi wpaść w poślizg”. Robię, co mogę, żeby powstrzymać się od skręcenia kierownicą w prawo. Autem zarzuca w przeciwnym kierunku. Zwalniam hamulec i wreszcie się zatrzymuję.

To cud, że nie zmoczyłam majtek. Sukienki. Wszystko jedno czego. Serce jeszcze nigdy nie biło mi tak mocno. Wciąż trzymam kurczowo kierownicę i opieram o nią czoło. Powietrze wypełnia smród palonej gumy. Oddycham ciężko, jakbym przebiegła maraton.

Adrenalina ma cudowną moc, w ogóle nie jest mi zimno.

Czy coś potrafiłam? Na przykład jelenia?

Bo chyba nie człowieka?

Dopiero po dłuższej chwili udaje mi się oderwać palce od kierownicy. Boję się wysiąść z wozu i zobaczyć, w co uderzyłam.

W końcu to robię. Wyłączam silnik i wysiadam, żeby oszacować rozmiary zniszczeń.

Ku mojemu zaskoczeniu przód auta okazuje się nietknięty.

Jeśli nie liczyć faktu, że nie ma lewej opony. Na jezdni spoczywa połyskująca stalowa obręcz.

Jak to możliwe, że opona zniknęła? Czy takie rzeczy w ogóle się zdarzają?

Wsiadam z powrotem do samochodu i znajduję komórkę. Nawet jeśli umiałabym wymienić koło (a nie umiem), nie zrobiłabym tego w sukience bez ramiączek podczas burzy. Dobrze przynajmniej, że znajduję się na tyle daleko od cmentarza, że mogę wmówić tacie, że wracałam z balu.

To znaczy wmówiłabym mu to, gdyby odebrał telefon. Dzwonię i dzwonię, aż w końcu przełącza mnie na pocztę głosową. I to dwa razy.

Patrzę na zegarek. Już po dziesiątej, a on spodziewa się, że spędzę noc u Rowan. Pewnie poszedł spać.

Próbuję trzeci raz. Bez skutku.

Wybieram numer przyjaciółki. Od razu słyszę pocztę głosową. Wysyłam jej esemes, ale nie odpowiada. Pewnie tańczy i flirtuje z Brandonem.

Mogłabym przynajmniej włączyć ogrzewanie. Nie potrzebuję już reflektorów ani wycieraczek.

Tyle że samochód nie zapala. Nieważne, co próbuję zrobić.

Do bani.

Wracam do telefonu. Klikam w apkę do Freemaila.

Czytam jeszcze raz wiadomość od niego.

„Uważasz, że to ty masz beznadziejną noc? – myślę. – Spróbuj przebić to”.

Rozdział dwudziesty drugi

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: piątek, 4 października, 22:22:03

Temat: Podnoszę stawkę

Oto streszczenie mojego wieczoru:

Rozpoczęłam od spotkania z najbardziej chamskim typem, jakiego znam, a jakimś cudem skończyło się na tym, że to ja poczułam, że jestem „ta zła”.

Potem wypłakałam się na ramieniu przyjaciółki, bo pomyślałam sobie, że mama byłaby rozczarowana, że robię coś tak głupiego jak chodzenie na tańce, podczas gdy jest tyle ważniejszych rzeczy do zrobienia na świecie.

Nieco później uświadomiłam sobie, że chłopak, który mnie zaprosił, jest bardziej zainteresowany moją przyjaciółką niż mną (co nawet mi odpowiadało, bo ja byłabym bardziej zainteresowana randką z kawałkiem drewna niż z nim), więc zostawiłam ich na parkiecie i schowałam się w cieniu.

A teraz siedzę w samochodzie, który nie chce zapalić.

Totalnie przemoknięta.

I zmarznięta.

Straciłam oponę.

Tata nie odbiera telefonu.

I nie wiem, co robić.

Spróbuj to przebić.

O kurde. Komórka o mało nie wypada mi z ręki.

Patrzę na datę w mailu. Wysłała go pięć minut temu.

Wracam do głównego ekranu aplikacji. Przy jej nazwie użytkownika jarzy się zielona kropka. A więc jest online.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wysyłam jej wiadomość.

Mrok: Wszystko w porządku?

Cmentarna Dziewczyna: To zależy, jak zdefiniujesz to „w porządku”.

Mrok: Pytam serio. Jesteś w bezpiecznym miejscu? Zjechałaś z drogi?

Cmentarna Dziewczyna: Stoję na poboczu na Generals Highway. Leje jak z cebra.

Mrok: Siedzisz w samochodzie? Błagam, powiedz, że nie stoisz na poboczu.

Cmentarna Dziewczyna: Siedzę w samochodzie i mam zamknięte drzwi.

– Do kogo piszesz?

Patrzę na Reva. Przez ostatnie pół godziny przypominał mi bez przerwy, że o jedenastej zaczyna się moja godzina policyjna. Mieszkamy niecałe dziesięć minut drogi stąd, więc raczej nie grozi mi spóźnienie. Rev jednak ma świra na punkcie zasad. Boi się je złamać.

- Do Cmentarnej – odpowiadam.
- Ciągłe tu jest? To dlatego jeszcze stąd nie wyszliśmy?
- Nie. – Pokazuję mu wiadomość.

Czyta ją.

- Może powinniśmy do kogoś zadzwonić?
- Do kogo? Przecież nawet nie wiem, kim ona jest.
- Możesz ją zapytać.

Moje palce zatrzymują się nad klawiszami. Nie chcę jej o to pytać. Podoba mi się nasza anonimowość. Gdybyśmy się poznali, coś byśmy utracili.

Rev obserwuje mnie uważnie, prawdopodobnie wyczuwając moje wahanie.

- Zapytaj, czy chce, żebyś jej pomógł – mówi cicho.

Mrok: Ciągłe jeszcze jestem w szkole. Potrzebujesz pomocy? Mogę przyjechać.

Przez długi czas nic się nie dzieje. Żadnej odpowiedzi, nie widać nawet, że coś pisze.

Może ktoś się już przy niej zatrzymał, żeby jej pomóc. Może dodzwoniła się do ojca.

A potem wyświetlacz mojej komórki mruga.

Cmentarna Dziewczyna: Proszę, pomóż mi. Nie wiem, co robić.

Ulewny deszcz przesłania drogę. Rev i ja jesteśmy już przemoczeni, zanim wsiadamy do samochodu. Krople są lodowate. Zapalam silnik i od razu włączam ogrzewanie. Pogoda to jedna z największych wad Maryland: każdy ciepły dzień może skończyć się ulewą i nagłym spadkiem temperatury.

- Nie zadzwonisz do Alana? – pyta Rev.

Prędzej podciąłbym sobie żyły.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić?
- Z powodu twojej godziny policyjnej.

– Jezu, Rev, możesz wreszcie dać mi spokój? Zdążę wrócić na czas. Jest dopiero wpół do jedenastej.

- Nie sądzisz, że to może być jakaś podpucha?

Odrywam wzrok od drogi i patrzę na niego. Ma poważną minę.

- Nie wiem – odpowiadam szczerze.

Myślę przez dłuższą chwilę, analizując to pod każdym możliwym kątem. Jestem ostatnią osobą, o której można powiedzieć, że cieszy się powszechną sympatią, ale nie budzę też nienawiści. W każdym razie tak mi się wydaje.

W końcu wzruszam ramionami.

- Nie wiem, kto miałby to zrobić. Ani dlaczego.
- Ludzie nie zawsze robią to, co robią, z racjonalnych powodów. –

Przerywa. – Sam o tym najlepiej wiesz.

Nie odpowiadam.

Oczywiście ma rację.

– Czyżbyś się przestraszył? – żartuję, żeby rozładować atmosferę.

Nie chwyta przynęty.

– Jestem po prostu rozsądny – odpowiada poważnie.

Skrećamy na Generals Highway, dwupasmówkę, która biegnie do Annapolis.

Nie ma tu prawie zabudowy i można niezłe się rozpędzić. W mailu napisała, że straciła oponę. Czy to znaczy, że ją przebiła, czy że ktoś ją ukraść?

W oddali widzę stojący na poboczu samochód. Jezdnię pokrywają kawałki gumy. Podskakujemy na nich. Zdejmuję stopę z pedału gazu, przygotowując się do zatrzymania się za nią. Serce mi szybko bije. Jestem podniecony. Jestem przerażony. Mam ochotę wyskoczyć ze swojego wozu, wsiąść do jej samochodu i powiedzieć: „Ty. Ty jedna mnie rozumiesz”. A potem siedzieć w jej aucie, oddychając tym samym powietrzem co ona, po prostu z nią być.

Nagle rozpoznaję kolor tego samochodu. Jaskrawa żółć świeci niczym latarnia w moich reflektorach.

Serce podchodzi mi do gardła. Zamieram.

Waham się przez chwilę, wciąż jadąc poboczem.

A potem skręcam z powrotem na główną nitkę jezdni, przyspieszam i przejeżdżam obok jej wozu.

Rev patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co ty wyprawiasz? – pyta.

Ledwo mogę mówić z powodu bryły lodu tworzącej się w moim sercu.

– Jadę do domu.

– Dlaczego? Co się stało?

– Miałeś rację. To była podpucha.

– Co? Kto? Skąd wiesz?

Nie odpowiadam. Muszę się skupić na drodze i przypominać sobie ciągle, że obok mnie siedzi mój najlepszy kumpel, bo inaczej mógłbym zjechać z klifu.

– Dec – mówi Rev cichym głosem. – Powiedz mi.

– To jej samochód.

– To znaczy?

– Samochód Juliet Young. Nie pamiętasz? Podładowywaliśmy jej akumulator.

– No dobra, ale skąd masz pewność, że to jej samochód?

– Bo się mu przyjrzałem.

Milknie, nie spuszczając mnie z oczu.

– Naprawdę myślisz, że cię wrabia?

– Tak. Nie. – Przeczესuję palcami włosy, po czym walę pięścią

w kierownicę. Chce mi się krzyczeć, ale wiem, że muszę trzymać nerwy na wodzy, zwłaszcza że wkrótce czeka mnie przeprawa z Alanem. – Nie wiem, Rev – cedzę przez zęby. – Po prostu nie wiem. Zapomnij.

„Wiem, że jesteś przegrywem z kartoteką”.

Wszystko, co czułem, okazało się złudzeniem. Wszystko. Juliet Young nic o mnie nie wie. Widzi to samo co inni: gościa, który tylko patrzeć, jak znajdzie się za kratkami.

Gardło mi się zaciska tak mocno, że nie mogę przełknąć. Ogień w sercu roztapia bryłę lodu. Jestem wściekły. Czuję się zdradzony.

Nie do wiary, że opowiedziałem jej o swoim ojcu. Nie do wiary, że opowiedziałem jej o Kerry.

Całe szczęście, że pozostaliśmy anonimowi.

Zatrzymuję się raptownie przed domem Reva niczym niecierpliwego taksówkarza. Nie patrzę na niego. Nie odrywam wzroku od przedniej szyby.

– Musimy tam wrócić – mówi.

– Nie – odpowiadam ochryple.

– Dec, ona tam utkwiała. Nikt jej nie...

– I dobrze jej tak.

– Może powinniśmy wezwać...

– Rev. – Przeszywam go gniewnym wzrokiem. – Wsiadasz czy nie?

Patrzy na mnie potępiająco. Nie wytrzymam tego spojrzenia.

Odwracam wzrok i zaciskam palce na kierownicy.

– Spadaj.

Wysiada, ale nie przestaje się na mnie gapić.

– Dokąd jedziesz? – pyta.

– Do domu – rzucam.

Wyciągam rękę do klamki i zamykam drzwi.

A potem odjeżdżam.

Rozdział dwudziesty trzeci

SKRZYNKA ODBIORCZA:

Brak nowych wiadomości.

Odświeżałam pocztę co najmniej sto razy. Może dwieście.

Dwadzieścia minut temu powiedział mi, że jest w drodze. W tym czasie dotarłabym do szkoły na piechotę. Deszcz zelżał i bębni teraz miarowo o dach samochodu. Reflektory kilka minut temu trochę przygasły, co oznacza, że akumulator jest już chyba gotów się poddać. Wyłączam je, zostawiam tylko światła postojowe. Nie chciałabym, żeby jakiś podchmielony dzieciak się na mnie wpakował, bo nie zauważył mojego auta. Już i tak miałam atak paniki, gdy jakiś samochód zjechał na pobocze, a potem natychmiast przyspieszył i pognął przed siebie jak wariat.

Moja sukienka zaczyna schnąć, przez co jest mi jeszcze zimniej. Bez przerwy się trzęsę.

Znów próbuję dodzwonić się do taty. Bez skutku.

Ponownie wybieram numer Rowan. Poczta głosowa. Pewnie rozładował jej się telefon.

Wpatruję się w wyświetlacz, czekając na mail od Mroka. Na cokolwiek. Jeśli się nie odezwie, za minutę zadzwonię na numer alarmowy. Nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

Siedzę w tym samochodzie już dobre pół godziny i nic nie robię. Próbuję sobie wyobrazić, co mama zrobiłaby w takiej sytuacji. Pewnie wysiadłaby z auta na deszcz i próbowała kogoś zatrzymać. Skończyłoby się na tym, że podwiózłby ją ambasador Australii, a jego żona wręczyłaby jej ręcznik i zaproszenie na przyjęcie w ambasadzie.

Jeśli ja wysiądę, zmoknę i wpadnę pod koła jakiegoś idioty.

Moje oczy znów wypełniają się łzami. Zaczynam szlochać, kryjąc twarz w dłoniach. Emocje nieco mnie rozgrzewają, ale to nie jest dobre uczucie. Łkam tak mocno, że trzęsą mi się ramiona, jednak nie jestem w stanie tego powstrzymać. Zresztą po co? I tak nikt mnie nie zobaczy.

Nagle ktoś stuka w szybę od strony kierowcy. Gwałtownie wciągam powietrze i odrywam ręce od twarzy. Obok mojego auta stoi jakiś mężczyzna.

To on! Pojawił się w końcu! Natychmiast ocieram oczy, a serce o mało nie wyskakuje mi z piersi.

I wtedy wreszcie dociera do mnie, co właściwie widzę. Reflektory za nami oświetlają połowę jego twarzy i wypełniają światłem wnętrze mojego auta.

To nie jest Mrok. To Declan Murphy.

Tak jakby ta noc nie była już wystarczająco denna.

– Zepsuł ci się samochód? – pyta donośnym głosem.

Walczę z pokusą, żeby mu odpowiedzieć, że wszystko w porządku i że powinien dać mi spokój.

Naciskam guzik, żeby opuścić szybę, ale silniczek wydaje z siebie jedynie żalostne brzęczenie. Szybka ani drgnie. Muszę otworzyć drzwi.

Declan cofa się odrobinę, żeby zrobić mi miejsce, i przytrzymuje dłonią otwarte drzwi. Do auta wdziera się zimne powietrze.

– Pękła ci opona? – pyta. – Widziałem kawałki gumy na jezdni.

– Już dz-dz-dz-dzwoniłam po kogoś – odpowiadam, wściekła, że nie potrafię przestać się trząść. Obejmuję się ramionami. – Powinien za chwilę tu b-b-być.

Spojrzenie jego oczu jest nieprzeniknione.

– Czyli nie potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie. – Wciążam powietrze przez zęby. – Dam sobie radę.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, a jego spojrzenie jest równie lodowate jak wtedy, gdy staliśmy za drzwiami szkoły.

– Jak chcesz – stwierdza w końcu, po czym zatrząskuje drzwi mojego auta i się odwraca.

Nie wierzę, że mam tylko dwie możliwości: albo będę tkwić do rana w samochodzie, albo poproszę go o pomoc. Widzę w lusterku, jak zbliża się do swojego wozu.

Kurde.

Otwieram drzwi i wysiadam.

– Zaczekaj!

Widzę, że stoi jakieś pięć metrów ode mnie. Jego auto nadal ma zamknięte drzwi, a on jest zwrócony twarzą do mnie. Czyżby wcale nie zamierzał odjechać? Ta myśl mnie zaskakuje.

Stoimy nieruchomo, patrząc na siebie w milczeniu. Deszcz znów moczy moją sukienkę.

– Padł ci akumulator? – pyta w końcu Declan.

– Tak – odpowiadam z wahaniem, kiwając głową. – Zapomniałam go wymienić.

– Coś takiego. – Pokazuje głową na swój samochód. – Wskakuj do środka, rozgrzejesz się trochę.

Jestem w połowie drogi, gdy dociera do mnie, że to może być pułapka. „Rozgrzejesz się trochę” brzmi jak zawołana propozycja seksu. Instynktownie zwalniam kroku, ale jest mi tak zimno, że mój organizm ma gdzieś wszelkie podteksty.

Jego samochód jest czarny. Lub szary. Ciężko stwierdzić. Karoseria w ogóle nie błyszczy i przez chwilę zastanawiam się, czy pomalowano ją matowym lakierem, czy też przeciwnie – domaga się dopiero lakierowania. Z jej kształtu wnioskuję, że to jakiś starszy model: długa, płaska maska, dwudrzwiowy, ścięty

tył. Moje domysły na temat wieku potwierdzają się, gdy wsiadam do środka i zapadam się w fotelu. Wnętrze jednak jest w o wiele lepszym stanie niż karoseria. Skórzane siedzenia, szersze niż współczesne i bez zagłówków. Dźwignia zmiany biegów. Stare radio z białymi cyframi na wyświetlaczu i srebrnymi gałkami. Szyby zasuwane na korbkę.

Spodziewałam się smrodu zgnilizny i papierosów, ale Declan najwyraźniej nie pali w aucie. Samochód pachnie starą skórą i delikatnym aromatem męskich perfum.

Chłopak wskakuje na fotel kierowcy i uruchamia silnik, który budzi się z warkotem. Dotyka kilku pokręteł na desce rozdzielczej i natychmiast czuję ciepło, które wydobywa się z nawiewów.

Siedzę tak blisko drzwi, jak to tylko możliwe, ale ciepło sprawia, że pochylam się i opieram dłonie na wylotach wentylacji.

Declan sięga w moją stronę, więc natychmiast kładę dłonie na brzuchu i zapadam się głębiej w fotelu.

Patrzy na mnie z ukosa, a potem przekręca jakieś pokrętło, żeby ustawić nawiew najbliżej drzwi.

– Lubi się blokować – wyjaśnia.

Ach tak.

Czekam, aż wróci na swoje miejsce, a gdy to robi, znów opieram dłonie na otworach wentylacyjnych. Długą chwilę siedzimy w całkowitym milczeniu, wsłuchując się w warkot silnika, nieco stłumiony przez szum powietrza.

– Czy ty się mnie boisz? – pyta nagle Declan.

Trudno wyczuć ton jego głosu i nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Samo pytanie sprawia, że czuję się głupio, ale wygląda na to, że naprawdę jest tego ciekaw.

Patrzę na niego ukradkiem. Od chwili uruchomienia ogrzewania siedzi nieruchomo w swoim fotelu, oświetlony delikatnym blaskiem bijącym z tablicy rozdzielczej.

Zanim odpowiem, muszę odchrząknąć.

– Jeśli powiem, że tak, wykorzystasz to przeciwko mnie?

– Nie – odpowiada tak beznamiętnym tonem, jakby rzucał mi wyzwanie.

Patrzę mu w oczy.

– Trochę się boję – przyznaję.

Wnętrze samochodu wypełnia się światłem, więc odwracam głowę, żeby sprawdzić, kto nadjeżdża. Pojazd nawet nie zwalnia, pędząc główną nitką Generals Highway.

Z westchnieniem rozcieram ramiona i znów opieram dłonie na wylotach nawiewów. Declan przekręca gałkę ogrzewania aż do oporu.

– Długo tam tak stałaś?

– Nie wiem. Trochę.

– Dlaczego jesteś taka przemoczona? Próbowełaś zmienić koło?

– Nawet nie wiem, jak się do tego zabrać – odpowiadam z prychnięciem. – Chciałam tylko sprawdzić, co się właściwie stało.

– Sądząc po wyglądzie twoich opon, miałaś szczęście, że nie strzeliły wszystkie cztery.

– Chyba żartujesz. Tuż przed balem nauczyłam się na pamięć instrukcji obsługi.

Ta odpowiedź wywołuje jego rozbawienie.

– Nie znasz najprostszych zasad użytkowania samochodu. Boję się nawet zapytać, czy kiedykolwiek wymieniałaś w tym aucie olej.

Krzywię się, ale Declan ma rację. Chyba nigdy tego nie robiłam. Znów oświetlają nas reflektory, więc spoglądam za siebie. Mija nas kolejny samochód.

– Na kogo właściwie czekamy? – pyta, wbijając wzrok przed siebie.

Waham się przez chwilę.

– Na kolegę ze szkoły – wyjaśniam w końcu. – Nie wiem, czym jeździ.

Boję się, że Declan zacznie ze mnie kpić, ale tego nie robi. Zaciska tylko szczęki i dalej gapi się przed siebie.

Przesuwam palcem po ekranie telefonu, mając nadzieję, że Mrok w końcu odpisał. Nic z tego. Wzdycham.

– Czego się boisz?

Patrzę na Declana, ale on wciąż wbija wzrok w przednią szybę. Jego głos jest cichy i nie budzi we mnie nawet połowy takiego lęku jak zwykle.

– Nie wiem – odpowiadam.

Taksuje mnie lodowatym spojrzeniem.

– Kłamczucha – stwierdza.

To strasznie dziwaczna sytuacja. Nie jest tak wściekły jak wtedy, za szkołą, ale nie mam pojęcia, do czego prowadzą te pytania. Odsuwam ręce od otworów wentylacyjnych i krzyżuję je na brzuchu.

– Wiesz przecież, że nie masz najlepszej reputacji. Chyba cię to nie dziwi?

– Tak? Opowiedz mi o mojej reputacji.

Waham się. Nie wiem, co powiedzieć. Pamiętam, co mówił mi Brandon, znam też szkolne plotki, ale nie wiem, co z tego jest prawdą.

– Byłeś notowany na policji – wyjaśniam w końcu.

– No i? – Patrzy mi w oczy. – To przecież nie ma nic wspólnego z tobą.

– Brandon mówił, że się naćpałeś, ukradłeś samochód, a potem go rozbiłeś. – Z trudem przełykam ślinę. – A w szkole ciągle wdajesz się w bójkę – dodaję po chwili milczenia, nie odrywając wzroku od jego twarzy. – Wciąż dążysz do konfrontacji.

– Do konfrontacji?

O ile oskarżenia o rozbicie samochodu i bójki przyjmuje bez mrugnięcia okiem, o tyle to ostatnie wyraźnie go denerwuje.

– Pamiętasz, jak na mnie naskoczyłeś i kazałeś mi skasować zdjęcie?

Patrzy na mnie, unosząc brwi.

– A ty pamiętasz, jak oskarżyłaś mnie o dolewanie wódki do ponczu?

Odwracam wzrok, czując, że się rumienię.

– Racja. Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić.

– Nie tylko od ciebie słyszę tego rodzaju rzeczy. – Ton głosu Declana się nie zmienia, ale chłopak nerwowo bawi się dźwignią na desce rozdzielczej. – A wiesz, co jest najgorsze? To, że jeśli rzucisz się na kogoś, od razu zawieszają cię w prawach ucznia.

– I co w tym złego?

– Z pozoru nic. Ale gościowi, który ma nie najlepszą reputację, można powiedzieć wszystko i nikogo to nie obchodzi. Są tacy, którzy nie przepuszczają żadnej okazji.

Muszę przyznać mu rację. Czuję podobne ukłucie winy jak wtedy, w sali gimnastycznej.

– Sam im to ułatwiasz – odpowiadam. – Pomyślałeś w ogóle, że mógłbyś mnie *poprosić* o skasowanie tego zdjęcia? Albo o tym, że mógłbyś nie obrażać Brandona?

Declan przeszywa mnie gniewnym spojrzeniem.

– Myślisz, że on się zastanawiał, zanim mnie obraził?

Nie. Wcale mi się tak nie wydaje. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Znow siedzimy w milczeniu, wsłuchując się w deszcz bębniący o dach samochodu.

– Ludzie naprawdę myślą, że się naćpałem i ukradłem samochód? – odzywa się w końcu Declan.

– A nie było tak?

Kręci tylko głową.

– Byłem pijany, a nie naćpany. – Mówi to tak, jakby to faktycznie robiło jakąś różnicę.

– Tylko tyle?

– Nie – odpowiada i milknie na chwilę. – Tak naprawdę wcale go nie ukradłem, ale mój dumny ojczym i tak wniósł skargę.

– To był jego samochód?

– Nie. Wóz mojego taty.

– To czemu...

– A czy to ważne? – Declan z wyraźną irytacją patrzy za siebie. – Ile jeszcze będziemy czekać na tego twojego kumpla?

– Yyy... – Zmiana tematu mnie zaskakuje – Nie wiem.

– Daj mi kluczyki.
– Słucham?
– Daj kluczyki od swojego auta. Wymienię to koło, skoro i tak tu sterczymy. Podaję mu klucze wyłowione z torebki.
– Masz zamiar...
– Nie ruszaj się z wozu. – Wyrywa mi kluczyki z dłoni i zatrzaskuje mi drzwi przed nosem.

Obserwuję go w blasku reflektorów. Otwiera bagażnik mojego samochodu i chwilę później wyjmuje z niego koło zapasowe. Kładzie je przy aucie i znów sięga po coś do bagażnika. Nigdy nie zmieniałam kół, więc nie mam pojęcia, co robi, ale jego ruchy wydają się opanowane i profesjonalne.

Nie powinnam siedzieć tu beczynn timer, ale nic nie mogę na to poradzić. Jest w nim coś intrygującego. Wyprzedzały mnie dziesiątki samochodów, ale tylko on się zatrzymał, żeby mi pomóc, chociaż przez cały wieczór byłam dla niego niemila.

Declan kładzie się na mokrym asfalcie i wsuwa coś pod samochód, odgarniając z twarzy mokrą grzywkę.

Nie mogę dłużej tak beczynn timer siedzieć.

– Mówiłem, żebyś zaczekała w samochodzie. – Nawet nie unosi wzroku, gdy zbliżam się do auta.

– Nie wiedziałam, że jesteś jednym z tych facetów, którzy myślą, że słabe kobietki nadają się tylko do czekania w wozie.

– Te słabe kobietki, które nie zauważają całkiem łysych opon i wyczerpanego akumulatora? – Mocuje przy aucie jakiś metalowy uchwyt i zaczyna nim kręcić. – Zgadza się, o tych tak właśnie myślę.

Czuję się urażona.

– Czyli co? – pytam grobowym głosem. – Nie chcesz mojej pomocy?

Uśmiecha się do mnie ze smutkiem.

– Jesteś nawet całkiem zabawna, kiedy już przestajesz wszystkich osądzać.

– Uważaj, bo cię kopnę.

Przestaje się uśmiechać, skupiony na tym, co robi.

– Tylko spróbuj, siostrzyczko.

Muszę przyznać, że mnie korci. Te docinki są na swój sposób oczyszczające. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie mam wrażenia, że próbuję się porozumieć z innym człowiekiem przez warstwę gęstej mgły.

– Dlaczego w ogóle chciałeś, żebym skasowała to zdjęcie? – pytam po chwili.

Cokolwiek robi z moim samochodem, słyszę nagle głuchy, metaliczny stukot. Declan patrzy mi w oczy.

– Zaciągnęłaś ręczny?

– Yyy...

– Idź, sprawdź.

Idę. Sprawdzam. Nie zaciągnęłam. Szarpię za dźwignię i wracam na deszcz. Declan odkręca śruby przy kole.

– Dzięki – stęka z wysiłku.

Czekam na więcej, ale to wszystko. Najwyraźniej nie zamierza odpowiedzieć.

– Celowo unikasz odpowiedzi? – pytam.

Kiwa głową.

– Czy auta nie trzeba najpierw trochę podnieść, zanim się zmieni koło?

– Najpierw trzeba poluzować śruby. Jeśli tego nie zrobimy, odkręcenie koła po podniesieniu samochodu na lewarku może okazać się niemożliwe.

– A tego byśmy nie chcieli.

– Tego byśmy nie chcieli – potwierdza, naprężając mięśnie ramion i ponownie odgarniając z twarzy mokre włosy.

Potem przymocowuje metalowy uchwyt do czegoś pod samochodem i zaczyna kręcić.

– Czy to właśnie jest lewarek? – upewniam się, czując się głupio.

Patrzy na mnie z takim wyrazem twarzy, że żałuję, że wysiadłam z samochodu. Na kolejne pytanie decyduję się dopiero wtedy, gdy znów łapie za pokrętło.

– A co zrobimy z akumulatorem?

– Jeśli uda mi się go odpalić, pojedę za tobą do domu. A jutro załatwisz sobie nowy. – Patrzy mi w oczy. – Zgadza się?

Pospiesznie kiwam głową.

– Zgadza.

Wszystko w nim mnie zaskakuje. W jednej chwili jest wkurzony, a już w następnej wyczuwam w jego słowach coś bliskiego autentycznej troski.

Przyglądam mu się w milczeniu, gdy zdejmuje stare koło i nakłada nowe. Od dłuższej chwili nie mijają nas żadne samochody i panuje taka cisza, że słychać cichutki szum deszczu w liściach drzew.

– Skasowałaś w ogóle to zdjęcie? – pyta cichym głosem.

Nie chcę kłamać, ale waham się, obawiając się jego reakcji.

– Nie.

Declan wciąż nie odrywa wzroku od koła.

– Czemu?

– Bo zachowałeś się jak ostatni dupek.

Śmieje się cicho, ale chwilę później znów jest poważny.

– Nie prosiłem o to dla siebie.

– To znaczy?

Zgarnia z asfaltu jakąś śrubkę czy nakrętkę i znów patrzy mi w oczy.

- Chciałem, żebyś skasowała to zdjęcie z powodu Reva.
- To dlaczego on mnie o to nie poprosił?
- On nie jest tego typu człowiekiem.

To prawda. Nie znam Reva Fletchera zbyt dobrze, ale zdecydowanie nie wygląda na człowieka, który lubi o coś prosić. Jeśli się nad tym zastanowić, Declan również nie sprawia takiego wrażenia. Kiedy to do mnie dociera, czuję natychmiastową pokusę powrotu do szkoły i wykasowania wszystkich zdjęć z karty pamięci pana Gerardiego.

– Rev nie lubi, gdy ktoś mu robi zdjęcia?

– Nie. Jeśli zajrzysz do ksiąg pamiątkowych z poprzednich lat, nie znajdziesz go na żadnej fotce.

Patrzę na niego ze zdziwieniem.

– Serio?

– Tak, serio.

– Dlaczego?

Declan nieruchomieje na chwilę, nie odwracając wzroku od koła.

– To przez jego ojca. Robił mu krzywdę, a potem go fotografował.

Zupełnie nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Trudno powiedzieć, czy moja wyobraźnia podsuwa mi lepsze, czy też gorsze myśli na temat tego, co działo się z jego przyjacielem. Chciałabym wiedzieć więcej, a jednocześnie wolałabym nie. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Ale czemu? – szepczę.

– Był sadystycznym gnojkiem. Ale jeśli zapytasz o to Reva, usłyszysz, że się cieszy, bo przynajmniej miał dowody wszystkich krzywd, jakich doznał.

Nad naszymi głowami słychać huk gromu. Spodziewam się, że znów się rozpada, ale nic się nie dzieje.

– Naprawdę Rev się z tego cieszy?

Declan kręci głową.

– Przecież nie trzyma tych zdjęć w albumie. Kiedy go stamtąd zabrano, wiadomo było, że już nigdy nie wróci. – Zabiera się do dokręcania śrub. – Ale wciąż nie lubi, gdy ktoś strzela mu fotki.

Z trudem przelękam ślinę. Ogarnia mnie wstyd. Chyba nieprędko się go pozbędę.

– A jak zareagowałby, gdyby się dowiedział, że mi o tym powiedziałaś?

– Spoko. – Declan patrzy mi w oczy. – Wiedziałby, że nie zrobiłem tego bez powodu.

– Obiecuję, że nikomu nie powiem – przysięgam, czując nagły dreszcz.

– Wiem. – Głos Declana jest spokojny. Powoli opuszcza samochód.

„Wiem”. Jego odpowiedź zdradza, że ma do mnie zaufanie, o które bym go nigdy nie podejrzewała.

W końcu rzuca mi kluczyki.

– Podjadę z przodu i spróbuję podpiąć akumulator. Nie włączaj silnika, dopóki nie dam sygnału, dobra?

– Dobra. – Zaciskam palce na kluczykach tak mocno, że ząbki wrzynają mi się w skórę. – Dzięki.

Mój samochód odpala natychmiast po podłączeniu akumulatora. Siedzimy osobno, każde w swoim aucie, a ja, ku swojemu zaskoczeniu, uświadamiam sobie, że nie chcę, by nasza rozmowa już się zakończyła. Mam wrażenie, że mamy sobie jeszcze sporo do powiedzenia, co jest o tyle dziwne, że przecież go nie znam.

Po kilku minutach Declan odpina kable i podchodzi do szyby po mojej stronie.

– Gotowa do drogi?

Odpowiadam skinieniem głowy.

– I pamiętaj o wymianie akumulatora – przypomina.

– Wiem – odpowiadam, czując, jak zasycha mi w ustach.

– Dobra. Pojadę za tobą. – Wraca do swojego wozu, nie czekając na odpowiedź.

Jadę ostrożnie, ciesząc się, że widzę w lusterku jego reflektory. Jest już po jedenastej. Nie mam pojęcia, co się działo przez ostatnie pół godziny, ale jestem zupełnie skołowana. Wciąż wspominam naszą rozmowę o zdjęciu. Wahanie Reva staje się nieco bardziej zrozumiałe. Podobnie jak nalegania Declana, żebym je skasowała.

Tym gorzej brzmią teraz obelgi Brandona. Declan miał rację, mówiąc, że kogoś takiego jak on można bezkarnie zwyzywać od najgorszych, choć w każdym innym wypadku byłoby to poważne przewinienie. Przypominam sobie, jak wpadłam na niego po raz pierwszy na szkolnym korytarzu i przypadkiem oblałam go kawą. Wtedy to też on trafił na dywanik. Nawet nauczyciele spodziewają się po nim tylko najgorszego. Ja również. Gdyby ktoś mnie zapytał, który ze szkolnych kolegów pomógłby dziewczynie zmienić koło w środku ulewy, na pewno nie pomyślałabym o Declanie.

A dziś zatrzymał się tylko on.

Czuję nagłą potrzebę przeproszenia go za swoje dotychczasowe zachowanie. To nie była tylko moja wina, podejrzewam, że zdaje sobie z tego sprawę. Jest nieufny tak samo jak ja. Mogę chyba się przed nim trochę otworzyć, zwłaszcza że obdarzył mnie zaufaniem, nie domagając się niczego w zamian. Tyle że to strasznie niespodziewane.

Przypominam sobie jednak, że mam robić niespodziewane rzeczy.

„Przepraszam – powiem mu, gdy zatrzymamy się pod domem. – Może spróbujemy od nowa?”.

Parkuję na podjeździe i spoglądam w lusterko, czekając, aż Declan się

zatrzyma.

Jednak on tego nie robi. Nawet nie zwalnia. Jego samochód znika w mroku nocy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: piątek, 4 października, 23:32:53

Temat: Dom

Tak tylko daję znać, że bezpiecznie wróciłam do domu.

Mam nadzieję, że nic Ci nie jest.

W domu jest ciemno, co stanowi dla mnie sporą niespodziankę. Spodziewałem się, że Alan nawrzeszczy na mnie za spóźnienie, zacnie grozić mi Cheltenham i wyzywać od bezwartościowych gówniarzy.

Tymczasem nikt na mnie nie czeka. Gaszę silnik i siedzę w ciszy przez dłuższą chwilę, czytając jeszcze raz jej ostatni mail.

Trzeba było jej powiedzieć.

Nie mam pojęcia, jak to teraz odkręcić.

Kiedy zapukałem w szybę auta Juliet, myślałem, że od razu wszystkiego się domyśli. Spodziewałem się wybuchu złości, czegoś porównywalnego z tym, co czułem, gdy odkryłem, że to ona jest Cmentarną Dziewczyną.

Zupełnie nie byłem przygotowany na to, że będzie płakać. Nawet w tej chwili ten widok mnie wzrusza.

Z całych sił próbuję dopasować autorkę listów i maili do dziewczyny, która kpiła z mojego palenia i oskarżyła mnie o to, że chcę dolać alkoholu do ponczu.

„Lepiej wracaj na parkiet, księżniczko. Chyba nie chcesz, żeby ktoś zauważył, że zadajesz się z przegrywami”.

Krzywię się na wspomnienie swoich słów. Przyjście na ten bal naprawdę wiele dla niej znaczyło.

Wszystko spieprzyłem.

Słyszę sygnał telefonu. Podskakuję, spodziewając się wiadomości od Cmentarnej Dziewczyny.

Od Juliet, poprawiam się w myślach. Muszę pamiętać, że to nie jest już jakaś anonimowa osoba. To Juliet.

Tak czy owak, to nie ona. To esemes od Reva.

RF: Wróciłeś tam i jej pomogłeś?

DM: Tak.

RF: Wiedziałem.

Wyłączam komórkę i chowam ją do kieszeni. Na pewno zadręczałby mnie esemesami, dopóki nie wyciągnąłby ode mnie całej historii. Na razie muszę to wszystko przemyśleć.

Dom jest tak cichy, że zastanawiam się, czy w środku nie czyha na mnie Alan z siekierą. Strach nie pozwala mi wysiąść z auta. Jeśli chciałby się bić, nie

wahałbym się ani chwili. Jednak Alan nie walczy na pięści. On walczy za pomocą sądu i policji.

Majowy pobyt w areszcie był naprawdę przerażający. Nie chcę przez to znowu przechodzić – zwłaszcza że na tym może się nie skończyć.

Ostatecznie niepokój związany z możliwością konfrontacji zostaje rozwiany przez strach, że jeśli nic nie zrobię, dopadnie mnie na podjeździe sparaliżowanego ze strachu. Wsiadam i podchodzę do drzwi domu.

Przekręcam klucz w zamku i wchodzę do holu. Okazuje się pogrążony w mroku. Zastanawiam się, czy przypadkiem po raz pierwszy od lat nie uśmiechnęło się do mnie szczęście. Pałają się jedynie lampka przy schodach i światło w korytarzu na piętrze. Stoję w kompletnych ciemnościach przez pełną minutę. W domu panuje całkowita cisza. Najwyraźniej wszyscy śpią.

Napięcie opada i z wrażenia zaczyna mi się kręcić w głowie. Uśmiecham się do siebie. Ale super.

A potem słyszę kasznięcie. Dwa kasznięcia. I odgłos, jakby ktoś wymiotował. Wiem jedno: to z pewnością nie Alan.

Podążam za dźwiękiem do łazienki na tyłach, tej za kuchnią. Przez otwarte drzwi widzę mamę klęczącą na podłodze i wymiotującą do sedesu. Ma na sobie koszulkę Alana i legginsy. W ręce ściska chusteczkę higieniczną.

– Mamo? – mówię wystraszonym głosem. Nie udaje mi się go opanować. Nagle znów jestem dziesięciolatkiem, który patrzy, jak ojciec robi to samo co ona teraz. Z tą różnicą, że ona nie jest pijana. W powietrzu nie czuć alkoholu. – Mamo, wszystko w porządku?

Kiwa głową, nie otwierając oczu, po czym ociera usta. Przez dłuższą chwilę klęczy, dysząc ciężko.

Jej twarz jest równie biała jak sedes, o który się opiera. Staję obok niej, ale nie wiem, co robić.

– Mam przyprowadzić Alana? – pytam.

– Nie – odpowiada ostrym głosem. – Nie, nic mi nie jest. Chyba po prostu zaszkodziła mi kolacja.

– Podać ci więcej chusteczek?

Kręci głową, jednak po chwili zastanowienia potakuje. Biorę pudełko chusteczek stojące w kuchni i kładę je obok niej. Potem przynoszę jej jeszcze szklankę wody.

Spłukuje toaletę, po czym siada na desce.

– Wody? – Podaję jej szklankę.

Wzdryga się, jakbym proponował jej truciznę.

– Do przepłukania ust – wyjaśniam.

– Dobrze. – Płucze usta, a potem pluje do umywalki. Przez chwilę oddycha głęboko, po czym myje twarz i ręce.

Stoję w drzwiach, czując się zupełnie nieprzydatny.

– Pomóc ci wejść na górę?

Kręci głową.

– Posiedzę trochę na kanapie, dopóki mdłości nie miną.

– Dobrze. – Jej słowa zabrzmiały, jakby chciała, żebym sobie poszedł, jednak nie mam pewności, czy powinienem zostawiać ją samą.

Prostuje się i bacznie mi się przygląda.

– Ładnie wyglądasz, Declan – komentuje. – Nie wiedziałam, że na balu obowiązują stroje wieczorowe. – Wygładza mi koszulę na ramieniu i poprawia krawat, zupełnie jakby to w tej chwili miało jakieś znaczenie.

Drzę pod jej dotykiem. Patrzy mi w oczy.

– Złapał cię deszcz?

– Pomagałem przyjaciółce wymienić koło. – Waham się przez chwilę. – To dlatego tak późno wróciłem.

– To już późno? Przysnęłam, czekając na ciebie, a potem... – Krzywi się i patrzy wymownie na sedes. – Chodźmy na kanapę. Muszę usiąść.

Przechodzimy do salonu. Mama nie chce włączać światła, więc siedzimy w ciemności.

– Alan już śpi? – pytam.

– Tak. Ma na rano do pracy, a ja nie lubię siedzieć po nocach.

Cieszę się, że z nich dwojga to ona nie śpi, chociaż wspomnienie tego, jak wymiotowała w łazience, wciąż nie daje mi spokoju.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. – Kładzie rękę na moim ramieniu i je ścisła. – Jedliśmy dziś krewetki. Sam wiesz, co się dzieje, gdy są nawet odrobinę nieświeże.

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mnie dotykała, a to już drugi raz w ciągu trzech minut. Czuję się, jakbym śnił.

– Kristin mówiła, że w zeszłym tygodniu też byłaś chora.

– Och! – Mama wygląda na zaskoczoną. – To było przeziębienie, lato w tym roku było chłodne.

– Już październik.

Posyła mi rozdrażnione spojrzenie.

– Declan...

– No co? – odpowiadam zaczepnie. – Przecież tylko pytam.

– Lepiej opowiedz mi o balu. Dobrze się bawiłeś?

– Nie.

Wzdycha.

Zbyt duża przepaść nas dzieli, żebym zwierzał się jej z nieudanego balu absolwentów.

Przykłada ręce do mojej twarzy i odgarnia mi włosy z czoła. Spodziewam

się, że za chwilę skrytykuje moją fryzurę, ale zamiast tego masuje kciukiem moją skroń i patrzy mi w oczy.

Nie ruszam się.

– Trochę dziwnie się z tym czuję – szepczę.

– Mam wrażenie, jakbyś dorósł, a mnie przy tym nie było – odpowiada bez uśmiechu.

Nie zaprzeczam. Też mi się tak wydaje.

Odwracam wzrok i odsuwam jej rękę z czoła.

– Muszę zdjąć te mokre ciuchy – mówię.

Pozwala mi odejść. Jakaś mikroskopijna cząstka mnie tego żałuje. Odwracam się dopiero w połowie schodów.

Myślałem, że zajęła się pilotem do telewizora, ona jednak na mnie patrzy.

Odchrząkuję i szepczę, ponieważ nie chcę zbudzić Alana:

– Przynieść ci koc?

Uśmiecha się do mnie i w tym uśmiechu jest jakaś niepewność.

– Byłoby miło. Dziękuję.

Kiedy wracam z białym pledem zabranym z pokoju gościnnego, ogląda w telewizji HGTV.

– Pamiętasz? – pyta. – W wakacje zawsze oglądaliśmy razem programy o dekorowaniu wnętrz.

Owszem, pamiętam. Robiliśmy to podczas składania prania. Najgorszy rodzaj tortur, jaki można sobie wyobrazić.

Myślę o jej ręce na moim czole. Może jednak wcale nie najgorszy.

Przykrywam ją kocem.

– Chcesz coś jeszcze?

– Nie. Dziękuję, Declanie.

Waham się, a ona patrzy na mnie.

– Nic mi nie będzie. – Bierze mnie za rękę i potrząsa nią lekko. – Nie martw się o mnie.

Rozdział dwudziesty piąty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: sobota, 5 października, 01:06:47

Temat: Ta noc

Przepraszam za spóźnienie. Najpierw musiałem podrzucić kumpla. Martwił się, że nie zdąży przed swoją godziną policyjną. Kiedy dojechałem w końcu do Twojego samochodu, zobaczyłem, że już ktoś inny się zatrzymał. Nie chciałem, żeby zrobiło się niezręcznie.

Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło.

I jeśli mam być zupełnie szczerzy, cieszę się również, że jeszcze się nie spotkaliśmy.

Nad ranem przestało padać, ale zrobiło się zimno. Wyjmuję z komody sweter i džinsy, a potem wkładam kozaki. Po wieczorze spędzonym z Declanem Murphym ciepłe ciuchy to podstawa. Ciągle jestem zziębnięta.

Kiedy tata wchodzi do kuchni, właśnie jem płatki. Zatrzymuje się jak wryty.

– Ty już... na nogach?

Zawsze wstaję przed nim, ale zwykle w niedzielne poranki nie ma mnie w domu. Zerkam na niego znad czasopisma, które leży przede mną na stole.

– Masz z tym jakiś problem?

– Oczywiście, że nie. – Podchodzi do blatu kuchennego. – Zrobiłaś sobie kawę? – dziwi się.

– Musiałam się jakoś rozgrzać.

Wyjmuję z szafki kubek i nalewa też sobie. Przewracam stronę.

– Jak było na balu? – pyta. – Gdybym wiedział, że tu wrócisz, poczekałbym.

Wkładam łyżkę płatków do ust i wzruszam ramionami.

– Fajnie. Rowan świetnie się bawiła z Brandonem Cho, więc zmyłam się wcześniej, bo nie chciałam być piątym kołem u wozu.

Około północy, kiedy najwyraźniej podładowała już telefon, moja przyjaciółka zasypała mnie pełnymi troski esemesami. Wyjaśniłam, że ktoś mi pomógł i dotarłam bez przeszkód do domu.

Na razie nie wspominałam, że tym kimś był Declan Murphy. Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

Tata siada naprzeciwko. Jest świeżo po prysznicu i gładko ogolony, ma na sobie koszulkę polo i džinsy. Dawno nie widziałam go tak odpicowanego.

– Wybierasz się dokądś? – pytam.

– Jadę do Home Depot. Chcę kupić pokrowce na meble ogrodowe. Potem pograbie liście. – Milknie na chwilę. – Masz ochotę mi pomóc?

– Mam ci pomóc w grabieniu?

Uśmiecha się niepewnie.

– Rozumiem, że to oznacza „nie”.

Kręcę głową i nabieram płatków na łyżkę.

– Pomogę. Nie powinieneś tego robić sam.

– Dobrze.

– Dobrze.

Potem przez dłuższy czas siedzimy w milczeniu. Rozkłada gazetę i zaczyna przeglądać dział gospodarczy. Kilka razy przyłapuję go na tym, że na mnie zerka, jednak nic nie mówi. Próbki perfum dołączone do mojego pisma przyprawiają mnie o ból głowy, lecz jeśli je odłożę, będę musiała z nim rozmawiać, a nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Wstaje, żeby dolać sobie kawy, i odchrząkuje.

– Nie wybierasz się dziś rano na cmentarz? – pyta ostrożnie.

– Nie. – Kolejna łyżka płatków. – Muszę wymienić akumulator w samochodzie.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Od kiedy masz z nim problemy?

– Od... nie pamiętam. Chyba od kilku tygodni. Padł mi tej nocy.

– Padł ci tej nocy? – Sprawia wrażenie wstrząśniętego. – I nie zadzwoniłaś do mnie?

– Zadzwoniłam, ale już spałam.

– Jules, tak mi przykro... – Siada ponownie przy stole. – Szkoda, że mi nic nie powiedziałaś.

Nie nazywał mnie tak od śmierci mamy. Dopiero po chwili odzyskuję zdolność mówienia. Zanim jednak się odezwę, muszę przełknąć.

– Nic się nie stało. Kolega ze szkoły odpalił mój akumulator od swojego, a potem jechał za mną aż do domu. Po prostu nie chcę, żeby to się powtórzyło.

– Zadzwonię do warsztatu. Może uda się to załatwić jeszcze dzisiaj. Jesteś pewna, że to akumulator?

– Hm... Nie. – Czuję, że czerwienieję. Nie mam pojęcia dlaczego. – Kolega powiedział też, że mam łyse opony. Musiał wymienić mi koło.

– Już dzwonię. Home Depot poczeka.

Dzwoni do warsztatu i umawia się na przedpołudnie. Poprawiam się na krześle. Dostałam ten samochód pod warunkiem, że wszelkie koszty eksploatacji będę pokrywać z własnej kieszeni. Tyle że wtedy jeszcze zamierzałam pracować w wakacje, a nie tylko kursować między domem, cmentarzem i szkołą.

– Jak myślisz, ile to będzie kosztować? – pytam, kiedy się rozłącza.

Waha się przez chwilę.

– Nowy akumulator i cztery nowe opony? Sporo.

Serce podchodzi mi do gardła.

– Może weźmiemy je tylko wtedy, jeśli stare okażą się w naprawdę złym stanie.

– Nie ma o czym mówić. Zależy mi na twoim bezpieczeństwie.

– No dobrze. – Dokonuję pospiesznych kalkulacji, usiłując sobie przypomnieć, ile pieniędzy zostało mi na koncie oszczędnościowym. Nie za wiele.

– A możesz podać jakąś orientacyjną cenę?

– Co najmniej jedno popołudnie grabienia liści. A może też koszenia trawy.

Patrzę na niego, próbując ustalić, czy mówi serio.

– Ale przecież już i tak dałeś mi kasę na sukienkę.

– Nie ma sprawy – odpowiada cicho. – Cieszę się, że mogę ci pomóc. –

Przerywa na chwilę. – W porządku?

– Jasne. – Ładuję kolejną łyżkę płatków do ust, żeby się nie rozpląkać. –
Dzięki.

– Proszę bardzo. – Miesza kawę, po czym przewraca stronę gazety. – Znow
dzwonił do mnie Ian.

Wydawca mamy. Zamieram.

– Czego chciał?

– Powiedział, że ma klienta na naszego nikona F6. Chciał się upewnić, że nie
zmieniliśmy zdania co do jego sprzedaży.

F6 to ulubiony aparat mamy. Wart jest kilka tysięcy dolarów, więc to nie
w kij dmuchał. Mama w pracy zwykle używała cyfrówek – głównie ze względu na
wygodę. Prawdziwą miłością jednak darzyła tradycyjne aparaty, uwielbiała to, że
nie można było w nich po prostu skasować zdjęcia i zrobić nowego.

„Jedna szansa – powtarzała. – Czasami masz tylko tyle”.

– Nie – mówię ochryplym głosem. Odchrząkuję i powtarzam: – Jeszcze nie.

Kiwa głową.

– Właśnie to mu powiedziałem.

– Dzięki, tato. – Pod wpływem impulsu zrywam się z krzesła i go ściskam.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio to robiłam, ale odczuwam taką potrzebę.

Nawet jeśli jest zaskoczony, nie okazuje tego. Odwzajemnia uścisk, zupełnie
jakbyśmy obejmowali się codziennie.

– Równie dobrze może to być nigdy – szepcze.

Odsuwam się od niego.

– Co?

– Powiedziałaś: „jeszcze nie”. – Spogląda mi w oczy. – Decyzja należy do
ciebie. Ale „nigdy” to też dobra decyzja, Jules. „Nigdy” to zawsze dobra decyzja.

Rowan i ja siedzimy na huśtawkach zawieszonych na jej ganku.
W promieniach popołudniowego słońca ulica mieni się złotem, a wiatr jest na tyle

silny, że cieszę się z powodu swetra.

Moja huśtawka się nie porusza, stopy oparłam na poręczy ganku. Jestem wyczerpana grabieniem liści, ale cieszę się z nowego akumulatora i czterech nowiutkich opon. Rowan co kilka sekund odpycha się od ziemi. Jej huśtawka potworne przy tym skrzypi.

Każdy por jej skóry promieniuje radością. Nie może przestać gadać o Brandonie.

Cieszę się z tego powodu. Nie widziałam Ro tak zadurzonej w chłopaku od... cóż, właściwie to nigdy jej takiej nie widziałam.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tym, jak cię pocałował – proszę. – Na pewno pominęłaś jakiś szczegół.

Chichocze i rzuca we mnie poduszką.

– Cicho bądź.

Łapię poduszkę i przyciskam ją do piersi, rozkoszując się jej ciepłem. Od śmierci mamy widuję się z Rowan niemal codziennie, ale mam wrażenie, że ta śmierć wzniosła między nami niewidzialny mur. Staramy się ze wszystkich sił zrobić w nim jakąś wyrwę. Ostatnia noc nie zburzyła całego muru, ale połuzowała kilka cegieł.

Chciałabym odkryć, jak pozbyć się reszty. Na razie szczelina jest tak niewielka, że ledwo możemy podać sobie przez nią ręce, ale może wystarczy.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówię nagle.

Mój głos musiał zabrzmieć poważniej, niż chciałam, bo przyjaciółka prostuje się raptownie.

– Śmiało.

Patrzę jej w oczy.

– To nic takiego.

– Dobra, dobra. Wiem, że coś się stało. Mów.

Marszczę brwi.

– Wiesz, że coś się stało? Niby skąd?

– Jezu, Jules! Wyduś to wreszcie z siebie!

Czuję się skrępowana i tracę pewność siebie.

– To drobiazg, błahostka.

– Czy to ma coś wspólnego z Brandonem?

Wybucham śmiechem.

– Ktoś tutaj ma już obsesję. – Milknę na chwilę. – Nie, tu nie chodzi o niego, tylko o innego chłopaka.

– Zamieniam się w słuch.

Wyjmuję z kieszeni komórkę.

– Nie znam jego imienia. Mailujemy ze sobą. – Powinnam to lepiej rozegrać.

– Wiem, strasznie głupio to zabrzmiało.

Marszczy brwi.

– Poznaliście się w necie?

– Niezupełnie. – Waham się przez chwilę. – Na cmentarzu... Tak jakby...

Odpisał na jeden z moich listów.

Zmarszczka między jej brwiami tylko się pogłębia.

– Twoich listów?

Policzki mnie palą i odwracam wzrok.

– Pisałam do mamy. Odpisał na jeden z tych listów. Najpierw strasznie się wkurzyłam. Ale potem... coś się zmieniło. – Wzruszam ramionami. – Okazało się, że on też kogoś stracił. Chyba... chyba się rozumiemy. Przynajmniej trochę. Ostatniej nocy, kiedy utknęłam na poboczu, zaproponował mi pomoc, ale ktoś go wyprzedził.

– Jak ma na imię?

– Mówiłam ci już, że nie wiem. – Wchodzę do aplikacji i odszukuję jego ostatni mail, w którym przeprosza, że się spóźnił. – Jego nick to Mrok. Tak właśnie go nazywam w myślach.

Szybko przebiega wzrokiem po wiadomości.

– Nie potrafię powiedzieć, czy to najbardziej romantyczna historia, jaką słyszałam, czy najbardziej przerażająca.

Wyrywam jej telefon z dłoni.

– A co w tym takiego przerażającego?!

Przypatruje mi się badawczo.

– Jesteś rozczarowana, że nie pojawił się w nocy? Czy ci ulżyło?

Cóż za bezpośrednie pytanie.

– Chyba jedno i drugie – odpowiadam. – Ale bardziej mi ulżyło, bo poznanie go mogłoby niekorzystnie wpłynąć na naszą szczerłość. – Bawię się telefonem. – Dużo mu opowiadałam o mamie. A on o swojej rodzinie. Kilka lat temu stracił siostrę. Miał z tym jakiś związek jego tata... Nie znam wszystkich szczegółów.

Rowan patrzy mi w oczy.

– Kiedy się z nim umówisz, spotkajcie się w publicznym miejscu, dobra?

– Nie jestem głupia, Ro.

– Serio? Kiedy byłaś uziemiona na całkowitym odludziu, poprosiłaś nieznajomego faceta o pomoc.

To prawda. Właśnie to zrobiłam.

Krzywię się.

– Masz rację. Nie pomyślałam.

– Kto ci właściwie pomógł? Nie mówiłaś.

Podejrzewam, że moja odpowiedź wcale jej się nie spodoba.

– Declan Murphy.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję.

Zaczyna się gwałtownie huścić.

– Nigdy więcej nie zostawię cię samej.

Przypominam sobie, jak Declan o mało się nie obraził, kiedy przyznałam, że się go boję. Chyba znów się czerwienię.

– On był... w porządku.

– Cieszę się, że jesteś tutaj i możesz o tym mówić, zamiast leżeć w jakimś rowie. – Odwraca się w kierunku ulicy i nagle się krzywi. – Patrz, to ten jego dziwny kumpel.

Podążam za jej wzrokiem i widzę Reva Fletchera, który idzie chodnikiem po drugiej stronie ulicy, pchając przed sobą dziecięcy wózek. Znów skrywa twarz pod kapturem, jednak w promieniach słońca jego wzrost i szerokość barów robią wrażenie. Szkoda, że przez większość czasu się ukrywa, bo ma budowę zapaśnika, a kiedy już uda się zobaczyć jego twarz, okazuje się ona całkiem interesująca.

Przypominam sobie słowa Declana o fotografii.

– On wcale nie jest dziwny – szepczę.

– Co takiego? – pyta Rowan.

– Powiedziała, że nie jest dziwny. Właściwie wydaje się całkiem miły. – Podczas gdy Rowan zbiera szczękę z podłogi, unoszę rękę i wołam: – Cześć, Rev!

Unosi ze zdziwieniem wzrok i garbi się, jakby chciał się jeszcze bardziej ukryć. Dopiero gdy mnie rozpoznaje, wyraźnie się odpręża i przechodzi z wózkiem przez ulicę.

– Cześć – mówi, przystając na podjeździe przed domem Rowan.

Dziecko w wózeczku kwili i macha nóżkami. W rączce trzyma ciastko, okruchy lepią się do jego tłustych paluszków.

– Robisz za niańkę? – pytam.

Jestem zaskoczona, ale tylko trochę.

– Można tak powiedzieć. Mama ma właśnie klienta, a Babydoll nie chce spać, więc postanowiłem, że zabiorę ją z domu na jakieś pół godziny.

– Ona ma na imię... Babydoll? – pyta zdziwiona Rowan.

– Tak – odpowiada chłopak jak gdyby nigdy nic.

Moja przyjaciółka unosi brwi, jednak nic nie mówi. Przenoszę wzrok z Reva na ciemnoskórą dziewczynkę.

– To twoja... siostra?

Uśmiecha się.

– Nie do końca. Jesteśmy jej rodziną zastępczą.

– A twoja mama ma klienta? – upewnia się Rowan.

Jej ton sugeruje, że matka Reva robi coś szemranego, a ja przypominam sobie słowa Declana o tym, że niektórzy nie dają szansy i od razu osądzają.

Chłopak mruga powiekami, patrząc na nią.

- Zgadza się. Jest księgową.
- Ach tak. – Rowan wyraźnie jest w szoku.

Mam ochotę dać jej kuksańca, żeby przestała być taka wredna. Czy ja też jeszcze do niedawna taka byłam?

- Mogę ją potrzymać? – pytam.
- Jasne.

Sprawnie wyjmuję dziecko z wózka. Widać, że robił to niejednym razem. Mała początkowo wierzga, ale po chwili wpada jej w oko kołnierzyk mojej bluzki. Chwyta go w palce jednej ręki, podczas gdy drugą wpycha do buzi ciasteczko. Oczy ma wielkie i ciemne, a spojrzenie szczere.

- Milutka – stwierdzam.
- Chyba cię polubiła – odpowiada Rev.
- Przecież mnie nie zna.
- Ale zna się na ludziach. – Po chwili dodaje: – A jak tam twój samochód? Najwyraźniej Declan mu o wszystkim opowiedział.

– W porządku. Tata kupił mi akumulator i opony w zamian za sprzątanie podwórka.

Unosi brwi.

- Twój tata sprawia wrażenie fajnego gościa.

W tej chwili uświadamiam sobie, że tata naprawdę jest fajny. To prawda, od kilku miesięcy nie może się pozbierać, ale w gruncie rzeczy to troskliwy i życzliwy człowiek. Zapomniałam o tym.

– Cieszę się, że cię spotkałam – mówię. Rowan milczy, ale nie może ustać w miejscu.

– Serio?

– Serio. Chciałam ci powiedzieć, że... – Zawieszam głos, ale Rev czeka cierpliwie, a jego wyraz twarzy się nie zmienia. Wzruszam ramionami. – W poniedziałek skasuję to zdjęcie. To, które zrobiłam na festynie.

Udaje, że nie wie, o co chodzi. Po części to rozumiem. Nie chcę, żeby poczuł się zażenowany.

– Mógłbyś przekazać to Declanowi? – pytam pospiesznie. – Wiem, że to dla niego ważne.

Kiwa głową, ale po chwili dodaje:

- Nie sądzę, żeby aż tak bardzo mu na tym zależało. Nie musisz go kasować.
- Naprawdę nie muszę?
- Nie. Wszystko... gra.

Mała chyba wyczuła nasze zdenerwowanie, bo zaczyna się wiercić. Potrząsam nią lekko i się uspokaja.

– Jesteś pewien?

– Tak. – Bierze ode mnie Babydoll. – Czas już na nas. Chciałbym jeszcze

trochę z nią pospacerować.

Patrzę, jak wkłada ją z powrotem do wózka. Dziewczynka nie protestuje. Zdaje się, że Rev robi do niej miny, bo mała zaczyna chichotać.

– Naprawdę umiesz się zajmować dziećmi – chwalę go.

Uśmiecha się, ale wzrok ma nieobecny, zupełnie jakby rozpamiętywał naszą wymianę zdań sprzed kilku chwil.

– Mam wprawę.

– Słuchaj – włącza się nagle Rowan. – O co chodzi z tym kapturem?

Prostuje się.

– Co takiego?

– Czy to jakaś deklaracja poglądów?

Nie potrafię do końca rozgryźć tonu jej głosu. Nie jest agresywna, wydaje się autentycznie zaintrygowana. Ja właściwie też.

– Zgadza się, to deklaracja. Deklaracja, że mi zimno. – Rev rusza chodnikiem, pchając wózek. Po chwili odwraca się do nas. – Cieszę się, że wreszcie zrobiłaś porządek z samochodem. Dec mówił, że był w naprawdę kiepskim stanie.

– To prawda. – Waham się. – Podziękuj mu, kiedy się z nim zobaczysz. Wiesz, nikt inny się nie zatrzymał.

Tak jakby mu trochę ulżyło. Kiwa głową.

– Jasne.

Nie mówi już nic więcej. Ja też nie wiem, co powiedzieć. Wiem tylko, że oboje przeżyliśmy tragedię. Nie po raz pierwszy Mrok i Rev zajmują to samo miejsce w moich myślach.

– Nie chciałam cię zawstydzić.

– Nie zawstydziłaś. – Waha się, jakby chciał coś dodać.

– Dobra, Jules – włącza się Rowan. – Musimy już iść na kolację.

– Chwileczkę – odpowiadam.

Kiedy jednak przenoszę wzrok z powrotem na ulicę, okazuje się, że Rev już ruszył w kierunku swojego domu.

Rozdział dwudziesty szósty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: niedziela, 6 października, 11:22:03

Temat: Chłopak, który się zatrzymał

Pamiętasz, jak pisałam Ci o chłopaku, który dał mi wycisk na balu? Tym, który okazał się takim palantem, że wyszłam przed czasem?

To właśnie on pomógł mi przy samochodzie. To jego widziałeś.

Nazywa się Declan Murphy. Znasz go? Nie odpowiadaj. Lepiej, żebyśmy za dużo o sobie nie wiedzieli. Ale nawet jeśli go nie znasz, na pewno o nim słyszałaś.

Jest kimś w rodzaju czarnej owcy.

Kiedy w trakcie ulewy zapukał w szybę mojego auta, śmiertelnie się wystraszyłam. Myślałam, że chce mi ukraść samochód albo mnie zabić i wykorzystać mój wóz do przemytu narkotyków albo czegoś jeszcze gorszego.

Przyznam się, że o mało nie skasowałam ostatniego zdania, bo mam w związku z tym straszliwe poczucie winy. Z perspektywy czasu te obawy wydają się śmieszne. Chcesz wiedzieć, jakiej potwornej zbrodni dopuścił się po zapukaniu w moją szybę? Zaprowadził mnie do swojego wozu, żebym się ogrzała, a on w tym czasie położył się w deszczu na ziemi i naprawiał moje auto. A potem pojechał za mną do domu, żeby się upewnić, że dotarłam do niego bezpiecznie.

Mama powtarzała mi, że jej głównym celem jest zawarcie w jednym zdjęciu całej historii. Chyba nigdy nie miała poczucia, że jej się to udało. Zbliżała się do tego – wiem, że była dumna ze swoich prac i wiele jej zdjęć można odczytywać na różnych poziomach. Diabeł tkwi w szczegółach, tak jak na tamtym zdjęciu z Syrii. Radość dzieci, strach mężczyzn. Pot, krew i huśtawki. Stało się coś strasznego, jednak dzieci wciąż mogą się bawić. Czy to jednak cała historia? Oczywiście, że nie.

Im dłużej o tym myślę, tym większe mam wątpliwości, czy ten cel jest w ogóle możliwy do osiągnięcia. Czy zdjęcie kiedykolwiek opowie całą historię?

Kiedy siedziałam w samochodzie z Declanem, powiedział mi coś, o czym nie mogę przestać myśleć przez cały weekend: że słabi są chronieni, a tacy ludzie jak on mogą być bezkarnie atakowani, bo wszyscy uważają, że na to zasłużyli.

Myślisz, że to prawda? Jeśli bogaty dzieciak wyśmiewa się z ubrań biednego, to oczywiście okrucieństwo. Jeśli jednak ten biedny kpi z bogatego, który oblał test, czy jest to mniej okrutne? Czy w jakiś sposób wszyscy nie ulegamy stereotypom?

Jeśli tak, to czy istnieje sposób na to, by pokazać więcej siebie? Czy też wszyscy jesteśmy uwięzieni w jednej fotografii, która nie pokazuje całej historii?

Czarna owca. Jej słowa ranią mnie i zarazem napełniają radością.

Żałuję, że jej nie powiedziałem.

Cieszę się, że tego nie zrobiłem.

Chyba.

To, że tylko jedno z nas o tym wie, trochę mnie uwiera. Nie podoba mi się, że coś przed nią ukrywam. Czuję się jak oszust. Przedtem byliśmy sobie równi. Teraz nie wiem, na czym stoimy.

Na czym ja stoję.

Przypominam sobie, jak siedziała za kierownicą swojego samochodu i płakała. Na balu widziałem w niej jeszcze jedną rozpuszczoną ślicznotkę, która nie ma nic lepszego do roboty niż pokpiwać sobie ze mnie, wyrzutka. Tymczasem z listów wyłania się dziewczyna, która pod fasadą skrywa głębokie cierpienie. Trudno się w tym połączyć. Trudno to wszystko pogodzić.

Wiem, jak to jest, gdy chce się wyprzedzić cios. Żałuję, że nie zrozumiałem, co kryje się za jej brawurą, gdy staliśmy przy wazie z ponczem. Żałuję, że nie wiedziałem, że to tylko pozory.

Rev ma takie powiedzenie: „Język łagodny złamie kości”². Jak go znam, to pewnie jakiś cytat z Biblii. Dopiero teraz zaczął mieć dla mnie sens.

Co ona takiego powiedziała mi w samochodzie? Że wciąż dążę do konfrontacji?

Żałuję, że nie byłem bardziej cierpliwy. Jak mogłem przeoczyć żar, który skrywa się w niej tuż pod powierzchnią?

Jak ona mogła nie zauważyć tego, co kryje się we mnie?

Kiedy w porze lunchu schodzę do kuchni, Alan siedzi przy stole, czytając coś na swoim tablecie i jedząc kanapkę. Przez okno za nim wpadają promienie słońca i mógłbym go wziąć za całkiem normalnego, spokojnego ojca, gdybym nie wiedział, że prawda wygląda całkiem inaczej.

Przez dłuższą chwilę patrzymy sobie w oczy. Gdybyśmy byli wilkami, krążylibyśmy wokół siebie ze zjeżoną sierścią. Ponieważ jednak jesteśmy ludźmi, przeszywamy się gniewnymi spojrzeniami.

Jak zwykle to on pierwszy odwraca wzrok. Nie dlatego, że się mnie boi, to byłoby za proste. On po prostu nie patrzy na mnie, bo nie jestem tego wart.

Nie zawsze tak z nami było. Gdyby było, mama z pewnością by za niego nie wyszła. Na początku próbował zastąpić mi ojca, ale chyba nadawali się na innych falach, bo przegapiłem wszelkie sygnały. A może po prostu je zignorowałem. Próbował męskich rozmów o szkole, odpowiedzialności i takich tam, ale nic mnie one nie obchodziły. Wkładałem słuchawki do uszu, puszczałem muzykę na pełny regulator i w ogóle go nie słyszałem. Myślałem, że jest kolejnym tymczasowym chłopakiem mamy, który prędzej czy później będzie musiał się wynieść, więc nie zamierzałem tracić na niego czasu.

Teraz mam wrażenie, że Alan odpuścił sobie bycie ojczymem

i przedzierzgnął się w naczelnika więzienia.

Naprawdę nie umiem powiedzieć, co mnie bardziej martwi: to, że zgrywa twardziela, czy to, że mama mu na to pozwala.

Podchodzę do szafki i zaczynam szukać płatków. Mama ma fioła na punkcie zdrowej żywności, więc wszystko musi być ekologiczne i bogate w błonnik. Może też w białko. Oddałbym wszystko za Froot Loops, muszę jednak zadowolić się pudełkiem truskawkowych Power O's.

Kiedy otwieram lodówkę, żeby wyjąć mleko, zauważam, że Alan się na mnie gapi.

Nie cierpię tego.

Myślę o tym, co napisała Cmentarna Dziewczyna (muszę pamiętać, by nazywać ją Juliet): o uwięzieniu w jednej fotografii. Właśnie tak w tej chwili się czuję. Alan dostrzega tylko jedną moją twarz, jedną chwilę w moim życiu, całego mnie sprowadza tylko do tego. To samo widzą wszyscy inni. Declan Murphy: pijany kierowca, który zniszczył rodzinę. To właśnie moja fotka, ja zatrzymany na zawsze w czasie.

Strasznie przygnębiająca myśl. Nieco przechodzi mi złość.

– Gdzie mama? – pytam.

– Ucina sobie drzemkę.

Zamieram z kartonem mleka w dłoni.

– W środku dnia?

– To właśnie wtedy zwykle ludzie drzemią – odpowiada głosem ostrzejszym, niż to konieczne, bardziej cierpkim.

Znów się najeżam, ale w następnej chwili przypominam sobie mamę wymiotującą w toalecie. Zastanawiam się, czy Alan w ogóle ma o tym pojęcie. Gdyby wiedział, zająłby się nią, martwił o nią.

– Nie musisz zachowywać się jak ostatni dupek, Alan.

– Nie wyrażaj się tak. – Celuje we mnie palcem.

Wstawiam mleko z powrotem do lodówki, po czym odwracam się do niego, gotów do konfrontacji.

On jednak nawet na mnie nie patrzy. Nie odrywa wzroku od tableta.

Mam ochotę wyrzucić stół. Mam ochotę dopaść go i wrzasnąć: „Spójrz na mnie! W tej chwili. Spójrz na *mnie!*”.

W kieszeni spodni wibruje mój telefon. Wyjmuję go i nie patrząc na wyświetlacz, przykładam do ucha. I tak jedyną osobą, która do mnie dzwoni, jest Rev.

– Hej – mówię.

– Hej, Murph.

Mężczyzna, którego słyszę, mówi z lekkim akcentem. Dopiero po chwili go rozpoznaję. To Melonhead. Nie jestem w stanie nazywać go inaczej. Odkryłem też,

że wolę, gdy mówi do mnie „Murph”, niż przekreśla moje imię na DECK-lin. Dziwne, nigdy do mnie nie dzwonił. Przez jedną pełną grozy chwilę zastanawiam się, czy nie powinienem być właśnie w pracy, ale zaraz przypominam sobie, że dziś niedziela. Oddycham z ulgą.

Wciąż jednak nie mam pojęcia, dlaczego dzwoni.

– Co jest? – pytam.

– Tak się zastanawiam, czy jesteś zajęty. Przydałaby mi się twoja pomoc.

A właściwie mojemu sąsiadowi.

Jestem tak skołowany, że przychodzi mi do głowy tylko robota, którą wykonujemy we wtorki i czwartki.

– Chcesz, żebym dziś kosił?

Wybuchu śmiechem, jakbym powiedział coś naprawdę zabawnego.

– Nie. Znajomy potrzebuje pomocy przy samochodzie. Mówiłeś, że znasz się na silnikach, nie?

Marszczę brwi.

– Trochę. To znaczy... jeśli to jakiś nowoczesny wóz, pewnie powinien zabrać go do warsztatu. Nowsze auta mają komputery...

– Żaden tam nowy. Stary, którego sąsiad chce przywrócić do życia. To... – Przerywa i zasłania telefon dłonią, ale i tak słyszę, jak kogoś pyta: – Jak on się nazywa?

W tle rozlega się szczekanie psa.

Po dłuższej chwili wraca do rozmowy.

– Chevelle, rocznik 1972. Kolega uważa, że to gaźnik.

Chrząkam i zanurzam łyżkę w płatkach.

Ludziom zawsze się wydaje, że to gaźnik.

– Znasz się na gaźnikach? – pyta Frank.

– Trochę.

– Więc może byś wpadł i rzucił na to okiem?

Minęły miesiące, odkąd zajmowałem się czymś bardziej skomplikowanym niż stara honda Juliet, ale z chęcią podjąłbym się tego wyzwania. Patrzę na Alana. Jeśli wyjdę stąd bez słowa wyjaśnienia, na sto procent zadzwoni zaraz na policję i kwadrans później będę miał na rękach kajdanki.

Wciąż siedzi przy stole z oczami wbitymi w tablet, ignorując mnie, ale równocześnie słysząc każde moje słowo. Napięcie wciąż nas nie opuszcza.

Żałuję, że nie mogę zapytać mamy.

„Ucina sobie drzemkę”.

Ogarnia mnie coraz większy strach. Nie chcę o tym myśleć i nie chcę zawracać jej głowy, jeśli potrzebuje odpoczynku. Zasłaniam dłonią telefon.

– Alan... Mój szef pyta, czy nie mógłbym mu dzisiaj pomóc.

Unosi wzrok. Przez chwilę, która wydaje się trwać w nieskończoność,

przypatruje mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jestem już pewien, że się nie zgodzi, ot tak, żeby mi zrobić na złość, kiedy macha ręką i mruczy:

– Jedź. Tylko wróć na kolację.

O mało nie wypuszczam łyżki z ręki.

Frank Melendez mieszka niedaleko, ale i tak jestem zaskoczony, jak bardzo jego dzielnica przypomina moją: kolejna dzielnica klasy średniej z podjazdami, chodnikami i ogrodzonymi podwórkami. Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że mieszka w dzielnicy biedoty. Przypominam sobie mail Juliet i dochodzę do wniosku, że ja też oceniam ludzi na podstawie jednej fotki z ich życia.

Bez trudu znajduję właściwy dom, bo już z daleka widać stojącego na podjeździe pomarańczowego chevroleta chevelle. Facet musiał wydać fortunę na lakier – ten odcień wygląda na robiony na specjalne zamówienie. Obok wozu stoi dwóch mężczyzn i wpatruje się w silnik. Na chodniku między nimi leży potężny owczarek niemiecki, strzyże uszami. Kiedy się zatrzymuję i wysiadam z samochodu, podbiega do mnie, machając ogonem.

Wyciągam rękę i czekam, mając nadzieję, że jej nie stracę.

– Nic ci nie zrobi! – woła do mnie facet stojący z Melonheadem. – Skye jest łagodna jak baranek.

Jakby na potwierdzenie tych słów pies wtula pysk w moją dłoń. Głaszczę go za uszami, a potem ruszam podjazdem.

– Cześć, Murph – mówi Melonhead. – Poznaj mojego sąsiada, Johna Kinga.

Mężczyzna w średnim wieku z siwiejącymi włosami ma na sobie zieloną koszulkę polo i wygląda jak goście, z którymi Alan gra w golfa. Już za to jedno mam ochotę go znieubić, ale obdarza mnie serdecznym uśmiechem i wyciąga do mnie rękę, a to nieczęsto się zdarza ludziom w mojej obecności.

– Murph, zgadza się? Frank twierdzi, że na silnikach znasz się jak mało kto.

– Declan Murphy. – Potrzęsam jego ręką. Ścisną mocno moją dłoń, ale mi jej nie miażdży. – I uważałbym z tym „jak mało kto”. Frank widział mnie tylko w akcji z kosiarką.

Jego uśmiech nieco słabnie, ale zerka na mój samochód.

– Przyłożyłeś rękę do odrestaurowania tego chargera? – pyta.

– Większość rzeczy zrobiłem sam.

Gwiżdże cichutko i znów uśmiecha się od ucha do ucha.

– Masz fart, chłopaku. Znam takich, co oddaliby wszystko za takie cacko.

Ja też. Wzruszam ramionami.

– To mój tata miał fart. Znalazł na złomowisku nadwozie i pół silnika. Zaczął go remontować, kiedy byłem mały. Ja dokończyłem. – Krzywię się, myśląc o niepomalowanej karoserii. – No, nie do końca. Zostało mi jeszcze lakierowanie.

– Zbierasz kasę na coś wyjątkowego?

– Można tak powiedzieć.

Naprawdę zbierałem – aż do czasu, gdy Alan powiedział mamie, że wszystkie moje oszczędności muszą pójść na prawnika. Nie podoba mi się kierunek, jaki obrała ta rozmowa, więc kiwam głową w kierunku chevelle.

– Piękny wózek. Co się stało?

Mężczyzna masuje kark i ciężko wzdycha.

– Wstawiłem do niego nowy gaźnik holley, ale za cholerę nie mogę go wyregulować.

Pochyliam się, żeby lepiej się przyjrzeć. Silnik jest nieskazitelnie czysty. Założę się, że gość bardziej dba o samochód niż o żonę.

– Tak? A co konkretnie się dzieje?

– Coś nie tak z nim na jałowym. Zależy mi na szybkości, a on się strasznie ślimaczy. Majstruję przy nim już od dwóch tygodni. W końcu powiedziałem Frankowi, że jestem gotów skapitulować i oddać wóz do warsztatu, tyle że to by było jak zdrada.

Obaj mężczyźni rechoczą.

Rozpoznaję symptomy, ale muszę posłuchać silnika, żeby mieć pewność.

– Mogę go odpalić?

Waha się przez chwilę, wyraźnie nie wiedząc, czy powierzenie mi tego cacka to aby na pewno dobry pomysł.

– Jasne. Kluczyk masz w stacyjce.

Wewnątrz wóz jest równie olśniewający jak na zewnątrz. Czuję zapach skórzanej tapicerki. Kiedy przekręcam kluczyk, rozlega się ryk silnika, a ja uważnie wsłuchuję się w odgłosy dochodzące spod maski. Facet miał rację, coś nie tak z biegiem jałowym. Po jakiejś minucie wyłączam silnik.

John spogląda na mnie wyczekująco. Widzę w jego oczach cień wyzwania.

– I co myślisz?

– Myślę, że holley jest za duży do tego maleństwa.

Zaczyna się śmiać, ale wydaje się zdenerwowany.

– O czym ty gadasz?

– To siedemdziesiątkapiątka, prawda? Wydaje mi się, że jest za duża. Kiedy mi o tym mówiłeś, myślałem, że to coś ze ssaniem, ale potem wsłuchałem się w pracę silnika i doszedłem do wniosku, że lepiej by ci poszło z sześćdziesiątkapiątką. Pewnie mógłbym zrobić coś, żeby trochę lepiej chodził, ale...

– Chwila, moment. – Uśmiech znika z jego twarzy. – Dopiero co kupiłem ten gaźnik. Trzeba go tylko trochę podregulować.

Z każdą chwilą coraz bardziej przypomina mi Alana.

– Chciałeś poznać moje zdanie. Oto ono.

– Chcesz mi wmówić, że powinienem wymienić gaźnik? – Wygląda tak, jakbym kazał mu zjeść garść piasku.

– Cóż, tak. Zalewasz silnik. Jak już mówiłem, mogę zrobić coś, żeby chodził lepiej, ale...

– Nie trzeba. – Sprawia wrażenie nieźle wkurzonego. Trudno powiedzieć, czy na mnie, czy na siebie. – Jutro oddam go do mechanika.

Czuję złość. Napięcie ogarnia moje ramiona, szyję i szczękę.

Frank obserwuje nas i też traci dobry humor.

– Nie ma nic złego w zasięgnięciu drugiej opinii, co, Murph?

– Jasne – odpowiadam, wzruszając ramionami, ale widać, że się do tego zmusiłem.

Nagle skądś dobiega głos małej dziewczynki. Nieco trzeszczy.

– *Papi? Papi?* Mogę wstać?

Melonhead wyciąga z kieszeni elektroniczną nianię.

– Muszę wracać do domu, John. – Klepie kolegę po plecach. – Przynajmniej będziesz wiedział, co mówić, kiedy zadzwonisz jutro do warsztatu, nie?

– Jasne – cedzi przez zęby jego kolega. – Dzięki za pomoc, chłopaku.

Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Wal się”.

Zanim udaje mi się coś odburknąć, Melonhead macha do mnie ręką.

– Chodź, Murph. Napijesz się lemoniady.

Dziwnie się czuję, będąc w jego domu. Wiekowa ceglana fasada i beżowe deski wyglądają tak jak w innych domach przy tej ulicy, ale wewnątrz zbudowano na planie otwartym i jest w nim czysto i schludnie.

– Pójdę po Marisol – mówi i zostawia mnie w salonie.

Kominek nie ma gzymsu, ale za to jest obudowany kamieniami o różnych odcieniach szarości. Nad nim wiszą fotografie w ramkach. Większość z nich przedstawia Marisol, jednak na jednym widzę młodszego Melonheada z obejmującą go piękną kobietą.

Patrzę na siebie tak, jakby zatrzymał się dla nich czas.

– Declan! – krzyczy z entuzjazmem Marisol i oczywiście obejmuje moje nogi. – Przyszedłeś się ze mną pobawić!

Ech, gdyby tylko dziewczyny w moim wieku w taki sposób reagowały na mój widok...

– Jasne – odpowiadam. – Możemy się pobawić w lemoniadę.

Marszczy nosek.

– W lemoniadę?

– Tak. Ja się trochę napiję, potem ty się trochę napijesz i w końcu ty wygrywasz.

– Podoba mi się ta zabawa – mówi ze śmiechem.

Melonhead przypatruje się nam.

– Jesteś dla niej bardzo miły – zauważa.

– Doszedłem do wniosku, że nie będę jej wkurzać, tłumacząc, że wydała pięćset dolców na bezużyteczny gaźnik.

– Wkurzać? – powtarza po mnie mała. – Co to znaczy wkurzać?

Jej ojciec pochmurnieje.

– Przepraszam – bąkam ze wstydem.

– Nic nie szkodzi. Siadaj.

Siadamy przy stole ze szklankami lemoniady, a Marisol odchodzi na bok z kredkami i blokiem. Melonhead patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Naprawdę sądzisz, że potrzebuje nowego gaźnika?

Wzruszam ramionami i piję łyk.

– Ja to wiem.

Mężczyzna kiwa głową.

– Przed twoim przyjazdem wspominał, że mógł popełnić błąd. Chyba do końca miał nadzieję, że temu zaprzeczysz.

Unoszę brwi.

– To on wiedział?

– Nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą. Majstruje przy tym wozie w każdy weekend, ale jest tylko hobbystą. – Milknie na chwilę. – Naprawdę poznałeś to po pracy silnika?

Sunę palcem po oszronionej szklance.

– Kwestia doświadczenia. Trochę wyszedłem z wprawy, ale w tym przypadku nie miałem wątpliwości.

– Dobrze pamiętam, że twój tata był mechanikiem?

Kiwam głową.

– I to dobrym. Miał własny warsztat. Robił renowacje, tuningi, tego rodzaju rzeczy. Przesiadywałem tam z nim prawie codziennie. Umiałem złożyć skrzynię biegów, zanim nauczyłem się chodzić. – Nie chcę myśleć o ojcu, lecz nic nie poradzę na to, że miło wspominam tamten okres. Pamiętam, jak kiedyś wdałem się w kłótnię z jednym z jego pracowników na temat regulacji zapłonu w chevrolecie impala i tata ze śmiechem przyznał mi rację. Miałem wtedy osiem lat. – Nauczył mnie prowadzić, gdy tylko zacząłem dosięgać do pedałów. Mogłem wjeżdżać samochodami do warsztatu i z niego wyjeżdżać.

Przy okazji budzą się we mnie mroczniejsze wspomnienia z czasów, gdy już pokonywałem dłuższy dystans niż z placu na tyłach do warsztatu. Z czasów, gdy wkładałem bejsbolówkę i prostowałem się, żeby wydać się wyższy, bo martwiłem się, że gliniarze odkryją, że za kierownicą siedzi dzieciak.

Po latach żałuję, że żaden gliniarz nas wtedy nie złapał. Może Kerry wciąż by żyła.

– Co teraz porabia twój tata? – pyta ostrożnie Melonhead.

Zwykle unikam odpowiedzi na to pytanie, bo odkrywa zbyt wiele bólu i poczucia winy. Jednak Melonhead mnie nie osądza – w innym wypadku nie poprosiłby mnie o pomoc przy samochodzie sąsiada ani nie pozwalał kręcić się w pobliżu córki. Poza tym dobrze się tu czuję, a to wrażenie jest mi obce i zwykle zarezerwowane tylko dla chwil spędzonych u Reva.

– Siedzi w więzieniu – odpowiadam cicho, wbijając wzrok w szklanę. – Upił się i rozbił samochód. Moja siostra zginęła.

Melonhead dotyka mojej dłoni.

– Przykro mi, Murph.

Jego dotyk mnie zaskakuje i równocześnie zawstydza. Odsuwam rękę i pocieram nią kark.

– Nie ma sprawy. To było dawno temu.

– Widujesz się z nim?

Kręcę głową.

– Mama nigdy go nie odwiedzała, więc ja też nie.

– Twoja mama wyszła ponownie za męża, prawda?

– Tak.

– I jak wam się układa?

Patrzę mu w oczy i się uśmiecham.

– Bawisz się w psychoterapeutę?

– Nie, po prostu próbuję cię rozgryźć.

Piję łyk lemoniady.

– Nie ma za wiele do rozgryzania.

– Ciężko pracujesz. Za bardzo mnie nie wkurzasz. Jesteś bystry. Takie dzieciaki jak ty rzadko mi się trafiają.

– Po prostu nie chcę kłopotów.

– Nie sądzę, żeby o to chodziło. – Milknie na chwilę. – Masz problem z pićm, Murph?

– Najwidoczniej tak. – Prycham i piję łyk lemoniady. – Przecież znasz moją kartotekę, nie?

– Znam. Masz problem z pićm?

Wzruszam ramionami, po czym kręcę głową. Pamiętam palenie w gardle po whiskey, jakby to się stało wczoraj. Nie pamiętam za dużo z tego, co wydarzyło się później, ale wciąż pamiętam to palenie.

– Nie.

– A miałaś?

Ponownie kręcę głową.

– To był jednorazowy wyskok. Czysta głupota. Pod wieloma względami drugi w kolejności najgorszy dzień mojego życia.

– Chcesz o tym pogadać?

Pokój nagle się kurczy i czuję pot spływający mi po karku. Jeśli Melonhead będzie dalej naciskał, zaraz eksploduję i pozostanie po mnie tylko dziura w ścianie.

– Nie, naprawdę nie.

– Ej. – Kładzie rękę na moim ramieniu i delikatnie je ściska. – Wyluzuj. Nie chciałem cię wkurzyć.

Wciągam powietrze i puszczam szklankę. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak mocno ją trzymam.

– Przepraszam.

Do kuchni wpada Marisol z kartkami w ręce.

– Declan! Narysowałam cię, zobacz!

Rzuca swoje dzieło na stół przede mną. To kolorowy ludzik z brązowymi włosami.

– Super – mówię. O dziwo, udaje mi się zapanować nad głosem. – Zrobisz jeszcze jeden rysunek?

– Tak! – odpowiada i wybiega.

W kuchni zapada cisza. Koncentruję się na szklance.

– Mogę ci coś powiedzieć? – pyta w końcu Melonhead.

Przełykam ślinę.

– Pewnie.

– Jeden dzień to jeszcze nie całe życie, Murph. – Czeka, aż na niego spojrzę.

– Dzień to tylko dzień.

Prycham i osuwam się na krześle.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że ludzie nie powinni osądzać mnie na podstawie jednego potknięcia? Powiedz to sędzi Ororos.

Opiera łokcie na stole.

– Nie. Chcę powiedzieć, że to ty nie powinieneś osądzać siebie. – Przerywa.

– Chcesz się spotkać z prawdziwym terapeutą?

Patrzę na niego z gniewem. Musieliby mnie do niego zawlec siłą.

– Nie.

Unosi brwi.

– Co złego twoim zdaniem może być w rozmowie?

– Nie potrzebuję jej. Nic mi nie jest.

– Wszyscy potrzebują kogoś, z kim mogą pogadać – stwierdza. – Masz w ogóle kogoś takiego?

Sunę drugim palcem po oszronionej szklance, po czym unoszę wzrok i patrzę mu w oczy.

– Tak, mam.

Rozdział dwudziesty siódmy

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: niedziela, 6 października, 23:58:35

Temat: Cała historia

Czy nie czujesz się czasami tak, jakbyś umieściła wszystkie wspomnienia o mamie w pudełku i za każdym razem, gdy ktoś wyciąga jedno, wypadają z niego wszystkie pozostałe? Coś takiego przytrafiło mi się dzisiaj. Ktoś zaczął mnie wypytywać o ojca i teraz już nie mogę przestać o nim myśleć.

Mama miała mojego tatę za ósmy cud świata. Nie ona jedna. Był wspaniały nie tylko w naszych oczach, ale też w oczach większości innych. Był miłym, wiecznie uśmiechniętym człowiekiem. Ze wszystkimi dobrze żył. Potrafił rozmawiać o sporcie i polityce, rozśmieszał moją siostrę nawet wtedy, gdy była w kiepskim humorze. Biegał po podwórku, niosąc ją albo mnie na barana i goniąc to z nas, które akurat było na ziemi. Prowadził firmę i zarabiał niezłe pieniądze. Wszyscy uważali nas za idealną rodzinę.

Nie wiedzieli, że ciągnął wódę, tak jakby to była woda.

Wiele osób uważa, że alkoholizm ściśle wiąże się z gniewem i przemocą. Nie rozumieją, że szczęśliwi alkoholicy mogą być równie niebezpieczni jak ci szaleni i brutalni. Kiedy tak teraz o tym myślę, wydają mi się nawet bardziej niebezpieczni. Ludzie pytają mamę, dlaczego nie zostawiła go wcześniej, zupełnie jakby ją bił. Tymczasem on nigdy nie podniósł na nią ręki. Nie był tego rodzaju pijakiem. Kochał moją mamę. Kochał nas, swoje dzieci. To nigdy nie był problem.

My też go kochaliśmy. I chyba to właśnie był problem.

W dzieciństwie myślałem, że kiedy tata się cieszy, wszyscy wokół też się cieszą. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, co oznacza napięty wyraz twarzy mamy, gdy ojciec wraca do domu pijany. Miałem jakieś dziewięć lat, gdy zacząłem rozpoznawać objawy choroby. Zmienił mu się głos. Stał się zbyt pobłażliwy i zapominalski. Straciłem rachubę, ile razy zapomniał odebrać mnie ze szkoły. W końcu zacząłem wracać do domu na piechotę, dzięki czemu nauczyciele przestali zadawać pytania. W weekendy jeździłem z nim do warsztatu i czasami zapominał zabrać mnie ze sobą do domu. Mama przyjeżdżała po mnie później i żartowała z jego kolegami na temat swojego „roztrzępanego” męża.

Jestem pewien, że wszyscy znali prawdę, ale nikt nic nie zrobił. Ona zresztą również.

Jak już mówiłem, szczęśliwy alkoholik. Wszyscy go kochali. Nieszkodliwy, prawda?

Chyba wiesz, czym to się skończyło. Mówiłem ci, że zabił moją siostrę.

Kiedy miałem trzynaście lat, zacząłem odwozić go do domu w weekendy.

Wiem, że to zakrawa na szaleństwo, ale nauczył mnie prowadzić, kiedy jeszcze byłem małym dzieckiem. Podobnie chyba jest z dziećmi farmerów, które umieją orać w wieku siedmiu lat, albo z dziećmi myśliwych, które uczą się strzelać, gdy tylko mają siłę unieść strzelbę. Zawsze ostatni wychodziliśmy z warsztatu, więc wydawało się to proste. Nieustannie się bałem, że ktoś mnie nakryje, ale nie miałem wyjścia. Wiedziałem już, że kiedy ojciec jedzie zygzakiem po drodze, nie robi tego dla zabawy. To było groźne. Pewnego razu uderzył w coś i jechał dalej, jak gdyby nigdy nic. Dotąd nie mam pojęcia, co to mogło być, ale czasami śnią mi się koszmary, że potrąciliśmy człowieka. Pamiętam, że bez przerwy go prosiłem, żebyśmy zawrócili i sprawdzili, co to było, ale on nawet nie zdawał sobie sprawy, że w coś uderzyliśmy. Opowiedziałem o tym mamie, ale tylko pokręciła głową i stwierdziła, że przesadzam.

Dlatego pewnej soboty postanowiłem działać. Zwinąłem mu kluczyki.

Przeszukał cały swój gabinet, trząskając drzwiczkami i sprawdzając kieszenie, coraz bardziej wzburzony. Przycupnąłem w kącie, z kluczykami w kieszeni, trzęsąc się na myśl, co może się stać.

– Może powinniśmy zadzwonić do mamy? – zasugerowałem.

– Mama jest w pracy – odburknął.

– To co zrobimy, jeśli nie znajdziesz tych kluczyków?

Miałem nadzieję, że wezwie taksówkę albo zadzwoni do jednego z pracowników i poprosi o podwiezienie.

On jednak zmiotł wszystko, dosłownie wszystko, ze swojego biurka i wrzasnął:

– Niech to szlag! Rozszarpie tego bydlaka, który mi je podprowadził!

Po raz pierwszy byłem świadkiem jego pijackiego wybuchu złości.

Pomogłem mu w poszukiwaniach i w ekspresowym tempie „znalazłem” te kluczyki. Byłem roztrzęsiony i nie chciałem, żeby prowadził, zwłaszcza teraz.

– Może to ja zawiozę nas do domu? – zaproponowałem beztroskim tonem, zupełnie jakbym żartował. – Zobaczymy, czy ktoś nas złapie.

Przez chwilę myślałem, że wyrwie mi kluczyki z ręki. Nie zrobił tego. Roześmiał się, poklepał mnie po plecach i powiedział:

– Dobry chłopak z ciebie.

Tak to się zaczęło.

Wtedy nikomu o tym nie powiedziałem, nawet najlepszemu kumplowi. Kochałem ojca i wiedziałem, że to jedyny sposób, żeby nie wpadł w kłopoty. Byłem nad wiek wysoki i wkładałem na głowę bejsbolówkę, więc nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zadziwiające, ilu ludzi nie chce zauważać pewnych spraw.

Moja siostra nie znała się na tym wszystkim i wcale jej nie wtajemniczaliśmy. I tak by nie zrozumiała. Tata dawno temu przestał próbować nauczyć Kerry dźubania przy samochodach – była typową dziewczyną, dla mnie po

prostu dzieckiem. Byłem w ósmej klasie i oczywiście miałem się za wyjątkowego. Wcale nie łamałem prawa! Byłem mężczyzną, który troszczył się o swoją rodzinę. Pomagałem.

Mama chyba zaczęła liczyć na te moje podwózki.

Wiem, że tak było.

Tego dnia, kiedy zginęła moja siostra, poprosiła, żebym zajął się tatą. W naszym tajnym języku oznaczało to: „Zawieź go, dokąd będzie chciał”.

W ten weekend miałem jechać na biwak (należałem do skautów). Czekałem na wyjazd od tygodni, ale mamę wezwano do pracy, a tata do dziewiątej rano zdążył opróżnić trzy butelki piwa. Mama nie chciała, żeby ktoś zobaczył, jak tata odprowadza mnie nawalony jak stodoła. Dlatego odwołała mój udział.

Godzinami się dąsałem, snując się po domu, trzaskając drzwiami i głośno wzdychając z rozczarowania. Kiedy tata poprosił, żebym zawiózł go do warsztatu, zatrzasnąłem mu drzwi swojego pokoju przed nosem i krzyknąłem, żeby sam sobie pojechał, jeśli tak bardzo tego chce.

Myślałem, że zostanie w domu. W krótkim czasie stałem się jego szoferem i doszedłem do wniosku, że jeśli ja go tam nie zawiozę, w ogóle się tam nie wybierze.

Myliłem się. Wyszedł z domu.

I zabrał ze sobą Kerry.

Tylko jedno z nich przeżyło.

Znów leje tak jak w piątek w nocy i wszyscy siedzą przed lekcjami w stołówce. Dzisiaj na śniadanie są naleśniki i placki ziemniaczane, więc miejsce jest zatłoczone. Rowan odpuszcza sobie naleśniki, zadowolając się sałatką owocową. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałyśmy okazję siedzieć razem i jeść coś przed lekcjami. Nie tak łatwo umówić się na wspólne śniadanie.

Deszcz powstrzymał mnie przed poranną wizytą na cmentarzu i mam ochotę zjeść coś na poprawę nastroju. Dlatego stawiam na swojej tacy talerz naleśników.

Kiedy jednak mam je już przed sobą, nagle przechodzi mi apetyt.

– Co się z tobą dzieje? – pyta Rowan, wkładając do ust borówkę.

Nie mogę przestać myśleć o ostatnim mailu Mroka. Chyba nie powinnam dzielić się jego treścią z Rowan. Wprawdzie Mrok nie zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy, ale czuję, że nie mogę o tym mówić.

Dźgam widelcem stertę naleśników. Wygląda jak wielka obślizgła masa.

– Po prostu myślę.

– O swoim tajemniczym wielbicielu?

Piorunuję ją spojrzeniem.

– Nie kpij z tego.

Wzrusza ramionami.

– Wcale nie kpię. Dlaczego nie spróbujesz ustalić, kim jest?

– Myślałam już o tym. – Waham się, ponownie przypominając sobie wiadomość. – Nie sądzę, żeby łączył nas tego rodzaju związek. To działa chyba tylko dlatego, że się nie znamy.

– O czym rozmawiacie?

Rozglądam się dookoła i ponownie przypuszczam atak na naleśnik. Skłamałabym, mówiąc, że nie jestem ciekawa tego chłopaka. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby w tamtą piątkową noc nie nadjechał Declan Murphy. Nigdy jeszcze z nikim nie rozmawiałam tak otwarcie. Z Mrokiem mogę być... sobą. I on też może być sobą.

Rowan wciąż czeka na odpowiedź. Ładuję sobie kawałek naleśnika do ust.

– O niczym. Takie tam...

– Jezu, Jules! Ty się rumienisz!

To okropne. Ma rację. Czuję, że jestem rozpalona.

– Nieprawda!

– Może chcesz lusterko? Jesteś cała czerwona.

– Przestań. To nie tak. Rozmawiamy o... trudnych sprawach. – Nie chcę zdradzać, że o śmierci. Nawet to uznałabym za niełojalność wobec niego. – W każdym razie nie flirtujemy ze sobą.

– Więc nie przesłał ci jeszcze zdjęcia swojej męskości?

Wybucham śmiechem.

– A Brandon przysłał ci zdjęcie swojej?

– Nie! – Tym razem to ona się czerwieni.

– Jak go znam, byłby to artystyczny akt z pięknym światłem i starannie rozplanowanymi cieniami...

– Zamknij się! – przerywa mi Rowan ze śmiechem.

Strasznie mi tego brakowało. Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie jak bardzo.

Rowan poważnieje, patrząc na kogoś za mną.

– Zdaje się, że pan Gerardi znowu cię szuka.

Czekam, aż ogarnie mnie przemożna chęć ukrycia się przed nim, ale tego ranka nic takiego nie następuje. Odwracam się i szukam wzrokiem swojego dawnego nauczyciela fotografii. Na mój widok jego twarz promienieje. Przedziera się przez tłum uczniów, idąc w naszym kierunku.

– Juliet – mówi. – Cieszę się, że cię złapałem. Przegrałem zdjęcia z czwartku i muszę ci powiedzieć, że niektóre są rewelacyjne. Po prostu świetne.

– To pewnie te moje – mówi Rowan.

Pan Gerardi marszczy brwi.

– Co takiego?^[P]_[SEP] – Wyglupia się – uspokajam go. Czuję się trochę oszołomiona. Dziwnie po tak długim czasie znów być chwaloną za zdjęcia. – Dziękuję.

– Tak się zastanawiam, czy może nie chciałabyś mi pomóc przy obróbce tych, które trafią do książki pamiątkowej.

Zamieram.

W ciszy, która nagle zapada, słyszę jedynie jego łagodny głos.

– Oczywiście tylko pod warunkiem, że masz czas. Nie chcę ingerować w twój grafik, jeśli nie muszę.

Czuję znajomy ucisk w piersiach i odwracam wzrok. Cieszę się, że zrobiłam te zdjęcia, ale pomoc w ich edycji oznacza kolejny krok na drodze do świata fotografii.

– Sama nie wiem. – Patrzę na niego. – Mogę to przemyśleć?

– Oczywiście. – Zaczyna się odwracać, ale nagle coś sobie przypomina. – Zależy mi szczególnie na jednym zdjęciu. Wydaje mi się, że idealnie pasowałoby na okładkę.

Moje serce zatrzymuje się na chwilę, a potem zaczyna gwałtownie bić. Co roku wybiera się jedno zdjęcie, które trafia na okładkę książki pamiątkowej. To wielkie wyróżnienie. Nie wydaje mi się, żeby na okładkę kiedykolwiek trafiło zdjęcie zrobione przez ucznia.

– Naprawdę?

Kiwa głową.

– Naprawdę. – Rozlega się pierwszy dzwonek i nauczyciel zerka na zegar. – Muszę iść do klasy. Daj znać, co postanowiłaś, dobrze?

– Dobrze – odpowiadam, ale on już z powrotem przedziera się przez tłum uczniów.

– Jules! – Rowan uderza mnie w ramię. – Ale super!

Rok temu uznałabym to za spełnienie marzeń. Teraz nie wiem, co o tym myśleć. Porzuciłam fotografię z konkretnego powodu. Nigdy nie dorównam mamie. Moje zdjęcia, nieważne jak bardzo chwalone przez pana Gerardiego, nie znaczą nic w porównaniu z jej pracami.

– Muszę iść na lekcję – mówię. – Nie chcę znowu zostać w kozie.

Rowan chyba wyczuwa zmianę mojego nastroju.

– Wszystko gra?

– Tak. Nic mi nie jest. – Zrywam się z krzesła, wrzucam naleśniki do kosza na śmieci i odwracam się, żeby pobiec do klasy.

I wtedy widzę przed sobą Declana Murphy’ego. Trzyma pusty tekturowy pojemnik, więc pewnie też idzie do kosza. Zastanawiam się, czy nie zrobić uniku i nie wmieszać się w tłum, ale nagle uświadamiam sobie, że on chce zrobić to samo.

Przez chwilę oboje stoimy nieruchomo, a potem on wrzuca pojemnik do kosza i zatrzymuje się tuż przede mną. Jak zwykle góruje nade mną, ale po tym, jak pomógł mi podczas ulewy, już się go nie boję. Przypominam sobie o tym, o czym

rozmawialiśmy z Mrokiem: że ludzie są osądzeni na podstawie jednej fotki z życia, i zmuszam się do spojrzenia mu w oczy.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiada ciszej, niż się spodziewałam.

Zaraz się spóźnię na lekcję, ale nie chcę jeszcze stąd odchodzić.

– Mam nowe opony – chwalę się. – I nowy akumulator.

– Zauważyłem.

Mrugam powiekami.

– Zauważyłeś?

– To znaczy opony. – Wzrusza ramionami. – Trudno nie zauważyć twojego wozu.

– Ach tak. – Czy on mnie obraża? Nie wiem, co powiedzieć, i nie umiem wyczytać nic z jego twarzy.

Przysuwa się do mnie i po raz pierwszy wygląda na niepewnego. Zupełnie jakby się wahał.

– Chciałem cię o coś zapytać.

Patrzę mu w oczy. To spotkanie jest zupełnie inne niż poprzednie, to w samochodzie, gdy przyciskałam się do drzwi, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od niego. Tłum uczniów napiera tak bardzo, że też muszę podejść bliżej. Nigdy nie podejrzewałam, że znajdę się tak blisko niego i będę z nim rozmawiać jak gdyby nigdy nic, jakbyśmy nie należeli do całkowicie innych światów.

Zdyszana Rowan chwytą mnie za ramię.

– Jules, co ty wyprawiasz? – Patrzy z wyższością na Declana. – Wydawało mi się, że nie chcesz się spóźnić.

– Daj mi jeszcze chwilę – odpowiadam, ale rozlega się drugi dzwonek. Mamy trzy minuty na znalezienie się w klasie, ale podświadomość podpowiada mi, żeby jeszcze nie odchodzić. Patrzę na Declana, lecz jego wyraz twarzy już się zmienił, znów nikogo do siebie nie dopuszcza. – O co chciałeś mnie zapytać?

Spogląda na nas obie.

– O nic. Nie przejmuj się tym. – Odwraca się i dołącza do chmary uczniów przepychających się do drzwi.

– Zaczekaj! – wołam, ale jego już nie ma.

Rozdział dwudziesty ósmy

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: poniedziałek, 7 października, 09:12:53

Temat: Wściekłe myśli

Myślę o Twoim mailu, odkąd się obudziłam.

Spędziliśmy wiele czasu na rozmowach o winie, odpowiedzialności, przecinających się ścieżkach i ważnych chwilach w życiu, jednak teraz mam ochotę komuś przyłożyć. Wkurza mnie to, że czujesz się odpowiedzialny za śmierć siostry. Mam ochotę znaleźć Twoich rodziców i pobić ich do nieprzytomności. Mam nadzieję, że nie znienawidzisz mnie za to, co teraz napiszę, ale cieszę się, że Twój ojciec siedzi. Moim zdaniem Twoja matka też na to zasługuje. Kto pozwala trzynastolatkowi jeździć po mieście i chronić pijaka? KTO TAK ROBI?

Właśnie odpyskowałam nauczycielce, która kazała mi odłożyć telefon. Wygląda na to, że wyląduję dzisiaj w kozie.

Nie wierzę, że Twoi rodzice Cię w to wpakowali.

Nie wierzę, że Twoja matka na to pozwoliła.

Nie wierzę, że nie wiem, kim jesteś, bo w tej chwili wszystko, o czym marzę, to Cię odnaleźć, a kiedy już mi się to uda, solidnie Tobą potrząsnąć i powiedzieć Ci, że TO NIE TWOJA WINA. Rozumiesz? TO NIE TWOJA WINA.

Czy ktoś jeszcze o tym wie?

Znasz mnie. Znajdź mnie i solidnie mną potrząśnij. Proszę.

Tak bardzo pragnę napisać te słowa. Aż się cały trzęsę. Nawet Rev nie zna całej prawdy, a ja zwałem to wszystko na dziewczynę, która wciąż uważa prawdziwego mnie za buca. Dziś rano o mało nie wyznałem jej, kim jestem. Teraz się cieszę, że tego nie zrobiłem. Czy dalej czułaby to, co czuje, gdyby wiedziała, że to ja?

Jej współczucie dla tego drugiego mnie wprost emanuje z ekranu. Serce mocno mi bije, gdy o tym myślę. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś oprócz Reva stawał w mojej obronie. Aż robi mi się gorąco z emocji.

Muszę z tym skończyć. Zamykam apkę i wciskam komórkę na dno plecaka.

I już w następnej chwili czuję palącą potrzebę wyjęcia jej z powrotem i ponownego przeczytania jej słów.

Wiem, że moi rodzice nie powinni mi pozwalać prowadzić. Dobrze o tym wiem.

Ale ja też miałem inne możliwości. Mogłem komuś o tym powiedzieć. Za pierwszym razem mogłem zamówić taksówkę. I przede wszystkim nie powinienem był się zgłaszać na ochotnika.

Mogłem pojechać tego dnia, kiedy zginęła Kerry. Wykazałem się egoizmem

i głupotą, mogłem to zatrzymać.

Zresztą w maju tego roku też się nie popisałem, kiedy włądowałem auto ojca w ten budynek. Również do tego nikt mnie nie zmusił.

Zastanawiam się, co poczuje Cmentarna Dziewczyna, kiedy powiąże ze sobą te dwa wydarzenia.

– Declanie, mógłbyś przeczytać dwa pierwsze wersy?

Wokół nagle zapada pełna oczekiwania cisza. Unoszę wzrok i uświadamiam sobie, że wszyscy mają otwarte podręczniki i zeszyty. Wszyscy z wyjątkiem mnie.

Pani Hillard wpatruje się we mnie. Ton jej głosu nie zmienia się ani na jotę, nie zdradza najmniejszego zniecierpliwienia.

– Strona siedemdziesiąta czwarta. Dwa pierwsze wersy.

Mógłbym zacząć się przeciągać, wzdychać i zachowywać się tak, jakby to było z mojej strony zbyt duże poświęcenie, ale pani Hillard nie jest dla mnie wredna, więc ja też taki nie będę. Otwieram książkę na stronie, którą mi podała, a potem czytam, początkowo nie zwracając uwagi na słowa. Wciąż jestem pochłonięty mailem i tym, że Juliet tak mocno się za mną ujęła.

– „Świat raz wydartych uciech niczym nie nagrodzi, / Gdy żar myśli młodzieńczej wypali się zbyt”³.

Nagle dociera do mnie, co właściwie czytam, zupełnie jakby mój umysł cały czas czekał na te słowa. Gdzieś za mną rozlega się szelest papieru, lecz poza tym w klasie panuje całkowita cisza.

– Jak sądzisz, co to znaczy? – pyta pani Hillard.

Słowa wciąż rozbrzmiewają w mojej głowie, choć tym razem przytaczam je z pamięci. Dobrze pamiętam, jak tamtego dnia czytała ten wiersz mama.

Pani Hillard przygląda mi się uważnie, czekając na to, co mam do powiedzenia.

– Przeczytaj to jeszcze raz po cichu – proponuje. – Niech wszyscy to zrobią. Pozwólcie, aby ten wiersz do was dotarł.

Moje oczy padają ponownie na tekst wiersza, przyciąga mnie on jak magnes. Na chwilę wszystko wokół się zatrzymuje. Mój umysł za mocno koncentruje się na śmierci i poczuciu winy, nie mogę tego czytać. Za chwilę wybuchnie mi serce, a może mózg... W oczach zbierają mi się łzy.

Zamykam z trzaskiem książkę i ładuję ją do plecaka. Do tej pory jeszcze nigdy nie wyszedłem w trakcie lekcji. To mój pierwszy raz.

Pani Hillard wybiega za mną na korytarz.

– Declan!

– Wiem, do dyrektora. Właśnie tam idę – odpowiadam ochryplym i łamiącym się głosem.

– Stój. Powiedz, co się stało.

– Nienawidzę tego! – krzyczę z wściekłością i odwracam się do niej. –

Mogłaby pani dać mi spokój?

Nie reaguje na mój wybuch, nie próbuje mnie również uspokoić.

– Dlaczego? – rzuca.

Drzwi jednej z klas się otwierają i pojawia się w nich jeden z nauczycieli. Na mój widok zaciska pięści, prostuje się i patrzy na panią Hillard.

– Mam wezwać ochronę? – pyta.

No jasne.

– Nie. Nikt tutaj nie potrzebuje ochrony. – Nauczycielka podchodzi do mnie. Jej kolega nie rusza się z miejsca, jednak ona nie zwraca na niego uwagi. – Dobrze, idź do dyrektora – mówi. – Ale zaczekaj tam na mnie.

Trzymam się tylko dlatego, że wbijam paznokcie we wnętrze dłoni. Udaje mi się kiwnąć głową.

– Dobrze – mówi. – Przyjdę tam zaraz po lekcji.

Budynek Hamilton High School wzniesiono ponad trzydzieści lat temu i widać to w tych pomieszczeniach, które dotąd nie doczekały się remontu. Jednym z nich jest sekretariat. Poobtłukiwane jaskrawopomarańczowe blaty i wyłożone boazerią ściany, które tyle razy malowano na biało, że wyglądają na wiecznie wilgotne. Dyrekcji zależy, aby to pomieszczenie wydawało się przyjazne uczniom, dlatego wydzieliła dla nich mały obszar z obitymi pluszem fotelami, okrągłym stołem i stojakiem, na którym znajdują się broszury college'ów i poradniki zawodowe.

Kiedy tam wchodzę, mam ochotę powiedzieć, że źle się czuję, ale jedyną rzeczą gorszą od czekania na nauczyciela byłoby czekanie na moją matkę. Jedna z sekretarek unosi wzrok i patrzy na mnie. Nazywa się Beverly Sanders. W tym roku jest blondynką i słynie z zamiłowania do sweterków w kwiaty. Właśnie się rozwodzi.

Jak widać, jestem tu częstym gościem.

Klimatyzacja pracuje na całego i robi mi się zimno. Czuję się tak, jakby całe moje ciało się kurczyło. Wszystko wokół wydaje mi się wielkie. Słyszę swój głośny oddech.

– Dam znać panu Diviglio, że tu jesteś – mówi pani Sanders, nie przerywając pisania na komputerze.

Pan Diviglio to wicedyrektor. Zajmuje się sprawami uczniów. Starzy z nas kumple.

Wolałbym przytrzasnąć sobie rękę drzwiami niż spędzić z nim choćby chwilę. Zwłaszcza teraz.

Odchrząkuję, ale głos dalej mam ochrypy.

– Ja nie do niego. Pani Hillard poprosiła, żebym tu na nią poczekał.

Palce sekretarki zastygają na klawiaturze. Przygląda mi się uważnie, po czym zerka na zegar nad drzwiami.

– Dzwonek będzie dopiero za dwadzieścia minut.

– Wiem.

– W takim razie siadaj.

Zagłębiając się w jednym z foteli i próbując pozbierać myśli. Nic z tego. Czytam ponownie mail od Juliet. Zastanawiam się, co bym czuł, gdyby powiedziała mi te słowa prosto w twarz.

Szkoda, że nie mogę z nią w tej chwili pogadać.

„Proszę – powiedziałbym jej. – Proszę, zrozum mnie”.

„To ty? – ona na to. – Fuj! Ty świrze”.

– Podczas lekcji nie wolno używać telefonów – przypomina mi pani Sanders.

Zerkam na nią.

– Przecież nie jestem na lekcji.

Sznuruje usta.

– Proszę, odłóż go.

Wzdycham i wkładam komórkę do plecaka.

Do czasu, gdy rozlega się dzwonek, mój gniew się ulatnia i jestem już tylko zaniepokojony i zdenerwowany. To długa przerwa, więc uczniowie przychodzą załatwić dziesiątki spraw. Żaden na mnie nie patrzy. Czekać z łokciami opartymi na kolanach.

Odliczam minuty. W końcu dochodzę do wniosku, że zapomniała.

Wpada jednak do sekretariatu pięć minut po dzwonku, z torbą przewieszoną przez ramię i zaniepokojoną miną.

Na mój widok oddycha z ulgą.

– Zaczekałaś.

– Przecież mi pani kazała. – Nagle czuję się jak idiota.

– Cieszę się. – Pokazuje na lewo, na jedne z drzwi. – Chodźmy do sali konferencyjnej.

Do sali konferencyjnej idziesz wtedy, gdy chcą wezwać twoich rodziców albo ktoś chce odbyć z tobą naprawdę poważną rozmowę, co zwykle oznacza wpisanie uwagi do twojej kartoteki. Nauczycielka jednak nie idzie po dyrektora, więc ruszam za nią i siadamy w sali we dwoje.

– Co się stało na lekcji? – pyta spokojnym głosem, więc chyba nie zamierza mnie opieprzać.

Wbijam wzrok w stół. W pokoju jest zbyt jasno, kojarzy mi się z salą przesłuchań w komisariacie. Teraz, gdy już minęło trochę czasu i ochłonąłem, mogę wrócić pamięcią do swojego ataku wściekłości.

– Nie wiem.

– Co cię tak zdenerwowało?

Wszystko, myślę.

– Nic – odpowiadam.

– To lord Byron wyprowadził cię z równowagi? – pyta z ironią. Ton jej głosu mnie zaskakuje. Na szczęście nieobcy mi sarkazm.

– Można tak powiedzieć.

Opiera się na krześle, a potem wyjmuje z torebki podręcznik.

– Mógłbyś to teraz przeczytać i powiedzieć mi, co o tym myślisz?

Znów czuję strużkę potu spływającą mi po karku.

– To głupi wiersz.

Unosi brwi.

– Tym łatwiej będzie ci się uporać z tym zadaniem.

Ma rację. To tylko słowa. Nie mają nade mną władzy. Mogę to zrobić. Przysuwam do siebie książkę, po czym ponownie czytam pierwszy wers.

– „Świat raz wydartych uciech niczym nie nagrodzi”.

Zamykam gwałtownie podręcznik. Ciężko dyszę.

Pani Hillard milczy. Trzeba jej przyznać, że jest cierpliwa, w ogóle nie reaguje.

Siedzę nieruchomo przez dłuższy czas. Dłonie mi się pocą.

A ona czeka.

W końcu oddech mi zwalnia, jednak nie mogę spojrzeć jej w oczy. Mój głos jest tak cichy, że chyba z ledwością mnie słyszy.

– Mama czytała ten wiersz na pogrzebie mojej siostry. Nie... nie chcę go znowu czytać.

– Rozumiem. – Milczy przez chwilę, a potem odsuwa ode mnie podręcznik, przysuwa krzesło i nakrywa dłonią moją rękę. – Jesteś mądrym chłopcem, Declanie, więc powiem ci tylko jedno.

Zamieram zaskoczony jej słowami. „Jesteś mądrym chłopcem”.

I nie chce, żebym opowiadał o Kerry.

– Następnym razem – kontynuuję – gdy będziesz miał jakiś problem, po prostu mi o tym powiedz.

Prycham i odsuwam rękę. A już myślałem, że usłyszę od niej coś naprawdę ważnego.

– Niech będzie.

– Pewnie myślisz, że nie dasz rady? – Patrzy na mnie wyzywająco. – Ale przecież teraz się udało, prawda?

No cóż. Chyba tak.

Przypominam sobie, jak Juliet powiedziała mi w samochodzie, że mogłem po prostu poprosić, żeby skasowała to zdjęcie.

Pani Hillard siedzi spokojnie, ale napięcie jest prawie namacalne. Wyraźnie nie zamierza odpuścić.

– Nie musisz podawać mi szczegółów, ale nie możesz też wybiegać z klasy. Jeśli pojawi się jakiś problem, po prostu mi powiedz.

Nic na to nie odpowiadam. Prawdę mówiąc, nie wiem, co powiedzieć.

– Ufasz mi? – pyta.

Nie. Tak. Może.

– Nie wiem.

– Uczciwe postawienie sprawy. – Odwraca się do torebki i zaczyna przeglądać teczki z pracami uczniów. – Skoro chcesz trzymać się z dala od Byrona, przydzielę ci jakiegoś innego poetę.

Nie ruszam się. Jeśli każe mi analizować kolejny wiersz o śmierci, wychodzę.

Kładzie na stole zadrukowaną kserokopię.

William Ernest Henley, *Invictus*.

– Omawiam go z uczniami na rozszerzonym angielskim – wyjaśnia – ale myślę, że sobie poradzisz.

Boję się go zacząć czytać. Mam ochotę zмяć kartkę i uciec.

Ale ze mnie mięczak. Specjalnie wpatruję się w róg kartki, żeby nie widzieć tekstu.

– Mam go przeczytać teraz?

– Nie, weź go do domu. A potem napisz mi o przeżyciach podmiotu lirycznego. – Przerywa na chwilę. – Myślę, że będą ci bliskie.

– Jasne. – Wkładam kartkę do plecaka. – Na pewno.

– Declanie...

Wypowiada moje imię z naciskiem, ale nie słyszę w jej głosie groźby.

– Co takiego? – pytam.

– Daj mi szansę, dobrze?

– Spoko. – Zasuвам plecak, zarzucam go sobie na ramię i wychodzę.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: poniedziałek, 7 października, 14:15:44

Temat: Poezja

Czy znasz Świat raz wydartych uciech Byrona? To najgorszy wiersz świata. Mówi o rozkładzie i śmierci.

Mama czytała go na pogrzebie mojej siostry.

Miałem ochotę wyrwać jej z rąk kartkę z tym wierszem. Kto czyta takie rzeczy na pogrzebie? Już wolałbym jakiś fragment Biblii – znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co to znaczy.

Omawialiśmy ten wiersz dziś na angielskim. To znaczy ja nie. Wybiegłem z klasy.

O mało nie wylądowałem w kozie tak jak Ty.

Zapytałaś, czy ktoś jeszcze zna całą prawdę o tym, co się przytrafiło mojej rodzinie. Mój najlepszy kumpel wie prawie wszystko. Może z wyjątkiem tego, jak długo to trwało, ale to w sumie nie ma większego znaczenia, prawda?

Jestem wzruszony, że tak się za mną ujęłaś, jednak niepotrzebnie. Może i nie ponoszę całej winy za to, co się stało, ale część na pewno.

Dobija mnie, że nie wiem, kim on jest. Chodzę na rozszerzony angielski, ale jeszcze nie omawialiśmy Byrona. W każdym razie eliminuje to jakichś piętnastu chłopaków.

Próbuję się domyślić, który uczeń z ostatnich klas może używać takich słów jak „ujęłaś”, a jednocześnie być na tyle bezczelny, żeby wyjść z klasy w trakcie lekcji. Najoczywistsze rozwiązanie mam na wyciągnięcie ręki: po prostu muszę go zapytać. Tyle że to będzie oznaczać koniec naszej znajomości w takim kształcie jak dotychczas. Nie wiem, czy jestem na to gotowa. Niewykluczone, że najbardziej pociąga mnie jego tajemniczość. Niewykluczone, że kiedy go poznam, okaże się okropny.

To niemożliwe. Skądś to wiem.

Ale jednak.

Napisał kiedyś, że pewnie moja mama by go nie polubiła, ale się mylił. Moim zdaniem przypadłby jej do gustu. Byłaby nim zafascynowana.

Tak jak jestem nim zafascynowana ja.

Kiedy po ostatnim dzwonku wchodzę do klasy pana Gerardiego, nauczyciel siedzi przy biurku otoczony przez uczniów. Czekam z tyłu klasy, oglądając fotografie wiszące na ścianie. Muszą pochodzić z początku roku szkolnego, bo pamiętam to zadanie. To zwykle zdjęcia przyrody, ale kilka wyróżnia się interesującą grą światła. Moją uwagę przyciąga zwłaszcza fotografia mrówek

przedzierającej się przez kryształki cukru rozsypane na kawałku drewna. Podoba mi się kompozycja i rozdarta paczka cukru stojąca w tle.

– Też ją uwielbiam – mówi pan Gerardi, stając za mną. – Mam nadzieję, że autorka utrzyma poziom.

– To ktoś z pierwszej klasy? – pytam.

– Nie, z przedostatniej. Znalazła się na moich zajęciach właściwie przypadkiem, bo potrzebowała zaliczenia z jakiegoś przedmiotu fakultatywnego, i nagle odkryła, że ma do tego dryg. – Przerywa, a ja nie odrywam wzroku od fotografii. Nie chcę na niego patrzeć, bo ciągle nie mam pewności, co tu robię. Mówi więc do moich pleców. – Chcesz zobaczyć, które zdjęcie wybrałem na okładkę księgi pamiątkowej?

Przychodząc tutaj po tak długiej przerwie, czuję się, jakbym brukała pamięć matki, jednak ciekawość zwycięża. Zwilżam usta.

– No pewnie.

Rusza do biurka, a ja idę za nim. Odwraca monitor w moją stronę.

Wstrzymuję oddech. Na ekranie widzę pierwszą fotografię, jaką zrobiłam w czwartek. Declan i Rev po jednej stronie, a ćwiczące cheerleaderki po drugiej.

Wiedziałam. Podświadomie zdawałam sobie sprawę z tego, że chodzi właśnie o to zdjęcie.

– Uwielbiam je – mówi pan Gerardi. – Idealnie nadaje się na okładkę. Z przodu znajdują się cheerleaderki, które wyrażają szkolnego ducha rywalizacji i więź, jaka łączy uczniów, a z tyłu chłopaki, symbol przyjaźni, a zarazem osamotnienia, jakie czasami odczuwają wszyscy uczniowie...

– Sama nie wiem – przerywam mu ochrypłym głosem.

– Jak to nie wiesz?

– Muszę poprosić o zgodę.

– Te dziewczyny? Znasz je? Na początku roku szkolnego rodzice podpisują zgodę na przetwarzanie wizerunku swoich dzieci. Nie potrzebujemy oddzielnej zgody na zamieszczenie ich zdjęć w księdze pamiątkowej...

– Nie. – Mój głos w dalszym ciągu jest ochrypły. Wprawdzie Rev zapewnił mnie, że nie muszę kasować tego zdjęcia, ale to jeszcze nie oznacza, że ucieszy go znalezienie się na okładce naszej księgi pamiątkowej. – Chodzi mi o chłopaków.

– Ach tak... – Sprawia wrażenie zaskoczonego. – Myślisz, że to może być problem?

Przypominam sobie swoją rozmowę z Mrokiem o różnych ścieżkach życiowych i o tym, czy są nam one z góry przypisane. Wygląda na to, że los chciał, abym przecięła ścieżkę, którą podążają Declan i Rev.

– Nie... Nie mam pojęcia.

Pan Gerardi przez chwilę się waha.

– Czy ty coś przede mną ukrywasz?

Odrywam wzrok od ekranu.

– Co takiego?

– Zachowujesz się, jakby to było jakieś wielkie halo. Próbuję ustalić dlaczego.

– Ja tylko... chcę się upewnić, że nie będzie im to przeszkadzać.

Wpatruje się we mnie badawczo.

– Chcesz, żebym to ja ich o to zapytał?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Dziwny nauczyciel pytający, czy zdjęcie, którego nie chcieli, może się znaleźć na okładce książki pamiątkowej... Już sobie wyobrażam reakcję Declana.

– Nie – mówię pośpiesznie. – Ja to zrobię.

Uśmiecha się zachęcająco.

– A potem sama obrobisz to zdjęcie? – pyta.

– Jasne. – Nagle czuję potrzebę natychmiastowej ucieczki. – Pod koniec tygodnia, dobrze?

Nawet nie czekam na odpowiedź. Wybiegam z sali, jakby za chwilę miała w niej wybuchnąć bomba.

Kiedy wychodzę ze szkoły, parking nie jest już pełen. Zostały jedynie auta uczniów chodzących na zajęcia sportowe lub kółka zainteresowań. Ja do nich nie należę.

Podobnie jak Rev i Declan.

Stoją obaj przy samochodzie tego drugiego. Wóz wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam, z tą różnicą, że w świetle dnia widać jeszcze bardziej, że potrzebuje lakierowania. Opierają się o bagażnik, a Declan trzyma papierosa między palcami.

Zatrzymuję się w niewielkim zagajniku przy parkingu. Nie spodziewałam się, że tak od razu ich zobaczę, ale nie jestem tym zaskoczona, zupełnie jakby nie ruszyli się stąd od ostatniego czwartku, kiedy zrobiłam im to zdjęcie. Chcę przejść obok nich i wsiąść do samochodu, jednak kiedy patrzę na Declana, przypominam sobie, że dzisiaj rano w stołówce zachowywał się dosyć dziwnie.

„Chciałem cię o coś zapytać”.

– Znowu mnie śledzisz?! – woła teraz.

W jego głosie nie słyszę szyderstwa. Czyżby tylko żartował?

Z zakłopotaniem wychodzę z zagajnika i przystaję jakieś pięć metrów od nich.

– Nie chciałam wam przeszkadzać... w tym czymś, co właśnie robicie.

– W tym czymś, co właśnie robimy? – Declan zaciąga się papierosem. – My po prostu sobie stoimy.

– Wiesz, że palenie na terenie szkoły jest zabronione?

Znów się zaciąga, po czym formuje kółeczka dymu.

- Strasznie się o mnie martwisz.
- Po prostu nie cierpię palenia. To obrzydliwy nałóg.

Te słowa padają z moich ust zupełnie bez zastanowienia i przygotowuję się na złośliwości z jego strony lub przynajmniej na to, że rzuci we mnie niedopałkiem.

Nie robi ani jednego, ani drugiego. Wygląda wręcz na nieco przestraszonego. Ciska papierosa na ziemię i przydeptuje go butem.

- Przepraszam, nie wiedziałem.
- Byłabym mniej zszokowana, gdyby nagle wyrosły mu skrzydła.
- Ale obiecujesz, że poza tym dalej będziesz zachowywał się jak dupek?
- Postaram się.

Rev bije mi brawo, po czym się kłania.

- Dziękuję. Też nie cierpię tych jego papierochów.

Declan piorunuje go wzrokiem.

- Przymknij się, Rev. – Przenosi wzrok na mnie i przygląda mi się uważnie.
- Wciąż jeszcze się mnie boisz?
- Nie.

- To dlaczego stoisz tak daleko?

Nie wiem, czy to zaproszenie, bym się zbliżyła, ale robię kilka kroków w ich stronę.

- A dlaczego stoicie akurat tutaj?

Declan wrusza ramionami i opiera się o swój wóz.

- W sumie istnieją chyba tylko ze trzy miejsca, w których pozwolono mi przebywać. To znajduje się poza zasięgiem głosu mojego ojczyma.

Nie mogę przestać się na niego gapić. Patrzę na niego tak intensywnie, że prawie nie zwracam uwagi na jego słowa. Niesamowicie wygląda w promieniach słońca – nadają jego włosom rudawy odcień i rozjaśniają mu twarz, niezależnie od tego, jaką akurat robi minę. Mogłabym wpatrywać się w niego cały dzień i ani przez chwilę bym się nie nudziła.

- A ja myślałam, że pozujesz do zdjęcia na tle swojego starego mustanga.

Twarz Declana pozostaje nieruchoma, jednak momentalnie się orientuję, że powiedziałam coś nie tak.

Rev gwizdże przeciągle.

- Za takie słowa można oberwać.
- To nie jest mustang – mówi Declan. Sprawia wrażenie o wiele bardziej urażonego niż wtedy, gdy opierniczyłam go za papierosy.

- No dobrze, to w takim razie co?
- Dodge charger. – Prycha. – Nie wiem, czemu mnie to dziwi.
- Dla mnie wyglądają tak samo.

Pokazuje palcem na drugą stronę parkingu, gdzie stoi moja honda.

– Tamten i ten – wskazuje kciukiem swój samochód – nie są do siebie bardziej podobne niż te dwa. – Teraz z kolei pokazuje na stojące obok siebie minivana i sedana.

– Skoro tak mówisz...

Wyjmuje z kieszeni komórkę i odblokowuje ją.

– Zaraz ci pokażę mustanga.

Rev wrywa mu telefon.

– Nie. Nie zaczynamy tego. – Potem patrzy na wyświetlacz, prawdopodobnie na zegar, bo dodaje: – I tak już musimy jechać.

Zbliżam się o kolejny krok.

– Co będziecie robić?

Nie mam pojęcia, dlaczego o to zapytałam, wiem tylko, że nie chcę, by Declan już odjeżdżał. Podobnie jak za każdym razem, gdy na siebie wpadamy, mam wrażenie, że coś się kończy, zanim jeszcze na dobre się zaczęło.

Rev patrzy na Declana, a potem uśmiecha się do mnie spod swojego kaptura.

– Opiekować się dzieckiem. Chcesz się przyłączyć?

– Babydoll?

Kiwa głową.

– Wystraszyłaś się? – kpi Declan, spoglądając na mnie wyzywająco.

– Wcale nie – kłamię. – Jedziemy.

Dom Reva okazuje się lustrzanym odbiciem tego, w którym mieszka Rowan: jednopiętrowy budynek z długim pasem trawnika ciągnącym się do ulicy. Ma błękitną drewnianą fasadę z białymi wykończeniami zamiast beżowej z brązowymi, ale poza tym niemal niczym się nie różni: klasyczny dom rodziny należącej do klasy średniej. Mogłabym wejść do połowy domów przy tej ulicy i wiedziałabym dokładnie, jaki jest rozkład pomieszczeń. Nic mnie tu nie jest w stanie zaskoczyć.

To, co wyprowadza mnie z równowagi, to kolor skóry matki Reva. Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że został adoptowany.

Nagle zaczynam wszystko rozumieć, zupełnie jakby mój mózg wreszcie połączył wszystkie kropki. Przecież Declan wspominał, że Rev został zabrany ojcu. Po prostu tego wszystkiego nie skojarzyłam.

Rev wspominał, że jego mama jest księgową, co sprawiło, że wyobrażałam ją sobie jako zabieganą chudą kobietę w wąskiej spódnicy. Nie byłam przygotowana na widok osoby o bujnych kształtach, z krótkimi włosami i ubranej w poplamioną mąką czerwoną koszulkę i dzinsy. Uśmiecha się do mnie szeroko i emanuje takim ciepłem, że momentalnie cieszę się z jej towarzystwa.

Obejmuje każde z nas, jakbyśmy wszyscy od lat przychodzili tu po szkole.

To dla mnie trochę dziwne, ale zarazem cieszę się, że jest taka serdeczna. Pachnie wanilią, cukrem i zasypką dla dzieci. Kiedy dochodzi do mnie, szepcze:

– Miło cię poznać. Mów mi Kristin. – A potem zaciąga mnie do środka.

Jestem trochę zdezorientowana tym szeptem, ale dostosowuję się i też zaczynam szeptać, czując się trochę głupio:

– Cześć, jestem Juliet.

Declan pochyla się do mnie i wyjaśnia równie cicho:

– Nie chcemy obudzić małej. – Muska przy tym moje ucho i czuję, że policzki mi płoną.

– Będę cicho – obiecuję.

– Bzdura – szepcze Kristin. – Po prostu idźcie na dół, jeśli chcecie hałasować. – Wciska Revowi do ręki elektroniczną nianię. – Przyniosę wam jakieś ciastka, ale potem muszę iść do swojego gabinetu.

– Dziękuję, mam. – Rev zerka na mnie i pyta kpiąco: – Masz ochotę iść na dół i trochę pohłasować?

Wiem, że żartuje, ale znów się rumienię, bo brzmi to dosyć dwuznacznie.

Kristin klepie go po ramieniu.

– No już, sio. Mam mnóstwo pracy.

Wszystko to sprawia wrażenie tak naturalnego, niewymuszonego... Moja mama nigdy nie miała okazji dobrze poznać moich przyjaciół – za rzadko bywała w domu. Żal ściska mi serce, ale chłopaki już schodzą po schodach, więc nie mam czasu na uzalanie się nad sobą i ruszam za nimi.

Piwnica okazuje się otwartą przestrzenią z drewnianymi podłogami. W jednym rogu stoi ogromna sofa, a na ścianie wisi telewizor. W drugim rogu znajduje się dwoje drzwi – jedno zapewne prowadzi do pralni, a drugie do łazienki. W trzecim kącie dostrzegam wielokolorowe maty, tablicę i pudła z zabawkami ustawione wzdłuż ściany. I wreszcie w ostatnim, tym przy schodach, widzę grube, czarne maty, ławeczkę do ćwiczeń i kilka worków zawieszonych na suficie. Pod wyłożoną lustrami ścianą ustawiono sztangę i ciężarki.

Rev zerka porozumiewawczo na Declana, ale nie wiem, o co chodzi, dopóki nie pyta:

– Czego się napijesz?

Wciągam powietrze, by odpowiedzieć, ale nie mogę. Widok troskliwej matki Reva przypomniał mi, jak wiele straciłam. Ogarnia mnie tak wielki smutek, że nie mogę jasno myśleć.

Powinno być na cmentarzu, nie było mnie tam od wielu dni. Od pamiętnej nocy po balu. Co ja w ogóle robię? Ukrywam się?

Tak, ukrywam się. Ukrywam się za ich normalnością i brakiem zmartwień.

Oni nie są nawet moimi przyjaciółmi.

Mam poczucie winy. Ogromne poczucie winy. Ciężar jest tak wielki, że

o mało się pod nim nie załamuję.

Co jej powiem? „Przepraszam, mam, zainteresował mnie pewien chłopak?”.

Kiedy do piwnicy schodzi Kristin, napięcie jeszcze wzrasta. Odwracam się, robię głęboki wdech i powstrzymuję łzy. Kobieta stawia tacę na stoliku obok sofy i na paluszkach wchodzi na górę.

Całe szczęście. Chyba nie zniosłabym w tej chwili jej matczynej troski. Czuję się, jakbym miała za chwilę wybuchnąć.

Muszę się pozbierać. To dlatego wszyscy mnie unikają. Ktoś pyta, czego się napiję, a ja już mam atak paniki.

– Wszystko w porządku – mówi nagle Declan głosem równie cichym jak na gorze. Jego łagodność mnie zaskakuje. Mrugam powiekami.

– Wszystko w porządku – powtarza.

Podoba mi się stanowczy ton jego głosu. To nie było pytanie, on po prostu stwierdził, że wszystko jest w porządku.

Wzrusza ramionami.

– Ale jeśli jednak nie, to trafiłaś w idealne miejsce do przeżycia załamania nerwowego. – Bierze z tacy dwa ciastka i podaje mi jedno z nich. – Proszę. Zajedz smutki.

Mam już odmówić, ale wygląd ciastka mnie intryguje. Spodziewałam się czegoś prostego, banalnego. Tymczasem to okrągłe kruche ciasteczko z nadzieniem.

– Co to... jest? – pytam.

– Ciastka z orzechami pekan – wyjaśnia Rev. Wziął chyba z pięć i dwa władował sobie od razu do ust. – Mógłbym się żywić tylko nimi.

Biorę ciastko od Declana i ostrożnie odgryzam kawałeczek. Smakuje obłądnie.

Patrzę na niego podejrzliwie.

– Skąd wiedziałeś?

Waha się chwilę, jakby nie miał pojęcia, o co pytam, jednak w końcu odpowiada:

– Znam objawy.

– Idę po coś do picia – mówi Rev powoli. – Tobie też mogę przynieść. Mrugnij okiem, jeśli się zgadzasz.

Uśmiecham się do niego. Żartuje sobie ze mnie, ale łagodnie, po przyjacielsku. Mrugam.

Jest w porządku. Declan miał rację.

– Walnij sobie w worek treningowy, to pomaga! – woła Rev na odchodnym. – Ja tak robię na okrągło.

Otwieram szeroko oczy.

– Serio?

– Rób, co chcesz – mówi Declan. – I tak, gdy tylko zaczniemy robić coś ważnego, dziecko się obudzi.

Rev wraca z trzema puszkami coli.

– Właśnie teraz robimy coś ważnego.

– Naprawdę? – dziwię się.

Patrzy mi w oczy.

– Każda chwila jest ważna.

Wypowiada te banalne słowa z taką powagą, że mnie przekonuje. Myślę o Mroku i wszystkich naszych rozmowach o ścieżkach życiowych, utracie i poczuciu winy.

Declan wzdycha i otwiera puszkę.

– Właśnie takimi tekstami Rev wkurza ludzi.

– Mnie nie wkurza – protestuję, czując, że to popołudnie nie może być już chyba bardziej odrealnione. Jakimś cudem słowa Reva zdejmują ze mnie odrobinę poczucia winy i zaczynam myśleć, że przebywanie tutaj jest równie ważne jak wizyta na cmentarzu. Żałuję, że nie wiem, czy to właśnie ta ścieżka jest mi przeznaczona. – Nawet spodobały mi się te słowa. Poważnie mogę przyłożyć w worek?

Rev wzrusza ramionami i pije łyk coli.

– Albo to, albo będziemy lepić z plasteliny.

Podchodzimy do rogu z wiszącymi workami. Rev siada na ławeczce, a Declan na piłce gimnastycznej i opiera się o ścianę. Zajmują te miejsca tak naturalnie, że zastanawiam się, czy to nie jest ich odpowiednik pluszowej kanapy, na której przesiadujemy z Rowan w mojej piwnicy.

Nie mam gwałtownego usposobienia, ale w tej chwili chętnie bym w coś przyłożyła.

Zamierzam się i z całej siły zadaję pierwszy cios.

Ojej. Worek kołysze się lekko, za to mnie boli całe ramię. Chyba zwichnęłam sobie rękę, ale wreszcie coś czuję, po raz pierwszy od tygodni. Fantastyczne uczucie. Muszę zawiesić sobie taki worek w swojej piwnicy.

Zaciskam zęby i znów się zamierzam.

– Poczekaj. – Ktoś łapie mnie za rękę.

Odwracam się, ciężko dysząc, i obok siebie widzę Declana. Unosi brwi.

– Więc... tak – zaczyna. – Nie chcę wyjść na seksistę, ale po tym, w jaki sposób mówiłaś o samochodach, nie spodziewałem się, że będziesz walić tak mocno.

Odsuwam się i prostuję, czując się głupio.

– Przepraszam.

– Za co? – Patrzy na mnie jak na wariatkę. – Po prostu nie chcę, żebyś

złamała sobie nadgarstek.

– Proszę. – Rev podaje mi parę czarnych rękawic. Opuścił kaptur i zastanawiam się, czy czuje się pewniej w moim towarzystwie, czy po prostu zrobiło mu się gorąco. – Jeśli naprawdę chcesz mocno uderzać, włóż rękawice.

Nagle odzywa się elektroniczna niania i chłopak się prostuje.

– Obudziła się. Zaraz wracam.

Po jego wyjściu w piwnicy zapada całkowita cisza. Declan i ja jesteśmy sami. Trzymam rękawice i jest mi trochę głupio. Czuję też wstyd, wręcz zażenowanie.

– Włóżysz je wreszcie? – pyta wyzywająco, jak to on.

Połapanie się w paskach na nadgarstki zajmuje mi dobrą chwilę, ale w końcu wciągam rękawice na dłonie. Stanowią skrzyżowanie rękawic bokserskich i rękawiczek z jednym palcem.

Gdybym się zastanowiła nad tym, co robię, pewnie uciekłabym gdzie pieprz rośnie, więc zamykam oczy i robię zamach.

Znów jestem w szoku, ale cieszę się, że mam na rękach te rękawice. Przynajmniej nie czuję się tak, jakbym właśnie połamała sobie wszystkie palce, poza tym paski usztywniają mi nadgarstek. Uderzam mocniej. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Moje ciało zalewa fala ciepła. Tracę rachubę.

– Otwórz oczy.

Kiedy wykonuję to polecenie, widzę, że trzyma worek, stojąc za nim. Ciekawe, czy od dawna to robi.

– Podejź – mówi.

Przysuwam się, patrząc prosto w jego niebieskie oczy.

– Bliżej.

Stoję już tak blisko, że mogę objąć worek. Jestem zdyszana, ale chyba nie tylko ze zmęczenia.

– Teraz dobrze? – pytam cicho.

Spogląda mi w oczy.

– Uważaj.

– A co, jestem silniejsza, niż myślałeś? – To miał być żart, ale mój głos zabrzmiał poważnie.

– Jesteś dokładnie tak silna, jak myślałem.

Te słowa mają dla mnie większe znaczenie, niż powinny. Nie mam pewności, dlaczego tak jest. Może rzeczywiście każda chwila jest ważna, ta jednak wydaje się ważniejsza od innych.

Zaczynam podskakiwać na palcach i uderzać w worek jak jakiś Muhammad Ali. Ale muszę śmiesznie wyglądać!

Pochyla głowę.

– Dawaj. Przyłóż.

Wyprowadzam kolejny cios, jednak tym razem nie odrywam wzroku od oczu Declana. Nigdy jeszcze w nic nie przywaliłam tak mocno. Czuję się wewnętrznie rozdarta, zupełnie jakby to, że mi się podoba, było zdradzaniem Mroka. Mimo to nie mogę nic na to poradzić. Declan bywa wredny, wybuchowy i ostry, ale gdzieś tam głęboko, pod powierzchnią, dostrzegam kogoś troskliwego, opiekuńczego i lojalnego.

Pragnę lepiej poznać tę jego drugą stronę.

Nagle dzwoni jego komórka. Wyjmuje ją z kieszeni. Zerka na wyświetlacz i pochmurnieje. Chowa telefon.

– To mój ojczym – wyjaśnia, widząc moje pytające spojrzenie.

– Nie chcesz odebrać?

– Powiem mu, że ją wyciszyłem.

Komórka znów się odzywa. Tym razem nie wyjmuje jej nawet z kieszeni.

– W końcu mu się znudzi – komentuje.

Przypominam sobie spotkanie z jego ojczymem na ulicy, to, jak prowokował Declana – chociaż Declan nie pozostawał mu dłużny.

– Wasze relacje nie są najlepsze.

Prycha.

– Słyszałaś o dzikich zwierzętach zabijających potomstwo nowej partnerki? Alan pewnie nie miałby nic przeciwko temu.

Komórka znów zaczyna dzwonić.

– Chyba naprawdę zależy mu na rozmowie z tobą – stwierdzam.

Wycisza telefon.

Stoimy przez chwilę w milczeniu, ciężko oddychając.

– Szukałaś mnie? – pyta w końcu. – Wtedy, po wyjściu ze szkoły?

Jego cichy głos jest głęboki i łagodny. Jakoś mnie uspokaja – może dlatego, że znam go z tej gwałtowniejszej strony. Mam ochotę przyłożyć czoło do worka, zamknąć oczy i błagać go, żeby mówił dalej.

Patrzę na worek i uderzam go z całych sił, tylko po to, by zastanowić się, co odpowiedzieć.

– Pamiętasz to zdjęcie, które zrobiłam tobie i Revowi?

– To, o którego skasowanie powinienem był cię poprosić?

Patrzę mu w oczy.

– Nabijasz się ze mnie?

– Nie. – Wygląda na skruszonego. – Miałaś rację. Naprawdę powinienem o to poprosić.

Och. Muszę przypomnieć sobie, jak się oddycha. Kolejny cios.

– Rev powiedział mi, że nie muszę go kasować.

– Naprawdę?

Waham się i spoglądam na niego znad rękawic. Włosy wpadają mi do oczu.

– Tak, naprawdę.
– I co z nim zrobiłaś?
Wymierzam kolejny cios.
– Pan Gerardi chce, żeby znalazło się na okładce książki pamiątkowej.
– Nie wygłupiaj się.
– Wcale się nie wygłupiam. Naprawdę mu się spodobało. Powiedziałam mu, że najpierw muszę zapytać was.
Declan patrzy na mnie z niedowierzaniem. Łagodność i spokój zniknęły.
– Chce, żebyśmy trafili z Revem na okładkę?
– No, coś w tym stylu. Będziecie z tyłu. – Pochmurnieje jeszcze bardziej, ale ja nie mogę przestać paplać. Chcę jakoś złagodzić jego nastrój. – Z przodu będą cheerleaderki, które symbolizują przyjaźń, a wy jako symbol osamotnienia...
– Zwariowałaś? – warczy i piorunuje mnie wzrokiem.
Z ledwością udaje mi się powstrzymać przed wzdrygnięciem.
– Nie wiem, co cię tak wkurza...
– Nie ma mowy, żebym znalazł się na tej okładce. Nie chcę, żeby wiecznie przypominała mi o tym roku, i nie chcę, żeby ktokolwiek inny mnie z nim kojarzył.
– Wali w worek bokserski tak mocno, że uderza on w moje rękawice. Mimo to się nie cofam. – To najgorszy rok mojego życia. Rozumiesz?
Popycham kołyszący się worek w jego kierunku.
– A nie pomyślałaś o mnie? – pytam łamiącym się głosem. – To przecież ja zrobiłam to zdjęcie.
Chwyta worek i zastyga w bezruchu.
Głośno oddycham. Nie potrafię rozszyfrować jego wyrazu twarzy. Na pewno wciąż jest wkurzony, ale widzę też coś jeszcze. Szok? Wstyd? Może żal?
Nie zniosę tego dłużej.
– No co? – rzucam. Po policzkach spływają mi łzy. – Myślisz, że tylko ty miałaś okropny rok? Nic o mnie nie wiesz. Koncentrujesz się tylko na sobie.
– Hej, Dec. – Rev schodzi po schodach z dzieckiem na rękach i podaje przyjacielowi słuchawkę telefonu. Ton jego głosu jest ponagląjący. – To Alan.
Korzystam z okazji, by otrzeć łzy z policzków.
Declan bierze telefon i przykłada do ucha.
– Tak? – Po chwili jego twarz tężeje. – Co takiego? Zaraz tam będę. – Słucha przez moment. – Nic mnie to nie obchodzi, Alan. Jadę. – Rozłącza się.
Przenosi wzrok na mnie. W jego oczach nie ma już ani śladu życzliwości czy zrozumienia.
– Rób, co chcesz, Juliet. Wszystko mi jedno. – Wyjmuje kluczyki z kieszeni i się odwraca.
– Co się stało? – pyta Rev. – Dec, zaczekaj. Dokąd jedziesz?
– Do szpitala. Mama zasłabła, kiedy robiła kolację. Alan wezwał karetkę. –

Nie czeka dłużej, po prostu zaczyna wchodzić po schodach.

– Zaczekaj – mówi Rev. – Zaniosę małą mamie. Pojadę z tobą.

– Nie mogę czekać.

W jego głosie słyszę strach.

Doskonale go pamiętam.

Jest już po drugiej stronie drzwi.

– Daj mi dziecko – mówię do Reva – i biegnij za nim.

Rozdział trzydziesty

SKRZYNKA ODBIORCZA:

Brak nowych wiadomości.

Nie mam pojęcia, dlaczego bez przerwy odświeżam tę apkę. Zostawiliśmy Juliet zaledwie godzinę temu z dzieckiem. Raczej wątpliwe, żeby siedziała i wysyłała mi maile, pozwalając małej niszczyć wszystko wokół – zwłaszcza że przecież nie wie, że Declan Murphy i Mrok to jedna i ta sama osoba.

Równocześnie jednak żałuję, że tego nie robi.

Masuję kark. Poczekałnia na oddziale intensywnej terapii jest pełna ludzi. Nie widzę nigdzie Alana. Nie odpowiada też na moje esemesy ani telefony.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że kiedy byłem u Reva, trzy razy nie odebrałem, gdy Alan dzwonił.

Cyniczna strona mojej natury podpowiada mi, że specjalnie teraz on nie odbiera, żeby się odegrać i wyprowadzić mnie z równowagi. Zarazem jednak martwię się, że może nie ma głowy do telefonów, bo mama jest w naprawdę złym stanie.

Czy ona w ogóle powiedziała mi o tej piątkowej nocy, kiedy wymiotowała? Może o niczym nie wiedział? Może powinienem był mu powiedzieć?

Zasłabła. Co to właściwie znaczy? Atak serca? Chyba Alan powiedziałby mi, gdyby to był atak serca? Może po prostu zemdląca.

Ale dlaczego miałyby mdleć na środku kuchni?

Przygotowywała kolację. Czyżby się skaleczyła? Co się stało?

Przesuwam dłonią po twarzy i wzdygam. Z głośnika powyżej sący się okropna muzyka. Tej stacji radiowej nie słucha nikt przy zdrowych zmysłach. Nadaje tylko przesłodzone hity sprzed lat. Przy każdej wyższej nucie głośnik trzeszczy. Z nerwów podskakuje mi kolano.

Unoszę wzrok i przyglądam się plakatowi wiszącemu na ścianie naprzeciwko – wymieniono na nim pierwsze oznaki raka piersi.

Czy rak może powodować zasłabnięcia? Nie wiem. Odwracam wzrok i przed moimi oczami pojawia się plakat ostrzegający przed chorobami serca.

Zrywam się z krzesła.

– Zapytam jeszcze raz.

– Dec – wzdycha Rev. – Pytałeś dziesięć minut temu.

Ma rację. Wciąż nie daję spokoju pielęgniarkom. Za każdym razem otrzymuję informację, że z mamą może przebywać tylko jeden członek rodziny naraz, więc muszę czekać na wyjście Alana.

Tyle że on nie wychodzi.

Recepcjonistka patrzy już na mnie wilkiem. Ja też zaczynam mieć jej dosyć. Nie wiem, co zrobię, jeśli mnie stąd wyrzucą.

Opadam z powrotem na krzesło. Pulsuje mi w uszach, słyszę każde uderzenie swojego serca. Nerwowo przeczesuję palcami włosy. Moje ramiona są tak napięte, że chyba musiałbym w coś z całej siły uderzyć, żeby to napięcie zelżało.

Rev kładzie rękę na moim ramieniu. Zamieram. Przez chwilę boję się, że rzuci jakimś cytatem biblijnym, na przykład, że taka jest wola Pana. Gdyby to zrobił, chyba bym mu przywalił. Albo powie coś banalnego i bezsensownego w stylu: „Nic jej nie będzie” czy „Pewnie tylko spadł jej poziom cukru”.

To jednak Rev, mój najlepszy kumpel. On nie opowiada bzdur. Siedzi przy mnie w ciszy, z ręką na moim ramieniu.

Świadomość, że nie jestem sam, trochę mnie uspokaja. Ale siedzimy tam tak długo, że w końcu znów dopada mnie strach.

Ponownie piszę do Alana.

Bez odpowiedzi.

Dzwonię do niego i od razu przełącza mnie na pocztę głosową.

Ma wyłączoną komórkę.

Pierś mi się zaciska. Każdy oddech to walka. Nie mogę tu siedzieć beczynnienie.

– Moim zdaniem ona jest poważnie chora.

Rev pochyla się do mnie.

– Dlaczego tak sądzisz? – pyta cicho, dostosowując ton głosu do mojego.

– Przyłapałem ją w nocy po balu na tym, że wymiotuje. – Głos mi drży.

Czuję szczypanie pod powiekami i wbijam wzrok w wykładzinę podłogową.

Milczy przez chwilę.

– To było w piątek. Może po prostu złapała grypę.

Kręcę głową.

– Nic na to nie wskazywało. Poza tym wczoraj czuła się całkiem dobrze. – Zamieram i czuję, jak łza spływa mi po policzku. Pospiesznie ją ocieram. – Nie. Wcale nie czuła się dobrze. Zasnęła. W środku dnia.

A potem przypominam sobie, że Kristin podczas kolacji przed balem pytała, czy mama lepiej się czuje.

– Kristin też wspominała, że w ostatni weekend mama chorowała.

Rev nic nie mówi. Też to pamięta.

Może mama choruje już od dawna.

„Każda chwila jest ważna”. Czasami słowa Reva wydają się prorocze, kiedy później się nad nimi zastanawiam.

Każda chwila, którą spędzam tutaj, jest chwilą bez niej.

Komórka Reva wibruje. Siedzę na tyle blisko, by to słyszeć. Wyciąga ją z kieszeni i zerka na wyświetlacz.

– Zaraz będzie tu mama. Juliet zostanie z małą do powrotu taty.

Kristin tu jedzie. Nie wiem dlaczego, ale przez to cała ta sprawa wydaje się jeszcze poważniejsza.

Nie udaje mi się powstrzymać kolejnej łzy. Ocieram policzek rękawem i wciągam powietrze.

Przez cały ten czas mogła umierać. Może umierać nawet w tej chwili, ja jednak się tego nie dowiem, bo Alan wyłączył komórkę.

Ogarnia mnie wściekłość. W sumie wolę ją niż strach. To przynajmniej uczucie, które rozumiem.

Mam ochotę go zabić.

Zupełnie jakby przyciągnięty przez moje mordercze zamiary, Alan popycha podwójne drzwi i wchodzi do poczekalni. Wygląda na wyczerpanego i wystraszonego.

To tak jak ja. Powinienem powściągnąć gniew, ale nie mogę.

Chcę wbić ojczyma w ścianę.

– Alan. – Mój głos mógłby przeciąć stal. Zanim w ogóle zauważa, że do niego idę, jestem już w połowie pomieszczenia. – Gdzie ona jest? Co się dzieje?

– Ciszej. – Patrzy to na mnie, to na Reva, jakby zaskoczony naszym widokiem.

– Gdzie ona jest? – Tak mocno zaciskam pięści, że paznokcie na pewno zostawią krwawe podkówki we wnętrzu moich dłoni. – Chcę się z nią widzieć.

– Spokojnie – mamrocze Rev, stając obok mnie.

– Nie możesz. – Alan patrzy na mnie zmęczonymi oczami. – Ona...

– Siedziałeś tam przez dwie godziny – warczę. – Też chcę się z nią zobaczyć.

Patrzy na mnie z rozdrażnieniem.

– Mówiłem ci, żebyś tu nie przyjeżdżał. To sprawa osobista, między twoją matką a mną...

Popycham go.

„Popycham” to za mało powiedziane. Alan może mówić o szczęściu, że za sobą ma ścianę. Gdyby nie ona, wylądowałby na podłodze.

Rev chwyta mnie za ramiona, więc nie mogę się rzucić na ojczyma.

Alan zaciska pięści i rusza na mnie. Jestem na to gotowy. Liczę na to. Jego wzrok jest tak pełen wściekłości, że z pewnością czekał na to od miesięcy. W ostatniej chwili zatrzymuje się jednak, dysząc i piorunując mnie spojrzeniem. Szkoda, że Rev tak mocno mnie trzyma.

Wszyscy w poczekalni się na nas gapią. Pielęgniarka w recepcji unosi telefon i słyszę, jak mówi szybko:

– Incydent w poczekalni izby przyjęć.

Nagle w mojej głowie rozbrzmiewają słowa Juliet: „Wciąż dążysz do konfrontacji”.

– Rev. – Mój głos brzmi tak, jakbym właśnie gryzł żwir. Nie spuszczam wzroku z Alana. – Puść mnie.

Nie słucha.

– Pamiętaj, że masz nadzór.

– Wiem – warczę. – Nie szkodzi.

– Dorośnij – rzuca Alan. – Nie rób tego swojej matce. Nie teraz.

Jakimś cudem przechodzi mi chęć do bijatyki. Udaje mi się wyrwać Revowi. Jeszcze chwila i wpadnę przez te podwójne drzwi na oddział i żaden strażnik mnie nie powstrzyma. A może zwinę się w kłębek na podłodze?

– Rev. – Między nami staje Kristin. Przenosi zaniepokojony wzrok ze mnie na Alana. – Co się dzieje?

– Nie wiemy – odpowiada mój przyjaciel, przeszywając mojego ojczyma wściekłym spojrzeniem. – Nikt nie chce nam nic powiedzieć.

Alan spogląda na Kristin. Wygląda tak, jakby mu ulżyło, że ktoś dorosły pomoże mu w uporaniu się z dwójką młodocianych przestępców.

– Możesz zabrać ich do domu? Chciałbym spędzić tę noc z Abby.

– Oczywiście – odpowiada kobieta i patrzy na mnie i Reva, a potem znów na niego. – Wszystko w porządku?

Ze wszystkich sił usiłuję zachować spokój. Przy kontuarze recepcji przystanął ochroniarz. Na razie do nas nie podchodzi, ale na pewno przyszedł tutaj, żeby się przekonać, czy nie dzieje się coś złego.

– Nie pojedę do domu, dopóki nie powiesz mi, co się dzieje z mamą, Alan – mówię.

Zza drzwi wychodzi pielęgniarka z iPadem w ręce.

– Panie Bradford, zabieramy pańską żonę na położnictwo. Do zobaczenia na siódmym piętrze.

Kristin wciąga gwałtownie powietrze i przykłada dłoń do ust.

– Alan... – szepcze.

Patrzemy na nią z Revem. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale to na pewno coś ważnego. Wiruje mi przed oczami.

– Co jest? – pytam wystraszony. – Jak to na położnictwo? Czy ona ma raka?

– Głos mi się załamuje. – Czy mama jest chora? Mogę ją zobaczyć?

– Nie, skarbie. – Kristin bierze mnie za rękę i klepie mnie po niej uspokajająco, jakbym był sześciolatkiem. – Położnictwo oznacza ciążę. – Nie puszczając mojej dłoni, odwraca się do Alana. – Jak się czuje Abby?

Nie mogę się ruszać. Nie mogę oddychać. Moja dłoń poci się w uścisku Kristin.

Ciąża.

– Jest bardzo odwodniona – odpowiada tymczasem Alan. – Podłączyli ją do kroplówki. Dziecku nic nie jest.

Dziecku.

Dziecku.

Moja mama będzie miała dziecko.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: poniedziałek, 7 października, 22:22:44

Temat: Cała historia – część druga

Od strony prawnej małżeństwo to dziwna sprawa. Jeśli chcesz je zawrzeć, idziesz do urzędu stanu cywilnego, podpisujesz kilka papierków i po piętnastu minutach jesteś mężem lub żoną.

Jeśli jednak chcesz się rozwieść, musisz odczekać rok. Nawet jeśli twój mąż siedzi w więzieniu.

Mojego ojca skazano na dziesięć lat. W swojej naiwności myślałem, że mama będzie na niego czekać. Że kiedy wyjdzie z więzienia, pójdziemy na lody, a Jim i Abby zaczną wszystko od początku. Zupełnie jakby nie zabił mojej siostry i nie zamienił naszego życia w piekło.

Z tego, co wiem, mama ani razu nie odwiedziła go w więzieniu. Kiedyś, gdy minęły szok i otępienie i nasze życie zaczęło wracać do normalności, zapytałem, czy mogę do niego pojechać. Mama spojrzała na mnie tak, jakby właśnie usłyszała najbardziej wstrętą i niegodziwą rzecz, jaka kiedykolwiek wyszła z ludzkich ust. Spojrzała na mnie tak, jakby chciała mnie spoliczkować.

– Nigdy go już nie zobaczymy – powiedziała, po czym wyszła do kuchni i stojąc przy zlewie, wypaliła papierosa.

Czułem się tak, jakbym jej zdaniem też zasługiwał na więzienie.

Rok później zaczęła chodzić na randki. Byłem wtedy dopiero w drugiej klasie, więc nie miałem o niczym pojęcia. Jej zachowanie w ogóle się nie zmieniło. Zrozumiałem to dopiero, gdy zaczęła sprowadzać tych facetów do domu.

Na początku nawet mi się to podobało. Od śmierci Kerry mama strasznie się o mnie bała. Chciała wiedzieć, dokąd chodzę, z kim, co się działo w szkole. Możesz sobie wyobrazić, jak reagowałem na tak daleko posuniętą kontrolę. Nowy facet oznaczał, że skupi się na kimś innym.

Zaskoczyło mnie jednak to, że wybiera samych złamasów.

Chociaż właściwie nie powinno mnie to dziwić, skoro mojemu ojcu udało się z nią ożenić.

Pierwszy odpadł krótko po spotkaniu ze mną. Może pomysł posiadania pasierba podobał mu się tylko w teorii, a może myślał, że dzieci powinny być jak psy, zamykane w klatce, kiedy nie można sobie z nimi poradzić. Tak czy owak, nie spodobało mu się to, że nie jestem tresowanym pieskiem. Ilekroć przychodził na kolację, strasznie się wkurzał, że ośmielałem się jeść z nimi przy jednym stole.

W końcu mama miała tego dosyć i go pogoniła.

Drugi utrzymał się trochę dłużej, ale tylko dlatego, że nieczęsto u nas gościł.

Był bardzo surowy i nieślychający religijny. Od jego spojrzenia przechodziły mnie ciarki. Mój najlepszy kumpel nigdy nie przychodził, kiedy widział jego samochód na podjeździe. Nie wiem, dlaczego ze sobą zerwali, ale podsłuchałem, jak mama w rozmowie telefonicznej z przyjaciółką nazwała go „porażką”.

Wybraniek numer trzy był gejem, o czym wiedziałem od chwili, gdy po raz pierwszy go zobaczyłem, jednak z jakiegoś powodu mama pozostawała nieświadoma tego faktu przez kilka tygodni.

Numer cztery nie miał pracy i utrzymywał to w tajemnicy przed wszystkimi. Związek zakończył się, gdy poprosił mamę o pożyczkę karty kredytowej. Nie dlatego, że śmiał ją o to poprosić, bo mu ją dała, ale dlatego, że wypłacił z niej siedem tysięcy dolarów, po czym wyjechał z miasta.

Chyba już dostrzegasz pewną prawidłowość, co?

Numer piąty był żonaty. Mama odkryła to, kiedy chciała mu zrobić niespodziankę i pojechała do niego do domu. Przeplakała wiele dni, tłumacząc mi, że poczuła się jak ostatnia idiotka.

Za każdym razem, gdy sprowadzała do naszego życia mężczyznę, okazywał się on beznadziejny. Ślepy by to zauważył. Czasami się zastanawiam, czy ma dobrze w głowie – zawsze ufa ludziom, którzy ją rozczarowują.

Zaufała choćby mnie – i popatrz, dokąd nas to zaprowadziło.

Do czasu, gdy przedstawiła mnie numerowi szóstemu, zdążyłem już znienawidzić ich wszystkich.

Niestety, tym razem mama wpadła po uszy. Facet pracował w biurze, znajdował się na przeciwnym biegunie od gościa, który cały dzień naprawiał samochody i miał brudne paznokcie i bąble na dłoniach. Uwierzysz, że chodził na pedikiur? Kpiłem z niego w żywe oczy, mając nadzieję, że przyspieszę nieuniknione zerwanie. Tyle że mama się zakochała. Zabierał ją na wystawne kolacyjki i nosił wypastowane buty. To po prostu zważyło ją z nóg.

Początkowo próbował mi się podlizać. Kiedyś na przykład poklepał mnie po ramieniu i zaproponował:

– Hej, stary, mam bilety na dzisiejszy mecz O’s. Może byśmy się wybrali?

Tak jakbym był fanem bejsbolu.

Splawiłem go. Zawsze go splawiałem.

Kiedy to nie podziałało, próbował zgrywać troskliwego tatusia. Jeśli jakiś nauczyciel dzwonił do domu, odbierał i próbował się z nim dogadać. Oskarżał mnie o to, że specjalnie ranię mamę, żeby tylko zrobić mu na złość. Zaczął mnie nienawidzić. Czuję to.

Nie żeby miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Uważałem, że prędzej czy później i tak odkryjemy prawdę o nim. Może na przykład okaże się narkomanem. Czy coś. Wiedziałem, że to nie będzie trwać wiecznie.

Niestety, myliłem się. Zaręczyli się i ustalili datę ślubu.

Poprosił, żebym został jego drużbą. Odmówiłem.

– Niewdzięczny gówniarz. Miałem rację co do ciebie.

„Miałem rację co do ciebie”.

Nawet teraz, kiedy to sobie przypominam, ogarnia mnie wściekłość. Ta pogarda w jego głosie i całkowity brak szacunku. Dobrze, że w telefonie jest opcja autokorekty, bo trudno mi wcelować palcami we właściwe klawisze. „Niewdzięczny gówniarz. Miałem rację co do ciebie”.

Naprawdę oczekiwał, że będę wdzięczny za to, że kolejny gość zamierza zniszczyć życie mojej matce? Najwyraźniej tak. Nie byłem tak zachwycony nim jak ona, więc mnie odrzucił. Utrwalił sobie w głowie pewien mój wizerunek i cały czas takim mnie widział. Do tej pory takim mnie widzi.

Potem już niczego nie robiłem dobrze. Dotąd to ja kosiłem trawę, ale zaczął to robić za mnie, kiedy byłem w szkole, tworząc jakieś głupie wzory, którymi mama oczywiście była zachwycona. Wynosił śmieci, a ona zaczęła się rozwodzić na temat tego, jak to dobrze mieć wreszcie mężczyznę, który zajmuje się domem. Kiedyś zabierała mnie w różne miejsca, a teraz zawsze wychodzi z nim. Po tym incydencie z drużbą i tak bym nie chciał, ale nigdy mnie nie zapraszali.

Czasami żałuję, że nie zginąłem w tym samochodzie razem z Kerry. Pewnie mamie byłoby łatwiej. Miała szansę na nowy początek, tyle że ja wciąż się gdzieś kręciłem, ciągle wchodziłem jej w drogę.

W maju wzięli ślub.

Uczciłem go, próbując się zabić.

Jak widać, bez skutku.

Teraz, po tym, co właśnie odkryłem w związku z moją matką, żałuję, że mi się nie udało.

Siedzę w ciemności, wpatrując się w mail. Pięć minut temu leżałam w ciemności, czekając na sen i myśląc o Declanie i Revie i o tym, co się z nimi dzieje, kiedy nagle rozjarzył się wyświetlacz mojej komórki.

A teraz serce mi wali i jestem w pełni rozbudzona.

Przy jego loginie pali się zielona kropka. Kiedyś już rozmawialiśmy ze sobą na czacie. Może i tym razem się uda?

CD: Chcesz o tym pogadać?

Czekam, on jednak nie odpowiada.

Wciąż jestem podminowana. Nie wiem, co robić.

– No, dalej – szepczę.

Żałuję, że się do niego odezwałam. Żałuję, że wpadłam na pomysł skontaktowania się z nim w inny niż zwykle sposób.

CD: Widzę, że jesteś online. Proszę, daj znać, że wszystko w porządku.

Znów bez odpowiedzi.

CD: Naprawdę się martwię. Nie musimy rozmawiać, po prostu daj znać, że

tam jesteś.

Napisałam: „że tam jesteś”, żeby uniknąć napisania: „że żyjesz”.

Znowu nic.

Patrzę na zegarek. Już wpół do jedenastej i tata pewnie śpi, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Muszę go obudzić.

Odrzucam kołdrę na bok i w tej samej chwili rozjarza się wyświetlacz komórki.

M: Jestem. Przepraszam, myłem zęby.

CD: Mam ochotę Ci przyłożyć.

M: ???

CD: Martwiłam się, że sobie coś zrobiłeś.

M: Fakt, nie mam najlepszej nocy.

CD: Chcesz o tym pogadać?

M: Nie.

Hm... Nie mam pojęcia, co dalej.

Komórka znów się rozjaśnia.

M: Moja mama spodziewa się dziecka.

CD: Wyczuwam, że nie jesteś z tego zadowolony.

M: Jest w czwartym miesiącu. Cztery miesiące wiedzieli i nie pisnęli mi ani słówka.

CD: Chyba nie aż tyle. To nie od razu wiadomo.

M: No dobrze. Ale nie wiedzą od wczoraj.

CD: Mama się cieszy?

M: Nie mam zielonego pojęcia. Dowiedziałem się przypadkiem. Chyba w ogóle nie zamierzali mi powiedzieć.

CD: Kiedyś by musieli.

M: To ma mi poprawić nastrój?

CD: Przepraszam. Też mam za sobą dziwny wieczór.

M: Dlaczego? Co się stało?

CD: To nie o mnie mieliśmy rozmawiać. Chciałam się upewnić, że nic Ci nie jest.

M: Nic mi nie jest. Nie chcę już gadać o sobie. Dlaczego miałaś dziwny wieczór?

CD: Też nie wiem, czy chcę o tym gadać.

M: Dlaczego?

Dlatego że dziwnie się czuję, opowiadając mu o Declanie. To śmieszne. A zarazem wcale nie. Czuję się tak, jakbym kogoś zdradzała. A jednocześnie Mrok, chociaż anonimowy, zna mnie chyba jak nikt inny. Czułabym się dziwnie, nie mówiąc mu o Declanie.

Wszystko to jest dziwne.

Dziwne i uzależniające. Przygryzam wargę i piszę powoli:

CD: Pamiętasz, jak pisałam Ci o Declanie Murphym?

M: Tak.

Waham się, patrząc na ekran. Myślałam, że to Rev jest Mrokiem, ale kiedy poznałam jego rodziców, zrozumiałam, że to niemożliwe. Ale Declan...

Telefon znów się rozjaśnia.

M: Jesteś tam jeszcze?

CD: Nie odpisałeś mi, czy znasz Declana. Właśnie zdałam sobie sprawę, że macie ze sobą wiele wspólnego.

M: To znaczy?

CD: Obaj macie ojczymów, z którymi się nie dogadujecie. I obaj znacie się na samochodach.

M: Brawo, Sherlocku. Połowa chłopaków w naszej szkole ma ojczymów, z którymi się nie dogaduje, a co najmniej sześćdziesięciu w samych tylko ostatnich klasach ma świra na punkcie samochodów.

CD: Jak rozumiem, należysz do tego grona.

M: Przestań kluczyć. Mam ci powiedzieć, kim jestem?

Wstrzymuję oddech.

Czy na pewno tego chcę?

Próbuję spojrzeć z nowej perspektywy na swoje spotkania z Declanem. Żadne nie pasuje idealnie, tak do końca.

No dobrze, zatrzymał się przy moim samochodzie po balu – ale dlaczego nie przyznał się, kim jest? Dlaczego miałby trzymać to w sekrecie?

Poza tym Mrok doskonale wiedział, jak trudny jest dla mnie powrót do fotografii. Dzisiaj w piwnicy Reva Declan sprawiał wrażenie autentycznie zszokowanego, kiedy powiedziałam mu, że niełatwo było mi zrobić to zdjęcie.

Mrok nigdy nie wspominał, że ma kłopoty z prawem, a wiem, że Declana sąd skazał na prace społeczne. Uświadamiam sobie w tej chwili, że nie znam żadnych szczegółów tej sprawy, oprócz tego, co opowiedział mi w aucie.

I nigdy nie słyszałam, żeby Declan wspominał o siostrze – Rev zresztą również nie. A przecież słowa Mroka mają tak duży ciężar emocjonalny, że na pewno bardzo przeżywa jej śmierć.

Tyle że ja chyba też nie wspominałam mu o swojej mamie.

Ale pomijając już to wszystko, czy naprawdę chcę wiedzieć, kim jest Mrok?

Czy to dobrze, jeśli okaże się, że Mrok to Declan Murphy? Nie będę kłamać, wtedy, w piwnicy Reva, coś między nami zaiskrzyło. Ale potem ta fascynacja przerodziła się w gniew, złość i smutek.

Ciągle słyszę jego ochryply głos: „Wszystko w porządku”.

Kładę głowę na poduszce. Jeśli to rzeczywiście Declan Murphy, to co? Serce bije mi gwałtownie i nawet nie próbuję go uspokoić.

A potem do głowy przychodzi mi inna myśl.

A jeśli to nie Declan Murphy, to co?

Wyświetlacz mojej komórki znowu błyszczy.

M: Wyczuwam wahanie.

Chichoczę. Minęło prawie pięć minut od poprzedniej wiadomości.

CD: Chyba masz zdolności telepatyczne. Uważaj, żebyś nie popsuł nam telefonów.

M: Właściwie to myślałem, że zasnąłaś.

CD: Ciągłe tu jestem.

M: Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

CD: Bo nie wiem. Nie wiem, czy chcę wiedzieć, kim jesteś.

M: Uczciwe postawienie sprawy.

CD: Chcesz pogadać o swojej mamie?

M: Nie.

CD: Chcesz już spać?

M: Nie.

CD: Chcesz jeszcze pogadać?

M: Tak.

Uśmiecham się i daję nura pod kołdrę.

Wysłała kolejną wiadomość.

M: Opowiedz mi o swoim wieczorze z Declanem Murphym.

Waham się. Mam opowiadać o Declanie Declanowi?

Głowa mi pęka. Piszę.

CD: Nie ma za dużo do opowiadania. Pan Gerardi poprosił mnie, żebym zrobiła zdjęcia podczas festynu. Zgodziłam się i pstryknęłam kilka fotek. Jedna z nich przedstawia Declana z kumplem po jednej stronie i ćwiczące cheerleaderki po drugiej.

M: Mów dalej.

CD: Pan Gerardi chce, żeby zdjęcie trafiło na okładkę książki pamiątkowej. Zapytałam o to Declana, ale się nie zgodził.

M: Dlaczego?

DC: Nie wiem. Wściekł się. Powiedział, że chce zapomnieć o tym roku.

M: Zachował się jak dupek. Zastanawiam się, czy nie powinienem czuć się urażony, że myślisz, że to ja nim jestem.

CD: Czasami faktycznie zachowuje się jak dupek. Ale ja też nie za dobrze to wszystko znoszę.

M: Z powodu Twojej mamy?

CD: Tak.

M: Nie sądzisz, że byłaby dumna, że Twoje zdjęcie trafi na okładkę książki pamiątkowej?

CD: Nie. Byłaby dumna, gdybym zrobiła zdjęcie podczas zamieszek w Baltimore i opublikowałby je „Time” lub coś w tym stylu. Uważała, że fotografia to sposób na ukazanie prawdziwej natury świata.

M: No tak, ale to tylko wycinek rzeczywistości, prawda?

CD: To znaczy?

M: Zdjęcie utrwała jedną chwilę. Kiedy szukałem fotografii Twojej mamy, pooglądałem też trochę innych. Znalazłem taką z wojny w Wietnamie, na której facet strzela w głowę więźniowi. Znasz ją?

CD: Tak, to słynna fotografia.

M: Który z tych gości jest zły?

Mrugam powiekami i siadam. Wiem, o którym zdjęciu mówi. Jest bardzo drastyczne, uchwycono na nim czyjąś śmierć. Wstyd się przyznać, ale nie znam historii, jaka wiąże się z tą fotografią, wiem tylko, że przyczyniła się do zmiany poglądów na wojnę w Wietnamie. Zakładałam, że „tym złym” jest facet z bronią, bo, no cóż, właśnie kogoś zabija. Ale tak naprawdę znam tylko tę chwilę utrwaloną na zdjęciu.

CD: Zawsze myślałam, że ten, który strzela, ale teraz nie jestem pewna.

M: Ten z bronią to komendant policji. Wykonuje wyrok na gościu, który zabił ponad trzydzieści osób na ulicy. Wśród nich były dzieci.

CD: Nie wiem, co powiedzieć. Powinnaś wiedzieć takie rzeczy.

M: Spokojnie. Przed chwilą dowiedziałem się tego z Wikipedii.

CD: Nie rozumiem, co to ma wspólnego z głupią fotką do księgi pamiątkowej.

M: Chodziło mi o to, że każda fotografia zatrzymuje w czasie tylko chwilę. Nie wiemy, co naprawdę dzieje się z ludźmi, którzy na niej są. Podobnie jak nie wiemy, co dzieje się z fotografem. Ważne jest to, jak odbieramy to zdjęcie, i nasze przypuszczenia, kto jest dobry, a kto zły. Ważne jest to, jak się czujemy, kiedy na nie patrzymy. Dlatego fotografia nie musi przedstawiać zamieszek, ofiar klęski głodowej czy dzieci huśtających się w strefie wojny, żeby wywierać na nas wpływ.

CD: Więc Twoim zdaniem nie powinnaś się przejmować, że to zdjęcie znajdzie się w księdze pamiątkowej?

M: Tak.

CD: No dobrze.

M: Twierdzę ponadto, że powinnaś być z niego dumna.

CD: Nawet go nie widziałeś.

M: To mi je wyślij.

CD: Nie mogę. Jest w szkole.

M: W każdym razie musi być naprawdę dobre, skoro wybrali na okładkę właśnie je, a nie fotkę wszystkich uczniów ostatnich klas ustawionych w taki sposób, żeby tworzyli pierwsze litery nazwy szkoły.

CD: Dziękuję.

M: Nie ma nic złego w osiągnięciu sukcesu w dziedzinie, która była domeną matki.

Te słowa napełniają mnie takim wzruszeniem, że opadam na poduszkę. Chcę mi się płakać. I płaczę.

„Wszystko w porządku”.

Pociągam nosem i biorę się w garść.

CD: Nie ma nic złego w byciu złym z powodu ciąży matki.

M: Nie jestem zły. Po prostu czuję się wykluczony.

CD: Nie jesteś wykluczony.

M: Jestem. Po ślubie matka przyjęła nazwisko tego palanta. Teraz nic mnie już z nią nie łączy. Łączy mnie coś jedynie z gościem, który gnije w pierdłu.

CD: Ja również noszę inne nazwisko niż moja matka, a mimo to wciąż czuję się z nią związana. Czuję to każdego dnia.

Nic na to nie odpowiada. Czekam dłuższą chwilę. W końcu nie wytrzymuję.

CD: Powiedziałam coś złego?

M: Nie.

CD: Wszystko dobrze?

M: Nie wiem.

CD: Czy ona wie, co czujesz?

M: Moja mama?

CD: Tak.

M: Nie.

CD: Może powinieneś jej powiedzieć?

M: Nie wydaje mi się.

CD: Mówi Ci to ktoś, kto nigdy już nic nie powie swojej matce. Powinieneś powiedzieć jej wszystko, co tylko można.

Rozdział trzydziesty drugi

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: wtorek, 8 października, 06:22:23

Temat: Matki

Moja mama ciągle była w rozjazdach, więc nigdy nie miałyśmy okazji na „babskie pogaduszki”. Moja najlepsza przyjaciółka jest bardzo blisko związana ze swoją mamą i bez przerwy nawijają. Zazdroszczę jej tego.

Mama i ja mogłyśmy wymieniać maile i czasami faktycznie to robiłyśmy, jednak kiedy byłam mała i dopiero uczyłam się pisać, zachęcała mnie, żebym jej wysyłała listy. Robiłam to, a ona odpisywała. Kiedy miałam dziewięć lat, otrzymanie listu z zagranicznymi znaczkami było dla mnie najszcześniejszą chwilą tygodnia. W piątej klasie przygotowałam projekt, w ramach którego próbowałam zgromadzić znaczki z jak największej liczby państw tylko dlatego, że kilkadziesiąt zalegało w szufladzie mojego biurka.

Nawet wtedy, gdy już miałam konto mailowe i komórkę, dalej pisałam tradycyjne listy. Zaczęłam to robić kilka razy w tygodniu. Pisałam w nich o wszystkim.

A teraz wyznam Ci coś, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiłam.

Trudno mi się na to zdobyć, kusi mnie, żeby skasować ten cały mail.

W tych listach czasami kłamałam.

Pewnie nie uwierzysz, ale skasowałam i napisałam od nowa to zdanie siedem razy.

Teraz już osiem.

Z trudem zmuszam się do pisania dalej.

Okłamywałam mamę.

W jej listach roiło się od przygód. Opowiadała mi o miejscowych watażkach, traktatach pokojowych, pociskach balistycznych albo spotkaniach ze śmiercią. Nic w jej listach nie było zmyślane – na potwierdzenie miała fotografie. „Ian wysyła mnie w tym tygodniu do Malezji” – pisała. Albo: „Zostanę jeszcze kilka dni w Iranie. Ian chce, żebym sprawdziła, czy nie uda mi się zrobić zdjęć protestującym”.

Ian był jej wydawcą. Czasami kusiło mnie, żeby ją zapytać, czy Ian nie mógłby wysłać jej dla odmiany na kilka tygodni do domu.

Dlatego kłamałam. Pisałam jej na przykład, że moje zdjęcie otrzymało nagrodę w konkursie rady miasta. Albo że napisałam artykuł do szkolnej gazetki, który zapoczątkował pewne śledztwo. Wszystko, byle tylko przyciągnąć jej uwagę.

Chwaliła mnie, bo należy chwalić swoje dzieci, ale umiałam czytać między wierszami.

To wszystko nie miało dla niej znaczenia.

Kiedy w tej chwili na to patrzę, ma to jeszcze mniejsze znaczenie. To nie były nawet interesujące kłamstwa.

Szkoda, że nie powiedziałam jej po prostu prawdy.

Szkoda, że nie mogłam wyznać jej tego osobiście, zamiast pisać listy, które dochodziły do niej czasami dopiero po kilku tygodniach.

Szkoda, że nie powiedziałam jej, jak się czuję i że jej obecność w domu znaczy dla mnie o wiele więcej niż wszystkie Nagrody Pulitzera na świecie.

To chyba dlatego napisałam tyle listów po jej śmierci.

Oddałabym wszystko, żeby powiedzieć jej jedną prawdziwą rzecz, wszystko jedno jaką.

Więc porozmawiaj ze swoją mamą. Powiedz jej, jak się czujesz.

A potem zdaj mi relację.

Chciałbym. Kiedy wychodziłem do szkoły, mama wciąż jeszcze była w szpitalu.

Kazali mi spędzić tę noc u Reva. Nie chodzi mi o to, że to było dla mnie jakieś ciężkie doświadczenie życiowe, ale mam siedemnaście lat. Mogłem spać u siebie. Nie muszę koczować u przyjaciela na kanapie, bo nikt mi nie ufa, że będę się trzymał z dala od zapalek.

Chociaż biorąc pod uwagę, w jakim byłem stanie psychicznym, kiedy wychodziliśmy ze szpitala, może i dobrze, że u niego zostałem?

Tak czy owak, z różnych powodów nie spałem za dużo tej nocy.

Nie spałem, bo pisałem z Juliet – warto było.

Nie spałem, bo uknułem z sennym Revem spisek, że odetnę przewód paliwowy w samochodzie Alana – warto było.

Nie spałem, bo o czwartej nad ranem obudził mnie płacz Babydoll – nie warto było.

I nie spałem, bo martwiłem się, że mama stworzy rodzinę beze mnie – nie warto było.

W rezultacie dziś rano snuję się sennie od klasy do klasy.

Na angielskim pani Hillard od razu przy drzwiach zbiera prace domowe. Nie odrobiłem swojej, bo wyszedłem z ostatniej lekcji. Nie przeczytałem również tego wiersza, który mi dała w sali konferencyjnej.

Mijam ją, nie patrząc jej w oczy, i siadam.

– Declan – mówi – co myślisz o *Invictusie*?

Niepotrzebna mi awantura. Naprawdę niepotrzebna.

Stukam ołówkiem w zeszyt.

– Nie przeczytałem go.

Uczniowie wciąż wchodzą do klasy, a ona bierze od nich prace, ale nie odwraca ode mnie wzroku.

– Dlaczego?

Dlatego że czuję się wykluczony. Wcale nie muszę tutaj być.

Wbijam wzrok w zeszyt i zaczynam gryzmolić na marginesie. Robię to niby od niechcenia, ale w środku wrę i lada chwila wybuchnę i wybiegnę na korytarz.

Przykleja do mojego zeszytu karteczkę samoprzylepną. Podskakuję wystraszony.

– Napisz, dlaczego nie przeczytałeś wiersza – mówi, odchodząc od mojej ławki.

Unoszę ołówek, ale zastygam nad karteczką.

Nie mogę jej tego napisać. Ledwo dałem radę napisać o tym Juliet, a przecież zrobiłem to na osobności, a nie w trakcie lekcji, przy świadkach.

Pani Hillard się nie rusza.

Chcę, żeby zostawiła mnie w spokoju. Tak jakby jakiś głupi wiersz mógł zmienić coś w moim życiu!

Nie mówi ani słowa, ale wyczuwam, że czeka. Kurde, w tej chwili cała klasa czeka.

Prosiła, żebym dał jej szansę. W sumie, co mi zależy?

Piszę szybko, po czym składam karteczkę i jej podaję.

Nagle ogarnia mnie panika. A jeśli przeczyta to głośno?

Jednak nie robi tego. Czyta w milczeniu to, co napisałem („Moja mama wyładowała w szpitalu”), a potem bębni paznokciami po moim zeszycie.

– Rozumiem. Dziękuję. Za chwilę przejdziemy do omawiania nowego wiersza, ale chciałabym, żebyś ty w tym czasie odrobił swoją pracę domową. Mogę cię o to prosić? Dwa akapity na temat tego wiersza.

Napięcie nieco opada. Chrząkam.

– Jasne.

– Dobrze – odpowiada, po czym odchodzi i zaczyna lekcję.

Wyjmuję z plecaka kserokopię wiersza. Kartka jest trochę pognieciona, ale na pewno uda mi się odczytać tekst.

Oddycham z ulgą. Bez problemu wysmażę dwa akapity na ten temat.

Mija dziesięć minut. Czytam wiersz trzeci raz.

Mam wrażenie, że nie mogę skończyć go czytać. Czuję się, jakbym to ja był autorem tych słów. Zwłaszcza jedna zwrotka chwyta mnie za serce.

W tego, co cierpię tu, okowach

Ani się krzywię, a pod chłostą

Trafu krwią splywa moja głowa,

Lecz ją niezmiennie trzymam prosto⁴.

Innymi słowy, życie daje nieźle w kość, ale nie można się załamywać.
Najmocniej jednak przemawiają do mnie dwa ostatnie wersy:
Bo swego losu jestem panem

I kapitanem duszy swojej.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułem się panem swego losu.
A nie, pamiętam. To było w maju, gdy usiadłem za kierownicą wozu taty.
Kiedy paliło mnie w gardle od wypitej whiskey.

Jeszcze chwilę temu nic mnie nie obchodziła ta praca domowa. Nagle jednak
czuję przymus pisania.

Wyjmuję z plecaka długopis i zaczynam. I czuję się tak, jakbym pisał do
Juliet – myśli po prostu się ze mnie wylewają.

Kiedy kończę, okazuje się, że mam o wiele więcej niż dwa akapity.

Rozdział trzydziesty trzeci

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: wtorek, 8 października, 11:42:44

Temat: Odp: Matki

Wydaje mi się, że moje relacje z matką są zupełnie inne od tych, które łączyły Cię z Twoją.

Ale pomyślę o tym.

Czytam tę wiadomość w drodze na lunch. Jest tak krótka, że nie umiem orzec, w jakim ją pisał nastroju. Był wkurzony? Refleksyjny? Sfrustrowany? Zamknięty w sobie?

Zastanawiam się, jak dużo mogę powiedzieć Rowan. Potrzebuję opinii drugiej dziewczyny.

Mój telefon wibruje, to właśnie ona.

RF: Nie będzie mnie na lunchu. Muszę się spotkać z nauczycielką w sprawie prezentacji z francuskiego. Nie gniewasz się?

No i tak to już jest. Odpisuję, że nie.

Na lunch są tosty z serem, fasolka i kotlety ziemniaczane. Już bez tego czuję, że moje tętnice są zatkane, ale nie przyniosłam niczego z domu, a alternatywą są lody na patyku.

Kieruję się na tyły stołówki, zamierzając wyjść na dwór, usiąść na dziedzińcu i przejrzeć raz jeszcze maile Mroka, ale zauważam Reva i Declana siedzących przy stole w kącie. To znaczy podejrzewam, że to Rev. Być może to jakiś inny barczysty facet w bluzie z kapturem.

Druga połowa stołu jest wolna.

Wciąż pamiętam ostatnie słowa Declana: „Rób, co chcesz, Juliet. Wszystko mi jedno”.

Podchodzę do stołu, stawiam na nim swoją tacę i siadam na ławie obok Reva, naprzeciwko Declana.

– Cześć, Juliet – mówi Declan jak zwykle kpiąco. – Może się do nas przysiądziesz?

– Chętnie, dzięki. – Wpatruję się w stół. Stoi na nim jakieś dziesięć plastikowych pudełek, a w każdym z nich inny rodzaj jedzenia, od krojonych owoców po zwinięte plasterki wędlin. – Co to?

– Wyraz obsesji mojej mamy – wyjaśnia Rev. Wyjmuje malinę z jednego z pudełek, po czym przysuwa je do mnie. – Częstuj się.

Dostrzegam pomidora i mozzarellę.

– Czy to caprese? – pytam.

Rev kiwa głową i przysuwa pudełko.

– Zawsze pakuje mi tego jak dla pułku wojska.

Nakładam sobie trochę na talerz.

– Bierz wszystko – zachęca mnie Rev.

Przesuwam tost i nakładam na talerz całą zawartość pudełka, cały czas świadoma obecności Declana. Odkąd tu jestem, nie powiedział ani słowa, ale śledzi wzrokiem każdy mój ruch. Wygląda na zmęczonego.

Nabijam na widelec kawałek pomidora.

– Jak się ma twoja mama?

Bawi się butelką wody stojącą przed nim na stole.

– Wychodzi dzisiaj po południu.

– Więc to było odwodnienie?

– Tak mi powiedzieli.

Nie wiem, co o tym sądzić, więc unoszę wzrok. Tak jak ostatniego wieczoru usiłuję zestawić to, co wiem o Mroku, z wiedzą na temat Declana Murphy’ego. Nie wszystko pasuje. Patrzy mi w oczy. Nie mogę rozszyfrować jego miny, wydaje mi się, że to mieszanka frustracji i zaciekawienia.

Nie mam pojęcia, jaki sama mam wyraz twarzy, ale serce bije mi szybciej niż zwykle.

Muszę odchrząknąć.

– Czyli będziesz w domu, kiedy wróci?

– Nie wiadomo. We wtorki mam prace społeczne.

Wciąż nie mogę połączyć się w jego nastroju, ale wyraźnie nie ma ochoty rozmawiać o swojej matce.

– Jak to wygląda? Robisz tablice rejestracyjne czy coś takiego?

– Nie. – Wydaje mi się, że moje pytanie zbiło go z tropu, ale postanawia to ukryć. – Jeżdżę kosiarką. Czasami pozwalają mi też korzystać z podkaszarki.

– Na ile zostałeś skazany?

– Na wieczność – prycha.

– Dziewięćdziesiąt godzin – odpowiada Rev.

– Miało być sto – dodaje Declan – ale na poczet kary zaliczyli mi pobyt w areszcie.

– Jak to?

– Może powinienem cię skontaktować z moim kuratorem? Chętnie odpowie na wszelkie pytania.

Odkładam widelec.

– Przepraszam.

Marszczy brwi i odsuwa od siebie jedzenie.

– Nie, to ja przepraszam. – Pociera palcami powieki. – Mało spałem, to dlatego zachowuję się jak dupek. Możesz pytać, o co tylko chcesz.

Nabijam na widelec mozzarellę i zastanawiam się, na ile szczerości pozwoli

sobie w szkolnej stołówce.

– Siedziałeś w areszcie?

– Tak.

– Bałeś się?

– Nie. – Przerywa, pije łyk wody, po czym kręci głową. – Tak – dodaje ochryplym, cichym głosem. – Zwłaszcza gdy wytrzeźwiałem i uświadomiłem sobie, że nikomu nie zależy na tym, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.

Siedzący obok mnie Rev sztywnieje, ale nie mówi ani słowa. Po cichutku wyjmuje rodzyнки z pudełka, każdy jego ruch wydaje się dokładnie przemyślany.

Przenoszę wzrok na Declana.

– Jak długo tam byłeś?

– Dwie noce. Czekałem na przesłuchanie. Chcieli postawić mi zarzuty jako dorosłemu.

Unoszę brwi.

– Mama cię stamtąd zabrała?

– Tak. – Wzrusza ramionami. – Pewnie Alan jej kazał. Nie wiem i nie mam pewności, co byłoby dla mnie lepsze: świadomość, że zrobiła to z własnej woli czy że ktoś inny ją do tego zmusił.

Nie wiem, co powiedzieć.

Declan wciąż patrzy mi w oczy.

– Chyba już rozumiesz, dlaczego nie chcę mieć żadnych pamiątek z tego roku.

– Powiem panu Gerardiemu, że nie zgadzasz się na tę okładkę – zapewniam go.

– Nie zwalaj tego tak do końca na mnie – odpowiada. – Ty też tego nie chcesz.

– To prawda – przyznaję. – Nie chcę.

– No dobrze.

– Dobrze.

– Ale ja chcę – włącza się Rev.

Oboje patrzymy na niego ze zdziwieniem.

– No co? – mówi. Po raz pierwszy widzę go poirytowanego. – Moje zdanie się nie liczy? – Wstaje i wrzuca pojemniki do swojej torby śniadaniowej z neoprenu, włączając w to ten, z którego Declan jeszcze jadł.

Declan się prostuje, sprawiając wrażenie całkowicie zaskoczonego.

– Rev?

Jego kumpel wygląda tak, jakby chciał przewrócić stół.

– Nikomu nie zależało na tym, żeby cię stamtąd wyciągnąć?

– No co?

– Czy ty w ogóle czasami sam siebie słyszysz? – Rev pochyla się nad nim. –

Ja bym cię stamtąd wyciągnął. Kristin. Geoff. Ale ty nie dałeś nam szansy. Siedziałeś w celi, użalając się nad sobą, i do nikogo nie zadzwoniłeś, a potem zgrywałeś męczennika.

Declan zaciska palce na krawędzi stołu.

– O co ci chodzi?

– Wylądowałeś tam na własne życzenie – mówi Rev. – Przestań zgrywać pieprzoną ofiarę. Chcesz znienawidzić cały rok? Spoko. Ale dwudziesty piąty maja to był jeden dzień. Pozostają jeszcze trzysta sześćdziesiąt cztery inne.

Odwraca się i odchodzi od stołu.

Declan wygląda, jakby go zaraz miał trafić szlag.

– Ja zgrywam ofiarę?! – woła za nim. – A kto chodzi w bluzie, gdy na dworze jest prawie trzydzieści stopni?

Rev się nie zatrzymuje. Declan patrzy na niego z wściekłością, ale nie biegnie za nim, tylko ciężko dyszy.

Ja natomiast zamieram. Serce podchodzi mi do gardła. Myślę o dacie, o której mówił Rev.

Mija dłuższa chwila, zanim udaje mi się coś powiedzieć, a kiedy to robię, mój głos jest ochrypły.

– Co się stało dwudziestego piątego maja?

Declan przenosi uwagę z powrotem na mnie.

– Juliet...

– Co się stało dwudziestego piątego maja? – powtarzam.

Nie sądzę, żebym wypowiedziała te słowa przesadnie głośno, ale już przedtem zdążyliśmy przyciągnąć uwagę innych uczniów, i nagle zapada cisza.

Declan przełyka ślinę.

– Tego dnia rozbiłem wóz ojca.

– Tego dnia się upiłeś? Tego dnia urwał ci się film i przywaliłeś samochodem w budynek?! – krzyczę, chociaż nie mogę złapać tchu. – To ten dzień, który ledwo pamiętasz?

Milczy, a mnie zaczyna kręcić się w głowie.

Czuję dotyk ręki na ramieniu.

– Juliet... Juliet... – mówi do mnie znajomy męski głos. Robi mi się ciemno przed oczami.

Dwudziesty piąty maja.

Właśnie tego dnia moja mama zginęła w wypadku.

Rozdział trzydziesty czwarty

Od: Cmentarna Dziewczyna
<cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: wtorek, 8 października, 15:21:53

Temat: Muszę wiedzieć

Czy jesteś Declanem Murphym?

Jeśli tak, to nie chcę Cię znać.

Chyba zwariuję.

Musiła wysłać ten mail zaraz po szkole, bo ostatni dzwonek jest dwadzieścia po trzeciej.

Potem pojechała prosto na cmentarz. Siedzi przy grobie matki i pisze coś na kartce.

Wiem, bo ją obserwuję.

Ona mnie nie zauważyła. Chowam się. Nie jestem aż tak odważny. Stoję przy szopie na narzędzia, kryjąc się w cieniu niczym jakiś stalker. Melonhead jest w środku, on też mnie jeszcze nie widział.

Nie mam pojęcia, co robiła przez kolejne lekcje, ale wiem, co robiłem ja: siedziałem z tyłu każdej klasy i odtwarzałem w głowie tamten dzień. Ślub. Whiskey.

Uderzenie. Policjanci.

Byłem w samochodzie zaledwie kwadrans. To udokumentowane. Wyszedłem z wesela o dwudziestej jeden, a uderzyłem w filar biurowca o dwudziestej szesnaście.

Piętnaście minut.

To chyba za mało, żeby na dodatek kogoś zabić.

Policjanci nie są głupi, prawda? Na pewno powiązalıby ze sobą te dwa wydarzenia.

Znałem tę datę. Znałem ją od początku. Tak to się właśnie zaczęło. Od listu, który przeczytałem, siedząc przy grobie kobiety.

Zastanawiam się, czy nasze ścieżki – moja i matki Juliet – się przecięły. Czy się ze sobą zderzyły.

Jeśli tak, to wcale nie jestem lepszy od ojca. Jestem od niego gorszy.

Dlaczego mi się nie udało? Moja ścieżka miała się zakończyć. To dlatego wzięłem ten samochód. Jeżeli zadziałało to w przypadku Kerry, to powinno zadziałać również w przypadku mnie.

Myślałem, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Muszę stąd iść. Muszę iść do domu. Ale nie mogę.

Tamtego wieczoru nie chciałem nikogo skrzywdzić. I nikogo nie

skrzywdziłem.

Wiem, że tego nie zrobiłem.

Jestem pewien.

Nie, w ogóle nie jestem pewien.

Czuję mdłości. Zaraz zwymiotuję, tutaj, na trawnik.

Czy kogoś zabiłem? Czy zabiłem jej matkę?

Potrzebuję Reva. Muszę z nim pogadać.

Tyle że on nie odbiera telefonu.

Próbuję jeszcze raz. Palce mam spocone i nie mogę odblokować ekranu. Jęczę z frustracji i ciskam komórkę w trawę.

Wariuję. Przyciskam palce do powiek. Ręce mi drżą.

– Murph? – Melonhead stoi przede mną i przygląda mi się z troską. – Co się z tobą dzieje, człowieku?

– Muszę iść – odpowiadam stłumionym głosem. – Nie dam rady dzisiaj pracować.

– Co się stało?

Odwracam się i ruszam ścieżką na parking dla pracowników. Z każdym krokiem mam wrażenie, jakbym coraz bardziej zapadał się w ruchomych piaskach, tyle że zamiast w dół ciągnie mnie do tyłu, do Juliet.

Potrzebuję jej. Bardziej niż kogokolwiek innego. Potrzebuję jej.

Tyle że z powodu tego wszystkiego, co jest między nami, nie mogę jej mieć.

Melonhead staje przy mnie.

– DECK-lin. Powiedz, co się dzieje.

Znajduję swój samochód i próbuję włożyć kluczyk do zamka. Bezskutecznie, za bardzo trzęsą mi się ręce.

Jęczę i uderzam kluczykami w karoserię. Ząbki wrzynają mi się w dłoń i słyszę metaliczny zgrzyt.

– Ej. – Melonhead chwyta mnie za ramię. Jest silniejszy, niż myślałem. – Mów do mnie. Naćpałeś się?

– Jezu, nie. – Opieram czoło o dach auta. W sumie żałuję, że się nie naćpałem. – Muszę stąd odjechać, Frank. Proszę, puść mnie.

Robi głęboki wdech. Spodziewam się gadki o tym, że mam obowiązki, że zaraz zadzwoni do sędzi i trafię do aresztu.

– No dobra – mówi tymczasem. – Jedźmy, chętnie posłucham.

Jadę, jednak nic nie mówię. Jest coś uspokajającego w jeździe samochodem, udaje mi się zanurzyć w rytmie zmiany biegów i szumie jezdni pod kołami. Najpierw robię kilka kółek po dzielnicy, w której znajduje się cmentarz, ponieważ jestem pewien, że Melonhead zaraz mi powie, żebym wziął się w garść i wracał.

On jednak tego nie robi.

Dlatego zapuszczam się dalej na wschód i wyjeżdżam na autostradę, aż wreszcie docieram do mostu nad zatoką Chesapeake. Postanawiam odjechać sześć doliców za przejazd, bo nie chcę się zatrzymywać.

– Skręć w Jennifer Road – mówi nagle Melonhead.

Jedziemy już jakieś dwadzieścia minut, a to pierwsze słowa, jakie któryś z nas wypowiedział.

– Dlaczego?

– Chcę wstąpić do szpitala.

Zaciskam mocniej palce na kierownicy.

– Nie potrzebuję szpitala.

– A kto powiedział, że chodzi o ciebie? Skoro już tu jesteśmy, złożę wizytę żonie.

To mnie trochę otrzeźwia. Mam wyrzuty sumienia, że myślę tylko o sobie.

– Twoja żona jest chora? – pytam.

Kręci głową.

– Pracuje tam. Zrobię jej niespodziankę.

Nie planowałem wizyty w szpitalu. Włączam kierunkowskaz i wybieram odpowiedni zjazd.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, nie gaszę silnika.

Melonhead odpina pas i klepie mnie po ramieniu.

– Chodź ze mną.

– Zaczekam.

– Nie chcesz poznać mojej żony? Wsiadaj, ale już.

Przeszywam go gniewnym spojrzeniem.

– Nie mam nastroju na spotkania.

– A na co masz nastrój?

Mam nastrój na wślizgnięcie się pod samochód i pozostanie tam na zawsze.

W mojej głowie wciąż rozbrzmiewają słowa Reva: „Przestań zgrywać pieprzoną ofiarę”.

Uderzyły we mnie niczym pocisk w kamizelkę kuloodporną. Wciąż jestem obolały. Pierwszy raz słyszałem, żeby Rev przeklinał.

Wyłączam silnik, zaciągam hamulec i wysiadam z samochodu.

– Niech ci będzie. Prowadź.

W szpitalu panuje podobny ruch jak wczoraj. Wchodzimy przez główne wejście. Ludzie chodzą tu we wszystkich kierunkach. Ci w lekarskich i pielęgniarskich kitlach trochę szybciej. Na sofie w poczekalni drzemie jakiś gość, kobieta w zaawansowanej ciąży opiera się o ścianę przy windzie. W ręce trzyma plastikowy kubek z napojem. Brzuch rozciąga jej koszulkę. Gdzieś w korytarzu wydiera się jakiś smarkacz. Jego krzyki odbijają się echem od ścian.

Podchodzimy do windy. Melonhead nie należy do osób wciskających guzik, który już się świeci. Uśmiecha się i mówi „dzień dobry” ciężarnej. Nie mogę oderwać wzroku od jej brzucha.

Niedługo moja mama też będzie tak wyglądać.

Niedługo moja mama będzie miała dziecko.

Wciąż nie potrafię się z tym pogodzić.

Nagle brzuch kobiety drga i zmienia kształt. Zdumiewające. Patrzę jej w oczy.

Śmieje się z mojej miny.

– Dziecko usiłuje się wygodniej ułożyć – tłumaczy rozbawiona ciężarna.

Rozlega się dzwonek windy i wszyscy wchodzimy do środka. Brzuch kobiety nie przestaje się poruszać.

Zdaję sobie sprawę, że wychodzę na dziwaka, ale nie mogę przestać się gapić, to najbardziej niesamowita rzecz, jaką widziałem w życiu.

Znów się śmieje, po czym podchodzi do mnie.

– Proszę, możesz dotknąć – mówi.

– Nie trzeba – odpowiadam pośpiesznie.

Melonhead rechocze, a ja marszczę brwi.

– Niewiele osób ma okazję dotykać dziecka przed urodzeniem – zauważa żartobliwie. – Nie chcesz być jedną z nich?

– Nie jestem przyzwyczajony, że proponują mi to obce kobiety – tłumaczę.

– To moje piąte – odpowiada. – Zdażyłam już przyzwyczać się do obcych ludzi, którzy mnie dotykają, więc proszę, nie krępuj się.

Chwyta mnie za nadgarstek i przykłada moją dłoń do swojego brzucha.

Jest twardszy, niż się spodziewałem. Skrępowany tą nagłą bliskością, z chęcią cofnąłbym rękę, jednak nie chcę wyjść na niegrzecznego.

A potem dziecko się porusza i czuję pod palcami coś twardego. Bezwiednie wciągam gwałtownie powietrze.

– Mówi ci „cześć” – odzywa się kobieta.

Nie mogę przestać myśleć o swojej mamie. Próbuję sobie wyobrazić, że będzie tak wyglądać, ale mi się nie udaje.

Próbuję wyobrazić sobie ją zachęcającą mnie do dotknięcia swojego brzucha i też mi się to nie udaje.

Czwarty miesiąc.

Winda dzwoni.

– Chodź, Murph – mówi Melonhead.

Patrzę na kobietę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Dziękuję?

– Bądź grzeczny – mówi i pije łyk napoju.

Drzwi windy zamykają się i znika mi z oczu.

Melonhead odchodzi i muszę kawałek podbiec, żeby go dogonić.

Znajdujemy się na jednym z oddziałów. Ściany pomalowano tu na biało, a rozmowy są prowadzone szeptem. Zewsząd dobiega pikanie urządzeń podtrzymujących życie. Ciągłe mam na sobie szkolne ciuchy, ale mój towarzysz jest w ubraniu roboczym, po całym dniu pracy na cmentarzu, więc tylko czekać, jak ktoś nas stąd przepędzi.

Przy stanowisku komputerowym stoi szczupła, ciemnowłosa lekarka. Frank podchodzi do niej, odwraca ją gwałtownie i całuje prosto w usta.

Najwyraźniej to dzień, w którym wszyscy uparli się, żeby mnie zawstydzić.

Usiłuję patrzeć na coś innego. Na pielęgniarki. Albo na rysunki wiszące na ścianie.

Melonhead i jego żona zaczynają rozmawiać po hiszpańsku. Wyobrażam sobie tę rozmowę.

„Co ty tutaj robisz?”

„Nic specjalnego. Akurat byłem w okolicy”

„Co to za świr?”

„Zabójca, którego jeszcze nie złapano”

Serce podchodzi mi do gardła. Nie powinienem być tutaj.

Tyle że nie wiem, gdzie w takim razie powinienem.

– DECK-lin? Poznaj Carmen.

Wracam do rzeczywistości i odruchowo wyciągam rękę.

– Cześć – mówię.

– Cześć, Declan – odpowiada z uśmiechem kobieta. Na prawej piersi ma identyfikator z napisem „Dr Melendez”, ale mówi po angielsku bez śladu obcego akcentu. – To ty jesteś tym chłopakiem, za którego chce wyjść Marisol?

– No cóż, nie musimy się spieszyć.

Kiedy się uśmiecha, w jej oczach pojawiają się ogniki.

– Frank powiedział mi, że zabrałeś go na przejażdżkę wozem, który własnoręcznie odrestaurowałeś. Jestem pod wrażeniem. Myślałam, że to ginąca umiejętność.

– To nic takiego, naprawdę.

– Sąsiadka mówiła mi, że rozwiązałeś problem z samochodem jej męża w pół minuty. Musisz mieć prawdziwy talent.

Wzruszam ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Chyba faktycznie mam do tego dryg.

Podchodzi do nas pielęgniarka. Kładzie rękę na ramieniu doktor Melendez.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani doktor – mówi cicho. – Miałam dać znać, gdy przyjdą wyniki pacjentki z sali 221.

Melonhead chrząka znacząco.

– Pora się zbierać.

– Cieszę się, że do mnie zajechaliście – mówi jego żona i znów się całują,

tym razem nie tak namiętnie. – Miło mi było cię poznać, Declanie.

– A mnie panią.

Wracamy do windy, potem do samochodu, a wreszcie na Jennifer Road.

– Pokonaliśmy taki szmat drogi tylko po to, żebyś dał jej całusa? – nie mogę się nadziwić.

Wzrusza ramionami.

– A co innego mieliśmy do roboty?

Skosić trawę na cmentarzu, myślę, ale nie mówię tego głośno.

– To już więcej czasu spędziliśmy w windzie z tą zwariowaną mamuszką.

– Może kiedyś pokochasz kobietę tak bardzo, że gotów będziesz zrobić wszystko, byle tylko ją pocałować.

Te słowa zbijają mnie z tropu. Nie wiem, czy mam się zaczerwienić, czy się na niego obrazić. Spodziewałem się, że powie, bym pojechał z powrotem na cmentarz, żaden z nas jednak o tym nie wspomina.

Nie wiem, dokąd mam jechać, ale wiem, że nie jestem gotów, by tam wrócić, zwłaszcza że Juliet pewnie jeszcze nie pojechała do domu. Kiedy dojeżdżam do świateł na drodze numer 50, Melonhead patrzy na mnie.

– Głodny? – pyta.

– Nie.

– Na pewno? Ja stawiam.

Spoglądam na niego ze zdziwieniem.

– Co się dzieje? Opieprzasz mnie, ilekroć przyłapiesz mnie z telefonem w czasie, gdy mam kosić, a teraz chcesz się zatrzymać na kolację?

Wzrusza ramionami. Jedziemy dalej.

– Kim jest ta dziewczyna? – pyta w końcu.

– Która?

– Ta, którą podglądasz.

Równie dobrze mógłby mi przyłożyć pięścią w brzuch. Na myśl o Juliet zaczyna brakować mi tchu.

– Nikim. Znam ją ze szkoły.

– Kiedyś ciągle tam przychodziła. Ostatnio rzadko ją widuję.

Juliet. Och, Juliet...

Przypominam sobie jej pierwszy list, słowa tak pełne bólu, że zainspirowało mnie to do odpowiedzi.

To widać na jej twarzy. Jej świat rozpadł się na kawałeczki i ona o tym wie.

Wie, że jej mama nie żyje.

Ta fotografia wyraża prawdziwe cierpienie.

Za każdym razem, kiedy ją oglądam, myślę sobie: „Wiem doskonale, jak się czuje ta mała”.

Czy to przeze mnie?

– Jej mama nie żyje – słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

– Ach tak. To smutne.

Oczy zachodzą mi łzami. Cieszę się, że nie jestem na autostradzie.

– Zginęła w wypadku. Sprawca uciekł. To stało się tego samego wieczoru, kiedy się upiłem i rozbiłem samochód ojca.

Wydaje mi się, że zastanawia się nad tym samym, nad czym ja również zastanawiam się przez cały dzień.

– Miałeś z tym coś wspólnego? – pyta cichym głosem.

Nie jestem w stanie wydusić ani słowa. Włączam kierunkowskaz i wjeżdżam na parking przed niewielkim centrum handlowym. Zaciągam hamulec ręczny, nie patrząc na niego, a potem przykładam ręce do brzucha, jakby dręczył mnie fizyczny ból.

– Nie wiem.

– Ale boisz się, że tak?

– Nie wiem. Nie wiem, kim jestem. Nie potrafię tego rozgryźć.

Milczy przez dłuższy czas, a ja wsłuchuję się w swój oddech, usiłując go uspokoić.

W końcu Melonhead odzywa się cichym głosem:

– Nie musisz się nad tym głowić w pojedynkę.

– Za dużo do gadania, to zbyt skomplikowane.

– Wprawdzie to moja żona jest lekarką, ale nie jestem głupi, Murph. Daj mi szansę.

Robię wdech, zamierzając doradzić mu, żeby spadał, ale zamiast tego opowiadam mu o wszystkim.

Zaczynam od samego początku, od listu zostawionego przy nagrobku, potem opowiadam, jak ze sobą pisaliśmy. Mówię mu o tym, o czym napisałem Juliet, i o tym, o czym jej nie napisałem. Narzekam, że trudno mi było prowadzić dwa oddzielne życia. Opowiadam o tej ulewnej nocy, kiedy znalazłem ją na poboczu, i o tym, że była przekonana, że jej nie pomogę, a mnie korciło, żeby utrzymać ją w tym przekonaniu.

Opowiadam mu o swoim ojcu, warsztacie i o tym, że byłem jego tajnym szoferem. Opowiadam mu o Kerry i jej śmierci.

Opowiadam mu o mamie i Alanie, i o tym, że czuję się jak intruz we własnym domu. Opowiadam mu o ciąży, którą ukrywali przede mną, i o tym, że wszystko, co robi mama, przybliża ją do człowieka, który na bank ją zawiedzie.

Opowiadam mu o dniu ślubu. O butelce whiskey. O wypadku, dwóch nocach w celi i o Alanie, który twierdził, że staję się swoim ojcem. Opowiadam, jak bardzo chciałem wtedy skończyć ze sobą.

Frank okazuje się dobrym słuchaczem. Nie przerywa i prawie się nie odzywa, z wyjątkiem kilku pytań, gdy chce coś doprecyzować.

Wreszcie opowiadam mu o dzisiejszym dniu – o tym, jak siedzieliśmy przy stole, jak Rev mnie opierniczył, a Juliet trzeba było zabrać do pielęgniarki szkolnej po tym, jak dowiedziała się, którego dnia rozbiłem samochód ojca.

Kiedy kończę, nad budynkami przy drodze numer 50 zapada mrok. Czuję się zupełnie wypompowany.

– Sporo tego – zauważa Melonhead.

Kiwam głową.

– Znałem tę datę – kontynuuję, uświadamiając sobie, że lepiej mi się mówi w ciemności. – To była pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę, patrząc na ten nagrobek. Ale... nie wiedziałem, jak umarła. Tego dowiedziałem się później, dużo później. Jednak dopiero dzisiaj powiązałem ze sobą te dwa wydarzenia.

– Ale nie pamiętasz przecież, żebyś zderzył się z innym samochodem?

– Ja nawet nie bardzo sobie przypominam, że wsiadłem do wozu taty.

Patrzy na mnie w zamyśleniu.

– Wiesz, gdzie doszło do wypadku jej matki? I o której godzinie?

– Nie. – Waham się przez chwilę. – Wiem tylko, że jechała z lotniska.

Wieczorem.

– Gdzie się rozbiłeś? Mogliście się spotkać?

– Przy Ritchie Highway. Nie mam pojęcia.

– Ale doszło do tego w tym samym hrabstwie?

– Tak. Chyba tak.

Pociera szczękę.

– Cóż, policjanci znają się na swoim fachu, Murph. Jeśli do twojego wypadku doszło w tym samym hrabstwie i mniej więcej w tym samym czasie, na pewno sprawdzili, czy nie odgrywałeś jakiejś roli w tym drugim zdarzeniu. Zwłaszcza że zginęła w nim kobieta.

– Samochód ojca był w strasznym stanie. Musieli rozcinać karoserię, żeby mnie z niego wydostać. Mama powiedziała, że życie zawdzięczam zapiętym pasom. Podobno w poduszkę powietrzną wbił się kamienny filar. Może nie mogli ustalić, czy wcześniej w coś wjechałem.

– Są na to sposoby. Co ty, nie oglądasz seriali kryminalnych?

Po raz pierwszy tego wieczoru część ciężaru spada mi z serca.

– Serio?

– Tak, serio. – Milknie na chwilę. – Mógłbyś poszukać czegoś na temat tego wypadku. Na pewno było o nim głośno w wiadomościach. Być może policja ustaliła, jakiej marki był samochód, który go spowodował, a przynajmniej, jakiego był koloru.

Jego wyjaśnienia są tak sensowne i rzeczowe, że mam ochotę z radości zatańczyć na parkingu.

Jednak tego nie robię.

Bo to przecież nie wszystko.

– Masz coś przeciwko temu, żebym ci powiedział, co myślę o twoich pozostałych problemach? – pyta.

Kręcę głową.

– Wyjedź stąd, a ja ci powiem, co i jak.

Ruszam, a on nie każe mi długo czekać.

– Myślę, że twoja mama i jej mąż źle zrobili, że tak długo utrzymywali tę ciążę w tajemnicy. Jednak nie jestem tym zaskoczony.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– O tym, że twoi rodzice zawiedli cię, kiedy byłeś dzieckiem, i chyba dalej to robią.

Patrzę mu przez chwilę w oczy, a potem wyjeżdżam na szosę.

– Wciąż nie wiem, o czym mówisz.

– Do jasnej cholery. – Po raz pierwszy wydaje się naprawdę wkurzony. – Nie wolno ci było wozić ojca. Twoja matka nie powinna była na to pozwolić. Nie powinna pozwolić ci myśleć, że to twoja wina. Nie wyobrażam sobie, żebym oczekiwał od Marisol czegoś takiego. A nawet gdyby, to na pewno Carmen nie pozwoliłaby, żeby to trwało tak długo. Powiedziałeś, że nie wiesz, jak przeprosić matkę za to, co zrobiłeś po jej ślubie. A czy ona przeprosiła cię za to, co zrobiła?

Kręcę gwałtownie głową.

– Nie przeprosiła, ale to nie takie proste.

– Właśnie że proste. To było wykroczenie i z tego, co się orientuję, twoja matka ponosi za nie taką samą odpowiedzialność jak ojciec. – Im jest bardziej wzburzony, z tym silniejszym akcentem mówi. – Masz szczęście, że przeżyłeś. Byłeś dzieckiem, Murph. Ciągłe jeszcze jesteś dzieckiem, a ona pozwala, żebyś miał ogromne poczucie winy. Wiesz, dlaczego, moim zdaniem, nie odwiedza twojego ojca? Dlatego że wypiera to, że ona również jest odpowiedzialna za to, co się stało. Moim zdaniem powinna razem z tobą kosić trawę. – Przeklina po hiszpańsku.

Udaje mi się jechać w miarę prosto, choć po głowie kotłują mi się dziesiątki myśli. Nikt nigdy tak ze mną nie rozmawiał. Nigdy. Przywykłem do tego, że ludzie trzymają mnie na dystans i nie stają w mojej obronie.

– To nie do końca jej wina – odzywam się wreszcie. – Śmierć Kerry coś w niej zabiła.

– Wciąż miała ciebie.

– To niekoniecznie była nagroda. Nie jestem łatwy w codziennym życiu. – Przerwywam. – Zepsułem jej wesele. Chyba nigdy mi tego nie wybaczyła.

Melonhead chrząka. Nadal wydaje się wkurzony. Uśmiecham się pod nosem.

– Dzięki – mówię.

Kiwa głową, ale chyba bardziej do swoich myśli niż do mnie.

- Czy twój ojczym wie o wszystkim, o czym mi opowiedziałeś?
- Chyba tak.
- Ale nie masz pewności?
- A co to za różnica?

Patrzy na mnie z zaciętym wyrazem twarzy.

- To ważne, Murph.

Otwieram usta, żeby go zbyć, ale w następnej chwili uświadamiam sobie, że ma rację. Próbuję popatrzeć na swoje kontakty z Alanem z innej perspektywy, biorąc pod uwagę to, że mógł nie zdawać sobie sprawy z mojej roli w rodzinnej historii. Mama nigdy ze mną o tym nie rozmawiała. Ani razu. Pamiętam, że starałem się mieć jak najlepsze stopnie, zupełnie jakby piątki i szóstki mogły w jakiś sposób naprawić to, że nie ochroniłem Kerry i ojca. W pokoju utrzymywałem zawsze wzorowy porządek. Wywiązywałem się ze wszystkich obowiązków. I zawsze schodziłem jej z drogi.

Pamiętam też, że w ogóle tego nie zauważała. I w końcu przestałem się starać.

Kiedy Alan wkroczył w nasze życie, mama i ja krążyliśmy już po orbitach innych planet. Nie mam pojęcia, czy opowiedziała mu o tym, co się stało.

Tak czy owak, nie jestem pewien, czy to w ogóle ma znaczenie. Nie mogę cofnąć tego, co zrobiłem. Żadne z nas nie może.

– Zgadzam się z twoją przyjaciółką – mówi Melonhead. – Myślę, że powinieneś porozmawiać z mamą.

To stwierdzenie sprawia, że uśmiech znika z mojej twarzy.

– Nie wiem, co jej powiedzieć. – Patrzę na zegar na desce rozdzielczej. – Chyba dostanę opiesz za spóźnienie. Powiniennem już być w domu.

Wyjmuje z kieszeni komórkę.

– Podaj mi swój numer do domu. Zadzwoń i wytłumaczę, że musiałeś zostać trochę dłużej.

Kolejny ciężar spada mi z piersi. Dzwoni, tłumaczy, że zatrzymał mnie w pracy, i nagle nie mam już kłopotów. To takie proste.

Myślę o słowach pani Hillard: „Następnym razem, gdy będziesz miał jakiś problem, po prostu mi o tym powiedz”. A także o tym, że zaakceptowała moje wyjaśnienia i pozwoliła mi odrobić pracę domową na lekcji.

– To był tylko jeden dzień – zauważa Frank. – Ale nie uda ci się naprawić relacji z mamą i jej mężem, jeśli dalej będziesz szedł tą ścieżką.

Na wzmiankę o Alanie pochmurnieję.

– Nigdy nie chciałem naprawić relacji z nimi. – Milknę na chwilę, po czym dodaję ciszej: – Chciałem ze sobą skończyć. Spieprzyłem wszystko.

– Nie wiem, Murph. – Skracam na drogę dojazdową do cmentarza, podczas gdy on się waha, jakby niepewny swoich słów. – Zastanawiam się, czy

przypadkiem sobie tego nie wmawiasz.

– Czego? – pytam, marszcząc brwi.

– Nie wydaje mi się, że naprawdę chciałeś się zabić.

Zatrzymuję się przy jego samochodzie na opustoszałym parkingu dla pracowników.

– Nie słuchałeś tego, co ci mówiłem?

– Słuchałem. I wydaje mi się, że choć rzeczywiście próbowałeś się zabić, to tak naprawdę wcale nie chciałeś tego zrobić.

– A co to za różnica?

Otwiera drzwi i wysiada, po czym pochyla się i patrzy na mnie.

– Gdybyś chciał się zabić, nie zapinałbyś pasów.

Wbijam wzrok w pociemniałą przednią szybę. Nie wiem, co powiedzieć.

– Pomożesz mi jutro? – pyta. – Będę miał podwójną robotę do wykonania.

Podoba mi się, że mnie o to pyta, daje mi możliwość odmowy.

Kiwam głową.

– Przyjadę zaraz po szkole. Damy radę.

– Dzięki, Murph. – Zatrzaszkuje drzwi i odchodzi.

Udało mu się rozproszyć trochę mrok, który mnie spowija.

Rozdział trzydziesty piąty

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: wtorek, 8 października, 21:12:44

Temat: DM

Co się stało? Wszystko gra?

O wpół do dziesiątej do drzwi mojej sypialni puka tata. Kusi mnie, żeby udawać, że śpię. W rzeczywistości siedzę na łóżku, gapiąc się w telefon i rozmyślając.

W pokoju pali się światło, więc jeśli nie zareaguję, i tak wejdzie, żeby je zgasić.

– Proszę! – wołam.

Uchyła tylko drzwi.

– Masz ochotę na towarzystwo? – pyta.

W żadnym razie. Najchętniej wślizgnęłabym się pod kołdrę i spała tam przez miesiąc. Spędziłam długie godziny przy grobie mamy, próbując do niej napisać, jednak żadne sensowne słowa nie przychodziły mi do głowy.

Nie tak łatwo wyrazić żal z powodu tego, że zabijałam się w kimś, kto być może zabił mi matkę.

Z trudem powstrzymuję szloch. Gdyby los był osobą, przyłożyłabym mu w twarz.

Tata patrzy na mnie z troską.

– Juliet?

Pocieram powieki. Wiem, że ma dobre chęci, ale nie mam ochoty na wieczorne pogaduszki ojca z córką. Znajduję się na skraju wyczerpania nerwowego.

– Jestem naprawdę zmęczona, tato.

– Rozumiem. – Kiwa głową. – Tak właśnie sobie pomyślałem, że już za późno. Powiem im, że śpisz. – Zaczyna zamykać drzwi.

Im? Przychodzi mi do głowy, że to Declan i Rev, i serce zaczyna mi szybciej bić.

– Zaczekaj! – Przesuwam się na łóżku. – Ktoś przyszedł?

Marszczy brwi.

– To właśnie miałem na myśli, kiedy pytałem, czy masz ochotę na towa...

– Nie zrozumiałam. – Moje słowa nie nadążają za myślami.

Czuję się, jakbym równocześnie dostała zastrzyk adrenaliny i napiła się kawy. Może Declan chce wszystko wyjaśnić. Przeprosić. Udowodnić, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią mojej mamy.

Nie powinnam aż tak bardzo emocjonować się jego przyjściem, ale nic na to

nie poradzę. Towarzyszy mi lekkie poczucie winy, ale to takie intrygujące.

Jestem najgorszą córką świata.

Odgarniam włosy z twarzy. Potargał mi je wiatr na cmentarzu.

– Kto to? I czego chce?

Tata patrzy na mnie jak na wariatkę i chyba słusznie.

– Rowan z jakimś chłopakiem. Zdaje się, że ma na imię Brendan...

– Brandon. – Wypuszczam ze świstem powietrze, zanim udaje mi się dojść do tego, czy bardziej byłam wściekła, czy podniecona na myśl o spotkaniu z Declanem. – Przyślij ich tutaj.

– Już wchodzimy! – krzyczy Rowan z dołu. – Możesz ignorować moje telefony, ale na pewno nie zignorujesz Nachos BellGrande.

Wchodzą na górę, a tata znika. Rowan wydaje się taka eteryczna w luźnej, białej bluzce i legginsach. Taszczy ogromną torbę z sieci barów Taco Bell. Brandon ma na sobie dżinsy rurki, niezapiętą koszulkę i T-shirt z napisem „Bekon to mięsny cukierek”.

Wyglądają razem jak postacie rodem z powieści: anielica i pomagający jej hipster.

Ja mam na sobie piżamę i na pewno tusz do rzęs rozmazał mi się na policzkach.

Rowan upuszcza torbę na podłogę przy łóżku, po czym siada obok mnie.

– O rany, Jules. Co się stało? Podobno zemdlałaś w stołówce. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Jak dotarłaś do domu?

– Nie zemdlałam. – Pocieram policzki, które trochę lepią się od łez. – Pani Vickers powiedziała, że to był atak paniki, i pozwoliła mi jechać do domu. – To największy wyraz wsparcia, jaki otrzymałam od szkolnej psycholog od początku roku szkolnego.

Brandon zaczyna wyjmować jedzenie z torby. Nie powiedział jeszcze ani słowa, ale próbuje być użyteczny. Podoba mi się, że zdaje się nie zauważać tego, że jestem wrakiem człowieka zawiniętym w kołdrę.

A właśnie, skoro już tutaj jest, chyba powinnam włożyć stanik.

Ocieram łzy i wychodzę spod kołdry.

– Muszę coś na siebie włożyć. Zaraz wracam. – Nagle dochodzi do mnie zapach jedzenia i uświadamiam sobie, że nie jadłam kolacji, a lunch ledwie tknęłam. – Dzięki, że pomyśleliście. Umieram z głodu.

W łazience myję twarz i zęby, a potem spinam włosy. Złapałam pierwsze lepsze ciuchy, więc jestem zdana teraz na dżinsy i koszulkę bez rękawów, ale lepsze to niż strój oszalałej Ofelii.

Kiedy wracam do pokoju, okazuje się, że łóżko jest pościelone, a kołdra zamieniła się w bufet. Z radia dobiegają dźwięki relaksującej muzyki, a tata przyniósł colę.

Jestem tak wzruszona tymi wyrazami sympatii, że o mało nie wybucham płaczem. Nie zasługuję na to wszystko.

– Na twoją komórkę przyszła jakaś wiadomość – mówi Rowan.

Podnoszę ją i wciskam guzik.

M: Poważnie pytam. Wszystko w porządku?

Odblokowuję ją i szybko piszę:

CD: Tak. Wpadli do mnie przyjaciele. Napiszę później.

Potem blokuję telefon i wsuwam go pod poduszkę.

Rowan patrzy na mnie znad talerza nachosów.

– Coś się stało?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

Biorę talerz i zaczynam nakładać sobie frytki, wołowinę i ser.

– Nie wiem.

– To twój tajemniczy wielbiciel?

– Masz tajemniczego wielbiciela? – zaciekawia się Brandon.

Siada na krześle przy biurku z czterema tacos na talerzu.

– Można tak powiedzieć. – Wkładam frytkę do ust.

Mrok nie odpowiedział na moje pytanie. Czy powinnam to uznać za potwierdzenie? Czy po prostu jest tak zaniepokojony, że zapomniał odpowiedzieć?

Declan raczej nie unikałby odpowiedzi. W stołówce nie zawahał się odpowiedzieć na pytanie o datę swojego wypadku – dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Dlaczego miałyby mi nie powiedzieć?

Chyba że Mrok nie jest Declanem. To też miałyby sens. Tak jakby.

Przez dłuższy czas jemy w milczeniu. Z radia wciąż leci relaksująca muzyka.

W końcu odzywam się cichym, ale pewnym głosem:

– Declan Murphy rozbił samochód tego samego wieczoru, kiedy zginęła moja mama. Właśnie to mną tak wstrząsnęło w czasie lunchu. Wydaje mi się, że mógł być w to zamieszany. Był tak pijany, że nic nie pamięta.

Rowan zamiera z frytką w połowie drogi do ust.

– Powiedziałaś tacie? Zawiadomił policję?

– Nie mówiłam o tym jeszcze nikomu. – Zawieszam głos. – Nie... Nie znam wszystkich szczegółów. A jeśli do tych wypadków doszło w różnych godzinach? Albo...

– Masz komputer? – pyta Brandon. – Mogę to sprawdzić.

Prostuję się raptownie.

– Jakim cudem?

– Znam hasło do policyjnej bazy danych.

Rowan pochyla się do mnie i mówi scenicznym szeptem:

– Jak widzisz, czasami do czegoś się przydaje.
– Naprawdę? – dziwię się. – Skąd je masz?
– Dostałem na stażu. Myślałem, że je zmienią, ale do tej pory tego nie zrobili. – Wzrusza ramionami. – Tam są bardzo interesujące rzeczy. Czasami je sobie przeglądam. Sprawdźmy, czy uda się ustalić szczegóły tych dwóch wypadków.

Mam stary laptop taty. Jest wolny, ale działa. Wyciągam go spod sterty książek na biurku i podaję Brandonowi.

Patrzy na mnie znad ekranu, kiedy czekamy, aż komputer się uruchomi.

– Chcesz powiedzieć o tym tacie?

Wydaje się, że tata powoli wychodzi z mgły, która ciągle mnie więzi. Kręcę głową.

– Na razie nie. Dopiero gdy nabierzemy pewności.

Zalogowanie się do systemu nie zajmuje Brandonowi dużo czasu.

– Data?

Nagle zasycha mi w ustach. Czy to się dzieje naprawdę? Czy za chwilę dowiemy się, kto zabił moją mamę?

– Dwudziesty piąty maja.

Pisze na klawiaturze, a potem patrzy w ekran.

– Mam raport z miejsca wypadku, ale nazwiska ofiar to Thorne i Rahman. Kto to jest Rahman?

– Mama jechała z lotniska taksówką. Rahman to pewnie taksówkarz – szepczę.

Aż do dzisiaj w ogóle o nim nie myślałam. Czy osierocił córkę, która boryka się z podobnym poczuciem straty jak ja?

Rowan ściska mnie za rękę.

– Do wypadku doszło na Hammonds Ferry Road? W Linthicum?

– Tak.

Brandon marszczy brwi.

– Dziwne. Hammonds Ferry Road nie leży po drodze z lotniska.

– Jak to?

– Jest w pobliżu, ale nie na samej trasie z lotniska. Może taksówkarz zabrał jeszcze kogoś i wysadził go jako pierwszego? A może pojechał określną drogą, żeby twoja mama więcej zapłaciła? Albo był wypadek na głównej drodze, więc musiał jechać bocznymi... Nie wiem, a od niego się tego już nie dowiemy. W każdym razie nie wybrał najkrótszej trasy.

Dziwne. Ale jak zauważył Brandon, pewnie da się to jakoś wytłumaczyć.

– Było po zmroku – kontynuuje chłopak – a jechali starszą częścią miasta, gdzie nie ma kamer. Po przyjeździe karetki... – Przerywa i po jego minie widać, że zapoznaje się ze szczegółami, których jego zdaniem nie powinnam poznać. Macha

ręką. – Teraz znajdę policyjny raport na temat tego nieudacznika i zobaczymy, czy coś się zgadza.

On nie jest nieudacznikiem, mam ochotę powiedzieć, przypominając sobie rozmowę z Declanem o tym, że ludzie błędnie go oceniają. Jednak w następnej chwili przypominam sobie, co jest przedmiotem naszych poszukiwań, i gryzę się w język.

Brandon wciska kilka klawiszy, a potem jeszcze kilka. Jesteśmy tak cicho, że słyszę nasze oddechy.

Po jakiejś minucie Rowan mówi:

– Zaraz zniosę jajko, B.

– Wiem, wiem. Po prostu chcę się upewnić. To może być raport w sprawie Declana, ale wszystkie nazwiska są zamazane. Tak się dzieje w przypadku młodocianych przestępców. Dlatego musicie mi dać jeszcze chwilę.

„Młodocianych”. O mało się nie uśmiecham. W jakim świecie on żyje? Nigdy nie użyłabym tego słowa.

Po kolejnej minucie męczarni Brandon patrzy na mnie ze smutkiem.

– Nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość.

Zaciskam palce na palcach Rowan. Wszystko pasuje. Na pewno. Oddycham tak gwałtownie, że chyba zaraz ulegnę hiperwentylacji.

– Powiedz. Po prostu powiedz. To on, prawda?

Brandon kręci głową.

– Nie, to nie on.

Co takiego?

Co?

Odwraca do mnie laptop.

– Popatrz. Pierwszy meldunek o wypadku twojej matki pochodzi z dziewiętnastej czterdzieści sześć. Z raportu dotyczącego Declana Murphy’ego wynika, że usiadł za kółkiem o dwudziestej zero jeden i uderzył w budynek o dwudziestej szesnaście.

To nie on.

Czuję ulgę. A jednocześnie rozpacz. Sama nie wiem.

Zaraz zwymiotuję. Przyciskam dłonie do brzucha.

– Przykro mi – szepcze Brandon.

Teraz rozumiem, co miał na myśli, mówiąc, że nie wie, czy to dobra, czy zła wiadomość. Dobra, dlatego że to nie Declan, a zła, bo śmierć mojej mamy wciąż pozostaje niewyjaśniona.

– Wyłącz tego laptopa, dobra? Po prostu go wyłącz.

Przez następną minutę usiłuję sobie wmówić, że nic się nie stało. Jestem w tym samym miejscu co wczoraj. Nic nie straciłam.

I nawet gdyby Declan okazał się winny, i tak nie wróciłoby to jej życia.

– To sprzęt twojej mamy? – pyta Brandon, pokazując na stertę w kącie, wyraz mojej obsesji, prywatną kapliczkę.

Odchrząkuję.

– Tak. Jej wydawca wciąż stara się odkupić go od taty, ale... – Zawieszam głos.

Mina Brandona wskazuje na to, że nie zauważył mojego wzruszenia.

– Czy policja sprawdzała karty pamięci?

To pytanie jest tak zaskakujące, że momentalnie otrząsam się z żalu.

– Co takiego? Nie. Dlaczego pytasz?

Wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem. Pamiętam, że czytałem kiedyś o wykryciu zabójcy dzięki zdjęciom, które ofiara zrobiła mu telefonem. Facet w tym czasie dźgał ją nożem. Może twojej mamie udało się sfotografować odjeżdżający samochód?

Rowan daje chłopakowi znaki, jakby chciała powiedzieć: „Przestań gadać o morderstwach, kiedy moja przyjaciółka cierpi”, ale ja zdążyłam już się otrząsnąć.

– Twoim zdaniem to możliwe? – pytam.

Patrzy na aparaty.

– Kto wie?

– Nie – włącza się Rowan.

Oboje patrzymy na nią ze zdziwieniem. Otwiera szeroko oczy.

– Nie sądzicie, że to strasznie naciągane? – pyta. – Niby jakim cudem ktoś miałby tyle siły, żeby zrobić zdjęcia sprawcy uciekającemu z miejsca wypadku, a jednocześnie tak mało, żeby... żeby... – Przerzywa i spogląda na mnie.

– Żeby umrzeć przed przyjazdem karetki – kończę za nią.

– On po wypadku wcale nie musiał szybko jechać – zauważa Brandon. – Na pewno jego auto też ucierpiało. Niewykluczone, że zatrzymał się, żeby ocenić stan swojego wozu. Mogło też minąć trochę czasu, zanim pozbierał się na tyle, żeby ruszyć. To nie było proste zderzenie... – Przerzywa ze zboląym wyrazem twarzy.

– Powiedz to – mówię głuchym głosem.

Wyobrażałam sobie jej śmierć na setki różnych sposobów, nie dowiem się od niego niczego, co byłoby w stanie mnie zaskoczyć.

– Ona nie zginęła pod wpływem uderzenia – mówi cicho. – Wskazuje na to krwotok wewnętrzny, prawdopodobnie od pasa bezpieczeństwa. W raporcie nie ma też nic o obrażeniach głowy. – Przełyka głośno ślinę. – Więc... mogła mieć czas, żeby zrobić zdjęcia. Zwłaszcza jeśli zachowała zimną krew.

Powtarzam jego ostatnie słowa w myślach.

Kto jak kto, ale moja matka, kobieta, która zjeżdżała wszystkie fronty świata, żeby dostarczyć Amerykanom trochę prawdy o świecie, na pewno zachowała zimną krew.

Czy to możliwe, że przez ostatnie cztery miesiące miałam przy sobie

dowody wskazujące na sprawcę jej śmierci?

O kurde.

Przebiegam przez pokój, unoszę torbę z dwoma aparatami cyfrowymi i o mało ich nie rozwalam, próbując wyjąć z nich karty pamięci.

– Spokojnie, spokojnie... – Brandon wyciąga aparaty z moich trzęsących się palców. – Ja to zrobię.

Wprawnymi ruchami wyjmuje karty i wracamy do laptopa taty.

Program graficzny otwiera się tak wolno, że mam ochotę zbiec do piwnicy i odpalić maca, którego mama używa – używała – do edycji zdjęć. Nie włączałam go od jej śmierci – głównie dlatego, że na tapecie miała ustawione zdjęcie przedstawiające mnie jako niemowlaka wtulonego w jej szyję.

Oczy zachodzą mi łzami, ale od razu biorę się w garść. Mamy zadanie do wykonania.

Program w końcu się otwiera i na ekranie pojawiają się miniatury zdjęć.

– Spokojnie – szepcze Rowan.

Fotografie są przerażające. Martwe dzieci leżące na ulicach. Zakrwawione framugi drzwi. Wszędzie kurz, brud, pot i łzy. Rozpaczające kobiety. Mężczyźni o tak strasznych ranach, że z pewnością nikt nie powinien oglądać tych zdjęć przy jedzeniu.

Brandon powoli je przesuwają, ale też pobladł.

– Są niesamowite – komentuje. – Twoja mama była zajebistą fotografką.

Wiem, że miała talent, nie musi mi tego mówić.

– To wszystko zdjęcia z pracy. Sprawdź drugą kartę.

Zmienia karty i znów czekamy na otwarcie programu.

Nie mogę się doczekać. Coś na niej jest. Na pewno.

Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam. Karta okazuje się pusta.

Zupełnie pusta.

Brandon patrzy na mnie.

– Miała jeszcze jakiś aparat?

Kręcę głową.

– Jeszcze dwa rezerwowe, ale nie wyjmowała ich, były w walizce.

– A co jest tam? – Pokazuje na obiektyw wystający z płóciennej torby.

– To tradycyjny aparat, na klisze. Ale nie mamy ciemni. I nie wiem, gdzie jest najbliższa w miarę sensowna. Nie chcę masakrować zdjęć w pierwszej lepszej.

– Pan Gerardi ma ciemnię. Chcesz tam wywołać te zdjęcia?

Kiedy biorę torbę do ręki, coś grzechocze w środku. Zaglądam do środka i wyczuwam zapach kremu do rąk mamy. Tęsknota jest tak dojmująca, że muszę zamknąć oczy.

Weź się w garść, Juliet. Na emocje przyjdzie jeszcze czas.

To zajmuje mi dłuższą chwilę. Brandon i Rowan czekają cierpliwie, jak na

przyjaciół przystało.

Wyjmuję aparat i dostrzegam w torbie inne rzeczy mamy. Pomadkę ochronną do ust. Paczkę chusteczek. Skrawek karty pokładowej wystający z bocznej kieszeni. Stary numer „US Weekly”.

Uśmiecham się ze smutkiem. Gdyby w ten sobotni wieczór wszystko potoczyło się inaczej i zobaczyłabym w jej torbie to plotkarskie pismo, na pewno bym ją wyśmiała.

A ona odpowiedziałaby: „Czasami chcę się odprężyć przy głupotach”.

– Chcesz, żebym wywołał te zdjęcia i powiedział ci, co na nich jest? – pyta Brandon łagodnie.

– Nie. – Kręcę głową.

Niezbyt często używała tego aparatu, ale kiedy już to robiła, wychodziły jej przejmujące fotografie. Na wszystkich odciskała swoje piętno. Nadawała im osobiste znaczenie. Nie wierzę, że złapała za aparat, aby sfotografować uciekający samochód, ale jeśli jednak to zrobiła i ktoś ma wywołać te zdjęcia, to muszę być ja. Przytulam aparat do piersi.

– To są jej zdjęcia. Chcę je wywołać sama.

– Jasne. – Brandon siada na krześle.

– Dziękuję – mówię cicho. – Cieszę się, że wpadliście.

Rowan obejmuje mnie od tyłu.

– Od tego są przyjaciele.

Rozdział trzydziesty szósty

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: wtorek, 8 października, 22:31:57

Temat: Przyjaciele

Wszystko w porządku. Fałszywy alarm.

Rozmawiałeś z mamą?

Fałszywy alarm? Co to, do cholery, znaczy?

Przy jej loginie pali się zielona kropka.

M: O co chodzi z tym fałszywym alarmem?

CD: O to, że Declan Murphy nie zrobił tego, o co go podejrzewałam.

Muszę zaangażować wszystkie – naprawdę wszystkie – siły, żeby powstrzymać się przed odpisaniem jej: JULIET TO JA POWIEDZ MI WSZYSTKO PROSZĘ TAK BARDZO SIĘ MARTWIŁEM.

Palce mi drżą, kiedy do niej piszę.

M: A co takiego, Twoim zdaniem, zrobił?

CD: Upił się i rozbił samochód tego samego wieczoru, kiedy zginęła moja mama. Bałam się, że ma coś wspólnego z jej śmiercią.

M: A nie ma?

CD: Nie.

Ta dziewczyna mnie dobija.

M: Skąd wiesz?

CD: Chłopak mojej najlepszej przyjaciółki był na stażu w redakcji. Wciąż ma dostęp do policyjnej bazy danych. Przyjrzał się obydwu wypadkom. Nie zgadzają się godziny. Mama zginęła, zanim Declan w ogóle wszedł do samochodu.

Ach tak.

Nie wiem, co czuję, ale to na pewno nie jest ulga. Ani tym bardziej triumf. Nie zabiłem jej matki, ale nic się nie wyjaśniło. Wciąż nie wyznałem jej, kim jestem – a teraz już na to za późno.

Czuję, że powinienem ją przeprosić, chociaż nie wiem jak. Ani dlaczego.

Pojawia się kolejna wiadomość.

CD: Tak czy owak, okazało się, że to przypadkowa zbieżność dat.

M: A więc ich ścieżki jednak się nie przecięły.

CD: Nie.

M: I jak się z tym czujesz?

CD: Jeszcze nie wiem.

M: Co mogę zrobić?

CD: Rozmawiaj ze mną. Oczywiście, jeśli masz ochotę.

Mam wrażenie, że słyszę jej głos. Wciąż widzę jej przerażony wzrok, gdy

w stołówce dopasowała do siebie daty wypadków. Mam ochotę do niej zadzwonić. Uspokoić ją. Jest najbardziej wybuchową dziewczyną, jaką znam, ale chcę siedzieć z nią w ciemności, trzymać ją za rękę i zapewniać, że nie jest sama.

M: Czy mam ochotę? Mógłbym gadać z Tobą w nieskończoność.

Tak długo nie odpowiada, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zasnęła.

M: Puk, puk.

CD: Przez Ciebie płakałam.

M: Większość ludzi odpowiada: „Kto tam?”.

CD: Teraz z kolei mnie rozśmieszyłeś. Kto tam?

M: Nie mam przygotowanego żadnego dowcipu. Dlaczego przeze mnie płakałaś?

CD: Martwiłam się, że okażesz się nim i będę musiała przestać się do Ciebie odzywać.

Zamieram i czytam to zdanie kilka razy.

Martwiłam się, że okażesz się nim.

Nie mogę oddychać. Nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Czuję się tak, jakby właśnie przeszywało mnie tysiąc ostrzy.

CD: Przepraszam. Mam mętlik w głowie. Brandon – ten chłopak mojej przyjaciółki – uważa, że mama mogła zrobić zdjęcie samochodu, który spowodował wypadek, dlatego przejrzelismy jej karty pamięci. Jak widzisz, mam za sobą wieczór pełen wrażeń.

„Mnie to mówisz? – myślę. – Siedzę tutaj, a serce mi krwawi”.

Dobrze przynajmniej, że ze mną rozmawia. Zmuszam zdrętwiałe palce do pisania.

M: Znaleźliście coś?

CD: Na kartach nie. Ale jutro w szkole wywołam film z jej aparatu.

M: Myślisz, że coś na nim może być?

CD: Boję się myśleć, że tak.

Ledwo jestem w stanie przyswoić jej słowa. Mam ochotę napisać, że walczę z sennością i pogadamy jutro, ale przecież dopiero co zadeklarowałem, że mógłbym z nią rozmawiać w nieskończoność.

Może jednak powinienem na takie okazje mieć przygotowane jakieś dowcipy.

CD: Rozmawiałeś ze swoją mamą?

Jezu, kolejna sprawa, o której nie mam ochoty gadać.

M: Nie.

CD: Dlaczego?

M: Dlatego że wróciłem późno do domu i ojczym strzegł dostępu do jej

sypialni.

CD: Nie mogłeś mu powiedzieć, że chcesz z nią porozmawiać?

To pytanie jest dość niewinne, jednak nie daje mi spokoju myśl, że nie odzywałaby się do prawdziwego mnie, i przez to jestem wyczulony na każde jej słowo. To jak rozmowa z Alanem. Wciąż szukam podtekstów. Wkurzam się, bo wygląda na to, że Juliet akceptuje tylko połowę mojego życia, podczas gdy druga połowa – ta prawdziwa – jest dla niej zbyt popieprzona.

Wiem, przesadzam.

Zrobiłem to. Zrobiłem.

Zniszczyłem wszystko. To moja wina.

Jeszcze jeden ciężar do kolekcji. Chętnie bym go zrzucił z barków, ale jest zbyt ciężki. Nie mogę.

Uderzam palcami w wyświetlacz telefonu.

M: To skomplikowane.

CD: Tylko na tyle, na ile sam to komplikujesz.

M: Chyba mam dar do komplikowania wszystkiego tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Po tych słowach wychodzę z apki.

I kasuję ją.

A potem zwijam się w kłębek i robię wszystko, żeby nie krzyczeć.

Muszę przestać oddychać. To taka sztuczka. Siedzę w całkowitej ciszy, dopóki organizm nie zaczyna dopominać się tlenu.

Dosyć, trzeba się pozbierać. W tym pokoju jest zbyt duszno, muszę stąd wyjść, a istnieje tylko jedno miejsce, do którego mogę iść bez narażania się na to, że Alan wezwie policję.

Wysłałem kolejnego esemesa do Reva. Poprzednie dwanaście zignorował. W sumie trudno się dziwić, skoro we wszystkich na różne sposoby starałem się mu udowodnić, jakim jest dupkiem. Ta wiadomość jest inna.

DM: Proszę Cię, Rev, odezwiąj się. Potrzebuję Twojej pomocy.

Natychmiast odpowiada.

RF: Słucham.

DM: Mogę wpaść?

RF: Jak zawsze.

Kiedy wchodzę przez tylne drzwi, Rev siedzi w kuchni i zajada się płatkami Lucky Charms. Zwykle sięgają po nie w nocy amatorzy trawki, ale mój przyjaciel nigdy nie zażywał niedozwolonych substancji. Kiedy byliśmy młodszy i częściej u mnie bywał, moja mama trzymała specjalnie dla niego paczkę tych płatków w szafce w kuchni.

Nigdy nie jadał płatków na śniadanie. Zawsze traktował je jak grzeszną przyjemność. Może pozostało mu to z dzieciństwa, z czasów, gdy ojciec nie pozwalał mu jeść słodczy. A może po prostu ma do nich słabość. Nigdy go o to nie pytałem.

Kiedy wchodzę do kuchni, przysuwa do mnie paczkę płatków, ale na mnie nie patrzy. Wciąż ma na sobie tę samą bluzę z kapturem, w której był w szkole, co jest dość niezwykle jak na tę porę. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek ją ściąga, czy może po prostu wkłada ją za każdym razem, gdy wie, że przyjdę.

Tak czy owak, muszę coś zrobić. Nie cierpię tego uczucia. Nie wiem, czy jestem zły, czy skruszony.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada.

Wciąż na mnie nie patrzy.

– Ciągle jesteś wkurzony?

– Może. Co się stało?

– Juliet powiedziała, że cieszy się, że ja to nie ja.

Unosi łyżkę płatków, wciąż omijając mnie wzrokiem.

– A mógłbyś wyrażać się bardziej po ludzku?

– Powiedziała, że cieszy się, że nie jestem Declanem Murphym.

– Chyba muszę mieć więcej informacji. – Kiwa głową na telefon, który trzymam w dłoni. – Napisała ci to w mailu? Przeczytaj.

– Nie mogę. Skasowałem apkę.

Parska śmiechem, a potem przechyla miskę i wypija z niej mleko.

– To ją ponownie zainstaluj. Muszę zobaczyć, co napisała.

– Przecież właśnie ci powiedziałem.

– Nie, ty przedstawiłeś mi swoją wersję jej słów. Chcę zobaczyć, co naprawdę napisała.

– O co ci chodzi?

Rev wstawia miskę do zlewu i wreszcie na mnie patrzy.

– Zainstalujesz ponownie tę apkę czy nie?

Żałuję, że tu przyszedłem.

– Nie.

– Spoko. W takim razie dobranoc.

Wcisną wyłącznik światła przy drzwiach i wychodzi, pogrążając mnie w całkowitych ciemnościach.

Ruszam za nim, szepejąc gorączkowo, bo wiem, że Geoff i Kristin wściekną się, jeśli obudzimy małą.

– O co ci, kurde, chodzi? Jeśli masz coś do mnie, powiedz mi to.

Nie zatrzymuje się.

– Powiedziałem.

– Możesz stanąć i pogadać ze mną?

Nie robi tego.

– Rev!

Za chwilę zniknie w swoim pokoju i zatrzaśnie mi drzwi przed nosem.

– Możesz przestać? – Bez zastanowienia podbiegam do niego i chwytam go za ramię.

Odwraca się, wyszarpuje ramię i popycha mnie tak mocno, że uderzam w ścianę. Zdjęcia w ramkach brzęczą i zaczynają się kołysać.

Patrzy na mnie dzikim wzrokiem, ale po chwili mruga powiekami i demony odchodzą. Jest przestraszony, pełen żalu i wstydu.

– Przepraszam. – Unoszę ręce. Jutro będę miał siniaka, ale wiem, że to moja wina. – Przepraszam.

Za ścianą kwili Babydoll. Obaj zamieramy w bezruchu. Po chwili mała się uspokaja.

Drzwi sypialni rodziców Reva się otwierają i na korytarz wychodzi Geoff.

– Co wy wyprawiacie, chłopcy? – szepcze.

– Nic takiego – odpowiada Rev. – Wracaj do łóżka. Niechcący trzasnęliśmy drzwiami. – Spogląda na mnie z żalem i dodaje ironicznym tonem: – Zapraszam do pokoju, Dec.

W sypialni siada ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, pozostawiając mi krzesło przy biurku. Siadam na nim okrakiem i kładę ramiona na oparciu.

– Przepraszam – mówi cicho. – Nie chciałem.

– To moja wina.

– Nie. – Patrzy mi w oczy. – Nie twoja.

– Niepotrzebnie złapałem cię za rękę.

Wzrusza ramionami, ale napięcie nie ustępuje. Obgryza paznokcieć.

Marszczę brwi i przysuwam krzesło do łóżka, po czym opieram głowę na rękach.

– O co chodzi, Rev?

– Nie mogę przestać o nim myśleć.

O nim, czyli o ojcu.

– Coś się stało?

– Nie.

– Chcesz o tym pogadać?

W końcu odrywa wzrok od kołdry.

– Nie. Czy twoim zdaniem zgrywam męczennika?

– Nie. A ty naprawdę myślisz, że ja tak?

– Czasami.

Auć.

– Chyba pierwszy raz słyszałem, jak użyłeś słowa „pieprzony”.

Krzywi się.

– Powiniennem się opanować.

– Moim zdaniem miałeś prawo do wybuchu.

– Nie. Czy możesz wreszcie ponownie zainstalować tę głupią apkę, żebyśmy mogli pogadać o tym, po co tu przyszedłeś?

– Naprawdę nie masz prawa stracić panowania nad sobą?

– Dec... – wzdycha ze zboloną miną.

– Serio, Rev, jesteś najspokojniejszą osobą, jaką znam. Gdybyś nie opieprzył mnie w tej stołówce, ludzie mogliby zacząć podejrzewać, że nie jesteś człowiekiem. W sumie nawet już się o ciebie martwiłem.

Wbrew moim intencjom nie uśmiecha się. Milczy, pogrążony we własnych myślach.

Uświadamiam sobie, że gdyby organizowano konkurs na najbardziej samolubnego przyjaciela, miałbym spore szanse. Przecież nawet teraz wdarłem się do jego pokoju niemal siłą. I dlaczego? Dlatego że boję się powiedzieć jakiejś lasce, kim jestem? Ciuś, ciuś, ciuś, Declan.

Przesuwam krzesło o kilka centymetrów do tyłu.

– Mam sobie iść?

Unosi wzrok.

– Nie.

– Dobra.

– Ale chcę, żebyś ponownie zainstalował tę apkę.

– Rev...

– Mówię poważnie. Muszę się... – Przerywa i macha ręką. – Oderwać od tego wszystkiego.

Waham się chwilę, ale patrzy na mnie wyczekująco i w końcu kapituluję.

– Niech ci będzie.

Ponownie instaluję apkę.

Mam jedną nieprzeczytaną wiadomość.

Nie mogę na razie jej otworzyć. Ale wyobrażam sobie, co napisała. Zielona kropka przy jej loginie się nie pali. Rzucam Revowi komórkę.

– Przeczytaj chat z dzisiaj.

Torturuje mnie, czytając z prędkością człowieka, który każde słowo musi sprawdzić w słowniku.

Po kilku minutach mam ochotę wyrwać mu telefon.

– Nie wytrzymam tego dłużej, Rev.

– Musiałem przeczytać też maile, żeby zorientować się w kontekście. – Wzdycha i rzuca mi komórkę. – W każdym razie zgadzam się z tym, że masz dar komplikowania wszystkiego tak bardzo, jak to tylko możliwe.

– Myślisz, że mnie nienawidzi?

– Którego ciebie?
– Wszystko jedno – odpowiadam z kwaśną miną.
– Nie. – Milknie na chwilę. – Myślę, że musisz jej powiedzieć.
– Przecież czytałeś jej słowa. Napisała, że nie chce się do mnie odzywać.
Kręci głową.
– Ona napisała, że martwiła się, że będzie musiała przestać się do ciebie odzywać.
– Nieprawda, napisała, że...
– Właśnie to napisała, Dec. – Patrzy na mnie ze złością. – Właśnie to. Powtarzam słowo w słowo.
– Napisała, że cieszy się, że nie jestem Declanem Murphym.
– Ale jesteś Declanem Murphym! Nie jesteś dwiema osobami. – Zaciska pięści i oddycha szybko.
Wkładam telefon do kieszeni i przypatruję się mu.
– Co się z tobą dzieje, Rev?
Trze powieki.
– Nie wiem. Po prostu jestem zmęczony.
Przypominam sobie, jak siedział ze mną w szpitalu, nie mówiąc ani słowa. Jego milczenie pomagało mi bardziej niż setki słów.
Nie wiem, jak mógłbym mu się odwdziaczyć. Może jednak coś się znajdzie. Wyciągam komórkę, przez chwilę przeszukuję internet, a potem kładę telefon przy nim na łóżku.
Nie sięga po niego.
– Przysłała coś jeszcze? – pyta.
– Nie. To wiersz, o którym pisałem na angielskim. Przeczytaj.
Patrzy na mnie z taką samą miną, jaką bym zrobił, gdyby to on zaproponował mi przeczytanie jakiegoś wiersza.
– Co?
– Po prostu przeczytaj. Myślę, że ci się spodoba.
Ponieważ to Rev, nie wyśmiewa mnie, tylko podnosi komórkę i czyta.
Trochę się rozgadza.
– Miałaś rację. Podoba mi się – stwierdza w końcu. Przysuwa telefon z powrotem do mnie i przez chwilę mam wrażenie, że się rozpłacze. Dodaje łamiącym się głosem: – Ale moja głowa nie spływa krwią i nie trzymam jej prosto. Przynajmniej nie teraz.
Mam wrażenie, że jeszcze nie skończył, więc czekam.
– Ostatnio – kontynuuje po chwili – czuję się tak, jakby wszystko było jakimś sprawdzianem. – Przelyka ślinę. – Sprawdzianem, który ciągle oblewam.
– Co masz na myśli?
– Na przykład to, że o mało cię nie uderzyłem.

– Zasłużyłem.

Oczy błyszczą mu z gniewu.

– Wcale nie!

– Ciii... – Zerkam na drzwi. – Dobrze, niech ci będzie, że nie. Do czego zmierzasz?

– Do tego, że o mało cię nie uderzyłem – powtarza to, jakby było nie wiem jak ważne.

– No i?

– Co by było, gdybym to zrobił?

– Pewnie większość naszych kolegów ze szkoły by ci pogratulowała.

Przeszywa mnie gniewnym spojrzeniem.

– Nie żartuj.

– Martwisz się, że o mało mi nie przyłożyłeś? Jakoś bym to przeboleał.

– A jeśli nie mógłbym przestać?

Patrzę na niego ze zdziwieniem. To pytanie jest tak absurdalne w kontekście tego, co o nim wiem, że o mało nie wybucham śmiechem.

Jemu jednak wcale nie jest do śmiechu.

Ponownie przysuwam krzesło do łóżka. Rev mówi bardzo cicho, więc dostosowuję się do jego głosu.

– Martwisz się, że gdybyś zaczął mnie bić, nie mógłbyś przestać?

– Ciebie czy kogoś innego. – Wciąga powietrze w płuca. – Kiedy poszliśmy na bal, każdy na moim miejscu wyluzowałby się i próbował się dobrze bawić. A ja się cały czas bałem, że w pewnej chwili stracę kontrolę nad sobą. I tak jest cały czas. Nie... Nie wiem, kiedy to się zacznie. I boję się, że kiedy to się stanie, nie będę mógł tego zatrzymać.

Rev nigdy jeszcze ze mną tak nie rozmawiał. Ilekroć mówił o swoim ojcu albo o tym, przez co przeszedł w dzieciństwie, zawsze podkreślał, że nie dopuści, by ktoś znowu go skrzywdził. Nigdy nie martwił się, że to on może kogoś skrzywdzić.

Mój przyjaciel jest miły i łagodny. Geoff i Kristin otwierają swój dom i serca przed dziećmi z różnych środowisk – Rev robi to samo. Widzę to każdego dnia. Zazdroszczę mu tego.

– Nie jesteś swoim ojcem – mówię mu.

– A ty nie jesteś swoim.

Nawet teraz, przechodząc własny kryzys, Rev wie dokładnie, co powinienem usłyszeć. To dlatego jest idealnym przyjacielem. I dlatego nigdy nie przyjdzie mi do głowy, że mógłby kogoś skrzywdzić.

– Rozmawiałeś o tym z Geoffem i Kristin?

– Nie. – Pociera dłońmi twarz. Oczy mu wilgotnieją. – Boję się, że nie pozwolą mi tu zostać, jeśli coś się stanie. Nie chcę zrobić krzywdy któremuś

z dzieciaków...

– Rev, ty nikomu nie zrobisz krzywdy. A oni są twoimi rodzicami. Kochają cię. Nic złego się nie stanie. Przysięgam. Nic.

Milczy przez chwilę, zastanawiając się nad moimi słowami.

– A jeśli jednak się stanie?

Wiem, że na razie nie wybije mu tej myśli z głowy. Wkradła się tam i wygodnie rozgościła. Klepię go po ręce.

– Wtedy wyciągnę cię z kłopotów. Tak jak ty wyciągnąłbyś z nich mnie.

Chyba udało mi się do niego dotrzeć. Patrzy mi w oczy, po czym chwytając mnie za dłoń i mocno ją ściska.

– Umowa stoi.

Rozdział trzydziesty siódmy

Od: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Do: Mrok <mrok@freemail.com>

Data: wtorek, 8 października, 23:19:27

Temat: Co się stało?

Przepraszam, jeśli Cię wkurzyłam. Nie chciałam.

Proszę, nie przestawaj ze mną rozmawiać.

Poranny chłód przenika mnie na wskroś, kiedy przechodzę przez podwórko Reva i wchodzę na swoje. Słońce wygląda nieśmiało spomiędzy domów, ale na trawie skrzy się szron, pierwsza zapowiedź zbliżającej się zimy.

Nie ma jeszcze szóstej, dlatego po cichu przekręcam klucz w zamku i powolutku otwieram drzwi, nie chcąc, żeby za głośno skrzypiały.

Niepotrzebnie zawracam sobie tym głowę. Alan stoi na środku kuchni z kubkiem kawy w dłoni.

Na mój widok unosi brwi, po czym patrzy wymownie na zegar wiszący nad zlewem.

– Gdzie byłeś?

– Zasiedziałem się u Reva.

– Byłeś tam całą noc?

– Tak. – Ta rozmowa nie zmierza w dobrym kierunku, dlatego odwracam się i podchodzę do schodów.

– Mówiłeś komuś, że wychodzisz? – woła Alan, idąc za mną.

Nie zatrzymuję się. On również nie.

– Declan! Stój, ale to już. Mamy do pogadania.

Chwytam się poręczy i podciągam na schody. I zaraz się zatrzymuję, bo z góry właśnie schodzi mama.

Jestem w pułapce.

– Declanie... – szepcze mama.

Gdy dowiedziałem się o jej ciąży, wyobrażałem sobie, że przez noc jej brzuch znacząco się powiększy i będzie musiała zacząć nosić ogromne, przypominające namiot bluzki z koronką i długie spódnice. Tymczasem tego ranka ma na sobie džinsy i różowy T-shirt. Włosy związała w kucyk i widać, że dopiero co wyszła spod prysznic.

Tak mocno ściskam poręcz, że zaczyna trzeszczeć.

Nie wiem, co powiedzieć. Przelykam ślinę. Jestem rozdarty między pragnieniem przeproszenia jej a usłyszenia przeprosin.

Przyglądam się jej uważnie. Nigdy nie była drobna, ale nie można też było nazwać jej pulchną. Zawsze była po prostu mamuszkowata. Koszulka jest luźna, ale bez przesady. Gdyby nie kłótnia z Alanem w szpitalu dwie noce temu, nigdy bym

nie uwierzył, że jest w ciąży.

Kiedy jednak tak stoję i na nią patrzę, dostrzegam, że jest nieco bledsza niż zwykle. A dżinsy nie są tak opięte jak zazwyczaj, wyglądają na nieco luźniejsze.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Kiwa głową. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale chyba w ostatniej chwili zmienia zdanie.

– No co? – pytam, a ona ledwie zauważalnie się cofa.

Robi mi się wstyd. Przypominam sobie, jak Juliet ze strachu przede mną przyciskała się do drzwi mojego samochodu. „Wciąż dążysz do konfrontacji” – powiedziała.

– Nie było go całą noc – mówi Alan. – Jeśli na to nie zareagujesz, Abby, ja to zrobię.

– Tak? – Odwracam się do niego. – I niby co takiego zamierzasz zrobić?

– Na przykład mogę ci zabrać samochód, dopóki nie nauczysz się trochę odpowiedzialności.

Musiałby mnie pozbawić przytomności, żeby zabrać mi kluczyki. Staram się, żeby mój głos był spokojny, jakbym w ogóle nie brał pod uwagę takiej możliwości.

– Nie zabierzesz mi samochodu.

Krzyżuje ręce na piersiach.

– A może pozbawimy cię telefonu i w ogóle zabronimy wychodzić?

Uderzam pięścią w ścianę. Żyrandol na suficie cicho dzwoni.

– Nie zrobiłem nic złego!

Unosi brwi.

– Twoim zdaniem znikanie na całą noc to nic złego?

Mówi to takim tonem, jakbym wstrzykiwał sobie heroinę i uprawiał hazard w kasynach w South Baltimore.

– Byłem u Reva! Zapytaj Geoffa i Kristin!

– Nie możesz wychodzić stąd, ot tak, nikomu nic nie mówiąc...

Prycham i mijam na schodach mamę.

– Zupełnie jakby was to obchodziło.

Mama kładzie mi rękę na ramieniu.

– Zaczekaj – prosi. – Alan nie zabierze ci samochodu.

– Dlaczego zawsze to robisz? – mówi Alan ostrym głosem. – Ciągle mu na wszystko pozwalasz, Abby. Musi wreszcie dostać nauczkę.

Ignoruję go. Jej dotyk pozbawia mnie sił. Zatrzymuję się i patrzę jej w oczy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pytam ochryplym głosem.

Otwiera trochę szerzej oczy, ale nie odpowiada.

– A jak myślisz? – rzuca Alan zmęczonym głosem. – Chyba nie ma co się dziwić, że po tym, co zrobiłaś podczas wesela, nie chcieliśmy ci mówić o dziecku?

Odsuwam się, wyszarpując ramię z uścisku matki. Jestem tak wściekły, że

brakuje mi tchu. Aż do tej chwili miałem nadzieję, że wiadomość o dziecku była dla nich takim samym zaskoczeniem jak dla mnie, ale słowa Alana dowodzą, że o wszystkim od dawna wiedzieli i celowo utrzymywali to w tajemnicy.

Ojczym wchodzi na schody, a ja uświadamiam sobie, że robi to, bo boi się, że zepchnę z nich mamę.

On naprawdę myśli, że jestem zagrożeniem dla własnej matki. Dla dziecka. Dla ich nowej rodziny.

Kogo chcę oszukać? Naprawdę nim jestem.

– Tej nocy, kiedy wymiotowałaś... – mówię do niej. – O wszystkim wiedziałaś, prawda?

Nic nie mówi, ale jej milczenie to dla mnie wystarczająca odpowiedź.

– Chcesz zastąpić tym nowym dzieckiem Kerry? – pytam.

Krzywi się, jakbym uderzył ją w brzuch. Oczy błyszczą jej od łez.

W tej chwili nienawidzę siebie.

– Może nie powinniście na tym poprzestawać – mówię i znów ruszam w górę schodów. Tym razem mnie nie zatrzymuje. – Może następny będzie chłopiec i mnie też będziecie mogli zastąpić.

Mama zaczyna szlochać.

Alan przeklina, po czym dodaje:

– A żebyś wiedział. Już nie możemy się doczekać.

Te słowa są tak złośliwe, że aż mnie zatyka, nie mogę oddychać. Schodzę po schodach, jakbym poruszał się pod wodą. Mam wielką ochotę mu przywalić, ale powściągam emocje.

Mama nic nie mówi. Gdybyśmy zaczęli się bić, wybuchnęłaby płaczem, wylałaby rękę i błagała nas, żebyśmy przestali, ale nie mam pojęcia, po czyjej stronie by stanęła.

To nieprawda. Dobrze wiem, po czyjej. Udowodniła to cztery lata temu, gdy pozwałała mi prowadzić. A także w maju tego roku, kiedy wyszła za tego gościa.

Myślę o swojej korespondencji z Juliet, o tym, że dzięki niej poczułem, że moje życie jest coś warte, że mam coś do zaoferowania. Myślę też o swoich rozmowach z Frankiem i panią Hillard, którzy na kilka minut sprawili, że poczułem się kimś więcej niż nieudacznikiem z kartoteką.

Jednak prawdziwe życie toczy się tu i teraz i prawda jest taka, że ludzie, którzy powinni mnie wspierać, bez przerwy wdeptują mnie w ziemię.

Płuca mam tak zaciśnięte, że chyba nie jestem w stanie dłużej oddychać.

– Daj mi kluczyki – mówi Alan.

– Nie zrobiłem nic złego – powtarzam.

– Nie przepuścisz żadnej okazji, żeby czegoś nie spieprzyć! – wrzeszczy. – Myślisz tylko o sobie, a kiedy ktoś robi coś, co ci się nie podoba, starasz się to zniszczyć! Niby czemu uważasz, że powinniśmy ci powiedzieć?

Zamieram.

Mama przepycha się obok mnie. Kładzie rękę na jego ramieniu.

– Przestań, Alan. Proszę cię, przestań – mówi zmęczonym głosem.

Szłocha, nie patrząc na mnie.

Wygląda na to, że łązy skutkują. Alan przeklina pod nosem, po czym odwraca się i wybiega do kuchni.

Całe ciało mam odrętwiałe. Zastygam w bezruchu. Nie mogę się ruszyć.

Mama odwraca się i patrzy na mnie. Jestem od niej wyższy, a teraz, gdy stoję dwa stopnie wyżej, wydaje mi się malutka, wręcz mikroskopijna.

Zrobiłbym wszystko, żeby zmniejszyć dystans między nami. Żeby coś do mnie powiedziała. Mam ochotę rzucić jej pod nogi kluczyki i komórkę. Powiedzieć, żeby je wzięła, że ich nie potrzebuję, że tak naprawdę potrzebuję jej.

Ale nie dostaję szansy. Odwraca się i idzie za Alanem do kuchni.

Nogi się pode mną uginają.

– Przepraszam! – krzyczę łamiącym się głosem. – Przepraszam, słyszysz? Przepraszam, że go nie podwiozłem. Przepraszam, że pozwoliłem jechać z nim Kerry. Przepraszam.

Nie odpowiada.

Ani nie wraca.

Zostawiają mnie na tych schodach samego.

Rozdział trzydziesty ósmy

Od: Mrok <mrok@freemail.com>

Do: Cmentarna Dziewczyna <cmentarnadziewczyna@freemail.com>

Data: środa, 9 października, 07:22:04

Temat: Rozmowy

Nie wiem, czy chcę to ciągnąć. Nic o mnie nie wiesz. Nie znasz prawdziwego mnie. Wiesz tylko to, czym się z Tobą podzieliłem, a to nie jest cała historia. To tylko wycinek, tak jak na Twoich fotografiach. Oceniłaś mnie na podstawie tego drobnego fragmentu, który Ci udostępniłem. Tak chyba nie powinno być.

Nie jestem dobrym człowiekiem. Nie umiem niczego budować, potrafię tylko niszczyć.

Nie potrzebujesz mnie.

Zasługujesz na kogoś lepszego.

Pospiesznie zamykam mail i przechodzę do czatu. Żadnej zielonej kropki – jego login wyparował. *Co?*

Szybko piszę wiadomość i wysyłam do niego.

Odpowiedź, którą natychmiast otrzymuję, nie jest tym, czego się spodziewałam.

„Ten użytkownik nie ma konta na Freemailu. Proszę spróbować jeszcze raz”.
Co?

Serce podchodzi mi do gardła. Nie mogłem tego zrobić. Po prostu nie mogłem.

Nie ma sposobu, żebym go znalazła.

Jak ostatnia idiotka wysyłam mail jeszcze raz.

Jak ostatnia idiotka spodziewam się innej odpowiedzi.

„Ten użytkownik nie ma konta na Freemailu. Proszę spróbować jeszcze raz”.

– Juliet? Wszystko w porządku?

Pan Gerardi patrzy na mnie. Płócienna torba z aparatem leży obok mnie, ja jednak gapię się w telefon, próbując sobie przypomnieć, jak bije moje serce.

– Tak. – Odchrząkuję. – Tak. Ja... – Przełykam i zmuszam się do mówienia.

– Sama nie wiem co.

Klucze brzęczą w jego dłoni. Otwiera drzwi.

– Chcesz wejść? Przyszłaś popracować nad zdjęciami do książki?

– Nie... Ja... Nie. – Muszę się pozbierać. Wkładam komórkę do kieszeni. –

Chciałam skorzystać z ciemni.

Patrzy na zegar i się krzywi.

– Za dziesięć minut mam uczennicę.

– Wiem, jak to się robi.

– Wiem. – Wzdycha. – Ale nie wolno mi zostawiać uczniów samych

z chemikaliami. – Patrzy na moją torbę. – Może mi dasz ten aparat? Wywołam zdjęcia, przyjdiesz tylko po odbitki.

Cofam się o krok, jakbym się bała, że mi wyrwie tę torbę.

– Nie, muszę to zrobić sama.

– No dobrze. – Waha się przez chwilę, a jego rysy łagodnieją. – To aparat twojej mamy?

– Tak.

– Chcesz zostawić u mnie tę torbę? Zamknę ją razem ze swoim sprzętem.

Przyciskam ją do piersi. Nie rozstawałam się z nią przez cały ranek. Wciąż nie mogę się nacieszyć zapachem płótna i kremu do rąk. To tak, jakbym miała ze sobą jakąś cząstkę mamy.

Kręcę głową.

– Nie – odpowiadam ochryplym głosem. – Dziękuję. Może przyjdę w czasie przerwy na lunch?

Krzywi się.

– Mam zebranie. Będę wolny dopiero po ostatnim dzwonku. Możesz przyjść wtedy?

Cały dzień. Będę musiała czekać cały dzień. Nie byłam na to gotowa.

Rozsądek podpowiada mi, że jeśli czekałam cztery miesiące, kolejne sześć godzin mnie nie zbawi. Kiwam głową.

– Tak czy owak, wejdź na chwilę. – Pan Gerardi włącza światło. – Zrobiłem kilka odbitek zdjęcia, które trafi na okładkę. Chciałbym ci je pokazać.

Przed sobą mam odbitkę formatu A4 na błyszczącym papierze. Nauczyciel przyciął górę i dół zdjęcia, tak żeby pasowało na okładkę, ale to jedyne zmiany.

– Wiem, że pewnie będziesz chciała trochę je podretuszować – mówi – ale szczerze mówiąc, ja bym za wiele nie zmieniał. Musiałem je wydrukować, żeby pokazać zastępcy dyrektora.

Wpatruję się w zdjęcie. Ma rację – nie wymaga wielu zmian. Niebo jest jaskrawobłękitne, z nielicznymi chmurami. Promienie słońca padają z lewej. Declan i Rev są na tyle widoczni, że można dostrzec ich miny, chociaż ich ubrania są pogrążone w półmroku. Cheerleaderki po drugiej stronie fotografii są kontrastowo odmienne, czerwono-białe, z rozwianymi włosami i spódniczkami. Świetna fotka.

Chciałabym poczuć dumę, ale w porównaniu z przerażającymi fotografiami, które ja, Rowan i Brandon oglądaliśmy wczoraj, ta wydaje mi się bezwartościowa.

Pan Gerardi przypatruje mi się badawczo.

– Coś nie tak?

– Nie. – Oddaję mu odbitkę.

– Możesz ją zatrzymać. Zrobiłem kilka.

– Dobrze. – Nie wiem, czy tego naprawdę chcę, ale zwijam zdjęcie w rulonik

i wkładam do bocznej kieszeni plecaka. Jestem dziś strasznie skołowana. Czekam, aż świat wreszcie przestanie tak gwałtownie wirować.

Rozlega się pukanie i w drzwiach staje jakaś nieznana mi dziewczyna. To pewnie ta uczennica, o której wspominał pan Gerardi. Wychodzę z klasy.

W korytarzu znów wyjmuję z kieszeni komórkę. Okazuje się, że mój kolejny mail również wrócił. Dlaczego on to zrobił? Co się stało? Co się zmieniło?

Przeglądam nasze rozmowy.

Potem robię to drugi raz.

Uświadamiam sobie, że nie odpowiedział na moje pytanie.

Muszę odnaleźć Declana Murphy'ego.

Nie mamy razem żadnych zajęć, więc udaje mi się go dopaść dopiero podczas przerwy na lunch. Siedzi na końcu stołówki przy tym samym stole, przy którym siedział wczoraj, a Rev ma przed sobą niemal identyczny zestaw plastikowych pojemników.

Po wczorajszych wydarzeniach bezczelna Juliet gdzieś zniknęła. Snuję się wokół stołu niczym nieśmiała fanka.

To Rev mnie pierwszy zauważa. Dzisiaj ma na sobie bluzę w ciemnordzawym odcieniu, a kaptur jest większy niż zwykle, zasłania niemal całą twarz chłopaka.

– Cześć – mówi.

Declan zerka na mnie tylko przelotnie, po czym wbija widelec w kawałek ogórka.

– Przyszłaś, żeby znowu na mnie nawrzeszczyć?

Przełykam ślinę. Nie spodziewałam się takiej reakcji. W sumie nie wiem czemu – przecież ma rację. Przesadziłam wczoraj. Mimo to z jakiegoś powodu sądziłam, że będę mogła podejść, a on powie: „Cześć. Rozgryzłaś mnie. Przepraszam, że skasowałem swoje tajemne konto e-mailowe”.

Tymczasem on wbija zęby w ogórka i przeszywa mnie gniewnym wzrokiem.

– Jak na razie uznałaś mnie za pijaka i mordercę. Masz jakieś nowe zarzuty?

Rev patrzy na niego, ale nic nie mówi. Trudno powiedzieć, czy wciąż są pokłóceni.

Rączka torby mamy wrzyna mi się w spocone palce.

– Nie twierdziłam, że jesteś mordercą.

– Ale prawie.

Ta rozmowa w ogóle nie przebiega tak, jak się spodziewałam.

– Mógłbyś przestać zachowywać się jak palant i porozmawiać ze mną?

– Niby czemu? – Wstaje. – O czym chcesz rozmawiać, Juliet?

Wygląda tak drapieżnie. Wrażliwość, którą czasami dostrzegałam, zniknęła

bez śladu. Mam przed sobą takiego Declana Murphy'ego, jakim widzą go wszyscy.

– Czego chcesz? – pyta.

„Chcę wiedzieć, czy jesteś Mrokiem” – myślę.

Ale nie mogę o to zapytać. W sumie nie chcę tego wiedzieć, nie teraz. Nie mogę się obnażyć przed Declanem, zwłaszcza jeśli się mylę.

– Przepraszam – mówię cicho.

Pochyliła się i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Co takiego?

– Powiedziałam: „przepraszam”. – Przyglądam się mu.

Jego oczy są ciemne i przekrwione, jakby nie spał za dobrze tej nocy, a na twarzy ma kilkudniowy zarost. Najwyraźniej tego ranka zapomniał się ogolić. Mam ochotę go dotknąć, położyć dłoń na jego policzku i poczuć ciepło jego ciała. Podchodzę trochę bliżej.

– Przepraszam za to, co powiedziałam.

Nie robi to na nim wrażenia.

– Czego ode mnie chcesz?

– Co?

– Zapytałem: czego ode mnie chcesz? Twój samochód jest na chodzie. Nie potrzebujesz mnie. Co ty w ogóle tu robisz? Kręci cię towarzystwo niegrzecznych chłopców?

– Nie o to mi chodzi.

– A ja myślę, że właśnie o to.

– Dec... – mówi cicho Rev. – Przestań się na niej wyładowywać.

Declan wpatruje się we mnie, ciężko dysząc. Odwzajemniam spojrzenie. Mimo wściekłości i agresji wyraźnie iskrzy między nami. Niewyobrażalnie wprost pragnę, żeby to on okazał się Mrokiem, a jednocześnie strasznie się tego boję. Korci mnie, żeby go dotknąć, zupełnie jakby ten dotyk mógł przynieść rozwiązanie zagadki.

– Proszę – mówię cicho. – Coś ci przyniosłam.

Wyjmuję z plecaka zwiniętą fotografię.

Rozwija ją i nagle dzieli nas błękitne niebo. Stoi nieruchomo ze wzrokiem wbitym w zdjęcie.

Po dłuższej chwili oddaje mi fotografię.

– Jeśli Rev nie ma nic przeciwko temu, ja też się zgadzam.

– A ty masz coś przeciwko temu?

– Skończyłem już jeść. – Bierze plecak i odchodzi.

Ruszam za nim.

– Proszę, zatrzymaj się. Porozmawiaj ze mną. Potrzebuję... potrzebuję... – Głos mi się załamuje, a oczy wypełniają się łzami.

Potrzebuję ciebie, kończę w myślach.

Jednak nie wypowiadam tego głośno. Nie jestem do końca pewna, czy to rzeczywiście jego potrzebuję, czy kogoś innego.

Nie jest zupełnie pozbawiony uczuć. Zatrzymuje się. Odwraca. Patrzy na mnie. Po raz pierwszy tego dnia jego wzrok wydaje się pełen uczuć. Przypominam sobie, że miał taką samą minę, gdy trzymał worek bokserski. „Jesteś dokładnie tak silna, jak myślałem” – powiedział.

W tej chwili oddałabym wszystko za jego dotyk.

On jednak mnie nie dotyka.

– Ja też cię przepraszam – szepcze.

A potem odwraca się i wychodzi ze stołówki, zostawiając mnie samą w tłumie uczniów.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

SKRZYNKA ODBIORCZA:

Brak nowych wiadomości.

Wciąż sobie powtarzam, że nie będę sprawdzać już telefonu, ale i tak bez przerwy to robię. Brak wiadomości od niego sprawia mi wręcz fizyczny ból. Opłakiwałam śmierć matki, to jednak jest coś innego. Rozmyślne usunięcie. Wciąż czytam jego ostatni mail, aż wreszcie umiem go na pamięć.

Nie potrzebujesz mnie.

Właśnie że potrzebuję.

Potrzebuję go właśnie w tej chwili, gdy stoję w ciemni nad pojemnikiem z chemikaliami, w którym moczy się film z aparatu mamy. Dawno już tego nie robiłam i pan Gerardi ciągle nade mną wisi. Zaczęliśmy w całkowitej ciemności od nawinięcia filmu na szpulę, jednak teraz, gdy jest już w koreksie, nauczyciel włącza światło i wlewa wywoływacz.

Serce o mało nie wyskoczy mi z piersi.

– Wiesz, co jest na tym filmie? – pyta pan Gerardi.

Kręcę głową. Nie mówię mu o teorii Brandona, bo boję się, że wstrzyma cały proces i zadzwoni do taty.

Chrząkam i odpowiadam z trudem:

– Pewnie jakieś obrazy.

Pan Gerardi unosi brwi i zamiera z ręką uniesioną nad koreksem.

– Obrazy?

Rumienię się i parskam śmiechem.

– Nie takie jak te nasze. Obrazy z pola walki.

– Ach tak. – Kiwa głową i dalej wlewa chemikalia.

– Ale tak naprawdę może tam być wszystko. Fotografowanie było jej życiem.

– Pamiętam.

Jasne, że pamięta. Spędziłam w jego klasie więcej czasu niż ktokolwiek inny w szkole.

– A co dokładnie może być tutaj? – pyta, nie odrywając wzroku od preparatów.

– Nie wiem.

Milczy, nie patrząc na mnie. Zaczynam mieć poczucie winy. Wiem, że on wie, że wiem, i czeka, aż to przyznam.

– Wczoraj przyszedł do mnie Brandon – mówię cicho. – Ma teorię, że mama mogła zrobić zdjęcie samochodu, który zderzył się z taksówką. Sprawdziliśmy jej karty pamięci, ale...

– Nic na nich nie było?

Kręcę głową.

– Tylko zdjęcia z ostatniej misji.

Prostuje się i patrzy na mnie.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego rano. Nie wiedziałem, że...

– Nie... nie szkodzi. – Wzruszam ramionami i manipuluję przy aparacie leżącym na płóciennej torbie. Zaślepka na obiektyw przetarła się w kilku miejscach od dotyku jej palców. – To tylko niepotwierdzona hipoteza.

– To prawda. Tak czy inaczej, fajnie będzie zobaczyć jej ostatnie zdjęcia.

– Chyba tak. – Przełykam ślinę.

Odzywa się zegar ciemniowy, więc wylewam wywoływacz, a nauczyciel wlewa do koreksu przerywacz. Wyszłam z wprawy, ale to jak jazda na rowerze. Zamykam koreks, a on odwraca go i znów czekamy.

– Myślałaś o powrocie na zajęcia? – pyta cicho.

Wzruszam ramionami i zaczynam sunąć palcami po kuwetach.

– Jak ci się robiło zdjęcia na festynie?

To były tortury. Ale dzisiejszego ranka, kiedy patrzyłam na zdjęcie Declana, Reva i cheerleaderek, przypomniałam sobie, jak bardzo kocham fotografowanie. Tę możliwość utrwalenia na zawsze jednej chwili. Nawet jeśli bohaterowie tego zdjęcia nie zobaczą się nigdy po skończeniu szkoły, to ta chwila zostanie uwieczniona.

– Chyba... dobrze.

Czeka, spodziewając się, że dodam coś jeszcze. Ja jednak milczę. Unosi brwi.

– I...?

– I... nie wiem.

– Brakuje ci tego?

– Czasami.

Kiwa głową, po czym patrzy mi w oczy.

– Świadomość, że dzieliłaś tę pasję z mamą, pewnie jest bolesna?

– Nie. Bolesna jest świadomość, że nigdy jej nie dorównam. Dlatego wszystko to wydaje się daremne. – Zamieram, dotykając palcami kuwety. Trochę mnie poniosło i powiedziałam więcej, niż chciałam. Nawet przed samą sobą nie przyznałam się jeszcze do tego wszystkiego.

On również nieruchomieje i patrzy na mnie.

– Daremne?

Czerwienieję, bo to zabrzmiało tak, jakbym podważała jego dorobek. Nie wiem, jak inaczej to wytłumaczyć.

– Ona swoimi fotografiami zmieniała świat. Ja tego nie umiem. Nie polecę do Syrii i nie będę przedzierać się wśród zbombardowanych budynków. Ledwo radzę sobie z przejazdem przez nasze miasto.

– Juliet, masz dopiero siedemnaście lat. Nie masz się czego wstydzić. Myślę, że gdybyś przeszła się ulicą, nie znalazłabyś ani jednej osoby, która miałaby tyle fizycznej i psychicznej siły, żeby robić takie rzeczy jak twoja mama. A to, że nie robisz ich teraz, nie znaczy jeszcze, że nie będziesz ich robić w ogóle.

Spoglądam na niego, wykręcając nerwowo ręce. Nie wiem, co powiedzieć.

Przestawia buteleczki z preparatami i odwraca się twarzą do mnie.

– Mój brat jest strażakiem. Nie mam pojęcia, jak mu się udaje wchodzić do płonących budynków. On z kolei mówi mi, że nie ma pojęcia, jak mi się udaje stać przez cały dzień przed bandą nastolatków. To, że ktoś nie ryzykuje życia, nie znaczy jeszcze, że to, co robi, jest, jak to mówisz, daremne.

– Nie to miałam na myśli.

– Wiem, że nie chciałaś, żeby tak to zabrzmiało, ale pomyśl, co twoje słowa sugerują. Powiedzmy, że rzucisz fotografię, do czego masz święte prawo. I co wtedy? Jaki zawód musiałabyś wybrać, żeby pozostać wierną wyobrażeniu na temat swojej mamy?

Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam. Myślałam tylko o tym, że nigdy nie będę nią.

– Moja żona również fotografuje – ciągnie tymczasem pan Gerardi. – Robi zdjęcia niemowlaków. Tylko niemowlaków. Twoim zdaniem to daremne?

– Nie. – Waham się przez chwilę. – Ale nie zmienia niczyjego życia.

– Żartujesz sobie? Widziałaś w ogóle kiedyś zdjęcie niemowlaka? Jako rodzic powiem ci, że fotografie dzieci to prawdziwy skarb. Czas mija tak szybko...

Przypominam sobie komputer mamy z moim zdjęciem na tapecie i wciągam gwałtownie powietrze.

– Nie chciałem cię zdenerwować – mówi cicho pan Gerardi.

– Nie zdenerwował mnie pan – zaprzeczam, choć trochę jednak tak.

– Zaczekaj – mówi.

Wychodzi i nie ma go niecałą minutę. Wraca z komórką. Ma na niej zdjęcie kobiety przyciskającej usta do czoła noworodka. Włoski dziecka lśnią niczym aureola.

– Moja żona zrobiła to zdjęcie – mówi.

– Piękne.

– Dziecko zmarło – szepcze – niecałe dwie godziny później. Miało nieuleczalną wadę serca. Rodzice wynajęli moją żonę, wiedząc, że długo się nim nie nacieszą.

– No dobrze – mówię ze ściśniętym gardłem. – Rozumiem.

Wsuwa telefon do kieszeni.

– Słyszałaś o *Ludziach Nowego Jorku*?

Kręcę głową.

– Niejaki Brandon Stanton założył stronę internetową, na której zamieszcza

zdjęcia mieszkańców Nowego Jorku i ich odpowiedzi na pytania. Jakoś tak się dzieje, że ludzie powierzają mu swoje najmroczniejsze tajemnice, dzielą się najbardziej bolesnymi wspomnieniami i pozwalają, żeby je publikował online. Jego zdjęcia oglądają miliony. Miliony, Juliet. Ten człowiek porusza swoimi fotografiami miliony ludzi – a wszystko to dlatego, że pewnego dnia zaczął wędrować po Nowym Jorku, robiąc zdjęcia nieznanym.

– Ale ja nie jestem taka – szepczę.

– Na razie jeszcze nie. Jednak z czasem znajdziesz swoją drogę.

Dzwoni zegar i pan Gerardi odwraca się, żeby wyłączyć światło. Pali się teraz tylko czerwona żarówka. Wyjmuje film i zaczyna go rozwijać.

– Chciałabyś zacząć od końca? Może ostatnie pięć zdjęć?

Serce znów zaczyna mi mocno bić. Nie mogę się pozbierać po tym wszystkim, co mi powiedział.

– Jasne.

Przecina kliszę i unosi pasek z pięcioma ostatnimi klatkami, ale trudno powiedzieć, co na nich jest. Żeby otrzymać odbitkę, musimy położyć pasek na powiększalniku, rzucić obraz na papier, po czym zanurzyć go w chemikaliach.

– Mogę się mylić, ale nie wydaje mi się, żeby na tych zdjęciach był jakiś samochód – mówi cicho. – To raczej osoba.

Mój mózg zaczyna pracować na najwyższych obrotach. Może to sprawca wypadku! Może zdążyła zrobić mu zdjęcie! W następnej chwili uświadamiam sobie, że to raczej nieprawdopodobne, i wzdycham ciężko.

– Chcesz przerwać?

– Nie, już za daleko zaszliśmy.

Po rzuceniu obrazów na papier fotograficzny zanurzamy go w kąpielach, które przygotowałam. Serce podchodzi mi do gardła.

– Wiesz – mówi pan Gerardi – dla niektórych ludzi to, co robiła twoja mama, mogło nie być aż takie odważne.

Patrzę na niego z gniewem.

– Na przykład dla kogo?

– Na przykład dla żołnierzy walczących na wojnach, na których była.

No tak. Poprawiam papier szczypcami, żeby się upewnić, że jest w całości zanurzony. Powoli zaczyna pojawiać się na nim obraz. Wiem, że nie powinnam przyspieszać tego procesu, ale i tak to robię.

– Nie zrozum mnie źle. Nie mam nic do zarzucenia twojej mamie – ciągnie nauczyciel. – Zupełnie nic. Jej zdjęcia są fantastyczne i ważne.

To prawda. Nie da się porównać mamy z kimkolwiek innym. To tak jak różnica między mamą i tatą. Między kolorową fotografią i czarno-białą. Tęczą barw i odcieniami beżu.

Dlatego właśnie to takie trudne.

Na papierze zaczynają się pojawiać kontury. Wciąż niezbyt wiele widać.
Gardło mi się zaciska. To jej ostatnie zdjęcia. Być może zrobione w ostatnich chwilach życia. Ostatnia szansa, by spojrzeć na świat jej oczami.

Patrzę na pana Gerardiego.

– Czy... czy mogę dokończyć sama?

Waha się przez chwilę, wpatrując się w kuwety. Nie powinien mnie zostawiać samej z chemikaliaми, ale wiem, że kiedyś byłam jego wyjątkową uczennicą cieszącą się wyjątkowymi względami. Myślę o jego cennej leice. Może wciąż nią jestem.

– Proszę... – szepczę.

Wzdycha.

– No dobra. Pójdę do pokoju nauczycielskiego na kawę. Jesteś pewna, że chcesz zostać tutaj sama?

Kiwam głową. Obraz staje się coraz wyraźniejszy. Widzę już włosy i kawałek ramienia.

Pan Gerardi wychodzi i nagle zostaję sama, otoczona przez ciszę.

Obraz przed moimi oczami trochę się zamazuje, dlatego mrugam powiekami. Zdjęcie jest coraz wyraźniejsze.

Mrugam jeszcze raz. Z fotografii uśmiecha się do mnie mama, oczy ma błyszczące, a włosy potargane.

Jest naga. W łóżku. Zakrywa ręką jedną pierś, ale druga jest bezwstydnie odsłonięta.

Wstrzymuję oddech.

Przechodzę do następnej kuwety. Znowu mama, znowu naga. Śmieje się, wyciągając rękę do aparatu.

Kolejna kuweta. Płatanina rąk. Nieostra szyja, ciemne włosy. Zarys szczęki.

Łzy spływają mi po policzkach.

Kolejna kuweta. Mama śmiejąca się i próbująca się wyrwać, muskularna ręka otacza jej szyję, ktoś usiłuje przyciągnąć ją tak, żeby zmieściła się w kadrze. Staromodne selfie, zrobione aparatem, a nie telefonem. Druga twarz jest ucięta, ale mój wzrok przyciąga ta umięśniona ręka.

To nie jest ręka mojego ojca.

Kolejna kuweta. Na tym selfiku zmieścili się oboje. Sięgam po zdjęcie, zanurzając ręce w chemikaliach.

To Ian. Wydawca mamy. Bez koszuli, przytula ją do siebie. Mama unosi głowę, twarz ma wtuloną w jego szyję.

Myślę o tacie, który od miesiący nie może dojść do siebie.

Ona go zdradzała. Zdradzała!

Unoszę jej aparat i z całych sił walę nim w drzwi. Okruchy szkła i plastiku pokrywają podłogę.

Jak ona mogła? Jej torba leży przede mną, zapach jej kremu do rąk miesza się z wonią chemikaliów. Jak mogła mu to robić?

Chwytam krem i po chwili podziela los aparatu. Szlocham. Nienawidzę jej. Nienawidzę.

Biorę jej chusteczki. Przyciskam je do oczu, a potem również nimi ciskam. Nienawidzę jej.

Chwytam kartę pokładową, chcąc porwać ją na kawałeczki. Zgniatam ją i przyciskam ostre krawędzie do skóry. Chcę, żeby ból fizyczny choć na chwilę przysłonił psychiczny.

Zdradzała go.

Czuję się tak, jakby zdradzała również mnie. Jej miłość powinna być zarezerwowana dla nas. Nie dla kogoś jeszcze.

– Jak ona mogła? – szepczę.

Szlocham z dłońmi przyłożonymi do twarzy. Jeśli pan Gerardi wejdzie w tej chwili do ciemni, znajdzie mnie płaczącą.

Ta myśl przywraca mnie do rzeczywistości. Kawałki szkła i plastiku pokrywające podłogę błyszczą w czerwonym świetle. Wszędzie są rozchlapane chemikalia. Pan Gerardi się wścieknie. Wygładzam kartę pokładową, zupełnie jakby to coś mogło naprawić. Jest mokra i druk się rozmazał, ale data pozostała nienaruszona.

ŚRODA 22 MAJA.

Zaraz...

Patrzę raz jeszcze, ale nie mogę się mylić. Litery mają jakieś trzy centymetry wysokości.

ŚRODA 22 MAJA.

Mrugam kilka razy, jakbym myślała, że to łyzy zdołały jakoś zmienić sobotę w środę, a 25 maja w 22.

Wstrzymuję oddech.

Raz jeszcze rozprostowuję kartkę i przyciskam ją do stołu. To musi być pomyłka. Może to stara karta. A może to był lot z przesiadką.

To nie jest stara karta. A lot był bezpośredni.

Przyleciała tutaj trzy dni wcześniej, niż myślałam. Trzy dni przed śmiercią.

Nagle w mojej głowie rozbrzmiewają słowa Brandona:

„Hammonds Ferry Road nie leży po drodze z lotniska”.

Przyleciała wcześniej, tak jak chciałam. Przyleciała trzy dni wcześniej.

Tyle że nie do nas.

Rozdział czterdziesty

Od: Elaine Hillard – HAMILTON JĘZYK ANGIELSKI

<EHillard@AACountyPublicSchools.org>

Do: Declan Murphy

<Declan.Murphy@AACountyStudentMail.org>

Data: środa, 9 października, 15:11:53

Temat: Invictus

Declanie,

przeczytałam Twoje wypracowanie na temat Invictusa i chciałabym o nim porozmawiać. Czy mógłbyś wstąpić do mojej klasy jutro przed godziną wychowawczą? Będę od wpół do siódmej.

Pozdrawiam

Elaine Hillard

Czytam tę wiadomość, nie przestając kosić, bo Frank chyba by mnie zabił, gdybym zrobił sobie przerwę. No, może po wczorajszej rozmowie jednak nie. Po kilku tygodniach korespondowania z Cmentarną Dziewczyną ten mail działa na mnie prawie uspokajająco. Wiadomo, trudno sobie wyobrazić piękniejszy początek dnia niż spotkanie z nauczycielką angielskiego o wpół do siódmej rano.

Chowam komórkę do kieszeni i wkładam rękawiczkę.

Po raz dwudziesty piąty tego dnia żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i wrócić do tego spotkania w stołówce. Żałuję, że nie powiedziałem czegoś Juliet. Żałuję, że jej nie objąłem i nie wyznałem jej szeptem prawdy.

Zamiast tego siedzę na kosiarce i nawet nie wiem, czy Juliet jeszcze kiedyś się do mnie odezwie.

I nie wiem, czy spędzę jeszcze chociaż jedną noc w domu.

Rev powiedział, że Geoff i Kristin zgadzają się, żebym spędził u nich kilka nocy, jednak uważają, że powinienem usiąść z mamą i Alanem przy stole i wszystko obgadać.

Przez to dom Reva jest dla mnie spalony prawie tak samo jak mój.

Przeprosiłem. Przeprosiłem, a moja matka nic nie odpowiedziała.

Jest mi ciężko na sercu. Ten ciężar nie może zelżeć.

Niebo zaciąga się chmurami i zaczyna mżyć, ja jednak nic sobie nie robię z kropel deszczu dostających się pod moją koszulkę. Pogoda wypłoszy stąd ludzi, a to ułatwi mi pracę. Muzyka w moich słuchawkach ogłusza mnie równie skutecznie jak kosiarka.

Po prawej dostrzegam jakiś ruch. Patrzą ponad trawnikami usianymi szarym granitem. Przez cmentarz biegnie dziewczyna.

Juliet.

Ogarnia mnie panika. Rozgryzła mnie i chce stanąć ze mną twarzą w twarz.

Jednak nie. Ślizga się na mokrej trawie i przewraca się przed nagrobkiem swojej matki. Jest po drugiej stronie cmentarza, ale nawet z tej odległości widzę, że twarz ma wykrzywioną z bólu.

Krzyczy.

Wali pięściami w nagrobek.

Przekręcam kluczyk w stacyjce, gasząc silnik. A potem puszczam się biegiem.

Kiedy do niej docieram, jej palce są zakrwawione i spuchnięte. Łzy spływają jej po policzkach, a głos ma zachrypnięty. Nie rozumiem, co mówi, ale chyba ledwo zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Znow w amoku uderza dłonią w nagrobek.

Chwytam ją za ręce i odciągam stamtąd, a potem przytulam do siebie.

– Juliet, przestań.

Jej gniew jest tak wielki, że spodziewam się, że zaraz zacznie się wrywać, by znow zaatakować nagrobek. Zamiast tego wtula się we mnie i szlocha. Z całej siły zaciska palce na mojej koszulce, jakby to była lina ratunkowa.

– Już dobrze – mówię, chociaż to nieprawda. Trzymam ją mocno, szepcząc słowa otuchy z ustami w jej włosach. Ściągam zębami rękawice i zaczynam głaskać ją po plecach. – Już dobrze.

Lodowaty deszcz przesłonił cmentarz, dzięki czemu mamy iluzję prywatności. W powietrzu unosi się woń skoszonej trawy. Miesza się z zapachem Juliet, cynamonu i wanilii, w każdym razie czegoś ciepłego.

Kiedy dziewczyna trochę się uspokaja, opuszczam głowę i pytam:

– Chcesz usiąść?

Pociąga nosem i zdecydowanie kręci głową.

– Nie przy niej.

– Dobrze, więc może tam. – Prowadzę ją kilka metrów dalej, do starego grobu, którego nikt nie odwiedza. Siadamy i opieramy się o tył płyty nagrobnej.

Nie przestaje się mnie kurczowo trzymać. Nawet kiedy siedzimy, opiera się o mnie, czuję ciepło jej ciała. Łagodny deszczyk chłodzi moją twarz i miesza się z jej łzami.

– Chcesz o tym pogadać? – pytam.

– Nie. – Ociera twarz.

– Nie ma sprawy.

Patrzę na nią. W jej włosach zebrało się tyle kropli deszczu, że lśnią w świetle. Makijaż spływa po jej policzkach długimi strugami. Rozkoszuję się ciężarem jej ciała.

Sunę palcem po twarzy dziewczyny.

Wzdycha i zamyka oczy.

– Żałuję, że to zrobiłam – mówi łamiącym się głosem i znow zaczyna płakać.

– Ciii... – Muskam ustami jej skroń. Mógłbym tak trzymać ją w objęciach przez wieczność. – Czego żałujesz?

Prostuje się i odgarnia przemoczone włosy z twarzy. Palce jej się trzęsą. Cała się trzęsie.

– Moja mama była fotografką. Wywołałam jej film. Były na nim zdjęcia, które zrobiła przed śmiercią. Żałuję, że to zrobiłam.

Zgadza się. Miała to dzisiaj zrobić.

Odruchowo chcę udąć zdziwienie, tak jak udawałem je za każdym razem, gdy mówiła mi o czymś, o czym już wiedziałem z jej maili.

Jednak nie mogę tego zrobić. Nie wtedy, gdy jej łzy przemaczają mi koszulkę.

Odsuwam kosmyk włosów z jej oczu.

– Co tam zobaczyłaś?

Wtula twarz w moje ramię. Spodziewam się, że znów zaleje się łzami, ale ona zaczyna mówić cichym głosem:

– Zdradzała go.

– Co robiła?

– Zdradzała go. Mojego tatę. Przyleciała trzy dni wcześniej, niż myśleliśmy.

O kurczę.

– Więc na tych zdjęciach...

– Nie wiedziałam, czego się po nich spodziewać, wiesz? Myślałam, że może to zdjęcia do pracy albo są na nich jacyś ciekawi ludzie, których spotkała. Czasami fotografowała ludzi, którzy przyciągnęli jej wzrok, nie dlatego, że chciała to zamieścić w „New York Timesie”, ale dlatego, że wydawali jej się warci utrwalenia.

– Ale to nie były takie zdjęcia.

– Nie – prycha. – Na tych zdjęciach była w łóżku ze swoim wydawcą.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

– W łóżku? Czy to znaczy, że...

– W łóżku. Naga. Nie ma mowy o pomyłce.

– Naga?

– Tak, naga.

– Kurczę.

– Nienawidzę jej. – Jej słowa są ostre niczym sztylety.

Napina się cała. Przygnębienie zostaje wyparte przez gniew.

– Wywołałaś te zdjęcia w szkole?

Kiwa głową.

– W obecności nauczyciela?

– Nie, poszedł na kawę, więc mogłam zrobić to sama.

– Założę się, że popuściłby w gatki.

Chichocze. To dobry znak. Cieszę się, że potrafię ją rozśmieszyć, zwłaszcza teraz.

– Pewnie tak – mówi.

Unosi głowę, żeby popatrzeć mi w oczy, i poważnieje. Siedzimy, wdychając zapach deszczu i skoszonej trawy.

Mam ochotę znów ją do siebie przytulić.

Nie mogę. Nie mam pojęcia, jak dużo o mnie wie. To mnie dobija.

Powiedz jej. Powiedz jej. Powiedz jej.

Zanim udaje mi się wydusić choć słowo, Juliet odsuwa się ode mnie. Dzieli nas teraz kilka centymetrów, ale równie dobrze mógłby to być kilometr.

– Jezus, nie wiem, co powiedzieć tacie.

– Chcesz mu w ogóle coś powiedzieć?

– Nie wiem. – Spogląda na mnie, a jej usta znajdują się o szerokość dłoni od moich. – Nie chcę mu mówić, ale nie chcę też, żeby oplakiwał kobietę, która na to nie zasługiwała.

– Nie ma dobrego rozwiązania, Juliet. – Kręcę głową i myślę o Alanie. – Po prostu nie ma.

– Wiem – odpowiada cicho i z rezygnacją.

– Wiem, że wiesz.

– Gdyby to był twój ojciec, powiedziałbyś mu?

Wciąż jest tuż przy mnie, a nasza rozmowa jest równie intymna jak korespondencja między Cmentarną Dziewczyną a Mrokiem. Gdybym zamknął oczy i zapomniał o naszym prawdziwym życiu, mógłbym tak rozmawiać z nią w nieskończoność.

– Tak – odpowiadam.

Prycha i odwraca wzrok.

– No jasne, że tak. Nie boisz się mówić prosto z mostu.

Nie mam pewności, czy to zarzut, czy komplement.

Nie wiem też, czy w ogóle odpowiada to prawdzie.

Rev stwierdził, że zgrywałem męczennika, bo nie zwróciłem się do niego z prośbą o pomoc, kiedy w maju siedziałem w areszcie, przerażony, gdy oficer dyżurny powiedział mi, że dopiero następnego dnia ktoś po mnie przyjdzie. Ale to wynikało z tego, że miałem dosyć, po prostu się poddałem i przestałem próbować.

Zresztą nie wiem, może właśnie to miał na myśli?

Juliet patrzy na mnie i ociera policzki.

– Przepraszam, jestem już całkiem skołowana.

Spoglądam na nią ze zdziwieniem.

– Nie musisz za to przeproszać.

– Wiem... – Waha się, a potem zdobywa się na odwagę i dodaje: – Wiem, że nie chcesz więcej ze mną rozmawiać.

Patrzę jej w oczy. Mówi w tej chwili do mnie czy do Mroka? Tak to wszystko poplątałem, że już sam nie wiem.

Powiedz jej.

– Och, Juliet – wzdycham, po czym przeczesuję palcami włosy. – To zupełnie nie tak.

Odwraca się do mnie i kuca.

– Więc jak? – pyta.

– Podążamy różnymi ścieżkami – odpowiadam. – Twoja wyprowadzi cię z tego bagna. Moja wiedzie w dół.

Nie rusza się. Wiatr hula po cmentarzu i przecina powietrze między nami. Juliet mruży oczy i przygląda mi się uważnie.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj będę?

– Nie wiedziałem. Zauważyłem cię. – Czuję, że się czerwienię. Pokazuję na kosiarkę. – Pracuję tu. Tak jakby.

– A więc to są te twoje prace społeczne.

– Tak.

– Juliet! – Przez cmentarz biegnie mężczyzna w średnim wieku, ślizgając się na mokrej trawie. – Juliet!

Dziewczyna zrywa się na równe nogi.

– Tato!

Nawet z tak daleka widać ulgę malującą się na jego twarzy.

– Dzięki Bogu! – krzyczy. – Dzięki Bogu!

– Co się stało? – pyta Juliet, znów bliska płaczu.

Mężczyzna dobiega do nas i bierze ją w ramiona.

– Twój nauczyciel powiedział, że zostawiłaś straszny bałagan i zniknęłaś bez śladu. Martwiliśmy się o ciebie. Już miałem dzwonić na policję.

Tuli ją mocno, a Juliet płacze.

– Przepraszam, tato. Przepraszam.

– Nic się nie stało – odpowiada mężczyzna. – Ważne, że się znalazłaś. Jedźmy do domu.

Wstaję i odsuwam się od nich. Przez chwilę im się przypatruję. Oto prawdziwa rodzina. Jestem pewien, że jej tata po powrocie do domu nie otwiera piwa ani nie mówi jej, że nie może się doczekać, aż trafi za kratki.

Podnoszę z ziemi rękawice. W każdej chwili może się tu zjawić Frank i zacząć psioczyć, że zaraz się ściemni, a my jeszcze jesteśmy w lesie z robotą.

– Poczekaj! – Juliet wrywa się ojcu i rusza w moim kierunku. – Declan!

Trzymam się z dala. Czar prysł.

– Juliet.

Podchodzi do mnie, chwyta mnie za koszulkę i przyciąga do siebie. Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz mnie pocałuje, a głupio by było całować się przy jej

ojcu.

Ona jednak tylko coś do mnie mówi. Jej słodki, ciepły oddech owiewa mój policzek.

– Myliliśmy się – szepcze. – Sam możesz wytyczyć swoją ścieżkę.

Potem wraca do ojca, bierze go za rękę i zostawia mnie na środku cmentarza.

Kiedy w końcu opuszczam cmentarz, ulice spowija mrok. Mżawka wypłoszyła ludzi do domów. Moje serce nie może powrócić do normalnego rytmu, waha się między radosnymi podskokami a pijackimi potknięciami. Jadę do Reva, ale wciąż trzyma mnie adrenalina. Wszystko wydaje się niedokończone, porzrzućane emocje uciekają ode mnie za każdym razem, gdy próbuję je zebrać i ułożyć w jakimś porządku.

„Sam możesz wytyczyć swoją ścieżkę” – powiedziała.

Nie mogę przestać myśleć o tych słowach. Wryły mi się w pamięć podobnie jak komentarz Reva na temat tego, że robię z siebie męczennika. „Myliliśmy się”.

Na poboczu stoi samochód ze światłami przecinającymi mrok. Mam déjã vu – dokładnie w tym samym miejscu pomagałem Juliet.

A potem uświadamiam sobie, że znam to auto. To srebrny sedan, który sili się na szpanerski wygląd, ale w rzeczywistości wygląda żałośnie, jakby jego właściciel chciał mieć bmw, lecz stać go było tylko na buicka.

Znam je, ponieważ to auto Alana.

Stoi obok samochodu z komórką przy uchu, wpatrując się w maskę.

Przez ułamek sekundy mam ochotę minąć go jak gdyby nigdy nic.

No dobrze, może przez całą sekundę.

Spod maski wydobywa się dym. Alan unosi wzrok. Wygląda, jakby na coś czekał. Pewnie na pomoc drogową.

Widzę, że rozpoznaje mój wóz. Wiem, że chce się przekonać, czy się zatrzymam.

Widzę duży cel w spodniach khaki i koszuli.

Słowa wypowiedziane przez niego dziś rano uderzają we mnie z taką mocą, jakby ktoś do mnie strzelił ze śrutówki.

Przypominam sobie, jak stałem na schodach i przepraszałem, a oni nic nie powiedzieli. W ogóle nie zareagowali.

Zaciskam drżące palce na kierownicy i jadę dalej.

I wtedy, zupełnie znikąd, przed oczami pojawia mi się fragment tamtego głupiego wiersza.

Bogu czy bogom – dzięki składam

Za duszę swą niewycięzoną

Na najbliższym skrzyżowaniu wciskam hamulec i zawracam. Moje serce zaczyna szaleńczo bić, nie jestem pewien, czy pomogę Alanowi, czy walnę go w tę jego głupią gębę.

Kiedy się zatrzymuję, patrzy na mnie ze zdziwieniem, ale szybko odzyskuje spokój. Komórkę wciąż trzyma przy uchu, a kiedy wysiadam z samochodu, macha do mnie ręką.

– Poradzę sobie! – woła. – Jedź dalej!

Co za dupek.

I tak do niego podchodzę. Spod maski wciąż wydobywa się dym. Ten kretyń nawet nie zgasił silnika.

– Nie chcesz, żebym rzucił na to okiem?

– Właśnie rozmawiam z serwisem samochodowym.

– I co? Zamierzasz tu moknąć przez najbliższe dwie godziny? Unieś maskę.

Przykłada rękę do telefonu.

– Jedź do domu, Declan. Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Zdążyłem się domyślić.

Otwieram drzwi jego wozu i ciągnę za dźwignię odblokowującą maskę, a potem wyłączam silnik.

Kiedy się prostuję, Alan stoi przy mnie. Skończył już rozmawiać.

– Co ty robisz? – pyta.

– Kradnę ci samochód – odpowiadam. – Dzwoń po gliny.

Zaciska szczęki i mierzy mnie wściekłym spojrzeniem, ale nic sobie z tego nie robię i unoszę maskę. Z silnika bucha dym. Obaj robimy krok do tyłu, odganiając go rękami.

Potem z powrotem się przysuwamy i patrzymy w dół.

Przypominam sobie nagle, jak stawałem tak z ojcem. Pytał mnie, co jest nie tak z autem, a potem klepał po ramieniu, jeśli odgadłem. Następnie wołał jednego ze swoich pracowników i kazał mu słuchać, co „jego dzieciak” ma do powiedzenia na temat silnika forda thunderbird rocznik 1964. Wciąż pamiętam swoją dumę i poczucie, że stanowią część zespołu.

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się czułem.

Alan chrząka.

– Widzisz coś?

– Tak. Poszedł ci górny wąż chłodnicy. – Pokazuję na pękniętą czarną gumę.

– Więc tak czy owak jestem zdany na pomoc drogową. – Sprawia wrażenie zadowolonego z siebie.

– Jasne – odpowiadam. – Skoro chcesz zapłacić mechanikowi trzy stówy... Jeśli sklep z częściami będzie jeszcze otwarty, wyniesie cię to jakieś dwadzieścia dolarów. Naprawię to w dziesięć minut.

Wpatruje się we mnie, poruszając szczęką.

Ale się wkurza.

Chciałbym powiedzieć, że mnie to cieszy. Nic z tego. Jestem zmęczony.

– Słuchaj, Alan, przez ostatnie trzy godziny harowałem na cmentarzu przy kosiarce. Chcesz, żebym ci pomógł czy nie?

Nie odpowiada od razu, ale na jego twarzy pojawia się lęk.

Czy on naprawdę myśli, że chcę mu wyciąć jakiś numer? Nie muszę tego znosić. Odwracam się i ruszam do swojego samochodu.

– Jak sobie chcesz. Miłego czekania. – Siadam za kierownicą swojego chargeera i przekręcam kluczyk w stacyjce.

– Poczekaj!

Alan przecina snopy reflektorów, po czym zatrzymuje się przy drzwiach od strony pasażera. Ciągnie za kłamkę, ale są zablokowane.

Wzdycham i mu otwieram. Chwilę później siedzi obok mnie. Obaj jesteśmy tak skrępowani, że nie wiem, jakim cudem udaje mi się ruszyć. Dziwne, przypominam sobie tę noc, kiedy w aucie obok siebie miałem Juliet. Alan siedzi tak daleko ode mnie, że gdybym gwałtownie skręcił, pewnie wyturlałby się na ziemię.

Zerkam na niego.

– Boisz się, że cię dźgnę nożem albo co?

Mruży oczy.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Owszem.

Przeklina pod nosem i poprawia się na siedzeniu. Jest teraz jakiś milimetr bliżej.

Pokonujemy kilka kilometrów w absolutnej ciszy.

– Myślisz, że sobie z tym poradzisz? – pyta w końcu.

– Tak.

Znów cisza.

Chrząka, a potem ponownie zmienia pozycję.

– Wiesz, który sklep może być otwarty o tej porze?

– Nie, szukam najbliższego klifu. Zapnij pasy.

Przeszywa mnie wściekłym spojrzeniem.

– Nie bądź bezczelny.

– Dziękuję, Declanie – mówię pod nosem. – Naprawdę doceniam, że poświęcasz swój czas, żeby...

– Masz coś do mnie? Powiedz to głośno.

– Dobra. – Obracam kierownicą w prawo i zatrzymuję się raptownie na poboczu. Zaciągam ręczny i odpinam pas.

Alan się nie rusza, ale czuję jego lęk, zupełnie jakby myślał, że wywozłem

go w odludne miejsce, żeby łatwiej było pozbyć się ciała. Nie zasługuję na takie posądzenia. Declan z wczoraj pewnie wysiadłby teraz z samochodu i poszedł do domu.

„Sam możesz wytyczyć swoją ścieżkę”.

To wszystko zmienia. Nie jestem pewien, co powiem, ale otwieram usta.

– Zaczekaj – mówi Alan cichym głosem, niemal szeptem. Unosi rękę, nie przestając się gapić w przednią szybę. – Zaczekaj.

To brzmi jak wyzwanie. Czekam.

– Masz rację – mówi. – Dziękuję.

Zamieram, nie będąc pewien, czy się nie przesłyszałem.

Jak się okazuje, to nie wszystko.

– Winien też ci jestem przeprosiny za to, co powiedziałem dziś rano – dodaje ochrypłym głosem. – Przesadziłem.

Dobrze, że się zatrzymałem. Gdybym usłyszał to w trakcie jazdy, na bank wylądowałbym w rowie. Nie odrywam wzroku od kierownicy. Nie wiem, czy chcę tych przeprosin, ale na pewno zmieniają one coś we mnie.

– Nie jestem moim ojcem – mówię i w końcu na niego patrzę. – Chciałbym, żebyś przestał traktować mnie tak, jakbym nim był.

– Wiem. – Kiwa głową. – Wiem, że nim nie jesteś. – Milczy przez dłuższą chwilę. – Ale... ty też bez przerwy mi przypominasz, że nim nie jestem.

– O czym ty mówisz?

Patrzy mi w oczy.

– Może i nie znam się na samochodach, picciu wody, paleniu papierosów i innych tego rodzaju typowych męskich sprawach, na których znał się twój tata, ale nie jestem złym człowiekiem. To, że wiem więcej o ubezpieczeniach na życie niż o gaźnikach, nie czyni mnie jeszcze żalonym frajerem. Kocham twoją mamę i się o nią troszczę. Dobrze zarabiam i zaspokajam wasze wszelkie potrzeby. Mimo to nigdy – ani razu – nie odezwałeś się do mnie bez pogardy w głosie.

Myślę o swoich oszczędnościach, które w całości poszły na mojego prawnika. A także o tej nocy, kiedy zostawił mnie w areszcie. Zaciskam szczęki i patrzę z wściekłością przed siebie.

– Ten zarzut dotyczy nas obu.

– Wiem.

Zapada cisza. Wreszcie przerywa ją bębnienie deszczu o dach samochodu. Jest już późno i powinienem ruszyć, ale po raz pierwszy Alan i ja mamy okazję szczerze ze sobą porozmawiać. Ta rozmowa jest irytująca, lecz zarazem wciągająca. Nie chcę jej kończyć. Chcę się przekonać, dokąd nas doprowadzi.

Patrzę na niego.

– Dlaczego?

– Mam być z tobą szczerzy?

Nie wiem. Mimo to odpowiadam:

– Tak.

Pociera szczękę.

– Kocham twoją mamę, ale przyjęła bierną postawę wobec życia. Jest zbyt pobłażliwa. Łatwo jej wejść na głowę. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, opowiedziała mi o twoim ojcu, a potem zobaczyłem, jak dużo wolności ci daje, co w połączeniu z twoim nastawieniem do mnie sprawiło, że... wyrobiłem sobie zdanie na twój temat. Myślałem, że cię rozgryzłem. Że potrzebujesz osoby, która wyznaczy ci granice. – Przerywa, po czym ciągnie ze smutkiem: – Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że przez swoich rodziców musiałeś sam wyznaczyć sobie granice na długo przed moim pojawieniem się w waszym życiu.

Mówi spokojnie i rozsądnie. Nie mam do niego zaufania, ale wiem, że to prawda.

– Co masz na myśli? – pytam.

– To, że nie zgodziłeś się, żeby wsiąść z ojcem do tego samochodu – odpowiada cicho.

Wciągam gwałtownie powietrze. Nie dopuszczę do tego, żebym się przy nim rozpłakał.

– Byłem egoistą – szepczę.

– Jest wielka różnica między egoizmem a instynktem samozachowawczym.

– Milknie, po czym odwraca wzrok. – Aż do tego ranka nie wiedziałem o roli, jaką odgrywałeś w tym wszystkim. Nie miałem pojęcia.

Chrząkam, ale mój głos nadal jest ochryply.

– Wiedziałeś o Kerry.

– Wiedziałem, że twoja siostra zginęła w wypadku, za który odpowiadał twój ojciec. Nie miałem zielonego pojęcia, że zrobili z ciebie jego szofera. Wściekłem się, kiedy twoja mama mi dzisiaj o tym powiedziała.

Spoglądam na niego. Chciałbym, żeby to było kłamstwo. Każdy oddech sprawia mi ból.

Alan kręci głową. Kiedy tak na niego patrzę, uświadamiam sobie, że jego również życie nie oszczędzało.

– Ale nie mogę się na nią gniewać. Abby strasznie się boi o ciebie i dziecko, które nosi. Aż za bardzo. To chyba dlatego wylądowała w szpitalu. Przez stres.

Ogarnia mnie złość, a jednocześnie wstyd.

– Nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy – mówię drżącym głosem. – Ani jej, ani dziecku.

– Nigdy byś nie skrzywdził mamy? – Sprawia wrażenie zszokowanego. – Nie martwiliśmy się o to, że zrobisz krzywdę mamie albo dziecku.

– Ale powiedziałaś, że...

– My martwiliśmy się o ciebie, Declan. – Odwraca się do mnie. –

Martwiliśmy się, że zrobisz krzywdę sobie.

Przykładam ręce do brzucha i zaciskam powieki.

– Naprawdę o tym nie wiedziałeś? Za każdym razem, gdy wychodzisz z domu, twoja mama boi się, że znów to zrobisz.

Nie, nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia. Przypominam sobie jej minę tej nocy po balu, to, jak na mnie patrzyła, jej łagodny dotyk, gdy odgarniała mi włosy z twarzy.

– Nigdy ze mną nie rozmawia – mówię łamiącym się głosem. – Tego ranka też nic nie powiedziała.

– Ma ogromne poczucie winy – odpowiada cicho. – Poza tym boi się, że powie coś nieodpowiedniego i jeszcze bardziej się od niej oddalisz. Jest przerażona tym, że może cię stracić.

– Skąd wiesz? – Pociągam nosem i ocieram rękawem łzy.

– Stąd, że o niczym innym nie mówi. – Alan kładzie rękę na moim ramieniu.

Sztywnieję i wbijam wzrok w kierownicę, on jednak nie cofa dłoni.

– Więc dlaczego ze mną nie porozmawiała?

– Nie wiem. Nie jest ideałem. Nikt z nas nie jest. Chyba nie wie, jak to wszystko wyprostować. Na pewno tego nie wie. Ale popatrz na nas. Jeszcze piętnaście minut temu nie powiedziałbym, że kiedykolwiek będziemy w stanie pogadać jak ludzie. Więc niewykluczone, że wszystko może się zmienić.

Kiwam głową. Niewykluczone.

– Jeśli zadam ci pytanie – mówi cicho – mogę liczyć na twoją szczerą odpowiedź?

Kiwam głową. Wciąż myślę o jego wcześniejszych słowach. „My martwiliśmy się o ciebie, Declan”. Wypełniają one każdy zakamarek mojego umysłu.

– Myślisz o tym, żeby znowu spróbować to zrobić?

Cieszę się, że jest już ciemno. W tej chwili nie potrafię spojrzeć Alanowi w oczy. Żałuję, że obiecałem mu szczerą odpowiedź.

– Czasami – przyznaję. – Nigdy tak bardzo... jak tamtego wieczoru. Ale... czasami tak.

Kiwa głową.

– Myślałeś kiedyś, żeby z kimś o tym porozmawiać?

– Na przykład z psychologiem?

– Tak. Mówiłem już Abby, że moglibyśmy wszyscy zapisać się na terapię. Albo tylko ona. A może wy dwoje lub tylko ty...

– Dobrze. – Cieszę się, że wypowiedziałem to słowo.

Czuję się wykończony. Skrajnie wyczerpany. I chociaż nie jestem aż tak wielkim optymistą, żeby uważać, że ta rozmowa przyniesie radykalną poprawę moich relacji z Alanem, to jednak tli się we mnie iskierka nadziei. Brakuje mi

mamy. Brakuje mi poczucia wspólnoty.

Jeszcze raz kiwam głową.

– Zaczę chodźć do psychologa.

– Cieszę się. – Ściska moje ramię, po czym je puszcza. – Mama będzie szczęśliwa.

Zerkam na niego.

– Zrobię wszystko, żeby ją uszczęśliwić.

– Wiem – odpowiada. – Ja też.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Od: Declan Murphy

<Declan.Murphy@AACountyStudentMail.org>

Do: Juliet Young <Juliet.Young@AACountyStudentMail.org>

Data: środa, 9 października, 22:21:07

Temat: Wytyczanie nowych ścieżek

Myślałem, że spędzę tę noc u Reva. Rano strasznie się pożarłem z Alanem i mamą. Myślałem, że po tym, co każde z nas powiedziało, nie ma już powrotu. Ta kłótnia była jak wybuch bomby.

Jednak wieczorem Alanowi nawalił samochód i mu pomogłem. Przy okazji pogadaliśmy. To była chyba nasza pierwsza prawdziwa rozmowa. Zaproponował, żebyśmy wszyscy zaczęli chodzić na terapię. Zgodziłem się.

O wiele trudniej pisze mi się pod prawdziwym nazwiskiem. Nie masz pojęcia, jaka to męczarnia. Przywróciłem konto Mroka, ale to już nie to samo. Czułem się, jakbym się ukrywał. I rzeczywiście się ukrywałem.

Teraz masz przed sobą prawdziwego mnie.

Powinienem być Ci powiedzieć tamtej nocy, gdy siedzieliśmy w samochodzie przy Generals Highway. Od tamtej pory miałem tysiąc okazji, żeby to zrobić.

Wierz mi, nie chciałem Cię oszukać. Wręcz przeciwnie. Jeśli już, to oszukiwałem siebie. Nie byłem gotowy poświęcić tego, co nas łączyło.

Tata przysypia na kanapie przy wtórze HBO. Podrywa się, kiedy wchodzi do salonu. Sięga po pilota i wyłącza telewizor.

– Myślałem, że już śpisz – mówi.

– Jeszcze nie. – Leżałam w łóżku, czytając mail od Declana i wodząc palcem po jego imieniu.

Ma rację. Oboje się ukrywaliśmy.

Tata ziewa i pociera powieki, a potem wpatruje się we mnie.

– Wszystko w porządku? Może napijesz się ciepłego mleka? Pomoże ci zasnąć.

Uśmiecham się, choć czuję, że jestem na skraju załamania.

– Nie mam już sześciu lat, tato.

Odwzajemnia uśmiech, ale w jego oczach widzę troskę. Martwi się o mnie.

Pan Gerardi nie powiedział mu o zdjęciach. Kiedy do niego zadzwonił, zdradził mu tylko, że wywoływałam fotografie mamy, zobaczyłam coś przygnębiającego i zniszczyłam je.

Zastanawiam się, czy to czyni go tchórzem.

Zastanawiam się, czy to, że ja o niczym nie powiedziałam, czyni tchórzem mnie.

– Chcesz ze mną posiedzieć? – pyta tata.

Mam już odmówić, bo od lat tego nie robiliśmy, ale wyciąga do mnie rękę, a potem klepie poduszkę obok siebie.

– No chodź – mówi żartobliwym tonem. – Usiądź ze swoim starym, żebyś mogła później opowiadać dzieciom, jak cię męczyłem.

Kiedy zapadam się na kanapie, obejmuje mnie ramieniem i mocno ściska. Ogrzewam się w ciepłe jego ciała i czuję się kochana i bezpieczna.

Latami idealizowałam matkę, uważając ojca za nudnego przeciętniaka, podczas gdy to on trwał przy mnie przez cały czas.

A ona wybrała życie z kimś innym.

– Ciii... – szepcze i nagle sobie uświadamiam, że płaczę.

Przyciskam palce do powiek, a on tuli mnie i gładzi po ramieniu.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta.

– Nie... – Głos mi się łamie, więc próbuję jeszcze raz: – Nie chcę cię zranić.

– Mnie? – Całuje mnie w czoło. – Nie zranisz mnie. To raczej ty czujesz się zraniona.

Patrzę w jego pełne współczucia oczy i znów zaczynam płakać.

– Mama wróciła wcześniej, niż myśleliśmy. – Gorące łzy spływają mi po policzkach.

Tata zamiera.

– Co takiego? Skąd wiesz?

– Znalazłam w torbie jej kartę pokładową. – Odwracam wzrok. Ledwo mogę oddychać przez te łzy. To go zniszczy, ale nie uniosę tego ciężaru sama. – Wróciła wcześniej, żeby być z Ianem.

– Juliet... skąd ty to...

– Widziałam to! – Wybucham. – Widziałam! Była z nim na zdjęciach. W łóżku. Przepraszam, tato. Przepraszam. Proszę, nie chcę, żebyś mnie znienawidził.

– Juliet... kochanie... – Wzdycha przeciągle i znów przyciąga mnie do siebie. Gładzi mnie po głowie. – Nigdy cię nie znienawidzę.

– Jestem na nią wściekła. Jak ona mogła? Jak mogła ci to robić?

– Ciii... – szepcze. – Już dobrze.

– Wcale nie jest dobrze! – Odsuwam się i patrzę mu w oczy. – Nienawidzę jej. Tak bardzo chciałam, żeby wróciła. Tak bardzo.

Krzywi się.

– Nie chcę, żebyś jej nienawidziła, Juliet. Nie chcę.

– Czy ona w ogóle nas kochała?

– Ciebie? – Głos mu się łamie. – Tak. Ciebie kochała nad życie.

– Ale mniej niż te trzy dni z Ianem.

Śmieje się, ale to gorzki śmiech.

– Właśnie że bardziej. – Milknie na chwilę. – Kochała cię tak bardzo, że została ze mną.

– Co takiego?

Kręci głową.

– Twoja mama była wolnym duchem.

Nagle to do mnie dociera.

– O wszystkim wiedziałeś – szepczę.

– Nie znałem szczegółów. Nigdy nie chciałem ich znać. Ian... – Prycha. To chyba pierwsza oznaka gniewu, jaką u niego dostrzegam. – Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo zależało mu na tym cholernym aparacie. Jeśli na coś się wściekam, to na to, że dowiedziałaś się o tym w taki sposób.

– Ale... ale... – Z trudem przełykam ślinę, w głowie mi się kręci. – Ale byłeś taki przygnębiony...

– Byłem. I nadal jestem. Niezależnie od tego, co zrobiła, była moją żoną. I twoją matką. Przyzwyczałem się do jej długich nieobecności, ale stracić ją na zawsze to co innego. Nie wiem, czy to, co mówię, ma jakiś sens.

Moim zdaniem ma.

– Od jak dawna to trwało?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Pewnie od zawsze. Nabrałem pewności dopiero kilka lat temu.

Nie mieści mi się to w głowie.

– Dlaczego w ogóle z nią zostałeś?

Gładzi mnie po brodzie i obdarza gorzkim uśmiechem.

– Dlatego że cię kochałem, a ty kochałaś ją. Nie mogłem cię tego pozbawić.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy widziałam ich razem. Mam mnóstwo wspomnień związanych z mamą, ale nie pamiętam chwil spędzonych z nimi obojgiem. Nagle staje się to w pełni zrozumiałe. Zawsze myślałam, że to вина ojca, tego szaraczka, który nie dorastał jej do pięt.

Nigdy nie rozumiałam, że to ona jest za to odpowiedzialna.

Przesuwam dłońmi po twarzy.

– Szkoda, że nie wiedziałam.

Przekrzywia głowę.

– Naprawdę tego żałujesz?

– Tak. Myślałam, że jest ideałem. Miałam ją za najodważniejszą kobietę świata.

– Nie ma w tym nic złego, Juliet. Twoja mama naprawdę była odważna. I robiła niesamowite rzeczy.

– Była egoistką – rzucam. – Kiedy miała ochotę, przyjeżdżała i bawiła się w dom, pozostawiając wszystko na twojej głowie.

Krzywi się.

– Może trochę... Ale wszyscy mamy wady. To, co robiła, nie odbijało się niekorzystnie na jej pracy ani na jej miłości do ciebie.

– Wróciła trzy dni przed czasem dla kogoś innego. – Pociągam nosem i ocieram łzy z policzków. Nie zasłużyła sobie na moje łzy. Nie teraz. – Minie trochę czasu, zanim się po tym pozbieram.

– Wiem – mówi cicho. – Wiem. Ale byłem tutaj przez te trzy dni. I będę tu przez inne dni, tak długo, jak będziesz mnie potrzebować.

Rzucam mu się w ramiona.

Przytula mnie i jest to najlepsze uczucie pod słońcem.

Rozdział czterdziesty drugi

Od: Juliet Young

<Juliet.Young@AACountyStudentMail.org>

Do: Declan Murphy

<Declan.Murphy@AACountyStudentMail.org>

Data: czwartek, 10 października, 5:51:47

Cieszę się, że mi nie powiedziałeś. Ja też nie chciałam poświęcić tego, co nas łączyło. W sumie trochę mi smutno, że już po wszystkim. Wciąż myślę o rozmowach, które odbyliśmy ze sobą osobiście, i zestawiam je z Twoimi listami. Jakaś częśćka mnie wciąż nie może uwierzyć, że to naprawdę Ty.

Tyłu rzeczy nie pokazujesz światu. Wydaje mi się, że powinieneś się otworzyć. Przedstawić innym nowe zdjęcie. Pokazać to, co pokazałeś mnie.

A skoro już o tym mowa... Co teraz?

Kiedy wstaję, zauważam na komodzie kopertę. Widnieje na niej moje imię napisane charakterem pisma Alana.

W środku znajduję trzysta dolarów.

Oczy o mało nie wychodzą mi z orbit.

Nie wiem, o co chodzi. Wkładam T-shirt, biorę kopertę i schodzę do kuchni. Mama i Alan siedzą przy stole, pijąc kawę i rozmawiając przyciszonymi głosami.

Przystaję w drzwiach, zdezorientowany.

– Cześć, Declanie – mówi mama.

– Hej. – Pokazuję im kopertę. Te pieniądze mnie niepokoją. Nie podoba mi się, że próbują mnie przekupić.

To trochę podważa wszystko, co zaszło wczoraj między mną a Alanem.

Podchodzę i rzucam ją na stół.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Ale my chcemy ci to dać – odpowiada cicho mama.

Marszczę brwi.

– Nie chcę waszych pieniędzy.

– To twoje pieniądze – włącza się Alan. – Zarobiłeś je.

– Nic nie zrobiłem.

– Naprawiłeś mi samochód. Sam mówiłeś, że tyle by to kosztowało.

– Przecież powiedziałem, że pójdę do tego psychologa, czy kogo tam. – Cofam się o krok i zaciskam szczęki. – Nie musicie mnie przekupywać.

– To nie jest próba przekupstwa – odpowiada z naciskiem. – Powiedziałeś, że tyle bym wydał na mechanika. Wolałem zapłacić tobie. – Milknie na chwilę. – Doszliśmy do wniosku, że to trochę nie w porządku, że zabraliśmy ci wszystkie pieniądze, żeby opłacić adwokata. Przecież oszczędzałeś latami.

To prawda. Uzbieranie trzech tysięcy dolarów kosztowało mnie sporo

wysiłku i podejmowania się dorywczych prac. Ta suma stanowi niewielki procent tamtej.

No dobra. Niech będzie.

– Poza tym – ciągnie Alan – dzwonił do ciebie niejaki John King. Powiedział, że ma kilku kolegów, którzy chcieliby, żebyś rzucił okiem na ich samochody. Doszedłem do wniosku, że powinienem skorzystać z twoich usług, dopóki jeszcze jesteś tani.

John King? Sąsiad Franka? Kręci mi się w głowie.

– John King dzwonił? – upewniam się.

– Zapisałem jego numer. Jest przy telefonie. Zapewnił, że zapłaci ci za konsultacje.

Konsultacje... Zupełnie jakbym był lekarzem czy kimś takim.

– No dobra – mówię.

Mama wstaje z krzesła, podchodzi do mnie i kładzie dłonie na mojej twarzy.

To tak niespodziewane, że zamieram.

– Przepraszam – mówi łagodnym głosem. – Przepraszam, że cię nie wspierałam. Postaram się być lepszą matką.

– Wcale nie musisz być lepsza – odpowiadam.

– Muszę. – Robi płaczliwą minę, ale robi głęboki wdech i udaje jej się opanować wzruszenie. – Przepraszam, to te hormony. Ważne, że dostałam jeszcze jedną szansę. Postaram się tego nie spać.

Przypominam sobie swoje wczorajsze słowa i ogarnia mnie poczucie winy. „Chcesz zastąpić tym nowym dzieckiem Kerry”. Jest mi tak głupio, że ledwo mogę wydobyć z siebie głos.

– Przepraszam za to, co powiedziałem. Bardzo przepraszam.

– Przestań. Nie ma do czego wracać. Wszyscy dostaliśmy jeszcze jedną szansę.

Obejmuje mnie za szyję i przytula. Odwzajemniam uścisk. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mnie przytulała, i chcę, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

Nagle odsuwa się ode mnie.

– Poczujesz to?

– Co takiego?

– Kopnął! Pierwszy raz!

Uśmiecham się, przypominając sobie kobietę spotkaną w szpitalu.

– Cóż, najwidoczniej mam dar. – Nagle dociera do mnie sens jej słów. – Kopnął? Więc to on?

– Tak. Chłopiec.

– Twój brat – uściśla Alan.

Twój brat. Tyle czasu myślałem, że próbują przebudować naszą rodzinę, odsuwając mnie od siebie, że nie pomyślałem, że mogę mieć brata. Muszę się

oswoić z tą myślą. Cofam się o krok.

– Spóźnię się do szkoły.

Mama kiwa głową.

– Jasne, leć.

Zatrzymuję się w drzwiach i wyjmuję z koperty dwadzieścia dolarów, po czym wracam do stołu i kładę je przed Alanem.

– Za co to? – pyta.

– Za części – odpowiadam. – Przecież je kupiłeś.

– Dlaczego właściwie jesteśmy w szkole tak wcześnie? – pyta Rev.

Siedzimy na pogrążonych w półmroku schodach, czekając, aż ochroniarz otworzy drzwi. Jest tak zimno, że zazdroszczę Revowi jego bluzy z kapturem. Żeby się zagrzać, chowa dłonie w rękawy. Parking zasnuwa mgłą.

– Mam spotkanie z anglicą. – Zerkam na niego. – Nie musisz tu ze mną tkwić.

– Muszę. Przecież podwozisz mnie do szkoły.

– W takim razie nie narzekaj.

Słychać kroki na chodniku i z mgły wynurza się pani Hillard.

– Już jesteś? – pyta zaskoczona.

– Na moje szczęście – komentuje Rev.

Daję mu kuksańca i wstaję.

– Nie napisała pani, o czym mamy rozmawiać. Pomyślałem, że to może coś ważnego.

Przewiesza torbę na drugie ramię.

– Możemy wejść?

– Jasne.

Rev podchodzi do niej i kobieta przez chwilę wygląda na przestraszoną. Bluza z kapturem sprawia, że wygląda jak bandzior.

– Może pani pomóc? – pyta uprzejmie i nauczycielka się uśmiecha.

Podaje mu torbę.

– Chętnie skorzystam.

O tej porze w szkole panuje niemal całkowita cisza. W korytarzach palą się jedynie nieliczne światełka alarmowe. Klasa pani Hillard jest pogrążona w mroku, dopóki nauczycielka nie zapala światła. Siadamy z Revem na krzesłach w pierwszym rzędzie.

Kobieta patrzy na niego, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Chcesz, żeby twój kolega został?

Rev uśmiecha się i odchyła na krzesło.

– „Na bliźnich polegać – to siebie zgubić, czasem przyjaciel przyłgnie nad

brata”⁵.

Większość ludzi patrzy na Reva tak, jakby nie potrafili go rozgryźć i zastanawiali się, czy w ogóle jest wart zachodu. Pani Hillard tylko unosi brwi.

– Chyba muszę napić się kawy, jeśli zaczynamy od cytatów z Biblii.

Kopię krzesło, na którym siedzi mój przyjaciel.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi. Może zostać.

Nauczycielka otwiera torbę i wyjmuję z niej kartkę. Rozpoznaję swój charakter pisma. Na marginesie jest czerwono od jej komentarzy.

Przysuwa kartkę do mnie.

– Skąd to wzięłeś? – pyta.

Aż się trzęsę z oburzenia.

– Przecież pisałem to na pani oczach, nie ściągałem.

– Nie twierdzę, że ściągałeś. Pytam, jakim cudem udało ci się napisać pięćset słów na temat wiersza, skoro w klasie rzadko można wydusić z ciebie więcej niż jedno zdanie.

Czerwienię się i spuszcza wzrok.

– Ten wiersz dał mi do myślenia.

– Nieźle piszesz. Dobrze argumentujesz i sprawnie posługujesz się językiem.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz chwalił mnie jakiś nauczyciel. Co ja bredzę, ledwo sobie przypominam, żeby jakiś nauczyciel w ogóle na mnie spojrział. Z zażenowania zaczynam bawić się ołówkiem.

– Dzięki.

– Masz zamiar dalej tak pisać?

Wietrzę w tym pytaniu jakiś podstęp.

– Może...

– Pytam, bo pomyślałam sobie, że mogłabym cię przenieść na rozszerzony angielski.

Rev unosi raptownie głowę. Ja wciągam gwałtownie powietrze.

– Na rozszerzony angielski? – powtarzam, kiedy wreszcie dochodzę do siebie. – Nie mam żadnego rozszerzenia.

– A wybierasz się do college’u? Coś takiego nieźle się prezentuje na świadectwie.

Odwracam wzrok. Większość moich nauczycieli spodziewa się raczej, że dokończę edukację w więzieniu stanowym.

Nigdy nie myślałem o żadnym rozszerzeniu, a co dopiero o dokonaniu takiej zmiany miesiąc po rozpoczęciu roku szkolnego.

– Nie wiem, czy sobie poradzę – bąkam.

– Nie korci cię, żeby spróbować?

„Sam możesz wytyczyć swoją ścieżkę”.

Łatwo powiedzieć. Ta ścieżka oznacza mozolną wędrówkę na szczyt. I to

z taczkami pełnymi cegieł.

– Nie wiem.

– Masz wątpliwości, czy jesteś wystarczająco dobry? Zapewniam cię, że tak.

– Nie o to chodzi... Tam chodzą same kujony. Będą na mnie patrzeć jak na debila.

– Udowodnisz im, że się mylą.

Waham się.

– Boisz się nawału pracy? – pyta.

– Nie.

Odwraca się, zdejmuje z półki jakąś książkę i mi ją podaje.

– Jesteś pewien?

Patrzę na okładkę. *Pożegnanie z bronią* Ernesta Hemingwaya.

– Możesz to przeczytać? – pyta. – Właśnie to omawiamy.

Nie rozpoznałbym książki Hemingwaya, nawet gdyby stał przede mną i czytał ją na głos.

– Nie.

– Nie chcesz spróbować?

– Zastanowię się nad tym.

Czekam na oznaki rozczarowania, ale nie następują. Kiwa głową.

– Przemyśl to i daj mi znać do końca tygodnia.

– Dobrze. – Nagle brakuje mi tchu.

Idziemy z Revem do naszych szafek. Chyba przyjechały już pierwsze autobusy szkolne, bo korytarze powoli wypełniają się uczniami.

– I co zamierzasz? – pyta Rev.

– Nie wiem. A ty co myślisz?

– Myślę, że powinienes spróbować. – Milknie na chwilę. – Naprawdę się boisz, że kujony cię nie zaakceptują?

Gdyby to był ktoś inny, zaprzeczyłbym, ale to Rev, przed którym nie mam tajemnic.

– Tak. A ty byś się nie bał?

Wzrusza ramionami.

– Może...

Ciągnę go delikatnie za rękaw.

– To może zdejmiesz bluzę?

Zatrzymuje się na środku korytarza i przez chwilę martwię się, że trochę przesadziłem. Ale on opuszcza kaptur i rozpina bluzę.

W następnej chwili zastyga w bezruchu.

Unoszę brwi.

– Jezu, Rev, przynajmniej poczekaj, aż będziemy sami.

Klepie mnie po ramieniu i rusza dalej. Wciąż ma na sobie bluzę, ale jest

rozpięta, a kaptur opuszczony.

– Mam dzisiaj koszulkę z krótkimi rękawami – wyjaśnia po chwili.

– Jasne. – Patrzę na niego. – Nie musisz mi niczego udowadniać.

– Nie jestem gotów – odpowiada. – Jeszcze nie.

Wzruszam ramionami, próbując zbagatelizować całą sprawę.

– Zawsze jest jeszcze jutro.

– Tak – zgadza się. – Zawsze jest jeszcze jutro.

Rozdział czterdziesty trzeci

Anne Arundel County Student Mail Server

Skrzynka odbiorcza – Juliet Young

Brak nowych wiadomości.

Już lunch, a on nie odpisał.

Nie mam pojęcia, co to znaczy.

W stołówce stoję w kolejce, a potem niby od niechcienia idę w kierunku stołu, przy którym zwykle przesiaduje z Revem.

Nie ma ich tam.

Mam wrażenie, że coś się za tym kryje. I to coś niekoniecznie dobrego.

Rowan i Brandon zapraszają mnie do swojego stołu, ale ich związek wkroczył w fazę, w której wszystko jest flirtem i dwuznaczną aluzją. Moja przyjaciółka właśnie karmi swojego chłopaka winogronami, wrzucając mu je do ust i chichocząc za każdym razem, kiedy nie udaje mu się złapać.

Ledwo mogę to wytrzymać.

Nagle ktoś siada przy mnie na ławce. Kiedy odwracam głowę, widzę obok siebie Declana.

Wstrzymuję oddech. Jego wygląd jak zawsze budzi grozę, ale już znam jego tajemnicę. Wiem, że to tylko fasada.

– Masz ochotę się przejść? – pyta.

– Yyy... jasne.

Zaskakuje mnie, biorąc mnie za rękę.

Jesteśmy w szkole, więc mamy ograniczone możliwości, ale tak bardzo zawrócił mi w głowie, że gdyby tylko poprosił, poszłabym za nim na koniec świata.

On jednak o to nie prosi. Prowadzi mnie do tylnych drzwi stołówki, a potem na dziedziniec.

Południowe słońce przypieka, pozbawiając powietrze chłodu. Otaczają nas uczniowie, ale i tak mamy tu więcej prywatności niż w budynku.

– Czekałem na tę rozmowę cały ranek – mówi w końcu.

– Nie mailowałeś.

Kręci głową.

– Chciałem porozmawiać z tobą osobiście. – Wygląda na zasmuconego. – A teraz, kiedy stoję obok ciebie, żałuję, że nie mogę znów być Mrokiem.

Doskonale rozumiem, co ma na myśli. Serce mi mocno bije.

– Mam wyjąć komórkę?

Uśmiecha się.

– Użyjemy jej w ostateczności.

Język mam związany w supeł, więc tylko się uśmiecham i ruszamy przed

siebie. Cisza jest coraz bardziej krępująca.

Wciąga powietrze, jakby chciał coś powiedzieć, ale się waha.

– W porządku – mówię łagodnie. – Nie musimy rozmawiać.

Śmieje się cicho.

– Nie wiem, z czym mam problem. Przecież wiesz wszystko.

– Ty też.

Pociera szczękę (kolejny dzień bez golenia, zauważam), a potem przeczesuje palcami włosy.

– Poczekaj – mówi, sprawiając, że się zatrzymuję. – Mam pomysł.

Odwraca się twarzą do mnie i niespodziewanie do mnie podchodzi. Blisko. Bardzo blisko. Tak blisko, że nasze policzki się dotykają. Kładzie rękę na moim karku i muska oddechem moje ucho. Czuję na swojej brodzie jego zarost.

– I co? Dobry pomysł? – pyta.

– Dobry? Sto razy lepszy niż ten z telefonem.

Śmieje się i nasze ciała się stykają. Obejmuje mnie w pasie. Moglibyśmy tańczyć, zamiast dzielić się sekretami. Odczuwam nagłą potrzebę zarzucenia mu rąk na szyję.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi.

Zwilżam usta.

– Możesz mi powiedzieć, co tylko chcesz.

– Przepraszam za te wszystkie razy, kiedy byłem dla ciebie niemiły.

Spróbuję nad tym popracować.

Kręci mi się w głowie, jakbym upiła się jego bliskością.

Muska kciukiem mój kark.

– Lubię cię.

– Ja też cię lubię.

– Lubię cię od tamtego ranka, kiedy na mnie wpadłaś.

Chichoczę i próbuję go odepchnąć, on jednak jeszcze bardziej mnie do siebie przyciąga.

– Niemożliwe.

– Właśnie że możliwe – szepcze i muska ustami mój policzek. – Pamiętam, jak pomyślałem: „Dobra robota, dupku. Dodałeś kolejną dziewczynę do listy osób, które cię nienawidzą”.

– Nie nienawidzę cię. Nigdy cię nie nienawidziłam.

– Uff, kamień z serca – mówi z uśmiechem. Sunie ustami po moim policzku i nagle zalewa mnie fala gorąca. – Mogłabyś pisać teksty na kartki urodzinowe.

– Wszystkie swoje przyszłe listy miłosne będę zaczynać słowami „Do wszystkich zainteresowanych”.

– Zamierzasz mi w przyszłości wysyłać listy miłosne?

Czerwienię się i jestem pewna, że to zauważy. Czuję to.

Nagle jednak poważnieje.

– Jesteś pierwszą osobą, która zobaczyła całego mnie, Juliet. Pierwszą, która sprawiła, że poczułem, że jestem coś wart. Jeśli mi żal utraty Cmentarnej Dziewczyny, to głównie dlatego. Nie wiem, czy ktoś jeszcze kiedyś spojrzy na mnie w taki sposób.

Przykładam obie dłonie do jego piersi, a potem przesuwam je w górę, do jego szczęki.

Unika mojego wzroku.

– Widzę cię całego – mówię. – I patrzę na ciebie w taki sposób właśnie teraz. Bierze moją rękę i przykłada ją sobie do serca, po czym zamyka oczy.

– Wykończysz mnie, Juliet.

– Popatrz na mnie – proszę.

Patrzy.

– Nie możesz wytyczyć swojej ścieżki z zamkniętymi oczami – żartuję.

– Tak? To zobacz sama – odpowiada, a potem pochyla się i nasze usta się spotykają.

Podziękowania

Najpierw do czegoś się przyznam: otóż kiedy piszę te słowa, jestem chora, widzę wszystko jak za mgłą i na myśl o ludziach, którzy okazali mi serce, chce mi się płakać. Dlatego jeśli te słowa wydadzą wam się ckliwymi bzdurami, wińcie za to wirus grypy typu A.

Przede wszystkim chciałabym podziękować swojemu mężowi. Jest moim najlepszym przyjacielem, powiernikiem, moją opoką (no dobra, już beczę, a to dopiero drugi akapit). Wspierał moje próby pisarskie od samego początku i bez niego niczego bym nie osiągnęła.

Ogromne podziękowania dla mojej agentki, Mandy Hubbard, która najprawdopodobniej jest Wonder Woman (wiem, że po kryjomu nosisz złote bransoletki, przyznaj się). Pewnego dnia poznamy się osobiście i wtedy ją serdecznie uściskam. Wyobrażam sobie, że dojdzie do tego na łące pełnej stokrotek, chociaż nigdy jeszcze nie widziałam takiej łąki. Dziękuję za wszystko, Mandy.

Równie ogromne podziękowania winna jestem mojej redaktorce, Mary Kate Castellani, której wskazówki i pomoc przy powstawaniu tej książki były nieocenione. Możesz dołączyć do mnie i Mandy na łące pełnej stokrotek – uściskamy się wszystkie trzy. Albo podamy sobie ręce, jeśli wolisz. Poważnie mówiąc, bardzo się cieszę, że miałam okazję współpracować z tobą. Dziękuję za wszystko.

Wyrazy wdzięczności dla wszystkich pracowników Bloomsbury, którzy pomogli w powstaniu tej książki. Szkoda, że nie znam waszych imion i nazwisk i nie mogę podziękować każdemu z was osobno, ale wiedzcie, że jestem świadoma faktu, iż książka to dzieło zespołowe i odegraliście ważną rolę w powstaniu mojej. Dziękuję z całego serca. Mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy.

Na wyrazy wdzięczności zasługują również moi bliscy przyjaciele i krytycy: Bobbie Goettler, Alison Kemper i Sarah Fine. Wiele dla mnie znaczący i cieszę się, że was mam.

Ta książka wymagała licznych konsultacji w takich dziedzinach jak prawo, fotografia i naprawa samochodów. Charles „Chuck” Allen – wiszę ci lunch (albo kolację) za wszystkie mailowe odpowiedzi, których udzielałeś mi, ilekroć pytałam o coś związanego z fotografią lub fotoreporterstwem. James Kalinosky z Baltimore County Police Department dostarcza mi stale informacji o pracy organów ścigania – tak było i w tym przypadku. Większość informacji związanych z samochodami pochodzi od Joego Clipstona, Ryana Albersa, Stephanie Martin i Scotta Prusika. Wszystkie te osoby okazały mi niebywałą pomoc. Za wszelkie ewentualne błędy ponoszę winę wyłącznie ja.

Wiele osób czytało wczesne wersje tej książki i służyło mi radami, które

pomogły mi ją ulepszyć. Na moje podziękowania zasługują: Jim Hilderbrandt, Nicole Choiniere-Kroeker, Tracy Houghton, Joy Hensley George, Shana Benedict, Nicole Mooney, Amy Clipston i Michelle MacWhirter.

Serdecznie dziękuję moim wszystkim czytelnikom, niezależnie od tego, czy to ich pierwsze spotkanie z moimi książkami, czy towarzyszą mi od czasów Bekki i Chrisa z książki *Storm*. Bez was wszystkich nie mogłabym robić tego, co kocham. Dziękuję.

Jak zawsze dziękuję swojej mamie za nieskończoną mądrość, rady i wsparcie, które okazuje mi nieprzerwanie, odkąd w drugiej klasie napisałam książkę o psie (do tej pory pokazuje ją znajomym – serio).

I wreszcie jak zwykle chcę podziękować swoim czterem synom: Jonathanowi, Nickowi, Samowi i Baby Zachowi. Dziękuję, że pozwalacie mamie spełniać marzenia. Dziękuję codziennie losowi za to, że was mam.

Aneks

WILLIAM ERNEST HENLEY

Invictus

przełożył Maciej Froński

Z nocy, co wokół mnie zapada,
Czarnej jak samo piekła łono,
Bogu czy bogom – dzięki składam
Za duszę swą niezwyciężoną
W tego, co cierpię tu, okowach
Ani się krzywię, a pod chłostą
Trafu krwią spływa moja głowa,
Lecz ją niezmiennie trzymam prosto.
Poza padłem tym goryczy
Tylko się Strach przed cieniem czai,
Grozie lat, chociaż z nią się liczę,
Przystępu w serca głąb nie daję.
Nieważne, jak jest wąska brama,
Spis kar się jakim ciągnie zwojem,
Bo swego losu jestem panem
I kapitanem duszy swojej.

¹ Ten i inne fragmenty wiersza Dylana Thomasa *Nie wchodź lagodnie do tej dobrej nocy* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

² Księga Przysłów 25,15. Cytat za Biblią Tysiąclecia.

³ Przełożył Julian Korsak.

⁴ Fragmenty wiersza Williama Ernesta Henleya *Invictus* w przekładzie Macieja Frońskiego.

⁵ Księga Przysłów 18,24. Cytat za Biblią Tysiąclecia.

